



3 1761 07453584 0

TŁÓMACZENIA

A.E. ODYŃCA



UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY

WILLIAM H. DONNER
COLLECTION

*purchased from
a gift by*

THE DONNER CANADIAN
FOUNDATION



Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

TŁOMACZENIE
WYDZIAŁU
OLĘSKA
DZIEWICA Z JEZIORA.

TŁÓMACZENIA

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

W. Roguska
L. Niewiadomska
TOM I.

DZIEWICA Z JEZIORA.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.

1874.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Сентября 1872 г.

PR

1116

P6

D4

1874

t. 1-2

Czeionkami Gazety Lekarskiej.

SALOMEI DOBRZYCKIĘJ.

DAME DWORU KRÓLEWSKO-SASKIEGO

W DOWÓD

WYSOKIEGO SZACUNKU I WDZIĘCZNEJ
PRZYJAŹNI

POŚWIĘCA

A. E. O.

DO CZYTELNIKA. *)

Tłómacząc i wydając razem obok siebie wybrane dzieła trzech największych współczesnych poetów angielskich, główném usiłowaniem mojem było, aby oprócz wierności w oddaniu myśli, zachować w przekładzie charakterystyczne zwróty i odcienia stylu każdego z nich; i przez to, gdybym mój zamiar podług chęci wykonać zdołał: dać uczuć czytającym rozmaitość albo różnicę ogólnej barwy i tonu ich poezyi: na czém właśnie cały zewnętrzny jej urok i wartość tłómaczenia zawisły. — Ton bowiem w poezyi, jest to samo co ton głosu ludzkiego w mowie. Sam dźwięk jego mocniej nieraz mówi do serca, niżeli najdobrzejsze, najsztuczniej ułożone wyrazy. Samo najwierniejsze powtórzenie słów czyich, nie da nam jeszcze odgadnąć uczucia, z jakiego poszły, jeśli zarazem nie po-

*) Jest to przedmowa do pierwszego wydania dwóch pierwszych tomów *Tłómaczeń* w Lipsku (1838), zawierających: *Dziwcię z Jeziora*, Waltera Skotta, *Narzeczoną z Abydos*, Byrona, i *Czcieli Ognia*, Moora: ale to, co się w niej mówi, stosuje się zarówno i do wszystkich innych przekładów, w niniejszém wydaniu zawartych.

wtórzymy tonu, jakim wymówione zostały. Podobnież w tłumaczeniu poezyi, samo najściślejsze oddanie myśli autora, nie przejmie nas jeszcze jego uczuciem, jeśli je tłumacz nie jego tonem powtórzy. Ztąd najlepsze nawet tłumaczenia prozą, nie będą nigdy w stanie czynić innego wrażenia nad te, jakiego się doznaje, słysząc tylko deklamacyą pieśni. — Te były zasady, podług których starałem się wykonać przedsięwziętą pracę: — jak dalece skutek odpowiedział chęci, sąd do czytelnika należy.

DZIEWICA Z JEZIORA.

POEMA

WALTERA SKOTTA.

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ PIERWSZA.

ŁOWY.

Arfo północna! długo w mroku zapomnienia
Nad źródłem San-Fillanu zwieszona z gałęzi!
Wiatr chyba z górrodzinych zbudzi twoje brzmienia,
Nim bluszczyk zawistny pnąc się po strón twych nawieży
Ujmie każdą, i w pętach milczenia uwięzi.
Arfo bardów! czyż głos twój nie zasłynie szerzej,
Jak cichy szelest liści albo szmer strumienia?
Nigdyż mistrz biegłą dłonią strón twych nie uderzy,
Budząc westchnienia dziewie i uśmiech rycerzy?

Nie tak było za dawnych czasów Kaledonu,
Gdy Minstrel z tobą w ręku na ucztach przewodził;
Gdy nucąc bój lub miłość rycerskiemu gronu,
Ośmiałał bojaźliwych, lub dumnych łagodził.
Za każdą przerwą pieśni, grzmotem się rozchodził
Zmieszany z strón twych brzmieniem głośny poklask
[gości;
Wszystkie ich czucia teńnęły echem twego tonu:

Bo treścią każdej pieśni był tryumf miłości,
Wielkie dzieła rycerzy, lub chwała piękności.

O! obudź się raz jeszcze!—lubo dłoń niewprawna,
Którą cię z grobu mistrzów ima wieszcz zuchwały;
Obudź się! choć w niej może twa potęga dawna
Ozwie się ledwo echem swojej dawnój chwały.
Niech jedną pierś rycerskie przenikną zapaly.
Jedno serce poczuje wieszczych natehnień dreszcze,
Przed jedném okiem z grobu wstanie przeszłość sławna:
Nie daremnie już będą brzmieć twe stróny wieszcze,
Sam tu więc, czarodziejko! obudź się raz jeszcze!

I.

Jeleń wieczorem napił się do sytu,
Gdy księżyc wschodząc drzał w nurtach Teitu;
I w głębi mrocznej Glenartnu doliny,
Usnął na wrzosach, pod cieniem leszczyny.
Lecz ledwo blaskiem słonecznej purpury
Szczyt Benworlichu zapalił się góry,
Śród przepaścistych wąwozów i jarów
Zabrzmiało gęste szczekanie ogarów.
I tuż za niemi, zwiastujące łowy,
Trąbki myśliwców i jeźdźców podkowy.

II.

Jak wódz, gdy leżąc w bezpiecznej ustroni
Usłyszy nagle krzyk straży: „do bronii!”

Z łoża miękkiego spoczynku i wczasu,
Porwał się mocarz pustyni i lasu.
Lecz nim bieg chyży rozpuścił przez wrzosa,
Trzykroć wprzód z rannój otrząsnął się rosy,
I jakby oreż gotując na wrogów.
Potrząsł ku niebu koroną swych rogów.
Przez chwilę bystro przeglądał gąszcz krzewów,
Przez chwilę wietrzył woń rannych powiewów,
Przez chwilę słuchał hałasów straszliwych
Coraz to bliższych i psów i myśliwych:
Aż najpierwszego ogara gdy zoczył,
Porwał się, pomknął, przez wierzchy drzew skoczył,
I z ścieśnionego wyrwawszy się jaru.
Pędził na dziki szczyt gór Uam-waru ¹⁾.

III.

Jękły psy, zwierza porwawszy na oko.
Wrzaskliwą wrzawą wre parów głęboko:
Tysiącem dzikich, zmieszanych hałasów,
Zabrzmiały echa gór, dolin i lasów.
Tysiąc psów razem ujada i goni,
Tętni po skałach tysięcznych czwał koni:
Wrzask trąb, trzask biczów, i szewaczów odgłosy
Brzmią po przepaściach i biją w niebiosy.
Pierzchliwa sarna uciekła przed wrzawą,
Łani w gęstwinie przypadła z obawą:
Spłoszył się sokół, i wzbiwszy się w chmury,
Kracząc, w dolinę wpatruje się z góry:
Aż cały łowów huragan przeminął.
I pędząc dalej, z przed oczu mu zginął.

Ciszój, i coraz to eiszój wiatr niesie
Echo po skałach, dolinach i lesie,
Aż znów jak przedtém milczenie ponure
Osiadło wąwóz, i lasy, i górę.

IV.

Mniej głośnie echa myśliwskiego gwaru
Zmąciły eiszę szczytów Uam-waru,
I owych pieczar, gdzie między opoki
Żył niegdys obryzm jak skała wysoki.
Bo już w pół góry, wprost wisząc nad głowy,
Ciskało słońce swój żar południowy.
Niejeden jeździec, zlorzecząc skwarowi,
Musiał rad nie rad dać wytehnąć koniowi,
I z psiarni, spieklém zziąjanój pragnieniem,
Połowa ledwo szła wciąż za jeleniem.
Tak skwar i zapęd podgórnój pogoni
Znużył wytrwałość psów, ludzi, i koni.

V.

Zwierz nieprzyjaciół zostawiwszy w tyle,
Zdyszany biegiem, zatrzymał się chwilę,
I z południowój pochyłości szczytu
Ku różnobarwnym polom Menteitu,
Oblędném okiem, ważąc się w nadziejach,
Wodził po wzgórzach, bagniskach i kniejach,
Gdzieby ujść pewniej niebezpieczeństw tyłu,
W lasach Lochardu, czy Aberfoilu?—
Lecz czyż nie bliższy przytułek ma w gaju,
Ocieniającym brzeg wód Loch-Achraju?

Użył nie pewniejsze rokują schronienie,
Zamierzchłe bory na skalnym Benwenie? —
Z nadzieją w sercu, i rzeźkość wracała,
Pomknął na zachód, i leciał jak strzała.
Im bliżej celu, tém śmielój i żywiej.
Tém dalej za nim i psy, i myśliwi.

VI.

Długoby mówić, jak, albo kto z łowców.
Wśród Kambus-moru zabłądził manowców;
Kto wstrzymał konia, lub czyj koń padł wtedy.
Gdy przyszło piąć się na górę Benledy:
Kto próżno pieszo chciał dobiec do szczytu,
Kto nie śmiał przebrnąć strumienia Teitu: —
Bo go dziś jeleni, by zatrzeć ślad biegu,
Dwakroć przepływał od brzegu do brzegu.
Nie wielu było tych, co już wieczorem
Nad Wennacharu ustali jeziorem:
I gdy zwierz dalej szedł wciąż skrós parowów,
Seigał go tylko sam jeden — wódz łowów.

VII.

Sam, w obcém miejscu, bez śladu i drogi.
Pędził, nie szcędząc bicia i ostrogi.
Bo już tuż przed nim, zziajany, podbity,
Zgarbiony znojem i kurzem okryty,
Robiąc bokami białemi od piany,
Włókł się zaledwo jeleni spracowany.
Tuż dwa psy czarne, wytrwałe na skwary,
Z gniazda świętego Huberta ogary ²⁾.

Ślad w ślad za zwierzem, w ciasnocie parowu,
Wróżą kres bliski i zdobycz połowu.
O krok już ledwo za sobą śród ciszy
Z rozpaczą jeleni szeczekanie ich słyszy,
Lecz ni sam od nich odsadzić się chyzéj,
Ni psy nie mogą doścignąć go bliżéj.
I tak ku brzegom Achraju, przez jary,
Między zarośle i dzikie pieczary,
Pędził myśliwiec, i zwierz. i ogary.

VIII.

W poprzek przed niemi, nad brzegiem jeziora.
Stroma, skalista wznosiła się góra:
Tam jeleni dalszój nie mając już drogi,
Musi się zwrócić i bić się na rogi.
Z dumą myśliwiec, rad pewnej zdobyczy,
Sęki ich okiem rozmierza i liczy,
Na hymn tryumfu i na cios zbójecki
Gotując trąbkę i nóż swój strzelecki.
Lecz gdy z wzniesioném nad głową ramieniem,
Przypuścił konia, by starć się z jeleniem ³⁾,
Chytry zwierz w porę grożący cios zoczył,
Zwrócił się nagle, i w stronę uskoczył,
I w ciasny wąwóz śród skał na uboczu,
Runął przed psami, i znikł im z przed oczu,
Aż resztę siły wzmagając z przest్రachu,
Zapadł w najdzikszych zakątach Trosachu *).

*) Nazwisko wąwozu rozciągającego się między dwóma jeziorami: Loch-Katrinen i Loch-Achrajem.

Tam już na wonne rzuciwszy się wrzosa,
Rzeźwiąc się chłodem wilgości i rosy,
Słuchał bez trwogi, jak w głębiach parowu
Psy rozjuszone szukały go znowu,
Skowycząc z gniewu i wyjąc na skały,
Co ich szczekaniem nawzajem szukały.

IX.

Tuż po za psami, przez głązy i krzewy
Drąc się myśliwiec, poduszczał ich gniewy:
W tém koń—nim pośpiał zawścięgnąć mu wodze,
Drgnął, zarył nozdrzem, i runął na drodze.
Próżno go jeździec, by podnieść na nogi,
Targa munsztukiem, nie szczedząc ostrogi:
Wysilon znojem pogoni i spieki,
Leżał dzielny rumak, by spocząć na wieki.
Wtedy zbyt późną zgryzotą ruszony,
Zsiadł, i tak nad nim rzekł pan zasmucony:
„Mógłżem ja myśleć, mój koniu kochany!
„Gdyś cię dosiadał na brzegach Sekwany.
„Że nad twém ciałem, wśród dzikich wandołów,
„Pastwić się będzie dziób szkockich sokołów?
„Przekłete łowy! przekłeta pogoni!
„Coś mię zbawiła najlepsze z koni!”

X.

Rzekł i zatrąbił, by z błędnego lasu
Psy swe przynajmniej odwołać zawczasu.
Kulejąc, zwolna, i z okiem spuszczoneń,
Wyszły, z podgiętym pod siebie ogonem,

I jakby pana sromały się wzroku.
Nie śmiać się głaskać, stanęły przy boku.
On trąbił jeszcze; dźwięk rogu chrapliwy
Napełnił wawóz, i lasy, i niwy.
Zbudzone w lochach krzyknęły puszczyki.
Orzeł w powietrzu powtórzył ich krzyki.
Dźwięk coraz dalej szedł z wiatru oddechem.
Aż jak sto rogów ozwało się echem.
Z westelmieniem jeździec z tych miejsce nieszczęśli-
[wych
Odszedł. by szukać orszaku myśliwych.
Lecz idąc, często wstrzymywał swe kroki:
Tak trudna droga. tak piękne widoki.

XI.

Już blaskiienne. jak odpływne wały.
Z całego nieba na zachód spływały:
Nagie skał szczyty i lesiste góry
Tlą jeszcze resztą słonecznej purpury,
Kiedy już z głębi zapadłej doliny.
Jak mgła nad wodą. powstawał mrok siny.
Ćmiąc wązką ścieżkę. co brzegiem strumienia,
Wijąc się różnie i ginąc wśród cienia.
Wiodła po sękach i odłamach skalnych.
U stóp tysiąca skał piramidalnych.
Co ostrym szczytem wybiegłszy nad chmury,
Jak ostrza wieżyc gotyckiej struktury,
Stereżą po rogach, jakby twierdz wysokich.
Mass granitowych, olbrzymich, szerokich.

Jako ów pomnik grzesznego zamiaru,
Czyn dumy ludzkiej. w dolinach Szinaru *).
Czoła i boki tych dzikich ogromów.
Rozpadłe wiekiem. strzaskane od gromów,
Noszą kształt dziwny miast, świątyń. lub domów.
Ówdzie się zdają, wypukłe u grzbietów,
Wierzchołkiem kopuł lub wschodnich meczetów;
Tam nastrzępione. jak chińskie pagody;
To znów jak baszty. lub wałów obwody,
Lub w fantastyczne połamane łuki —
Dzikość natury, wzór arcy-dzieł sztuki!
Ani tym zamkom zbywa na sztandarach:
Tu bluszczy swe sploty rozwiesił po szparach,
Tam bujne krzewy. tam zielone drzewa,
Lub chwast wysoki z wiatrami powiewa.

XII.

Z dziką hojnością natura wesółą
Rozsiała spodem i kwiaty i zioła.
Tu polna róża szkarłatem rumieńca
Płonie w objęciach głogu oblubieńca;
Tam przy fijołku konwalja dzika
Śnieżystém czołem nad mchy się wymyka.
Bluszcze, powoje. wrzos. cząbry i ślasy. §
Ścieląc się. wisząc. lub pnąc się na głązy,
Mieszają różnie swe barwy i wonność.
Barwiąc skał nagość. lub darni zieloność.

*) Wieża Babilońska.

Z wierzbami brzoza płacząca pospołu
Liśmi z traw rosę zamiata u dołu:
Wyżej dąb, wiatrów wojownik wysoki,
Krętym korzeniem rozsadza opoki:
A wyżej jeszcze, piętrzące się jodły
Szczyt swój posepny ku niebu wywiiodły.
Lub zgięte burzą od skały do skały,
Nad przepaściami jak mosty wisiały.
Aż gdzie najwyżej wierzeholki skał wzbite,
Tłące się słońcem, lub śniegiem okryte,
Podróżny ledwo mógł dojrzeć u szczytów
Tło zwierciadlane niebieskich błękitów.
Wszystko tak dzikie, tak cudne zarazem,
Ze snów czarownych być zda się obrazem.

XIII.

Środkiem wąwozu, wązki, zabrzeżysty,
Sącył się strumień, spokojny i czysty.
Głęb jego z razu i płytka, i kręta,
Ledwoby dzikie uniosła kaczęta:
Ale wnet ginąc pod niskich wierzb szczytem,
Zasilon źródłem w ich gęstwie ukrytém,
Szerszém już z cienia wychodzi korytem,
W ciemno-przejrzystych malując kryształach
Skały, i drzewa rosnące po skałach.
I coraz szerszy, im coraz szedł dalej,
Ryjąc się głębiój, i błyszcząc wspaniałój,
Wzbiera nad brzegi, i wkoło oblewa
Nadbrzeżne skały, pagórki i drzewa,

Tak, że zdaleka wydają się z wody
Jak gruzy zamków. lub wysep ogrody.
Strumień grunt coraz bystrzejszym rwąc prądem,
Co krok to dalej rozłącza je z łądem
Aż wszystkie strugi złączywszy znów w biegu,
Zalewa wąwóz od brzegu do brzegu.
I połyskując wód gładkich przestworem,
Małym Trosach u staje się jeziorem.

XIV.

By wyjść z wąwozu, strzelec pełen trwogi
Nie widzi żadnej ni ścieżki. ni drogi,
Chyba się musi, z potrzeby zuchwały,
Piąć po urwiskach przepaścistej skały.
Po drzew korzeniach. jak szczeblach drabiny,
Chwytając ręką gałęzie jedliny.
Wdarł się nakoniec na szczyt—zkaąd u spodu.
Tuż pod nim, w blasku jaskrawym zachodu.
Jakby ze stali zwierciadło ogniste.
Widać Katrinu jezioro przejrzyste:
Pomiędzy wzgórza. rosnące po bokach.
W kształtnie kręconych rozlane zatokach.
Pocieniowane cieniem wysp kwitnących,
Na tle błękitu wód zieleniejących,
I gór, co jakby olbrzymy-strażnicy,
Z dwóch stron zakłętą strzegą okolicy.
Z południa Benwen, zamglony u szczytów,
Piętrząc się w massy skruszonych granitów.
Zwala na brzegi swe gruzy i głązy,
Istne zniszczenia i ruin obrazy,

I czarnym borem nawisły po wierzehu,
Mroczy się cieniem przedwczesnego zmierzchu;
Gdy od północy. nad białe obłoki
Wzbiły Benanu wierchołek wysoki,
Nagi, lecz kształtem powabny dla oczu,
Kapie się w jasnym powietrzu przezroczu.

XV.

Długo podróżny, wzruszony, zdumiały,
Patrzył na wszystko z wierchołka swój skały.
„O! co za cuda w tych miejscach — zawołał —
„Kunszt albo przepych potworzyłyby zdołał!
„Na téjby górze stanął zamek zbrojny.
„W tym dole niewiast pałacyk spokojny;
„Z owój dąbrowy. z za drzew tego boru,
„Błysłyby wieże białego klasztoru!
„O! jak wesoło dźwięk trąby myśliwój
„Budziłby z rana te lasy i niwy;
„Jak wdzięcznie piosnka miłośna wieczorem
„Brzmiałaby z arfą nad cichym jeziorem!
„Lub gdy wśród nocy. w swój pełnej pogodzie,
„Księżyc w zamglonej przegląda się wodzie,
„Jak uroczyście. z za mrocznych drzew boru,
„Płynąłby z echem daleki śpiew chóru.
„Gdy dzwon posepny. brzmiąc głucho w dąbrowach,
„W tychby gdzieś górach, lub na tych ostrowach,
„Budził świętego pustyni mieszkańca,
„Do rozmyślania i modłów różańca! —
„Wtedyby trąba. i arfa, i dzwony.
„Wtedy uprzejma gościnność w te strony

„O każdej porze nęciłyby co dnia,
„Obłąkanego, jak dziś ja, przychodnia!...

XVI.

„Ha! wtedy mógłbym cieszyć się z obłądu. ~
„Lecz dziś!—przekłęta porywezość zapędu!—
„Jak ów pustelnik, com roił w marzeniu,
„Muszę pomyśleć o nocnym schronieniu,
„I wodę suchym zakąsiwszy chlebem,
„Spać gdzieś na ziemi pod gwiazdzistym niebem.
„Ale to mniejsza! na łowach i wojnie,
„Fraszka o miękkość, byle spać spokojnie!
„Noc letnia w świeżym przepędzona lesie
„Rzeźwość i ciała i myślom przyniesie.
„Lecz wiem, że w dzikich tych górach i kniejach,
„Nie brak na zbójcach i śmiałych złodziejach ⁴⁾;
„Spotkać ich nocą wśród tego ustronia,
„Gorsza, niż stracić jelenia lub konia!—
„Zatrąbię!—może kto z mych towarzyszy—
„Lecz jeśli horda trąbienie posłyszysz?...
„Ha! darmo!... ufam w ostatecznej toni
„Że mię odwaga i miecz mój obroni!”

XVII.

Ujął więc trąbkę, i zagrał w nią znowu.
Wtém patrz!—wprost z wyspy naprzeciw parowu,
Cichój i pustój; z za nagich skał zrębu,
Z pod cienia liści zielonego dębu,
Wybiegła łódka, polotna i szparka.
W niej jedna tylko dziewica-żeglarka.

Zręczném się wiosłem sterując w swój drodze
Gnała ją szybko ku bliskiej odnodze,
Gdzie wierzb zielonych rozwiśle warkocze
Fala w swém łonie odbija i płóce,
I z cichym szmerem pluskając o brzegi.
Kona na piaskach, błyszczących jak śniegi.
Właśnie pod łodzią zaskrzypiał żwir biały.
Gdy strzelec szybko zstąpiwszy ze skały.
Staął zakryty pomrokiem wieczora,
By się przypatrzeć téj Nimfie jeziora.
Dziewica zda się czekała śród ciszy,
Aż znów powtórny dźwięk trąbki usłyszy.
Z wzniesioném czołem, z wyteżonym wzrokiem,
Jakby coś słysząc w milczeniu głębokiem.
Z powiewnym włos m. rozwianym w pospiechu.
Z otworzonymi usty--bez oddechu.
Stała jak posąg;--z postawy, z oblicza.
Rzekłbyś, że grecka bogini dziewicza.
Czarownych brzegów Najada strażnica.

XVIII.

Lecz nigdy nawet dłót greckich rzeźbiarzy,
W Gracyach, w Nimfach, w boginiach ołtarzy.
Nie stworzył cudniej kibici ni twarzy!
Cóż ztąd, że słońca gorące pogody
Tłem jakby cienia powlokły jagody?
Trud co jój lica zapalał płomieniem.
Sprawiał zarazem, że z prędkiem wstępnieniem,
Nad rąbek szaty, jak fala z za brzegu.
Błyskała coraz pierś bielsza od śniegu.

Cóż, że uczony mistrz sztucznych poskoków
W muzyczne miary nie wkładał jój kroków?
Nigdy krok szybszy migając przez wrzosa.
Lżej porankowej nie otrząsł z nich rosy:
Najmniejszy kwiatek, jak wiatru tehem zgięty.
Z pod stóp jój znowu powstawał niezmięty.
Cóż, że z ust czasem, z wdzięcznemi ich słowy,
Zabrzmi ton prosty góralskiej wymowy?
Głos jój tak słodki, tak miły dla ucha.
Że słuchacz nie śmie odetchnąć, gdy słucha.

XIX.

Wodza być córką zdaje się dziewica.
Lśniące przepaska, co skroń jój oświeca.
I pled jedwabny płynący z jój ramion.
I złota klamra, należą do znamion.
I rzadko wstażka wiła się wśród cieniów
Tylu i takich warkocza pierścieniów.
Jak te, z pod których łabędzia jój szyja.
Jak śnieg z pomiędzy piór kruczych przebija.
Rzadko pled w swoje fałdy tajemnicze
Tulił cudniejsze powaby dziewicze;
A nigdy klamra, swym blaskiem gwiazdzistym,
Nie polyskała nad sercem tak czystym.
By zgadnąć w głębi skarb uciec bez ceny.
Dość jest raz spojrzeć w źrenice Heleny.
Nie tak Katrinu zwierciadło przejrzyste
Odbija jasno swe brzegi kwieciste,
Jak się w tych źrenic swobodzie dziecięcej.
Maluje każda myśl duszy niewinnej:

Czy się w niej radość zaśmieje wesoła,
Czy żal lub litość łzę z oka wywoła,
Czy prędką wdzięczność doznanej dobroci
Myśl rozrzewnioną ku niebu obróci:
Czy powieść krzywdy, lub widok przemocy,
Oburzy wolny duch córek północy.
Jedno jest tylko czucie, co trwożliwa,
Z dziewięcią dumą, dziewica ukrywa.
Choć nie mniej czysty blask jego płomienia—
Trzebaż to czucie nazywać z imienia?

XX.

Zniecierpliwionój okólném milczeniem,
Z ust koralowych głos zabrzmiał ze drzeniem:
„Ojeze!” krzyknęła; a wiatry na skały
Harmonijnemi dźwiękami powiały.
Słucha—nie wzajem nie mąci milczenia.
„Tyżeś Malkolmie?”—dźwięk tego imienia
Z tak niewyraźnym z ust wypadł pośpiechem,
Że skały złowić nie mogły go echem.
—„Jestem podróżny;“ rzekł strzelec nieśmiało,
Wychodząc z miejsca gdzie krył się za skałą.
Szybko dziewica, za wiosła zamachem,
Na głąb w swój łódce odbiegła z przestraczem,
I zapłoniona, na piersi wzburzonój
Stuliła rąbek rozwianój zasłony;
Tak pierzcha łabędź spłoszony od brzegu,
Tak gładząc pióra wstrzymuje się w biegu.
Bezpieczna wtedy, choć jeszcze nieśmiała,
Wsparłszy się wiosłem, na gościa patrzała.

Nie taką postać, nie takie miał lice.
By się go długo lękały dziewice.

XXI.

Na wzniosłe czoło i na twarz namiętą,
Wiek męzki włożył rozmyślania piętno,
Nie starł z nich jednak swobodnej szczerości,
Ani zapału i ognia młodości.
W rysach technie trefność i wesołość pusta,
Dumę zdradzają śmiejące się usta,
I widać z oka, co błyska i gore.
Serce do gniewu i miłości skore.
Wzrost kształtny, w miarach zarówno stosownych
Do zręcznych igrzysk i trudów gwałtownych.
I chociaż strzelcem jest tylko z ubioru,
Choć nie ma broni. prócz strzelca klajmoru *):
Wyniosłość oczu i wzrok ich płomienny,
Tak znaczą męztwo i zapal wojenny,
Że rzekłbyś w mistrze lub zbroi rycerza,
Na polu bitew być wodzem zamierza.
Krótko swe dzieenne wspomniawszy przygody,
Mówił o braku gościnniej gospody.
W łagodnym głosie i mowie doborniej
Tchnął wdzięk i gładkość zalotności dworniej,
Lecz z tonu, z giestów—choć to chciał pokrywać,
Znać, że nie prosić zwykł—lecz rozkazywać.

*) Szeroki pałasz, używany przez góralów szkockich w bitwach i na łowach.

XXII.

Dziewica grzecznej wysłuchawszy mowy,
Wdzięcznemi wzajem ozwała się słowy.
Że dla zbłąkanych wśród gór tych wieczorem,
Domy góralów są zawsze otworem.
„Ani sądz, gościu, że niespodziewanie
„Nasze samotne nawiedzisz mieszkanie.
„Od rana dzisiaj, nim wiatr obwiał rosy.
„Łoże miękkimi nasłano ci wrzosy;
„Na twoję uctę, liść owych modrzewi
„Zlała krew głuźców i dzikich cietrzewi.
„I nasze sieci szerokie o wschodzie
„Nie nadaremnie brodziły po wodzie.” —
— „Z żalem.” rzekł strzelec, „lecz czuję powinność,
„Bym twoję w błędzie oświecił gościnność.
„Obcy, nie roszyć praw do uprzejmości.
„Z jaką znać czekasz zaproszonych gości.
„Rzucony trafem wśród tego ustronia,
„Straciwszy drogę, przyjaciół, i konia.
„W górach tu waszych nieznany nikomu,
„Nie miałem wstąpić do żadnego domu.
„Ażem obaczył ze skał tych wyżyny.
„Czarowną Wróżkę tej czarów krainy.” —

XXIII.

— „Wierzę.” odparła dziewica z uśmiechem
Łódź swą do brzegu zbliżając z pośpiechem:

..Wierzę, żeś z rana nie myślał wieczorem
..Nad Loch-Katrinu nocować jeziorem.
..Ale jest człowiek, co przyjdzie twe wiedział.
..Allan-Ban wczora już je przepowiedział;
..Bard białowłosy, któremu widzenia
..Zwiastują przyszłość i bliskie zdarzenia ⁵⁾.
..Wczoraj on widział zły koniec twych łowów.
..Śmierć twego konia wśród dzikich parowów;
..Opisał, mówiąc że zbłądzisz w te strony,
..Rysy twe, postać, i strój twój zielony,
..I złotą trąbkę z jedwabnym kutasem.
..I nóż myśliwski, co nosisz za pasem.
..I tę twą czapkę z piór czaplich ozdoba,
..I dwa psy czarne, co idą za tobą.
..W domu też kazał nie szczędzić zachodu,
..By uczyć gościa z wysokiego rodu.
..Ja, wyznać muszę, nieskora do wiary,
..Choć nieraz jego sprawdziły się mary,
..Słyszając dźwięk trąbki, myślałam wesoła.
..Że to mój ojciec, jak zwykle, mię woła.“—

XXIV.

Gość się uśmiechnął.—..Jeżeli wiedziony
..Wyższym wyrokiem, przychodzę w te strony,
..Ufam, że prorok zapytać pozwoli.
..W czém mam dopełnić przeznaczenia woli?
..Na tysiąc przygód ważę się ohocezy,
..Skoro twe piękne zachęcą mię oczy.
..Tymczasem, pozwól, jeżeli się godzi.
..Bym cię wyreczył w sterowaniu łodzi!“—

Z przekazem Nimfa—gdy wzięwszy jój wiosło.
 Znać że mu nowe rozpoczął rzemiosło—
 Śmiała się patrząc, jak ramię wysiłał,
 I jak się wstydził, że czólnem przechylał.
 Lecz męzka siła brak wprawy zmniejszała:
 Łódź, choć się chwiejąc, leciała jak strzała.
 A w ślad jój, skomląc, nie rade z ochłody.
 Szły wpływ ogary, pysk wznosząc nad wody.
 Nie wiele razy dłoń w pracy swej skora.
 Rozbiła wiosłem zwierciadło jeziora,
 Gdy łódź, przemknąwszy około skał zrzebu.
 Wbiegła w cień liści zielonego dębu.

XXV.

Gość szybko wyspę obejrzał tymczasem.
 Brzeg był zarosły murawą i lasem.
 Lecz nigdzie domu, ni ścieżki, ni drogi.
 Żadnego śladu rąk ludzkich, ni nogi.
 Aż mu dziewica wskazała tór mały,
 Przez las w głąb wyspy wiodący na skały.
 I z skał w zieloną schodzący dąbrowę,
 Pomiędzy wierzby i gaje brzozowe.
 Tam pod ich cieniem, ktoś, znać niespodzianie.
 Na prędec wiejskie zbudował mieszkanie ⁶⁾.

XXVI.

Dom był przestronny, lecz dziwny z pozoru.
 Prostą strukturą, bez sztuki, ni wzoru,

Stawiony z drzewa, jakie w okolicy
Najłatwiej mieli śpieszni budownicy.
Pnie smolnych sosen i surowych dębów.
Sklutem zaledwo ściosane u zrębów,
Ocięte z sęków, lecz korą odziane.
Na wzrost wysoką tworzyły w krąg ścianę.
Którój szerokie czeluście i szpary.
Zmieszany z gliną zatykał mech szary.
Z drzew cieńszych sosen, odartych z swój kory
Belki i krokwie, spojone u góry.
Dzierżą nad domem dach jego poziomy.
Wiązany z snopków gałęzi i słomy.
Obok drzwi domu, dwa z darni siedzenia
Wiejski nad gankiem przysionek ocienia.
Pokryty korą z gładkich lip surowych.
Wsparty na białych kolumnach brzoźowych,
Po których dłonie Heleny pieszczone
Puściły wiankiem powoje zielone.
I girlandami osnuły w około
Bluszez i barwinek kwitnący wesolo.
Co się tak wdzięcznie swym kwiatem rumieni.
Że go lud prosty zwie: Panną w zieleni;
I inne ziela, co liśćmi wiotkiami
Pną się do góry, lub pełzną po ziemi.
Pod tym przysionkiem stanąwszy dziewica,
Rzekła, z uśmiechem odwracając lica:
..Wzywaj, rycerzu, swój Damy i Świętych,
..I wstępuj śmiało do progów zaklętych!.. —

XXVII.

—..Idąc za tobą, innego Anioła.
..Ni innéj Damy nikt wzywać nie zdoła!..—
Rzekł, i wszedł za nią:—wtém głośny brzęk stali.
Jakby szereg miecza rozległ się po sali.
Warem krwi serec przychodnia nabiegło:
Lecz wnet ze wstydem omyłkę spostrzegło,
Gdy tuż u wnijscia, na ceglach podłogi,
Ujrzał miecz nagi, przyczyne swój trwogi,
Wypadły z pochwy, zwieszonéj z niechcenia
Na sękowatych rosochach jelenia.
Bo w krąg po ścianach, za gmachu sprzęt cały,
Wojny i łowów trofėja wisały:
Tu hełm, tam puklerz, tam oszczep strzelecki,
Ówdzie łuk, kołczan, lub miecz staroświecki.
Tu dzik kłem błyska z pod zbroi rycerza,
Dalej wilk białe swe zęby wyszczerza:
Po nad pstrym rysiem rozpiętym na dole,
Stereżąc lby łosie lub rogi bawole:
Obok wojenne chorągwie podarte,
Z których znać jeszcze krwi ślady niestarte,
I skóry różnych barw, kształtów, i cieniów,
Sarn, żubrów, lisów, niedźwiedzi, jeleniów,
Perozwieszane dziwnie, rozmaicie,
Tworzyły dzikie ścian szorstkich obicie.

XXVIII.

Gość rzucił wkoło oczyma bystremi,
Gdy się schylając podnosił miecz z ziemi;

I musiał dobrze nateżyć moc dłoni.
By dźwignąć ciężar i długość téj broni.
Ważąc ją w rękę i mierząc oczyma:
„Jednego tylko. rzekł. znałem olbrzyma.
„Coby bez czarów, ramieniem człowieczém.
„Mógł w pośród bitwy wywijać tym mieczem!“—
Twarz się dziewicy rumieńcem powlekła,
I w pół z westchnieniem, w pół z uśmiechem rzekła:
„Widzisz, rycerzu, miecz czarnoksiężnika,
„Co mię w tym zamku zakętym zamyka;
„A tak nim łatwo wywija nad głową.
„Jak ja wachlarzem, lub różeczką wierzbową.
„Postać téż jego równaćby się warta
„Z wzrostem Ferraga, albo Askabarta ⁷⁾.
„Ale się nie bój!—w jaskini olbrzyma.
„Prócz sług i niewiast, nikogo dziś nie ma.“ —

XXIX.

I w téjże chwili weszła do komnaty
Znać pani domu: poważna już laty,
Leez której postać i wdzięk znać za młodu.
Mogłyby zdobić sam dwór Holyrodu *).
Helena ciotkę, z czeią matce powinna.
I z wesołością ścisłała dziecinną,
Gdy ta, spokojnie, bez dumy ni sromu.
Upzejmie gościa witała w swym domu.

*) Pałac królów Szkockich w Edyburgu.

Nie szędząc względów należnych dowodu.
Ani śmiać badać imienia lub rodu ⁸⁾.
Bo taką wówczas cześć wzbudzał przychodzień,
Że choćby nawet zabójca lub zbrodzień
Przyszedł na ucztę do domu swych wrogów,
Niezapytany wyjść mógłby z ich progów.
Lecz z własnej woli gość odkrył swe miano:
Jakób Fitz-Jakób z Snowdunu go zwano;
Dziedzie skał nagich i pastwisk obfitych,
Kiwią przodków jego i mieczem nabytych.
Broniąc ich własci, ojciec poległ w boju:
On sam—Bóg widział, jak pragnął pokoju—
Za młodu jednak był nieraz zmuszony
Użyć oręża dla praw swych obrony.
Dziś z rana, w Lorda Moraja orszaku,
Goniąc za zwierzem, na rączym rumaku,
Prześcignął strzelców, i trudem znużony,
Stracił tór. konia. i zbłądził w te strony.

XXX.

Mówiąc to, wzajem myślał pokryjomu
Wybadać imię i stan panów domu.
Starsza matrona, ze słów i z pozorów.
Widać że znała ton miasta i dworu:
Helena, chociaż w wesołej żrenicy
Jaśniał swobodny wdzięk wiejskiej dziewicy,
Z rysów jój, z mowy, z postaci, z ruszenia,
Znać było cechę wyższego plemienia;
Bo gdzieżby w gminie znaleźć w owym czasie,
Umysł i duszę, jaka w niej być zda się?

Leez ile razy gość zręcznemi słowy
Zwracał ku temu tok zwykłej rozmowy:
Wnet pani domu, twarzą obojętną
Zdała się karcie ciekawość natrętną.
Lub ją Helena, z przekornym uśmiechem,
W żart obracając, przerwała z pośpiechem:
„Jesteśmy wróżki! w tych górach i borach
„Żyjem nie wiedząc o miastach i dworach.
„Latamy z wiatrem, po wodzie żeglujem.
„Błądnych rycerzy spójrzeniem czarujem.
„Lub im przy dźwięku arf ręką nietkniętych.
„Nóćim, by uspić, rym pieśni zaklętych!” —
Rzekła, wtém arfa w niewidomój ręce,
Zabrzmiała, wtórzac góralskiej piosence ^{a)}.

XXXI.

P i e ś n i.

„Śpij, żołnierzu! śpij po znojach!
Pod urokiem snów łagodnych,
Przestań marzyć o krwi, bojach,
Dniach gorących, nocach chłodnych!
Tu rój Sylfów nam znajomych
Rozpromieni myśl twą senną;
Tu dźwięk arf ich niewidomych
Uspi w sercu troskę dzienną.
Śpij, żołnierzu! śpij po znojach,
Przestań marzyć o krwi, bojach;
Śpij, zapomnij w snach pogodnych,
Dni nużących, nocy chłodnych!

Nie usłyszysz w téj ustroni,
Śród samotnych gór i lasów,
Szczęku broni, rżenia koni,
Huku bębnow, trąb hałasów.
Chyba słowik lub skowronki
Zabrzmią z rana i wieczorem;
Chyba z bagien między łąki
Bąk zabębni nad jeziorem.
Innych dźwięków, trąb ni broni,
Nie zna echo téj ustroni;
Nie nie przerwie lubych wczasów,
Śród samotnych gór i lasów.“

XXXII.

Umilkła chwilkę—i dając znak ręką,
Że gościa dalszą chce uczyć piosenką,
Wzrok wzniosła w górę, i płonąc jak róża,
Z brzmieniem strón arfy ton śpiewu przedłuża.
Aż wnet myśl wiążąc z poprzednią osnową,
Z natchnienia śpiewać zaczęła na nowo.

„Śpij, myśliwcze! śpij po łowach!
Sen ci zwabi piosnka nasza.
Śpij nie marząc, że w dąbrowach
Już ci trąbka dzień ogłasza.
Jeleń skrył się gdzieś w ustroniu.
Psy twe wierne śpią przy nodze.
Przestań tęsknić po swym koniu.
Po obłądnej spocznij drodze!

Śpij, zapomnij o złych łowach,
O przepaściach, o parowach,
Niech nagrodzi wdzięk marzenia
Stratę konia i jelenia.“

XXXIII.

Ledwie się skromna skończyła wieczera,
Obiedwie damy zęgnaly rycerza.
W sali mu łoże usłano z nawiązi
Wonnego wrzосу i młodych gałęzi.
Gdzie nieraz przed nim gość równie zbłąkany
Znajdował spokój i wezas pożądany.
Lecz próżno świeżość gałęzi i wonie
Kwitnących wrzosów chłodziły mu skronie:
Próżno Heleny głos grał w jego uchu:
Nie uspił burzy ni w myśli, ni w duchu.
Coraz je dzikszę trażyły marzenia.
Obrazy trudów, przygód, udręczenia.
To raz koń pod nim upada gdzieś w borze.
To się łódź jego pograża w jeziorze.
A on ni stąpić, ni pływać nie może.
To z wrogiem niby tocząc bój uparty.
Widzi swą klęskę, i sztandar wydarty.
To znów—o! niechby na wieki przepadło
To najstraszniejsze ze wszystkich widziadło!—
Stają mu w oczach dni pierwszój młodości,
Dni szczerój wiary i ufnój miłości:
Znowu się duszą podziela na poły
Z rozpierzchnionemi dawno przyjacióły.

Wszyscy wkrag niego gromada się zbiegli.
Zmienni, zdradziecy, lub w grobach polegli;
Wzrok ich tak tkliwy, dłoń ścisnąć tak skora,
Jakby z nim ledwo rozstali się wczora.
Z trwogą sam przez sen zapytał się nieraz:
Co sen, co prawda? czy dawniej, czy teraz?
Czy widmem była ich śmierć lub niewiara?
Czy to, co widzi, jest tylko snu mara?

XXXIV.

W końcu, z Heleną błędząc między gajem,
Miłośnię, zda się, rozmawiał z nią wzajem.
Lica jój płoną, lecz usta się śmieją;
Słucha z westchnieniem, on błaga z nadzieją.
Wtém, gdy chce ścisnąć miękka dłoń dziewicy,
Uczuł żelaznej zimno rękawicy.
W miejscu jój, męskie stanęło widziadło,
W błyszczącym helmie, z przyłbicą zapadłą;
Zmienia się, rośnie w postawę olbrzyma:
Olbrzym hełm podniósł i błysnął oczyma;
Twarz jego groźna, ponure wejrzzenie,
Straszny, a jednak podobny Helenie.—
Zbudził się rycerz, i z dreszczem przestachu,
Sny wspominając, spozierał po gmachu.
Czerwone główne w przygasłym ognisku
Pełgały łuną krwawego połysku,
Wpół ukazując, wpół kryjąc śród cienia,
Dziki ozdoby i ścian i sklepienia.

Wpółśród nich rycerz napotkał oczyma
Ów miecz, jak gdyby swych marzeń olbrzymą;
I tysiąc myśli, tysiąc mar trwożących
Powstało w duszy i w oczach iskrzących,
Aż, by rozproszyć widma gorączkowe,
Powstał, i z domu wyszedł na dąbrowę.

XXXV.

Gwiazdami ciche pałały niebiosą,
Po łąkach lśniąca srebrzyła się rosa;
Nocna woń kwiatów i rozkwitłych krzewów,
Tchnęła w oddechu rzeźwiących powiewów;
Wkrąg dolin, w mroczne ściskając się massy,
Stały cień drzewa i milczące lasy,
Gdy pełne światło miesięcznej pogody
Lało się z niebios na góry i wody.—
Dzikichby nieszczęść potrzeba lub duszy,
By jój ten widok nie ulżył katuszy!
On uczuł spokój—i patrząc po niebie,
Wpół myślał w sobie, wpół mówił do siebie:
„Cóż to? czyż nigdy, pomimo méj chęci,
„Rodu wygnańców nie zbędę z pamięci?
„Nie mogęż spotkać dziewczyny śród lasów,
„By się nie zdała mieć wzroku Duglasów?
„Nie mogęż ujrzeć starożytnéj broni,
„By wnet nie wspomnieć o Duglasa dłoni?
„Nie mogęż marzyć, by zaraz sen krwawy
„Nie przybrał groźnéj Duglasa postawy?—
„Nie! nie chcę marzyć! —mócna wola męża,
„Doznam, czy nawet i we śnie zwycięża?

„Zmówiwszy pacierz, muszę wczasu zażyć.
„Wrócić na łożo, i spać, a nie marzyć!”—
Zmówił pacierze, stanawszy na łące,
Znacząc ich liczbę na złotój koronce:
I z niebem myśli i duszę kojarząc,
Wrócił na łożo, i zasnął nie marząc.
Aż rannych ptasząt zbudziło go pienie,
Gdy już blask słońca błyszczał na Benwenie.

KONIEC PIEŚNI PIERWSZEJ.

PIEŚŃ DRUGA.

WYSPA.

I.

Wschód jutrzeński, jest wschodem życia i wesela:
Wszystko co kwitnie, wonią technie z kwiatów kielicha:
Wszystko co żyje, radość czuje i podziela:
Ptak śpiewa, zwierze płąsa, człowiek się uśmiecha.
I gdy po wód zwierciadle mknęła łódka cicha.
Z gościem, co jeszcze ręką dawał pożegnanie:
Ożywczy wpływ poranku natchnął pierś Minstrela 'o).
I z brzmieniem arfy, słodkie wzniosło się śpiewanie.
Twoje, o! białowłosa wieszczu Allan-Banie!

II.

P i e ś Ń.

„Nie prędzój z wiosł żeglarzy dłonie
Strząsają pianę u brzegu;
Nie prędzój w wodzie znika i tonie
Ślad, co na gładkiem jeziora łonie
Łódź chyża ryje w swym biegu:

Jak człowiek w szczęściu, z myśli swój ściera
Pamięć dobrodziejstw, które odbiera

W nieszczęścia chwili przelotnej.

Bądź więc zdrow, gościu! bądź zdrow na wieki!
Żyjąc szczęśliwy, błędząc daleki.

Zapomnij wyspy samotnej!

„Pierwsze ci miejsca przy królów tronie,

Pierwsze niech będzie na bitwach;

Pierwsze na łowach charty i konie.

Najpierwszym wieńcem twoje niech skronie

Piękność uwieńcza w gonitwach.

Niech miecz w twój dłoń, towarzysz w rzędzie,

Przyjaciel sercu wierny niech będzie,

W chwili pogodnej czy słotnej;

Przy tkliwej, pięknej, cnotliwej żonie,

Kochany wzajem, w kochanych gronie,

Zapomnij wyspy samotnej!

III.

„Lecz jeśli kiedy pledem odziany.

Stanie u wrót twych gościnnych,

Pielgrzym ubogi, błędny, wygnany.

I tęsknić będzie łzami zalany.

Do gór, do progów rodzinnych:

Wtenczas, o! gościu! niech mu z twój duszy

Błyśnie pociecha, która osuszy

Łzy z jego twarzy wilgotnej;

Wtenczas przypomnij własne przygody,

Gdyś sam błędzący szukał gospody

Na naszej wyspie samotnej.

„Lub gdy na morzu życia o skały
Wichry twą nawę rozkruszą;
Gdy próżno mądry, cnotliwy, śmiały—
Nędza, wygnanie, potwarzy strzały
Zachwieją sercem i duszą:
Nie roń łez mężkich na próżną żalność,
Niewdzięczność dworów, losów niestałość,
Na zmienność zgrai przewrotnej;
Lecz wracaj, gościu, wracaj z pośpiechem,
Gdzie cię uprzejmość z łąką i uśmiechem
Spotka na wyspie samotnej!”—

IV.

Ostatnie dźwięki konały w powiewach,
Gdy łódź u lądu stanęła przy drzewach.
Lecz długo jeszcze, nim zniknął w ich cieniu,
Gość w stronę wyspy poglądał w milczeniu,
Gdzie jeszcze śpiewak z ubielonym włosem,
Wysilon pieśni uczuciem i głosem,
Stał nad jeziorem, pod drzewem strzaskaném,
Jak on, burzami i wiekiem złamaném.
Pograżon w wieszczą dumy tajemnicze,
Podniósł ku niebu szlachetne oblicze,
Jakby w ognisku wschodniego płomienia
Duch szukał iskry nowego natchnienia;
Jakby dłoń jego oparta o stróny,
Czekała siły by zabrznieć w ich tony.
Stał tak poważny z postawy i wzroku,
Jak ów, co słuca czytania wyroku:

Tak nieruchomy, że szemrząc po drzewie
Wietrzyk mu włosy nie zachwiał w powiewie,
Że zda się usta nie tchnęły oddechem,
Że duch uleciał z ostatniem strón echem.

V.

Tuż na murawie, przy stopach Minstrela.
Siedzi Helena z uśmiechem wesela.
Cóż ją cieszyło? czy zwinność pławaczek,
Dzikich w jeziorze kąpiących się kaczek.
Na których stado płynące szeregiem.
Mały jój piesek wył skacząc nad brzegiem?
Lecz gdy to tylko cieszyło dziewicę,
Powiedz, kto mniemasz znać serce kobięce.
Czemu rumieniec wystąpił na lice?—
Przebacz, ach! przebacz, Aniele wierności!
Jeśli powodem uśmiechów radości
Był gość, co dotąd, jakby na coś czekał.
Stojąc nad brzegiem, odejście swe zwlekał.
I już chcąc odejść, zwracał się i stawał.
I ręką znaki pożegnania dawał.
Lecz wy, dziewice!—nim w méj bohaterce
Winić zechcecie lekką myśl lub serce —
Wskażcie mi jedną z was, która nie życzy,
Coby w swém sercu nie czuła słodyczy.
Z podobnych zwycięstw, i z takięj zdobyczy!

VI.

Póki stał w miejscu, Helena udała
Że go nie widzi, lub widzieć nie chciała:

Lecz gdy odchodząc już znikął za gajem,
Ręką ku niemu skinęła nawzajem.
I nigdy jemu, jak potém wyznawał.
Żaden się tryumf tak chlubnym nie zdawał.
Choć go najpierwsze bogactwy i rodem,
Uprzejmych względów darzyły dowodem.
Nawet gdy schodząc zwyciężąc ze szranek,
Z rąk najpiękniejszej zwyciężki brał wianek,
Nie doznał w duszy takiego wzruszenia,
Jak na te proste i nieme skinienia.—
Naówczas z danym przewodzcą góralem,
Z psami przy boku, oddalił się z zalem.
Ona patrzyła jeszcze, jak pod górą,
Z po za drzew czaple migało się pióro:
Aż gdy już więcej wzrok dójrzeć nie zdołał,
Anioł-stróż gromiąc w jój sercu zawołał:
„Toż jest twa wierność?—o! dziewczyno płocha!—
..Z taką to wzajem twój Malkolm cię kocha?
..Malkolm swój duszy nie łechtałby słowy
„Gładkiój, pochlebnej, lecz nie twój rozmowy;
..Malkolm ciekawym nie gonilby wzrokiem
..Za lekkim, zręcznym, lecz nie twoim krokiem!...“
—„Dość, dość tych dumań, wieszczu Allan-Banie!“
Krzyknęła, własne by przerwać dumanie.
..Gdy ci duch jeszcze nie gore natchnieniem.
..Ja go szlachetném zapalę imieniem;
„I jeśli zechcesz usłuchać mych namów.
..Śpiewaj, o! mistrzu! cześć rodu Grahamów 2)!“—
Ledwo Helena to imię wyrzekła,
Twarz się jój nagłym rumieńcem powlekła.

Bo każdy wiedział, że z meztwa, z urody,
Pierwszym w tym rodzie, był Malkolm jój młody.

VII.

Po trzykroć Minstrel, ze wzrokiem płomiennym,
W stróny swe taktem uderzył wojennym.

I trzykroć, pełen wesela i pychy

Dźwięk, skonał mdlejąc, jak smutku jęk cichy.

„Próżno, dziewico!”—strwożony tém brzmieniem

Rzekł Bard, i ręce opuścił z westchnieniem.

„Próżno wesolej chcesz pieśni odemnie,

„Ty, co mię o nie nie prosisz daremnie!

„Moźniejsza ręka snać arfy méj stróny

„Na insze dzisiaj nastroiła tony.

„Nóte wesela brać chciałem bez skutku.

„Sam, niebudzony, brzmi cichy jęk smutku:

„Hymny tryumfu wznieść chciałem ku niebu.

„Słyszałaś sama ton pieśni pogrzebu.

„Obyź przynajmniej mnie tylko, nie komu,

„Dźwięk ten złowrogi zagrażał w tym domu!

„Jeśli, jak głosi wieś u bardów znana.

„Arfa ta, niegdyś świętego Modana ³⁾,

„Brzmiąc tak, śmierć tylko panu swemu wróży:

„Ja dość już żyłem, bym pragnął żyć dłużej!—

VIII.

„Lecz ach! Heleno!—tak właśnie zabrzmiała

„W dzień, gdy twa święta matka umierała;

„To był ton, pomnę, który, gdym wśród gości

„Chciał nócić pieśni chwały i miłości.

„Ze strón jój echem zabrzmiawszy złowieszczém,
„I mnie i wszystkich zimnym przejął dreszczem.
„I urągając biesiady weselu,
„Jęczał żałośnie po salach Botwelu *)
„Przedtém, nim Duglas śród nieszczęść pogromu,
„Tułacz, ujsć musiał z przodków swoich domu *) —
„Ach! jeśli jeszcze w burzy przyszłych czasów,
„Nowy grom grozi rodzinie Duglasów:
„Jeśli raz jeszcze ponure to brzmienie
„Żal lub nieszczęście wywróży Helenie: —
„Złowroga arfo! w nieczyjój już dłoni.
„W nieczyjém uchu twój głos nie zadzwoni!
„Raz tylko jeszcze. przed własnym swym zgonem,
„Krótkim, płacziwym odezwiesz się tonem.
„I legniesz w prochu, na szmaty skruszona.
„I mistrz twój na nie upadnie. i skona! —

IX.

Ciesząc go rzekła Helena: „Uspokój,
„Mój przyjacielu. czyży myśli niepokój!
„Wszak wiem, że nie ma muzyki na świecie,
„Słyszanej kiedy na arfie lub flecie:
„Nie ma piosenki od Twidu do Spei.
„Którejbyś nie znał, nie śpiewał z kolei!
„Cóż za dziw. jeśli niekiedy wbrew chęci,
„Z tysiąca tonów zmaconych w pamięci.

*) Botwel, zamek, siedlisko rodu Duglasów.

..Wypadnie sprzeczny z twą myślą lub słowy,
..W środku weselnój, ton pieśni grobowej?—
..Ojciec mój, duszą wyższy nad cierpienie,
..Choć stracił wielkość, potęgę i mienie,
..Zniósł mężnie burzę zawziętej fortuny,
..Jak ów dąb wichry i niebios pioruny:
..Koronę liści wiatr rozmiótł dokoła,
..Lecz pnia nie ugiąć, ni zachwiać nie zdoła.
..Ja zaś—umilkła, i dłońmi drżącemi
Polny fijołek uszczknęła na ziemi:—
..Ja. której świetne dzieciństwa wspomnienia
..Tkwią ledwo w myśli jak senne marzenia,
..Chętnie ten kwiatek, co rośnie w ukryciu,
..Za wzór i godło obieram w mém życiu!
..Tak żyje rosą i blaskiem niebieskim,
..Jak dumna róża w ogrodzie królewskim;
..Ci, co go znajdują, lubią jego wonie;
..A gdy go w wieniec uplotę na skronie,
..Nie prawdaż? każdy bard przysiądźby gotów.
..Że od koronnych piękniejszy klejnotów?—
Rzekła. i sama śmiejąc się wesoło,
Kwiat między włosy włożyła na czoło.

X.

Jój wzrok. jój słowa, jój uśmiech wesela,
Rozpogodziły ponurość Minstrela.
Z uśmiechem, z jakim pokutnik za grzechy
Wita w widzeniu Anioła pociechy,
Spoglądał na nią—aż cicha i miła
Łza rozrzewnienia wzrok jego zaćmiła.

Wtedy—bo długo słów znaleźć nie zdołał:—
„O! najpiękniejsza! najlepsza!”—zawołał.
„Nie znasz, nie czułaś w dzieciennych twych latach,
„Strat swych wielkości, ni żalu po stratach.
„Lecz ja, niestety!—o! gdyby me oczy
„Mogły raz jeszcze, nim je śmierć zamroczy,
„Ujrzeć cię w blasku należnym ci z rodu,
„Na dworze królów, wśród uczt Holyrodu.
„Leczącą w tańcu za muzyki dźwiękiem,
„Zachwycającą pięknością i wdziękiem.
„Gwiazdę serc wszystkich i oczu młodzieży,
„Przedmiot uwielbień i westchnień rycerzy,
„Cel pieśni bardów, i wieszczych zapasów,
„Na cześć twych wdzięków, i rodu Duglasów!”—

XI.

—„Sny to są piękne,”—dziewica zaczęła
Mówić z uśmiechem, lecz mówiąc, westchnęła: —
„Ale darń świeża i cień drzew tych wonnych,
„Zastąpią miejsce tych komnat koronnych:
„Aniby mogła na dworskiej zabawie
„Płasać weselój, jak teraz po trawie:
„Ani tam bardów królewskich śpiewanie,
„Może być miłsze, jak twoje, Allanie!
„Co do rycerzy, którzyby z westchnieniem,
„Przed mém, jak rzekłeś, klękali spójrzeniem,
„Wyznaj, pochlebo! czy próżna ma pycha.
„Czyż do mnie Rodryk i tutaj nie wzdycha?
„Rycerz tak straszny, tak głośny z swych czynów.
„Ów biez Saxonów, wódz klanu Alpinów.

„Czyżby, sam powiedz, nie wstrzymał się dla mnie
„Od swych łupieży.—dzień jeden przynamnie.“ —

XII.

Bard zwrócił na nią spójnienie surowe.
— „Złą do twych żartów wybrałaś osnowę;
„Bo któż w tym kraju, na sto mil w około.
„Wspomniał Rodryka, i śmiał się wesolo?
„Pomnę, jak w gniewie z błahego powodu,
„Zabił rycerza w progach Holyrodu ⁵⁾.
„Widziałem, z trupa gdy miecz swój wyciągał,
„Z jak dumną wzdardą obecnym urągał;
„Widziałem, jak go dworacy struchleli.
„Czyniąc mu przejście, zatrzymać nie śmieli.
„Odtąd w tych górach zawarłszy się zbrojnie,
„Trwa w ciągłej z królem i z prawami wojnie.
„I gdyby nie to—gniew pali mą duszę.
„Gdy tę sromotną prawdę wyznać muszę:—
„Któżby wśród nawet tych pustyni i lasów.
„Śmiał był przytulić rodzinę Duglasów?
„Gdy jak zwierz dziki od kniei do kniei.
„Ojciec twój błędził bez wsparcia nadziei ⁶⁾:
„Gdy się go dawni znajomi wyparli.
„Gdy przyjaciele drzwi przed nim zawarli:
„On jeden, klanu łupieżców wódz krwawy,
„Ujął się waszój niedoli i sprawy.
„I dziś mu za to, jak kwiat w jego rękach.
„Słodka nagroda rozkwitła w twych wdziękach.
„Co chwila z Rzymu spodziewany goniec.
„Przeszkodom ślubów przynieść może koniec.

„Duglas naówczas, przy zięciu swym mężnym.
„Może znów stać się strasznym i potężnym.
„Lecz ty, dziewico!—jeśli się twój woli
„Rodryk dziś czasem ugłaskać pozwoli.
„Niech się tém nazbyt twa duma nie szczyci:—
„Pomnij, dzikiego lwa wiedziesz na nici!—

XIII.

—„Minstrelu!” rzekła Helena, a z oka
Zabłysła z dumą jej dusza wysoka.
„Wiém ja, com winna domowi Rodryka.
„I słuszna wdzięczność me serce przenika.
„Wszystko, co córka mieć może od matki.
„Radę, opiekę, czułości zadatki.
„Wszystko to miałam w Lady Małgorzacie:
„Gdy po nieszczęsnej matki mej utracie.
„Ona po siostrze sierotę na świecie
„Wzięła mię, płacząc, za własne swe dziecię.
„Syn jój, co kryjąc Duglasa w swym domu.
„Gniewów królewskich nie uląkł się gromu.
„Więszą, gdy można, wdzięczność znajdzie we mnie.
„Niech wskaże porę, niech żąda wzajemnie
„Ofiar, poświęceń:—nie słowa, nie dzięki.
„Krew, życie oddam—wszystko, prócz mej ręki.—
„Córka Duglasów, w zakonnej komorze
„Wprzód w Maronańskim zamknie się klasztorze:
„Wprzód jak tułaczka, pod obce gdzieś nieba,
„Pójdzie żebrając o suchy kęs chleba,
„Gdzie nikt nie pojmie jój szkockich słów brzmienia,
„Gdzie nikt nie słyszał Duglasów imienia,

„Pójdzie z ojezyny, za góry i morze.
„Nim odda rękę—gdy serca nie może.“

XIV.

„Ty wstrząsasz głową, i wzrok twój przygania
„Zbytniej ostrości słów moich i zdania.
„Lecz cóż innego sam powiesz? Niestety!
„Umiem ja cenić Rodryka zalety.
„Mężny jest, skory do wielkiego czynu,
„Ale gwałtowny, jak fala Braklinu 7):
„Szlachetny — prawda — nim gniew go nie wzruszy.
„Albo nim zawiść nie zatli się w duszy.
„Dla swych przyjaciół, w złej czy dobrej toni,
„Wiém, że jest wierny, jak miecz jego dłoni,
„Ale ach! pierwój ów miecz z twardej stali,
„Niż się pan jego nad wrogiem uzali.
„Znam jego hojność—z jak chętną szczodrocią
„Rozrzuce drugim bogactwa i złoto,
„Gdy z krwawych wypraw, do dzikich swych leży
„Powrócą z łupem zbojeckiej łupieży,
„I gdzie po drodze kraj kwitnął wesoly.
„Zostawią gruzy i krwawe popioły.
„Dłoń uzbrojoną w ojca mego sprawie,
„Z wdzięcznością córki czezę i błogosławię,
„Lecz czyżbym mogła ścisnąć, będąc żoną.
„Dłoni, krwią bezbronnych wieśniaków zbroszoną?—
„Nie!—same nawet Rodryka przymioty,
„Jak błyskawice wśród nocnej ciemnoty,
„Lśnią wprawdzie jasno, lecz tém bardziej trwożą:
„Rokują burze, i piorunem grożą!

„Dzieckiem ja jeszcze—a Bóg w dzieciach budzi
„Dziwną przenikłość złych i dobrych ludzi:—
„Płakałam, widząc twarz jego ponurą.
„Czarny pled jego, i czapkę, i pióro.
„Gdym wzrosła, ścierpieć nie mogłam widoku
„Wzgardy w uśmiechu, i dumy we wzroku.
„Lecz gdy ty dzisiaj, z obrazem Rodryka
„Łączysz nie żartem imię zalotnika,
„Czuje wstręt w sercu, a nawet—gdy mogę,
„Córka Duglasa, rzec to słowo:—trwogę.
— „Lecz po co wczesnie przyszłością się straszym?—
„Co myślisz, raczej, o tym gościu naszym?—

XV.

— „Co myślę o nim?—bodaj był daleki
„Od wyspy naszej pozostał na wieki! —
„Miecz twego ojca, co z dawnych go czasów.
„Dla Archibalda, trzeciego z Duglasów.
„Sławnego równie zwycięzcy jak kłeski,
„Ukuł mistrz. biegły w sztuce czarnoksiężkić.
„Wypadłszy z pochwy, gdy on stał u progu.
„Czyż nie dość ostrzegł o bliskim nas wrogu⁸⁾?—
„Jeśli szpieg dworski przejrzał to ukrycie.
„Czyż drzeć nie mamy o Duglasa życie.
„Lub o tę wyspę, co zdawna w Alpinie
„Za najpewniejszą twierdzę jego słynie?
„Jeśli nas nawet nie zdradzi przed nikim.
„Co przed zawistnym powiemy Rodrykiem?—
„Nie, nie! nie śmieć się tym śmiechem szyderezym!
„Przypomnij raczej o boju morderezym,

..Co się już wszczynał na miejscu tém samém.
..Gdzieś wiodła taniec z Malkolmem Grahamem.
..Dotąd, choć Duglas waśń pierwszą umorzył.
..Rodryk swój z serca zawiści nie złożył.
..Strzeż się!—Lecz cóż to?—słyszałaś te głosy?—
..Żaden wiatr nigdzie nie powiał na wrzosa.
..Żaden nie zachwiał jeziora kryształem,
..Nie wzruszył listka—a jednak słyszałem.—
..Ha! słyszę znowu!—głośniej po trochu—
..To dźwięk kobz naszych, i nota Fibrochu.“ *)

XVI.

W końcu jeziora, postrzegli w oddali,
Coś naksztalt czterech czarnych plam na fali.
Co się zbliżając i rosąc na wodzie,
Wnet w cztery zbrojne zmieniły się łodzie,
I choć bez wiatru, pod wiosłem rąk tyłu,
Szły pędem strzały od strony Glengylu.
Lecz ominąwszy Briankoil, nagle
Wiatr dmąc z wąwozów uderzył w ich żagle.
I rozwiał z masztów, szeleszczący głośno,
Sztandar Alpina, z malowaną sosną.—
Coraz im bliżej, tém jaśniej od słońca,
Błyska stal siekier i włóczni tysiąca;
Widać, puszczone na wiatry niepewne,
Wieżą tartany i pióra powiewne;
Czapki wiosłarzy, siedzących po brzegach,
To się schylają, to wznoszą w szeregach.

*) Inię właściwej muzyki góralów szkockich, granój zwykle na kobzach, i naśladowującej spadkiem tonów, różne obroty wojenne.

Gdy z pod ich wiosel, spieniona i wrząca
Woda się we mgłę iskr srebrnych roztraça.
U sztaby *) stoją grajkowie z kobzami,
Strojnemi w wieńce z długimi wstęgami,
Co jak chorągwie wiewając na przodzie,
Końcami pianę zmiatają po wodzie,
Gdy ci bez przerwy ruszając ramiony.
Grają góralom ich śpiew ulubiony.

XVII.

Im bliżej coraz, tém głośniej wzdłuż brzegu
Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega ⁹⁾.
Z początku, zdala tchnąc z wiatru oddechem,
Cichém w powietrzu rozplływał się echem,
I mięknięc zwolna w przelocie nadwodnym
Zdawał się uchu być śpiewem łagodnym.
Ale co chwila, im głośniej, tém bardziej
Brzmi pełniej, mocniej, przeraźliwiej, twardziej:
Znać hasło, które Alpinów klan zbrojny
Gromadzi w hufce i wiedzie do wojny.
Bije takt gęsty, że rzekłbyś po ziemi
Tysiąc stóp tętni krokami prędkiemi.
Że już szeregi stąpają z pośpiechem,
A ziemia głuchém ozywa się echem.
Takt zwolniał nieco; brzmia tony wesela,
Marsz! — znać że idą na nieprzyjaciela.
Wtém wszystkie dźwięki zmięszały się razem,
Jakby mąż z mężem, żelazo z żelazem.

*) Przód okrętu.

Słychać szereg mieczów, i chrzęsty pancerczów,
Świszcz strzał, zgrzyt włóczni, i trzaski puklerzów.—
Ucichły nagle—wrzask tłumi się, głucho:
Przeszła utarczka, nim bitwa wybuchnie.
Brzmi znak, znów zbrojnych szeregów znać starcie,
Uparty odpór, i szybkie natarcie:
Wzmaga się hałas wrzaskliwy i dziki.
Jęki boleści, tryumfu okrzyki:
Pierzchają tony, jak wrogi wśród klęski—
Alpinów tylko brzmi już hymn zwycięzki.
Ani tu koniec: lecz coraz kolejają
Wyniosłe tony zniżają się, mdleją.
Aż w cichych jękach powiały ku niebu.
Na cześć poległych smutną pieśń pogrzebu.

XXVIII.

Ucichły kobzy; nad wody i góry
Brzmi tylko echem dźwięk długi, ponury.
Umilkł zaledwo, gdy znów nad jeziorem
Nowym powietrze zatrzęsło się chórem.
Z ust żeglujących pieśń głośna i dzika.
Wzniosła się na cześć ich wodza Rodryka.—
Wioslarze wiosły w takt bijąc po fali.
Szybkim ich szumem wtór pieśni trzymali,
Tak zmiennój w spadkach, tak dzikiój w swych chó-
[rach,
Jak w Listopadzie szum wichru po borach.
Próżno Bard z razu, nie śmiejąc oddychać,
Słuchał słów pieśni—ton tylko był słychać:

Leż gdy ku brzegom zbliżyły się łodzie,
Wiatr takie słowa rozwiewał po wodzie.

XIX.

Pieśń w łodziach,

„Cześć, chwała wodzowi zwyciężkich Alpinów!

Cześć drzewu naszemu. cześć sośnie!

Niech zdobna wieńcami nabytych wawrzynów

Zieleni się, krzewi i rośnie!

Ziemia ją łonem swém,

Niebo niech poi dżdżem,

A wiatry jój wonią dokoła niech tehną!

Niech na cześć jój wśród gór,

Brzmi nasz zwyciężki chór:

Rodryk Vich Alpin Dhu, hoho. hoho. hoho! —

„Nie wiotka latorośl. nie szczepek to poziomy.

Co lada wiatr kruszy lub zgina;

Nie złęknie się burzy. przed wichry ni gromy

Nie ugnie się sosna Alpina!

Choćby w nią piorun grzmiał,

Klan pod nią będzie stał,

Nie zadrży. nie pierzełnie. lecz zginie wraz z nią;

Lub urągając z chmur,

Zwyciężki wzniesie chór:

Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho hoho. hoho! —

XX.

Gdy miecz nasz zwycięzki grzmiał wczoraj w doli nach
Lud pierzchał przed echem Pibrochu:
Glen-Fruin i Ross-dhu dziś dymią w ruinach,
Loch-Lomond krwią spłynął w popłochu ¹¹⁾
W Glen-Luss brzmieć muszą znów,
Płacz sierot, jęki wdów:
Bannochar nas przyjął z bojaźnią i czeią:
Lenox i Lewen-glen,
Zbudził się na głos ten:
Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!

Cześć, chwała wodzowi zwycięzkich Alpinów!
Cześć drzewu naszemu, cześć sośnie!
O! gdyby do wieńca nabytych wawrzynów
Wpleść różę, co w cieniu jej rośnie!
Oby szepcz przyszłych drzew,
Młody z niej wykwitł krzew,
I wzrastał szczęśliwie, i zrównał się z nią!
Jak słodko na ich cześć
Byłoby głos nasz wznieść:
Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!

XXI.

Z orszakiem niewiast, gdy syna postrzegła,
Nad brzeg wnet Lady Małgorzata zbiegła.
Na wiatr paszczone pływały ich włosy,
Gdy wszystkie razem gościami i głosi,

Witały wodza, i ręce do góry
Podnosząc, pieśni powtarzały chóry.
Ona tymczasem, jako matka tkliwa,
Co naprzód każdą chęć syna zgadywa.
Woła Helenę, aby gdy wysiądzie,
Mógł ją najpierwszą powitać na lądzie.
„Pójdź, krwi Duglasa! pójdź! twoje niech dłonie
„Zwycięzcy wieniec położą na skronie!“ —
Z drżeniem Helena, niechętnie i zwolna.
Szła, niemiłemu wezwaniu powolna;
Gdy w sam czas właśnie, z wierzbowej zatoki,
Nagły dźwięk trąbki zatrzymał jój kroki.
„Słyszysz Allanie! to ojciec mój wraca!
„Śpieszmy po niego! wszak nasza to praca.
„Rodryk wybaczy; wie, że mię nikt inny
„W tej powinności nie ubiegł dzieciinnój!“ —
I jak błysk słońca śmignęła i wkrótce
Na głąb ze starcem wybiegła w swój łódce.
I kiedy Rodryk, stanawszy na brzegu,
Szukał jój wzrokiem po niewiast szeregu.
Ona już zbyt znużona pośpiechem,
W objęciach ojca spoczęła z uśmiechem.

XXII.

Są uczucia w ludziach, z którymi wspólnieży
Więcej niebieskiej niż ziemskiej słodyczy:
Są łzy tak słodkie, tak czyste w swój treści
Od ziemskich mętów i ziemskiej boleści,
Że niemi nawet z rozkoszą weseli
Płakaćby mogli niebiescy Anieli.

Jestto ta radość, ta łza, którą tkliwy
Ojciec oblewa skroń córki enotliwej.
Takie—gdy Duglas objąwszy w ramiona
Lube swe dziecię przytulał do łona—
Z ócz bohatera łzy, jak krople rosy,
Na jej rozwiane stoczyły się włosy.
Niemniej nawzajem wzruszona dziewczica,
Na piersiach ojca ukrywszy swe lica,
Próżno coś chciała przemówić wesole.
I gdyby Duglas, podnosząc jej czoło.
I twarz zroszoną i pełną rumieńca.
Nie wskazał obok obcego młodzieńca.
Długoby może nie dostrzegła sama,
Miłego gościa: Malkolma Grahama.

XXIII.

Allan tymczasem oparty o wiosło,
Zważał Rodryka, jak z dumą wyniosłą
Wstępował na brzeg—i starca oblicze
Zdradzało myśli tajemnych gorycze.
Gdy na krzyk każdy zwyciężkiego klanu,
Z żalem ku swemu wzrok obracał Panu,
I znów, jak gdyby znieść nie mógł widoku,
Spozierał w niebo, by łzę wstrzymać w oku.—
Widział to Duglas stojąc przy Grahamie,
I rzekł doń zeicha, dłoń kładąc na ramię:
„Ciekawys pewnie, młody przyjacielu,
„Co budzi smutek w mym wiernym Minstrelu?
„Ja ci to powiem:—wspomina dzień chwały,
„W którym najświetniej pieśni jego brzmiały;

„Gdy mię na czele współbraci swych wielu.
„Witał zwyciężcą u bramy Botwelu;
„Gdy przed mym koniem powiewał niesiony
„Sztandar normandzki, krwią Pereych zboczony.
„A w mym orszaku z szlachetnej młodzieży.
„W pełnym rynsztunku, dwudziestu rycerzy,
„Z których najniższy i rodem i chwałą.
„Z wodzem Alpinów mógł mierzyć się śmiało.
„Za mną. jak wodzem i panem jechało!...
„Lecz wierz, Malkolmie. nie tylem był dumny.
„Kiedy mi drogę zabiegał lud tłumny;
„Gdy się półksiężyc przede mną ukorzył:
„Gdy lord i rycerz rad orszak mój tworzył:
„Gdy lutnie bardów mojemi pochwały,
„A hymny za mnie po kościołach brzmiały:
„Mniej ezulem w sercu wesela i pychy,
„Jak gdy ten starca wiernego żal eichy,
„Jak gdy tej biednej dziewczyny uśmiechy.
„Wróżą nunie miłość serc szerszych i tkliwszych.
„Niż comieć mogłem w mych dniach najsześciwszych.
„Helena moja—przebacz ojca dumie!—
„Jedna mi wszystko wynagrodzić umie.”—

XXIV.

Słodka pochwało! Jak zorza rumiana.
Gdy na pogodę zaiskrza się z rana.
Na twarz dziewicy rumieniec wybuchał:
Ojciec ją chwalił, a kochanek słuchał!—
Kryjąc wzruszenie, zaczęła wesola
Głaskać ojcowskie to psy, to sokoła.

Skomlać ogary i liżąc jój rękę,
Zdały się pieszczot oznaczać podziękę.
Trzykroć wzleciawszy około jój skroni,
Bijąc skrzydłami, siadł sokół na dłoni,
Wyciągnął szyję, i patrzył w jój oczy.
Znać że łaskawy, i słuchać ochoczy.
I gdy tak, sokół na rękę, psy przy niój.
Stała jak grecka Dyanna łowczyni.
Kształtem i licem podobna bogini:
Chociażby nawet ojcowska pochwała
Nieco jój zalet i wdzięków przydała.
Czyżby kochanek. w uniesień zapale.
Kładł je oziębłej na rozwagi szalę,
Gdy za jój każdém tajemném wejrzeniem.
Twarz mu i oczy gorzały płomieniem?

XXV.

Kształtnój postaci i smukłej urody
Był Malkolm Graham, nadobny i młody.
Pled krótki, pasem ściągnięty u stanu.
Rozkrywał spodem obuwie z tartanu.
Włos jego jasny, drobnemi kręgami
Wił się w krąg czapki błękitnej z piórami.
Wprawny do łowów wzrok jego sokoli.
Mógłby skowronka dośledzić na roli:
Przez wszystkie góry. wąwozy i wody.
Znał wszystkie ścieżki, przesmyki i brody:
Próżny lot ptaka. lub sarny skok śmiały.
Gdy na nie Malkolm wypuścił swe strzały:

A ledwo sarna pierzahając przed chartem.
Mogła go ubiedz na polu otwartém.
Twarz jego, z duszą podobna i zgodna.
Wesoła, żywa, otwarta, łagodna:
Uśmiech w niej tylko swe ślady wytłoczył.
Bo nigdy—póki Heleny nie zoczył,
Weselsze serce nie biło w góralu
Nie znając westchnień miłości, ni żalu,
Tak lekko w piersiach igrało z myślami.
Jak jego pióro powiewne z wiatrami.
Lecz przyjaciele, z powierzeń braterskich.
Znając w nim głębiej chęć czynów rycerskich.
I miłość cnoty, i prawdy gorliwość.
I gniew na przemoc i niesprawiedliwość:
Ale bardowie, z ócz jego płomiennych.
Gdy słuchał dziejów lub pieśni wojennych.
Przepowiadali, że skoro dorosnie
Dorówna męztwem Alpinowój sośnie,
I że jej sława, dziś jak słońce sama,
Zgaśnie przed wschodem Malkolma Grahama.

XXVI.

Już łódz wracając pruła wód zwierciadła.
Gdy — „O! mój ojeze!” — Helena zagadła.
„Gdzie? że tak długo bawiłeś na łowach?
„Czyś się gdzie w dzikich nie zbłąkał dąbrowach?
„Gdzie?” — wrok domówił, co nie śmiała w słowach,
— „Córko! rzekł Duglas, nawykłem do znoów,
„I lubię łowy, jako obraz bojów.

„Jedyne dzisiaj Duglasa wyprawy,
„Jedyne pole do zwycięstw i sławy.
„Malkolma trafem spotkałem śród lasu.
„Gdym się kryć musiał w kniejach Glenfinlasu.
„Słyszac że wszędzie królewscy leśnicy,
„Tropiac zwierzynę, krażą w okolicy.
„Zacny ten młodzian, choć w króla opiece
„Zostaje dotąd: choć wie, jak dalece
„Gniewby i zemstę na siebie obrazil:
„Gwałtem się dla mnie na wszystko naraził.
„I choć ścigany, przez góry i brody,
„Sam tu, jak widzisz, przywiódł mię bez szkody.
„Rodryk dziś z serca dawną niechęć zdejmie.
„I musi dla mnie przyjąc go uprzejmie:
„A jutro, skoro dzień błysnie na niebie,
„Malkolm znów skrycie powróci do siebie.”

XXVII.

Rodryk spotkawszy, na widok młodzieńca
Nie mógł powściągnąć nagłego rumieńca,
Lecz żadnym słowem, wzrokiem, ni obliczem.
Praw gościnności nie obrazil w niczem.
W miłych rozmowach, zasiadłszy na ganku.
Spędzili resztę letniego poranku.
Lecz o południu, stróż z nad kresów klanu
Przybiegł, i długo zdawał sprawę panu.
Znać było z oczu Rodryka i z miny.
Że niepocieszne usłyszał nowiny:
Znać było z dumań, nawet wśród biesiady,
Że jakieś ważne snuł w myśli układy.

I gdy wieczorem, powstawszy od stołu,
Wkrąg przed ogniskiem zasiedli pospołu,
Obok Heleny pani domu sama,
I Douglas obok Malkolma Grahama:
Rodryk stał w środku, i wzrok swój ponury
To spuszczał w ziemię, to wznosił do góry,
To w rozżarzone wpatrując się głownie,
Zdał się namyślać, jak zacząć stosownie,
Aby niemłą nie razić zbyt wieścią,
Długo wprzód igrał z miecza rękojeścią,
Aż w końcu, z dumą wzniosłszy wzrok surowy,
Spójrzyał w przytomnych, i rzekł temi słowy.

XXVIII.

„Krótko mam mówić—bo i chwile drogie,
„I nie mój zwyczaj płątać słowa mnogie,
„Matko i ojeze! jeżeli to imię
„Douglas uprzejmie z ust Rodryka przyjmie:
„I ty, o! siostrze! co nie wiem dla czego
„Zdajesz się wzroku obawiać mojego:
„I ty, Malkolmie! w którym, czas odsłoni
„Czy walecznego towarzysza broni,
„Czy wroga znajdę, gdy twe męzkie ramię
„Dźwignie miecz wolza w szlachetnym Grahamie:
„Słuchajecie wszyscy!—Nie tajno nikomu,
„Jak się król dumnie przechwała z pogromu
„I z mordów—jakby ze zwycięstw swych licznych—
„Zwiedzionych zdradą klanów nadgranicznych *) 12).

*) *Borders*, klany pograniczne między Anglią i Szkocją.

„Wiedcie, jak wodze ich, słodkimi słowy
„Sproszeni dzielić z monarchą swym łowy.
„Przybyli śmiało w ufności i wierze,
„Z psy i sokoły polować na zwierze,
„I jak zwierz sami w sieć wpadłszy zwodnieją,
„Krwawą tyrana stali się zdobyczą.
„Lub gdy go przodków zwyczajem wspaniali,
„W otwartych zamkach z uctami czekali,
„Wiedcie, jak zdrajca swą wdzięczność okazał:
„Na własnych bramach powieszać ich kazał!—
„Krew ich szlachetna, wylana bez wstydu,
„Z lasów Jarrowu, i z nadbrzeży Twidu.
„I z łąk Megatu, i z Tewiotu fali,
„Woła o pomstę do braci górali:
„Gdy na ich grobach, wśród ich bujnych łąków.
„Gdzie niegdys jazda wojowniczych klanów
„Grzmiała w przelocie, urągając zda się,
„Morderca pasterz stada owiec pasie!—
„Lecz to rzecz dawna:—teraz przeniewiera,
„Nie wart szkockiego ni tronu, ni serca,
„Do nas przybywa z wojskami i dworem,
„Z tymże zamiarem, pod łowów pozorem.
„Chee, by się także wodzowie górali
„W moc wiarołomcy na ślepo oddali,
„A on się chępił, że jak Pogranicze,
„I Góry ujął w karby niewolnicze!
„Co więcój—słyszać, że zawczoraj rano
„Ciebie, Duglasie, w Glenfinlas widziano:
„Wiém to od szpiegów posłanych na wzwiady.
„Co czynić na dal, twojej czekam rady.“

XXIX.

Helena blada jak rąbek jój szaty,
Spójrzała w oczy Lady Małgorzaty.
I obie szukać zdały się wyroku.
Każda—ta w ojca, a ta w syna wzroku.
Malkolm sprzecznemi myślami miotany.
To się czerwienił, to błądł naprzemiany:
Znać było trwogę: lecz wzrok dość objawiał.
Że nie o siebie Graham się obawiał.
Naówczas Douglas, przerwawszy milczenie,
Wstał, i rzekł smutnie, lecz nieustraszenie:
„Mężny Rodryku! choć niebo się chmurzy,
„Bywa, że chmury mijają bez burzy:
„Lecz ja nie mogę pozostać w tym domu.
„Abym zgubnego nie ściągnął nań gromu.
„Bo wiesz sam dobrze, że na ten włos biały
„Król rzuci pierwsze gniewu swego strzały.
„Lecz ty, co jako wódz możnego klanu,
„Z użytkiem w wojnach możesz zdać się panu.
„Rozbroisz łatwo przez hold i pokorę.
„Gniewy, mniej może zawzięte, niż skora.
„Ja z moją biedną Heleną tymczasem,
„Pójdę gdzie między górami i lasem
„Kryć się jak zwierze, lub żebrać gościny.
„Widokiem starca i łzami dziewczyny.
„Póki w tych stronach król z dworem popasa,
„Polując w górach na starca Duglasa.”

XXX.

..Nie! krzyknął Rodryk. „nie! to być nie może!
..Tak mi dopomóż mój mieczu. i Boże!
..Nie! choćby gromy po gromach trzaskały
..W sosnę Alpina. to godło méj chwały.
..Nigdy wśród burzy nie dam wyjść z jój cienia
..Ostatnim szczątkom Duglasów plemienia!
..Słuchaj. co powiem:—daj mi tę dziewicę
..Za żonę: radą wesprzyj mą prawicę:
..A wtenczas Duglas złączony z Rodrykiem.
..Ani się ugną. ni zadrzą przed nikiem.
..Wtenczas nas obu ujrzawszy na czele.
..Z ziemi nam nowi powstaną mściciele:
..A naprzód. z królem już dawno niezgodni.
..Wybuchną klanów wodzowie zachodni.
..Hymn mój weselny po kraju Saxonów
..Jękiem pogrzebnych odezwie się dzwonów.
..Aż trząść się będą Holyrodu sale:
..A gdy weselną pochodnię zapalę.
..Sto łun czerwonych na sklepie niebieskim
..Zaświeci wkoło przed oknem królewskim!...
..Lecz nie! Heleno! nie! wyjdź z przerażenia!—
..Proszę cię. matko! porzuć te skinienia!
..Nie wszystko myślę. com rzekł z uniesienia.—
..Na co nam wojna. mord. albo pożoga.
..Gdy inny sposób mieć mozem na wroga.
..Niech tylko Duglas. z mądrości swój znany,
..Pojedna wodzów góralskich i klany.

„Aby zgodnemi wzmocnili zastępy.

„Każdy swe zamki i gór niedostępy.

„Dość będzie na tém, by ów tyran krwawy,

„Z niezém z swój na nas powrócił wyprawy.“

XXXI.

Są, którzy we śnie, o nadludzkiej mocy,
Na sam szczyt wieży wdzierają się w nocy,
Lub na wierzchołku skał, u których stopy
Rycząc bez przerwy wrą morskie zatopy.
Stoją i marzą: dopóki blask zorzy,
Padając na twarz, ich ócz nie otworzy.
Wtenczas, gdy spójrzą na siebie, zalśnieni
Ognistym blaskiem słonecznych promieni:
Widząc dokoła przepaście bez końca,
Słyszając huk ciągły, jak gromów tysiąca,
Czując jak śliski głaz, na którym stali,
Drżąc pod ich stopą od uderzeń tali:—
Śród tego blasku, widoku, łoskotu,
Śród wszystkich zmysłów i myśli zawrotu,
Cóż za dziw, jeśli rozpaczą przejęci,
Uczują w sercu pod rozpacznej chwili,
Zastłonię oczy i w przepaść się rzucić,
I śmierć przyspieszyć, by trwogę jej skrócić.—
Tak i Helena, na polu umarła,
Jakby się otchłań w koło niej otwarła,
Niebezpieczeństwem Duglasa przejęta,
Widząc dłań zewsząd śmierć, nędzę, lub pęta,
Uczuła w sercu rozpaczne natchnienie,
Szczęściem swém ojca okupić zbawienie.

XXXII.

Zamiar ten, Malkolm odgadnął w dziewicy,
Z drgania ust sinych i błędnej źrenicy,
I powstał prędko by mówić;—lecz wprzód,
Nim umyślone mógł wtrącić przeszkody,
Duglas już poznał, jak w sereu jój skrycie
Ze śmiercią zda się łamało się życie:
Bo na jój twarzy, to widać raz cała
Krew gorączkowém płomieniem buchała,
To się cofając, jak fala wezbrana.
Znów zostawiała ją bladą jak ściana.
„Dośé, dośé, Rodryku!” rzekł, „wszystko skończono!
„Helena twoją nie może być żoną.
„Nie to rumieniee lic oblubienicy,
„Nie to jest bladeś trwożliwój dziewicy.
„Przebacz jój, wodzu, że nie jest dla ciebie!
„Ani chciój dla nas narażać sam siebie.
„Nigdy ja, choćbym miał wyjść ze złój toni,
„Przeciw królowi nie wzniosę méj broni:
„Ja, com go uczył jak w boju być mężem,
„Jak toczyć koniem i władać orężem;
„Com go jak ojciec wychował z chłopięcia,
„Ani mniej kochał od swego dziecięcia!
„Kocham go dotąd, choć podli oszczerce
„Goryczą ku mnie zatruli w nim serce,
„Choć mu zbyt skory gniew prawdę zamącił,
„Choć wziął mi wszystko, i w przepaść potracił:
„Nie mogę mścié się;—i ty przyjm me rady:
„Złóż gniewy z serca, zgładź dawnych win ślady,

„Zrób krok do zgody, i żądaj przebaczeń,
„Z losem mym swoich nie wiążąc przeznaczeń.“—

XXXIII.

Dwakroć w krąg gmachu obchodził wódz gniewny.
Wiejący za nim pled czarny, powiewny,
Nad czapką czarne chwiejące się pióra,
I pod ich cieniem twarz groźna, ponura:
Gniew po nad brwiami, i w oku blask pychy,
W ustach śmiech wgardy, i razem jęk cichy,
Wszystko to, w świetle czerwonym ogniska,
Raziło widmem nocnego zjawiska.
Rzekłbyś, widomie zły Gieniusz nocy,
Niepewny jeszcze swych celów i mocy,
Probując siły swych zaklęć i rymów,
Kraży przy ogniu nocełnych pielgrzymów.—
Lecz, niewzajemna miłości! twe strzały
Głębszy, niż дума, ból sercu zadały!
Wódz dłużej ukryć nie mogąc go w sobie,
Porwał Duglasa dłoń w ręce swe obie,
I z ocz, przed chwilą iskrzących tak gniewnie,
Dwa łez strumienie puściły się rzewnie.
Wybuch gwałtownej, tłumionej boleści,
Znać, że się w piersiach wzburzonych nie mieści,
Nie śmiać się jednak ulżyć narzekaniem.
Wewnętrzny tylko ozywał się łkaniem.
A każde łkanie, wśród wszystkich milezenia,
Szło dzikiem echem wzdłuż ścian i sklepienia.
Litość niewieścia w Helenie przemogła,
Widząc łzy wodza, swych wstrzymać nie mogła;

Wstała, by odejść, a bliskiej omdlenia
Graham chciał swego użyzyć ramienia.

XXXIV.

Ujrzał to Rodryk:—jak wybuch ogniska,
Długo w mgłach dymu to ćmi się, to błyska,
Wijąc kłębami swe tęcze czerwone,
Aż w jedną, jasną, wyiskrzy się łonę:
Tak w nim gniew, dumą, obraza i zawiść,
W jedną gwałtowną wybuchły nienawiść.
Zwrócił się, porwał, z wściekłością zawzięty,
Za pled Malkolma, na piersiach zapięty:
„Precz chłopcze!” krzyknął:—a w rękę i głosie
Znać było drżenie:—„precz szkolny młodkosie!
„Tak się to uczysz! że widzę, daremnie
„Wzięłeś już jedną naukę odemnie!
„Dziękuj tym damom, i twojej gościnie,
„Jeśli cię jeszcze dziś kara ominie.“—
Chyżej niż rączy chart z żubrem lub dzikiem,
Porwał się Malkolm i starł się z Rodrykiem:
„Dobrywaj!” krzyknął, „nie nie zabezpiecza
„Wodza Grahamów, prócz ręki i miecza!”—
Już groźni twarzą i wzrokiem zuchwali,
Za rękojęści swych mieczów porwali.
I śmiercy była:—wtém Douglas obrzými.
Z groźną powagą stanął między nimi.
„Stójcie!” zawołał. „kto pierwszy dobędzie.
„Chce albo nie chce, mnie wrogiem mieć będzie!
„Szaleńcy! skończcie dzikie widowisko!
„Cóż to? czy Douglas upadł już tak nisko.

„Że w jego oczach, i o jego dziecie,
„Jak o łup zbójców, broń dobywać śmiecie.” —
Wstyd przejął obu, lecz chociaż rozjęci,
Zaden znać z serca nie złożył niechęci,
I grożąc okiem, każdy stał jak wryty,
Krok dany naprzód, i miecz w pół dobyty.

XXXV.

Gościnność domu szanując w Grahamie,
Matka Rodryka ujęła za ramie:
I Malkolm słyszał w początku téj sceny
Krzyk przerażenia strwożonej Heleny.
Aż w końcu Rodryk, gniew kryjąc udaniem,
Schował miecz w pochwę, i rzekł z urąganiem:
„Śpij tu do jutra! — trefione te włosy.
„Szkoda, by miały zwilgotnieć od rosy ¹³⁾.
„A jutro — umiesz biedz prędzej od charta —
„Bieź do obozu Jakóba Sztuarta.
„Donieś, że Rodryk lud zbrojny zaciąga.
„Łaską pogardza, a z grózb się urąga.
„I póki żyje, nie będzie z swym klanem
„Za żadnym ziemskim służebniczył panem.
„Lub jeśli większe pozyskać chcesz względy,
„Sprowadź go tutaj — przejrzałeś już kędy! —
„Hola! Malizie! — wszedł sługa popleczny ¹⁴⁾. —
„Dać Grahamowi glejt przejścia bezpieczny!” —
Z wzdardą rzekł Malkolm: „Nie troszcz się daremnie
„Król się twych składów nie dowie odemnie.
„Pobyt Anioła jest zawsze świątynią,
„Choćby był razem i zbójców jaskinią.

„Glejt twój i grzeczność zachowaj dla siebie.
„Lub świadez ją dla tych, co się boją ciebie.
„Ja nie dbam o nie: i bez twój pomocy,
„Wiém jak przejść kędy. czy we dnie, czy w nocy,
„Ani się złękę, póki miecz mam w dłoni.
„Twoich zasadzek, ni twojój pogoni.—
„Bądź zdrów, Duglasie! Heleno. bądź zdrowa!—
„Lecz nie! to nie są pożegnania słowa.
„Nie ma tak dzikich ni puszczy, ni parowu.
„Bym was nie znalazł. nie powitał znowu.
„I my téż. wodzu! będziem się szukali.“—
Rzekł. i z powagą wyszedł za próg sali.

XXXVI.

Allan szedł za nim aż nad brzeg jeziora,
(Tak kazał Duglas), w pomroce wieczora
Wskazując drogę, i z czuciem boleści
Dnia dzisiejszego powiadając wieści:
Jak Rodryk rano wysłuchawszy gońca,
Przysiągł w zapale, że wraz z wschodem słońca,
Jutro ognisty krzyż poszle po klanie,
Zwołując zbrojnych na wspólne zebranie.
Nadto. że dawno już krąży wieść dzika,
Że Malkolm Graham obraził Rodryka.
Jeśli więc zwykłą powracać chce drogą,
Mściwi Alpini napotkać go mogą.
Bezpieczniej zatém, dziś jeszcze wieczorem,
Klan ich wzdłuż brzegu opłynąć jeziorem.
Męztwu się przez to nie uczyni plama:
On. Allan. będzie sternikiem Grahama.

Tak radził starzec; lecz próżno zachęcał.
Malkolm tymczasem broń pędem okręcał,
Zwój ściągnął pasem, i widać z postawy,
Że się do wodnej gotuje przeprawy.

XXXVII.

„Bądź zdrow!” rzekł pędko — „lecz nie miej bojaźni,
„Wzorze wierności i dawniej przyjaźni!“
Mówiąc, dłoń starca ścisnął rozrzewniony.
„Obym mógł dla was wyszukać zachrony!
„Król, mój opiekun, jest zarządków mych panem,
„Stryj w mém imieniu dowodzi mym klanem.
„By przyjaciołom dopomódz w złej toni,
„Malkolm nie nie ma, prócz serca i broni.
„Lecz jeśli w mójém Grahamów plemieniu,
„Są jeszcze wierni swych wodzów imieniu,
„Wkrótce szlachetny bohater Duglasów
„Przestanie błędzić jak jelen śród lasów.
„I nim ów zbójca, co dumą się puszy...
„Zamilezę resztę — las mówią, ma uszy.
„Lecz ty mu powiedz, że Graham niczego
„Nie potrzebował, nie przyjął od niego,
„Nie — nawet czółna, by przebyć przez wody. —
„Nie trwóż się o mnie! przepłynę bez szkody.“
Rzekł, w tył się nieco cofnął dla rozbiegu,
I śmiałym skokiem wplaw rzucił się z brzegu.
Wzruszone fale o brzeg zapluskały.
On, w jednej ręce pęd wznosząc nad wały,
Odpywał drugą; gdy drżący z obawy,
Allan wzrok za nim wyteżał ciekawy:

Sledząc, ak coraz mniej znaczny w oddali,
To się wynurzał, to znikał śród fali.
I gdy ją księżyc oświecał pogodny,
Czernił się na niej, jak drobny ptak wodny.
Dopłynął brzegu, na hasło wykrzyknął,
Wdział pled, przypasał swój oręż, i zniknął.
Minstrel usłyszał okrzyk, i wesoły
Szedł zaspokoić wspólne przyjaćioły.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

KRZYŻ OGNISTY.

I.

Czas leci niewstrzymany!—Ludzie, co niedawno
Na kolanach dzieciństwo nasze piastowali,
I lub dziejami przodków, lub bajką zabawną,
Duch w nas wieszczy i miłość kraju zapalali:
Gdzież są?—Znikli ze świata: zmarli lub zgrzybiali,
Zmysłą znużoną, z sercem w pół skrzepłém już w tonie,
Jako szczątki rozbicia nad brzegami fali,
Czekają zda się, rychło, jak morze w swe tonie,
Wieczność ich coraz bliższa zajmie i pochłonie.

Żyją jednak, co jeszcze pomną owe czasy,
Gdy skoro wódz góralski w róg łowczy uderzył,
Głos ten ożywiał góry, doliny i lasy,
Zwoływał na ochotę i sam radość szerzył:
Gdy skoro wróg zagroził, lub wódz bój zamierzył,

Cały klan. jak mąż jeden. rzucił dom spokojny.
Śpiesząc gdzie wbity sztandar wśród pola się jeżył:
A wszystkie kobzy w górach grały pochód zbrojny.
A krzyż ognisty krążył. jak meteor wojny ¹⁾.

II.

Wschód letniej zorzy. w jeziorze odbity.
Purpurą wodne powlókzył błękity:
Poranny wietrzyk. w niepewnych powiewach.
To tehnąc po kwiatkach. to szemrząc po drzewach.
Wstrząsał nie marszcząc wód gładkie oblicze.
Jak lekki uśmiech jagody dziewicze.
Na tle jeziora góry malowane.
Ni zbyt spokojne. ani zbyt miotane.
Chwieją się tylko we zwierciadłach wody.
Jak obraz szczęścia w wyobraźni młodej.
Z wiatrem ku niebu tehnąc lilija wodna.
Kielich swój woni wytrząsa aż do dna.
Po skał urwiskach. przez mgły rzedniejące.
Błyszcza się słońcem wód spady szumiące:
Zbudzona łani na paszę. na łąki.
Skaczące przy niej prowadzi jelonki:
Tysiąc skowronków. wirując w mgle ranniej.
Brzmia harmonijnie jak hymn nieustanny:
Szezebioty gil' w i głośny świst szpaków.
Wtórują chórem ze trzciny i krzaków:
A gdzieś turkawka. w posepnej czułości.
Grucha pieśń zgody. pokoju. miłości.

III.

Nie miłość zgody, nie żądza pokoju
 W sercu Rodryka: gdy w czarnym swym stroju,
 Dzierżąc oburącz miecz w pochwach szeroki,
 Szybkiemi wkoło przechadzał się kroki,
 I niecierpliwy, to na wschód poglądał,
 To wstrząsał mieczem, jakoby grozić żądał
 Opodał nieco, z pośpiechem lenniki
 Gotują obrzęd, tajemniczy, dziki.
 Co trybem przodków, musi uroczyste
 Poprzedzić krzyża ognistego wyjście.
 Wódz krążył wkoło: nieraz zgraja cała
 Na widok jego zamilkła, i drżała.
 Gdy na niej gniewne zatrzymał wzrok —
 Tak dziki orzeł na skalnym Benw onie,
 Patrzy zmudzony; i tak, kiedy w chmurach
 Na roztoczonych kołysze się piórach,
 Samym swym cieniem rzuconym na lasy,
 Gwarliwych piasząt ucisza hałas.

IV.

Już u stóp skały złożono stos spory
 Z wonnych jałowców i z smolnych drzew kory,
 I z świeżych sosny gałęzi, zniekształnionych
 Z drzazgami dębów od gromu strzaskanych.
 Brian pustelnik, w milczeniu panuram,
 Stał obok boso, w habicie z kapturem,
 Śnieżysta broda i włos rozczochrany
 Cmiły twarz srogą i wzrok obłąkany:

Z blizn nagich ramion, z wyschłego oblicza.
Znać dziką ostrość pokuty i bicia:
Lecz ni w téj twarzy świętości kapłańskiej,
Ani w tém oku skruchy chrześcijańskiej.
Z wejrzenia jego i z postawy całej.
Rzekłbyś, Druida z grobu zmartwychwstały.
Gotów dziś jeszcze dla bóstw leśnej dziecy,
Broczyć w krwi ludzkiej swój nóż ofiarniczy.
W jaskini, w głębi mrocznego parowu.
Żył na pustyni, wśród skał Benharrowu.
Wiesć nawet biega, że pogańskie błędy
Z chrześcijańskimi śmie łączyć obrzędy.
I w najstraszniejszych tajemnicach wiary
Szuka sposobów na gusła i czary.
Każdy się jego obawiał przekleństwa.
Nikt nie chciał modłów ni błogosławieństwa.
Z przestraczem wieśniak unikał go trwożny,
Próg jego pielgrzym omijał pobożny:
Strzelec pewnego wyrzekał się łowu.
Gdy go miał ścigać wśród skał Benharrowu.
I wracał śpieszno psy wiodąc na sforach:
A jeśli czasem w wąwozach lub borach,
Napotkał zbliżka, lub ujrzał zdaleka,
Tego dzikiego tych pustyni człowieka.
Modląc się w duchu, i korząc się z trwogi.
Zegnał się milcząc, i schodził mu z drogi.

V.

Dziwne są wieści o rodzie Briana ²).—
Raz matka jego, od zmroku do rana,

Strzegła owczarni wśród pastwisk odległych.
W odludnym polu: gdzie kości poległych.
W bitwie przed wieki. pamiętną u wieszczów.
Leżą zbielałe od skwarów i deszczów.
Wstyd zdjąłby dumne wojownika serce.
Widząc te kości w takiej poniewierce!
Tu dłoń, co może rwała szyki bitne.
Leży spętana w zielska pasożytne:
Tam kość piersiowa. co zamiast pancerza
Zbroiła serce odważne rycerza.
Dziś w niej. jak gdyby na urągowisko.
Lękliwy ptaszek założył siedlisko.
Noga, co niegdyś wyścigała sarny,
Po nieruchomej, pełzał ślimak czarny!
A dalej czaszka. znać wodza orszaku.
Zamiast wawrzynów i piór na szyszaku.
Porosła chwastem. walając się w trawie.
Uczy żyjących, co myśleć o sławie! —
Śród tego pola noc całą dziewica
Siedziała, pleciem zakrywszy swe lica,
I. jak mówiła. żaden człowiek żywy,
Ni żaden pasterz. ni żaden myśliwy.
Nie był z nią w owej nocy tajemniczej.
Ni zdjął z jej czoła przepaski dziewiczej ³⁾:
Lecz nią już nigdy. wróciwszy do domu.
Nie śmiała zakryć dziewiczego sromu.
Ponury smutek i w oczach strach dziki.
Zajął miejsce uśmiechów Alik;
Żal w niej budziło równie wesele,
W młodość wprawiał organ i śpiewy w kościele:

I nigdy odtąd, mówili sąsiedzi,
Nie była na mszy, ani u spowiedzi.
Próżno ją badał i ksiądz, i rodzice,
Zamknęła w sercu straszną tajemnicę,
I bez odpustu, bez modłów kapłana.
Umarła. na świat wydając Briana.

VI.

Samotny między swemi rówienniki.
Rósł od dzieciństwa syn biednej Alik.
Każdy go stronił, i każdy odpychał.
On, ani płakał, ani się uśmiechał.
I znosił cicho, choć pełen goryczy,
Wymiatających mu ród tajemniczy.
Po całych nocach, posępny. ponury.
Błądził po lasach, lub szedł między góry:
Tam nad wezbranym usiadłszy strumieniem,
Z rozpaczą dumiał nad swém urodzeniem;
Aż obłąkany, sam w końcu uwierzył
Strasznój powieści, co lud o nim szerzył.
I odtąd co dzień, w mgłę jezior i borów.
I odtąd co noc, w świetle meteorów,
Lub tam, gdzie matkę noc owa zapadła.
Szedł szukać ojea swojego—widziadła!—
Próżno. by zleczyć duszę zakrwawioną.
Klasztor go święty przyjął na swe łono:
Próżno. by uspić myśli niepokoje.
Mądrość mu księgi otworzyła swoje.
W zakonnój ciszy zamknięty przez lata.
Zdziechał tém więcéj od ludzi i świata:

Z nauk to tylko wyczerpnął, co drażni
Gorączkę myśli i szął wyobraźni.
W zawiłych księgach zatopiony cały.
O czarnoksięstwach i gusłach kabały,
Ginał w badaniach, których tajemnica
Jątrzy ciekawość i dumę podsyca.
Aż wysilony daremnym zapałem,
Z zbłąkaną myślą i sercem schorzałym.
Porzucił klasztor, i sam jeden znowu.
Osiadł w pustyni śród skał Benharrowu.

VII.

Tam syn widziadła, sam wierząc w swe czary.
Wywołał z pustyni ich duchy i mary *)
W nocach, przy świetle księżycy promieni,
Marząc nad spadem wezbranych strumieni,
Patrzył w nie póty, aż z pary lub z piany.
Nie powstał przed nim duch wywoływany.
We mgłach porannych, on widział nad skały
Olbrzymią wiedmę gór, w szacie swój białej:
Lub w zapłonionych rumianą jutrzeńką,
Rycerza-Ducha z zakrwawioną ręką.
W poświstach wichrów, on słyszał z pod ziemi
Głosy umarłych, i rozmawiał z niemi:
Albo na przyszłych polach bitw odległych.
Przeglądał kłęski i stopy poległych.
Tak gardząc światem, od świata wzgardzony.
Tworzył sam sobie swój świat niewcielony.
Jedno go tylko, niedzielone wzajem,
Uzucie z ludzkim łączyło rodzajem:

Matka się jego rodziła w Alpinie.
Kochał Alpinów, których krew w nim płynie.
Niedawno w wieszczém usłyszał marzeniu
Jęk strażniczego ducha w ich plemienu⁵);
Widział go nawet, jak w szacie błękitnej
Stał płacząc u stóp sosny starożytnej.
Niedawno w nocy Benharrowu szczyty,
Zabrzmiały nagle końskimi kopyty,
Choć nigdy jeździec śmiertelnym rumakiem
Nie śmiał i nie mógł czwałować tym szlakiem.
Niedawno piorun roztrzaskał pień sosny,
Pod którą właśnie stał duch ów żaloszny.
Wszystko na jawie. i wszystko w widzeniu
Groziło klęską Alpinów plemienu.
Wziął więc kij w rękę. i wybrał się w drogę,
Niosąc im wezesną złej wróżby przestrożę,
I stał, wezwany by obrzęd odprawić.
Gotów zarówno kląć i błogosławić.

VIII.

Stos już gotowy:—z pobliskiej zagrody
Prowadzą kozła, patryarchę trzody.
Kładą na stosie:—mnich wodą go skropił.
Wódz po rękojeść miecz w piersiach utopił.
Krew się po stosie połała strumieniem:
Cierpliwe zwierze, z błagalnym wejrzeniem.
Konając zwolna, patrzyło na wrogów,
Gdy stos ze czterech zapalali rogów.
Naówczas Brian, nad ciałem ofiary
Szeptał naprzemian modlitwy i czary,

Ułożył, strzegąc ścisłych miar przepisu,
W krzyż, łokieć długi, dwie gałęzie cisu,
Wzięte z drzew, które na Inch-Kaliachu ⁶⁾,
Wiejąc nad szczytem kościelnego gmachu,
Mrocznym swym cieniem, jak kirem żałoby,
Klanu Alpina okrywają groby.
I szum swój łącząc do jeziora szmerów,
Słodzą sen wieczny dawnych bohaterów. —
Brian oburącz krzyż wznosząc do góry,
Wzniósł razem lica i wzrok swój ponury,
A strach i zapal słuchaczów przeniknął,
Gdy taką kłatwę ku niebu wykrzyknął.

IX.

„Hańba i biada z ojca na syna!
„Kto krzyż ten widzi, a zapomina
„Że rósł na grobach klanu Alpina,
„Gdzie dawnych wodzów jego rodzina
„Śpi w cieniu drzew tych opieki.
„Niech zdrajca w nędzy wlokąc swe łań,
„Nieopłakany schodzi ze świata,
„Prochami jego wiatr niech pomiata,
„Przekleństwo ojca, syna, i brata,
„Niechaj go ściga na wieki!“

Umilkł — lennicy stojący kołem,
Z ognistym wzrokiem, z licem wesółm,
Błyszące miecze wstrzęśli nad czołem,
Tarezą o tarezę zabrękli społem —
I szmer, jak burzy dalekiój,

Rósł coraz bardziej, jak burza grzmiąca,
Jak w pośród burzy fala hucząca,
Gdy się o twarde brzegi roztrąca,
Aż okrzyk jeden z ust ich tysiąca
Zabrzmiał: „przeklęstwo na wieki!”

Wstrzęsły się echem Benanu skały,
Zawył w wąwozach wilk wygłodniały,
Spłoszone sępy wkrąg zakrakały,
Przeczuły z hasła żer, co mieć miały:
Trupy, i świeżej krwi rzeki.

X.

Ledwo wojenne umilkły okrzyki,
Mnich kończył obrzęd i pacierz swój dziki.
Cichy, posepny, był ton jego głosu,
Gdy krzyż z trzech końców zapalał u stosu.
Ze słów niewielu, co doszły do grona,
Choć w nich najświętsze wspominał imiona,
Z takim je gorzkim wymawiał przyciskiem,
Jakby je bluźnić śmiał z urągowiskiem.
Aż krzyż ognisty wstrząsając nad głową,
Rym dalszej klątwy rozpoczął na nowo:

„Hańba i biada! kto w biegu spocznie,
„Bieżąc z tym krzyżem; kto go niezwłocznie,
„Widząc, nie porwie za miecz i włócznię:
„Krzyż ten ognisty niech mu widocznie
„Rokuj · zemstę Alpina!

„Nad dachem jego ognista łona
„Świecić się będzie, jak wstyd czerwona:
„Krwawym jój blaskiem zarumieniona
„Córka i siostra, matka i żona,
..Niech wiecznie zdrajcę przeklina!“ —

Umilkł—niewiasty stojące gronem,
Z iskrzącém okiem. z bijącém łonem,
Podnosząc dzieci, płaczącym tonem,
Jak dzikie gęsi w polu zamgloném.

Wzniosły chór groźby Alpina:

„Niech dachy zdrajców spłoną jak słomy!
„Niechaj przekłństwo, zemsta, i gromy,
„Spadną na góry, lasy, i domy,
„Gdzieby przyjaciel albo znajomy
..Skrył. kogo Alpin wyklina!“ —

Zabrzmiały echem klątwy i grozy
Kojr-Uriskin u dzikie wąwozy,
I wkrąg białemi zarosła brzozy.

Beala-nam-bo dolina.

XI.

Dłużej tą razą czekano słów mnicha:
Widać jak długo, jak ciężko oddycha.
Zgrzytał zębami, dłoń zrywał gwałtownie,
Zbłąkane oczy iskrzyły jak głownie:
Znać że najgorsze gotował przekłństwa,
Na tych, co widząc znak niebezpieczeństwa,
Niewierni braciom. nieposłuszni panu,
Nie przyjdą dzielić prac wodza i klanu.

Krzyż dotąd ogniem płonący po bokach,
Zgasił, maczając w krwi wrzącej potokach,
I gdy go znowu podnosił nad czoło,
Dzikszy niż kiedy głos zabrzmiał w około.

..Gdy krzyż ten zacznie krążyć po klanie.

„Przeklęta noga, co z nim ustanie!

„Przeklęta ręka, co go odrzuci!

„Przeklęte oko, co się odwróci,

„I serce, co się przeleknie!

„Niech nieuczczony ziemskim pogrzebem

„Czerw zwłoki zdrajcy toczy pod niebem!

„Sęp niech mu serce, kruk oczy wyje:

„Jako ta ziemia stosu krew pije,

„Krew jego w ziemię niech wsięknie!

„Jako ta we krwi iskra błyszcząca.

„W nocy bez słońca, w mękach bez końca.

„Niech zgasną zdrajcy powieki!

„Niech ten krzyż, godło ludzkiej pociechy,

„Co wszystkie ziemskie odkupił grzechy.

„Jego potępi na wieki!“ —

Skończył — słuchacze stali w milczeniu,
Z przestraczem w sercu, z zgrozą w spójrzeniu,
Nikt, nawet echo w tém złorzeczeniu
Nie powtórzyło: „na wieki!“ —

XII.

Zniecierpliwiony wódz, z dumnym uśmiechem,
Krzyż z ręki mnicha pochwycił z pośpiechem,

Dał Malizowi: „Kto Alpin, do szyku!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku.
„Czas, co najrychlej! — pośpieszaj lenniku!“ —
Chyżej niż kaczka lot czując jastrzębi,
Łódź z portu wyspy pomknęła po głębi.
Na samym przodzie stał Maliz ze krzyżem,
Wioślarze wiosłem napaarli tak chyżem.
Że jeszcze bańki i wody szum biały
Kipiały w porcie i wkrąg wirowały.
Gdy się już, ledwo ślad znacząc po drodze,
Łódź ku wierzbowej zbliżała odnodze.
Trzy sążnie jeszcze być mogło przestrzeni
Od przodu łodzi, do białych kamieni.
Gdy już z niej na brzeg, jak ptak niespokojny,
Skoczył zwiastunnik pożogi i wojny.

XIII.

Śpiesz, śpiesz, Malizie! po skalach i darni
Niech jako sarna mknie obów twój sarni 7j!
Śpiesz, śpiesz, Malizie! jak łuk twój myśliwy,
Nateż u kolan żył ciągłych cięciwy:
Chył się jak jeździec, gdzie droga się wzgórzy,
Pędź w dół z gór szezytu, jak potok po burzy:
Z kępy na kępę, gzygzakiem błyskawic,
Migaj jak ognik nad grzęzią trzęsawic:
Sadź przez strumienie, jak jeleń przed chartem.
I jak chart śmigaj po polu otwartém!
Choć głąb bezdenna, choć przestwór szeroki.
Skacz! nie czas mijać rozpadlin opoki:

Choć tehu brak w piersiach, choć mdlejesz od znoju.
Bieź! nie czas w chłodzie spoczywać u zdroju;
Zwiastunie wojny, krwi, żalu i trwogi,
Pędź wprost przed siebie, bez śladu i drogi!—
Nie łani drogę zabiegasz na łowach.
Nie za dziewczyną uganasz w dąbrowach,
Nie rówienników wyścigasz do mety,
Nie w ich oklaskach czezěj szukaj podniety!—
W ręku twym wojna i niebezpieczeństwo.
W pośpiechu twoim śmierć albo zwycięztwo:
Śpiesz. śpiesz. Malizie! pamiętasz przekleństwo?—

XIV.

Pośpiesza Maliz:—na widok znajomy
Brzmia szczykiem broni wsie. pola i domy:
Z gór. z wysp. z wąwozów. zewsząd w okolicy.
Kupia się zbrojno posłuszni lennicy.
Nie staje Maliz, ni kroku wstrzymuje:
Krzyż pokazuje. czas, miejsce mianuje.
I pędząc dalej zostawia za sobą,
Głuche zdumienie. i przestraci z żalobą.
Z ręki rybaka sieć w wodę wypadła.
Kowal w pół gotów miecz porwał z kowadła;
Nie skończył kosarz zamachu swój kosy,
Śpieszy ciąć wrogów jak trawę lub kłosa;
Pasterz bez stróża trzód odbiegł na woli,
Oracz w pół skiby pług rzucił na roli;
Sokolnik na wiatr otrząsnął sokoła.
Rzuca łup strzelec. i psów swych nie woła.

Płacz żono męża. płacz matko po synu!
Ujrzeli gońca i godło Alpinu,
Każdy broń chwytą, i staje do szyku,
Każdy szyk śpieszy na łąkę Lanriku.
Szcęką broni, kobzy, i hasła po gaju,
Brzmią wkrąg po brzegach jeziora Achraju.
Piękne jezioro! trzebaż by krzyk wojny
Zakłócał nawet twój sen tak spokojny!
Góry i gaje nad wód twych przezroczem
Drzemią w milczeniu tak cichém, urocziém.
Że śpiew skowronka w najwyższym obłoku,
Zbyt zda się głośny przy twoim widoku!

XV.

Śpiesz, śpiesz, Malizie! — Ominął jezioro,
Wieś Dunkraganu już widać za górą:
Na wpół ukryte, na poły widome,
Stereją z zarośli jej dachy poziome.
Śpiesz, śpiesz, Malizie! tam trudów twych koniec,
Dziedzie wsi dalej biedz musi jak goniec.
Jak za zdobyczą sokół prędko-pióry,
Ku wiosce Maliz wprost puścił się z góry. —
Jakieżto z wiatrem brzmią echa boleści? —
Pogrzebne śpiewy, głos płaczu niewieści!
Wódz Dunkraganu, dziedzie jego ziemi,
Idzie w niej spocząć z ojcami swojemi.
Sławny myśliwiec zakończył gonitwy,
Mężny wojownik nie stanie do bitwy!
Któż cię na łowach i w bojach, Dunkanie!
Zastąpi teraz przy wodzu, i w klanie? —

W izbie zaémionój czarnemi zasłony,
Przy świetle gromnic, na marach złożony
Spoczywa Dunkan:—nieszczęśliwa wdowa,
Tłumiąc jęk w ustach, twarz oburącz chowa:
Milezy ponuro najstarszy syn jego,
Najmłodszy płacze, nie wiedząc dla czego:
Kiedy tymczasem stojące po stronach,
Niewiasty smutny tak nocą Koronach *):

XVI.

K o r o n a c h.

„Zniknął z domu, że świata,
Nasz wódz, nasza opieka,
Jak źródło wyschły wśród lata,
Gdy skwar właśnie dopieka.

„Chmura z deszczem nadśpieszy.
Woda w źródle powróci:
Lecz my! kto nas pocieszy?
Lecz on! kto go ocuci? —

„Kosa w ręku żniwiarza
Tnie kłosa tylko dojrzały;
Śmierć skosiła mocarza,
W kwiecie wieku i chwały.

„W jesień tylko wiatr zmiata
Zżółkłe liście z gałęzi;
Dunkan zwiędnął w pół lata,
Spadł jak owoc w zawięzi!

*) Pieśń pogrzebowa.

„O! najmędrszy w naradach,
O! najskorszy do czynów,
O! najśmielszy w napadach,
Któż ci zrówna z Alpinów?

„Jako rosa o wschodzie,
Jak dżdżu kropla śród rzeki.
Jako bańka na wodzie,
Znikł nasz Dunkan—na wieki!—

XVII.

Patrzcie Stumacha! jak ścicha skowycze,
Patrząc na pana wybladłe oblicze.
Biedny psie! próżno z tych ust zawołania,
Próżno z téj ręki czekasz pogłaskania!—
Jakiż znać odgłos słuch jego uderzył?
Warknął, nastawił uszy, grzbiet najeżył...
Słysząc krok ludzki:—nie krok to żałoby.
W dom umarłego idącej osoby;
Nie krok wesela, co płąsa wśród drogi:
Lecz prędki, krótki—pośpiechu czy trwogi.
Czekają wszyscy:—wtém drzwi się otwarły,
Pędem do izby, gdzie leżał umarły,
Wpadł Maliz—spójrzył na mury i ściany,
Wzniósł po nad zmarłym krzyż krwią obryzgany:
„Dunkragan z ojca przechodzi na syna,
„Synu Dunkana! śpiesz z krzyżem Alpina!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku,
„Czas, co najrychlej:—pośpieszaj lenniku!—

XVIII.

Poskoczył Angus. i gotów do drogi,
Z rąk poplecznika krzyż porwał złowrogi.
Łzy się w młodzieńca zakręciły oku.
Gdy miecz ojcowski przypasał do boku:
Ale gdy spotkał wzrok trwogi niewieściej,
Wzrok niewymownej matczynój boleści.
Wrócił od progu, i padłszy na łono
Pocałowaniem pożegnał strapioną.
„Śpiesz!” rzekła z płaczem, żegnając skroń syna,
„Synu Dunkana! śpiesz z krzyżem Alpina!” —
Spójrzył raz jeszcze ku ojcowskiój trumnie.
Otarł łzy z oczu. czołem wstrząsnął dumnie.
I jako źrebiec, gdy z ciasnej zagrody
Z wiatrem po polu puszcza się w zawody.
Wypadł, i cały odziany żałobą,
Biegł, godło wojny trzymając przed sobą.
Osłdła twarz matki z gorących potoków,
Póki w jój uchu brzmiał głos jego kroków:
A gdy we wzroku posłańca złój wieści.
Postrzegła litość i podział boleści:
„Ziemku! raz pierwszy na głos swego klanu
„Nie powstał, rzekła, Duncan z Dunkraganu.
„Skończyła ziemski swój bieg noga chyża,
„Coby biedz miała z posłannictwem krzyża.
„Ale się nie bój o godło Alpina!
„Bóg sierot będzie stróżem mego syna.
„A wy, doznanej wierności i dłoni.
„Wy, towarzysze Dunkana. do broni!

„Śpieszcie, i w bojach zasłońcie krew jego!
„Niewiast jest rzeczą opłakać zmarłego.“
Okrzyk wojenny i głośny szczeł stali
Razem w pogrzebnój odezwał się sali.
Gdy wszyscy razem, na ścianach wiszące.
Chwytali tarcze i miecze brzęczące.
Krótka, przelotna pociecha i siła
W oczach się wdowy przez łzy zaświeciła.
Jakby myślała, że na te wołania
Dunkan, jak niegdyś, zerwie się z posłania! —
Lecz prędko zgasły chwilowe zapały,
Żal swoje prawa, łzy bieg odzyskały.

XIX.

Góra Benledi ujrzała znak trwogi —
Jak błysk przeleciał Strat-Iru rozłogi.
Przez pola, lasy, bagniska i wody.
Gnał bez wytechnienia Dunkana syn młody.
Łzy w jego oku pęd wiatru osuszał,
Żal w jego sercu szum wiatru zagłuszał:
Aż po za wodą strumienia Teitu.
Na wzgórzu, lasem porośłym u szczytu
Ujrzał kres biegu, wydziału granicę,
Świętej Brygidy gotycką kaplicę.
Choć nurt wezbrany, choć most był daleko,
Nie zboczył Angus, ni stanął nad rzeką:
Choć płomień we krwi, choć zawrót czuł w oku.
Rzucił się w przepaść wrącego potoku.
Krzyż w prawej ręce podnosił nad czoło.
Lewą bród mieczem gruntował w około.

Potknął się dwakroć—rozprysły się piany,
Nad głową jego huknęły bałwany—
Gdyby był upadł—i godło i goniec
W głębiach zawodu znaleźliby koniec.
Lecz wciąż, jak gdyby kotwicę w złej toni,
Tém mocniej jeszcze krzyż ścisnął w swój dłoni:
Aż na bezpiecznym otrząsłszy się brzegu,
Wprost ku kaplicy przyspieszył znów biegu.

XX.

Tłum w niej wesoły, od samego ranku,
Tłoczył się we drzwiach i stał na krużganku.
Głośny w Alpinie z urody i sławy,
Norman, bogatj dziedzic Armandawy,
Po długiej westchnień i cierpień kolei,
Zaślubiał piękną Maryę z Tombei.
Właśnie z pod sklepień gotyckich przysionków,
Wychodził orszak szczęśliwych małżonków.
W dwóch długich rzędach szli zwolna po stronach,
Mężczyzni w piórach, niewiasty w zasłonach;
Dziewice wstydem płonęły z pod wieńców,
Słuchając żartów przybocznych młodzieńców:
W koło nich dzieci, śród skoków i krzyków
Po drodze kwiaty rzucają z koszyków;
A w ślad minstrele, tuż przed parą młodą,
Grając na kobzach, weselny chór wiodą.
Ubrana w bieli i w zielonym wianku,
Z łą i rumieńcem, jak róża w poranku,
Widna jak we mgle przez zasłonę białą.
Oblubienica stąpała nieśmiało.

Obok młodzieniec, wzrok chlubny zdobyczą
Zwracał na wdzięki i skromność dziewięcą,
A za nią matka, z łzawemi uśmiechy,
Szła szepcąc ścicha wyrazy pociechy.

XXI.

Któż ich spotyka u świątyni progów?—
Goniec, zwiastunnik łez, krwi, i pożogów!
Znak wojny w ręku, żałoba w odzieniu,
Surowość w twarzy, i boleść w spojrzaniu.
Sącząc się wodą, zziajany pośpiechem,
W ustach głos tłumiąc chwytanym oddechem,
Ku Normanowi wyciągnął krzyż krwawy:
„Kolej na ciebie, władzco Armandawy!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku,
„Czas, co najrychlej;—pośpieszaj lenniku!“—
Ach! czyliż Norman odepchnie dłoń lubej,
Dłoń wieczystemi spojona z nim śluby,
Dla tego znaku morderstwa i zguby?
Czyż dzień weselny, co wschodził tak jaśnie,
Co tyle szczęścia rokował nim zgaśnie,
Dzień, co kochanków cierpienia miał skończyć,
Maż-li małżonków tak prędko rozłączyć?—
O! srogi losie!—Daremnie, daremnie!
Norman Alpinu nie zdradzi nikiemnie:
To sprawa klanu, to wodza wezwanie,
To wola nieba!—pośpieszaj Normanie!

XXII.

Powoli jednak pled zrzucał weselny.
Złękły widokiem bladości śmiertelnój
Lie swój małżonki, i błędnym jój wzrokiem:
Aż łzy jój wreście lunęły potokiem.
Łzy zdolne serce kamienne rozczulić,
Których on nie mógł ni dzielić, ni tulić!—
Więc by nie spotkać drugiego spójrzenia.
Puścił się z góry wzdłuż brzegów strumienia
I ani pierwój obejrzał się w biegu,
Aż gdzie zdrój wpada w jezioro Lubnegu.
Lecz ach! co w sercu, co w duszy się działo!
Gdy wspomniał szczęście, co dziś go czekało:
Jój z rana piękność, nadzieje i radość,
I łzy co widział, i rozpacz, i bladość!—
Z rzewnym się żalem kochanka mieszały
Obrazy bojów, i mężka chęć chwały.
I dzikie męstwo, co serce górala
Na widok wroga wściekłością zapala.
I pamięć braci i niebezpieczeństwa.
I ach! nadzieja, że z pola zwycięztwa
Wróci okryty chlubnemi znamiony.
Spocząć w objęciach kochanki i żony!—
W tych myślach Norman, przez bagna i niwy.
Pędził wciąż prosto, jak strzała z cięciwy,
Aż smutne myśli i chlubne marzenia.
Zlały się w piosnkę wspólnego natchnienia.

XXIII.

P i e ś ś i.

„Na mchu pod drzewem moje dziś łoże.
Na twardéj tarczy skroń chyba złożę.

Do snu wojenni żanóćą stróże,

Ach! nie przy tobie, Maryjo!

A jutro może głębiéj uspiomy,
Łożem mi będzie pled mój skrwawiony.
Pieśniami żal twój nieutulony.

Na moim grobie, Maryjo!“

„Nie śmiem, nie mogę, wspomnieć się boję
Na miłość twoję, na boleść twoję.

Na szczęście, cośmy dzisiaj oboje

Roili z rana, Maryjo!

Bo nie w czas dla mnie żałość i trwoga.
Gdy klan Alpina idzie na wroga.

Jak stal być musi ręka i noga,

I pierś Normana, Maryjo!“

„Przyjdzie kres kiedyś łzom i rozstaniu!
Bo czy to legnę w krwawém spotkaniu:
Duch mój natenczas wnet po skonaniu.

Do ciebie wróci, Maryjo!

Lub gdy jak wrózę, sam wróćę może.

Gdy mi weselne uściesz łożę,

O! jak nam słodko do snu na dworze

Słowik zanóci, Maryjo!“

XXIV.

Nie tak, Balkwidrze! wzdłuż zeschniętych twych
[jarów

Szerzy się płomień pastuszych pożarów ⁹⁾,
Gdy jako morze wichrami pędzone,
Tocząc kłębami swe fale czerwone,
W ciemnościach nocy, tłem krwawej purpury
Rumienia lasy, jeziora i góry:
Jak dziś w tych jarach, gdzie Norman przebiega,
Wieść się o wojnie i krzyk jej rozlega.
Ujrzały gońca i godło Alpinu,
Smug Loch-Voilu i bór Loch-Doinu;
Pędził jak biegacz do mety wyścigu,
Po grząskich brzegach strumienia Balwigu;
Znikł w gęstych gajach zielonej leszczyny,
W głębi szerokiej Strat-Gartnu doliny,
I biegł, aż póki jak jeden mąż zbrojny,
Cały klan Alpin nie powstał do wojny:
Od starca, który, choć młodzian z zapału,
Wsparty na włóczni krok sunie pomału,
Do pacholęcia, co strzałą i łukiem
Wojował chyba z gołębiem lub krukiem.
Z gór, z dolin, z lasów. w pół chodem, w pół biegiem,
Śpieszą z osobna, kupami, szeregiem:
I jak potoki, wezbrane po burzy,
Łączą w dolinach swój nurt, i wśród wzgórzy
Pędzą z rosnącą potęgą i szumem:
Tak ci, mąż z mężem. tłum łączy się z tłumem,

Aż w końcu razem sprawieni do szyku,
Stanęli wszyscy na łące Lanriku:
Każdy z kolebki wprawiony do znojów,
Nie znając innéj zabawy prócz bojów,
Innéj miłości, prócz swego plemienia,
Innéj przysięgi, prócz wodza imienia ¹⁰⁾.
Innego prawa, prócz jego skinienia.

XXV.

Rodryk tymczasem, przez ranek ten cały.
Przeglądał przejścia Benwenu i skały,
I mnogie czaty rozesłał od świtu,
Wzdłuż granic klanu od pól Monteitu.
Wróciły wszystkie z wieściami pokoju:
Klan Brusni Graham nie myślą o boju:
W twierdzy Rednoku nie słyhać trąb głosu.
Nie tkwią chorągwie na basztach Kardrosu.
Nie błyszczy Duchraj ogniskiem czerwonym.
Czaple jak zawsze drzemią nad Loch-Konem.
Wszystko spokojne; — któż zgadnie dla czego
Wódz, zamiast śpieszyć, gdzie na rozkaz jego
Ze wszech stron klanu biegną wojownicy.
Sam, z taką trwogą w sercu i źrenicy.
Niezagrożonéj pilnuje granicy? —
Śród skał Benwenu, w najgłębszém ukryciu,
Został skarb jego, najdroższy mu w życiu.
Bo Douglas, w słowie rzeczoném stateczny.
Rzucił na wyspie przytułek bezpieczny.
I śród zakrętów, skalistej pustyni,
Ukrył się w głębiach najdzikszej jaskini.

Zdawna u bardów Celtyckich i gminu,
Głośny jest wawóz Kojr-nan-uriskinu.
I grotą, którą z krążących posłuchów.
Lud łatwowierny zwie jaskinią duchów.

XXVI.

Była to ustronń ponura i dzika,
Godna zbrodniarza albo pustelnika.
Rowem w pół góry rozpadła opoka
Czerni się z wierzchu, jak rana głęboka
W piersiach olbrzyma; boki téj szczeliny
Nawisłe mroczną gałęzią jedliny:
A na dnie bryły strzaskanych granitów,
Burzą potopu strącone ze szczytów,
Piętrząc się dziko w bezładnej ruinie,
Tworzyły niską, sklepioną jaskinię.
Dęby i sosny, roszące po wierzchu,
We dnie tam nawet rzuceały cień zmierzchu,
Chyba że promień z ukosa zbłąkany,
O krzemieniste odbiwszy się ściany,
Błysł nagłym światłem, i zgasł wśród ciemności,
Jak wzrok proroka w krainach przyszłości.
Żaden głos zwykle, prócz szmeru strumienia,
Miejsce tych głuchego nie budził milczenia:
Ale gdy burza, z piorunami w chmurach,
Po okolicznych rozległa się górach,
A wichur z gęstym pasując się borem,
Ciskał o brzegi zhukaném jeziorem:
Naówczas łoskot zwaśnionych żywiołów,
Pracę się bez przerwy w głąb ciasnych wandołów.

Wstrząsał, jak wulkan wybuchem podziemnym,
Ścianami groty i sklepem jój ciemnym.
Z takich wąwozów wilk czyha na stada,
W takich jaskiniach ryś gniazdo zakłada,
Lub nocnych zbójców kryje się gromada.
Tam jednak Duglas, z Heleną i bardem,
Spoczywał leżąc na posłaniu twardém,
Póki nie minie huragan huczący
Nad głową jego i dachem obrońcy.
Stary zabobon wieść czarów i zgrozy
Postawił strażą przed temi wąwozy;
Bo tam, jak mówią, gór leśne potwory.
Tam czarownice trzymają swe dwory,
I biada ludziom, błędzącym tą drogą,
Ktoby je ujrział, albo one kogo!

XXVII.

Już długie cienie letniego wieczora
Słały się z góry po falach jeziora,
Gdy Rodryk, z kilku wiernymi przy boku.
Zehodził z Benwenu, z zadumaniem w oku.
Już byli gaje przechodząc brzozowe
Beala-nam-bo minęli dąbrowę.
Gdy orszak naprzód pośpieszył się w biegu,
By w czas na wodę łódź zepchnąć ze brzegu:
Bo przez Loch-Katrin najprędzej pośpieszą
Dziś jeszcze z bratnią połączyć się rzeszą.
Sam tylko Rodryk, wstrzymawszy się chwilę,
Rzecz niesłychana! wódz pozostał w tyle,

Z jedynym giermkim, co łuk jego niesie,
I drogę przed nim rozgarnia po lesie:
Reszta dróg bliższych świadoma i skora.
Stała wkrótce nad brzegiem jeziora.
I był to widok wart oczu patrzących,
Ktoby ich widział z gór otaczających,
W świetle promieni poziomo błyszczących!
Olbrzymy z wzrostu, wybrani wśród klanu,
W pełnym rynsztunku, w odzieży z tartanu:
Ich pędy wiały, ich pióra pływały.
Lśniące ich tarcze raz po raz błyskały,
Gdy czołno z brzegu zepchnąwszy na wały,
Stali nad wodą, na odłamach głazu:
Żyjące grono dzikiego obrazu!

XXVIII.

Rodryk tymczasem, jak w pętach uroku,
Stał zadumany, nie ruszając kroku,
Tam, gdzie się ścieżka skręcając w gestwinie,
Wiodła w posępną Dugłasa jaskinię.
Dziś jeszcze Rodryk poprzysiągł swój dumie,
Pokonać miłość, i w dzikich bitw tłumie
Zagłuszyć w sercu bolesne wspomnienie.
I o niewdzięcznej zapomnieć Helenie.
Lecz ktoby piaskiem tamował rzek drogę.
Albo kądzielą mógł stłumić pożogę,
Jeśli trudniejszej dokazać chce rzeczy,
Niech się rozumem z miłości uleczy!—
Zmierzeha — a jeszcze wódz krąży po boru,
Jak duch na straży zaklętego zbioru:

I chociaż duma oczom jego wzbrania
Smutnej rozkoszy i łez pożegnania.
Nastawia ucha w milezeniu, i czeka.
By choć głos luby usłyszeć zdaleka.
Próżno! wiatr tylko w niepewnych powiewach,
Szemrze, szeleści, lub szumi po drzewach.—
Lecz jakież dźwięki? — to muzyka znana!
To brzmienie arfy starego Allana!
Jakież głos cichy z jej nótą się zlewa?—
To głos Heleny! lub to Anioł śpiewa!

XXIX.

Hymn do Najświętszej Panny.

„Zdrowaś Maryo! Matko zbawienia!
Wejrzyj na nędzę tułaczy!
Ty możesz ulżyć zbytku cierpienia.
Ty możesz wyrwać z rozpaczy!
Wejrzyj! pod strażą twojej źrenicy.
Ułżem próżni tęsknoty;
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty *)!
Zdrowaś Maryo!..

*) Dwa te ostatnie wiersze wzięte są z tłómaczenia téjże piosnki przez Karola z Kalinówki; umiałem je na pamięć, a lepszych ani chciałem, ani mógłbym być znaleźć. P. T.

„Zdrowaś Maryo! Panno bez zmaży!
Dla wspartych twoją opieką,
Czarne te lasy, dzikie te głazy,
W rajska się piękność obleką.
Tehnąć będą wonią po okolicy
Mroczne wyziewy tój groty:
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty!
Zdrowaś Maryo!“

„Zdrowaś Maryo! Niebios królowo!
Przed oblicznością twój mocy,
Pierzchną nieszkodząc w otehłań grobową.
Duchy pustyni i nocy.
Bez szkody ziemscy prześladownicy
Wypuszczą na nas swe groty:
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty!
Zdrowaś Maryo!“

XXX.

Zmilkł śpiew i arfa w ręce niewidomój,
Wódz słuchał jeseze, i stał nieruchomy,
Wsparty na mieczu; — aż dwakroć, nieśmiało,
Paż wskazał słońce gasnące za skałą.
Zbudził się Rodryk, brew dziko nachmurzył:
„Toż więc ostatni! ostatni!“ powtórzył,

„Ostatni w życiu głos mego Anioła?
„Stało się!“ — umilkł, dłoń przymknął do czoła.
Porwał się nagle, ręką naprzód skinął,
Ścisnął miecz w dłoni, pierś pledem obwinął,
I tuż za giermkim, krok nagląc do biegu.
Pędził wprost na dół, aż stanął na brzegu.
Rzucił się w łódkę; — wnet szybka jak strzała,
Po fal wierzchołkach jak ptak przeleciała.
Wysiedli na łąd w wierzbowej odnodze.
I szli, znużonej nie folgując nodze;
Aż przy ostatnim zachodnim promyku,
Stanęli wręście na wzgórzach Lanriku,
Zkąd widać u stóp na szerokiej łące.
Abóz Alpinów, i ognie błyszczące.

XXXI.

Na różne grona dzieląc się bezładnie,
Ci siedzą, stoją, ci chodzą gromadnie;
Najwięcej jednak płaszczami okrytych.
Odpoczywając po trudach odbytych,
Leżą na ziemi, na bujnej murawie,
Okiem zdaleka niedojrzani prawie,
Tak z zielonością zarośli i łąków,
Łączy się barwa zielonych tartanów:
Chyba że czasem, jak świetlik w pomroce,
Tu lub tam włócznia lub miecz zamigoce.
Lecz gdy po czarnych i płaszczu i piórach,
Zdaleka wodza poznali na górach.

Skoczyli wszyscy, i okrzyk potrójny
Rozległ się hasłem wesela i wojny.
Za każdym razem ech muzyka dzika
Szła brzmiać po górach imieniem Rodryka,
Umilkła wręście na Benledi wierzechu,
I cichość wzięła panowanie zmierzchu.—

KONIEC PIEŚNI TRZECIEJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

WYROČZNIA.

I.

Najpiękniejsza jest róża, gdy w cierniach rozkwita,
Najwonnejsza, gdy rosą połyska się z rana;
I nadzieja najmiłsza, gdy wśród nieszczęść świta,
I miłość najmocniejsza, gdy łzami oblana.
Piękna różo! ty odtąd bądź godłem Normana,
Powiewaj na mój czapce—i wśród wojen wrzawy.
Wróż nadzieję i miłość, gdy pokój zawita! —
Tak mówił młody Norman, dziedzie Armandawy,
Gdy fale Wennacharu złocił świt jaskrawy.

II.

I w tych marzeniach, natchnionych koleją
Żalem, miłością, i słodką nadzieją,
Smutny małżonek, ze łzą mimowolną,
Zrywał wśród cierni młodą różę pełną.

Oreże jego, łuk, puklerz i strzały.
Rzucone za nim, na ziemi leżały:
Tu bowiem stróżem postawion od wezora.
Strzegł przez noc lasu i brzegów jeziora.—
Lecz cyt! krok ludzki zatentnił po błoni.
Porwał się Norman, i skoczył do broni:
„Kto? stój! bo zginiesz!—Ha!”—poznał Maliza.
(Maliz skończywszy posłannictwo krzyża,
Szedł był na wzwiady, czy się wróg nie zbliża).
„Witaj Malizie! tak rychło z podróży?
„Pośpiech twój bliskich nieprzyjaciół wróży.”—
— „Wskaz mi, rzekł Maliz, gdzie wódz śpi w obozie?”—
— „Wódz śpi sam jeden w tym mglistym wąwozie.
„Cheesz? mnie samego masz za przewodnika.”—
Rzekł. pęd spał kłanrą. i na współstrażnika.
Śpiącego wpodłe pod rozrostłym bukiem.
Krzyknął. napiętym trącając go łukiem:
„No! Glentarkinie! wstań! dość miałeś wezasa!
„Ja idę, pilnuj jeziora i lasu!”—

III.

Oba z pośpiechem szli w stronę parowu. :
„Cóż słyhać?” Norman zapytał się znouu.
— „Różne pogłoski, a każda odmienna.
„To jednak pewno, że siła wojenna
„Stoi zebrana na równinach Dunu,
„Czekając wodza, jak chmura piorunu.
„Król zaś tymczasem, pod łowów pozorem.
„W zamku Sztirlingu ucztuje z swym dworem.

„Wkrótce z téj chmury, co ku nam się sunie.
„Grom zagrzmi w górach, i krwawy deszcz lunie.
„Myśmy nawykli do takich kąpieli.
„Okryć się pleciem będziemy umieli;
„Lecz ty, Normanie, gdzie znajdziesz ochronę.
„Byś w niej twą młodą zabezpieczył żonę?..—
— „Jak to? czyż nie wiesz? że Rodryk już wczora
„Na swoje wyspę rozkazał z wieczora
„Zgromadzić wszystkich, nim słońce zaświeci,
„Zgrzybiałych starców, niewiasty i dzieci?
„I aby wszelkiéj zabieżeć przygodzie.
„Zalecił, wszystkie będące na wodzie
„Przewozy, czółna, i rybackie łodzie.
„Ściągnąć ku wyspie, i ukryć w ustroni.
„Aby wróg z niskąd nie dostał się do niej..—

IV.

— „Mądra przeczność!—z tego wodza planu
„Znać. że jak ojciec dba o dobro klanu.
„Ależ dla czego sam dziś tak samotny.
„Obrał na nocleg ten parów wilgotny?..—
— „Oto, że wczoraj Brian śród tych jarów.
„Rozpoczął obrzęd nowych wróżb i czarów ¹⁾.
„Tag erm*), wiesz! mówiąc, że przezeń odgadnie,
„Na czyją stronę los wojny wypadnie.—
„Wołu Dunkana zabito w ofierze...”

*) Patrz w objaśnieniach.

M A L I Z.

— „Ach! znałem dobrze to szlachetne zwierze ²⁾!
Najdzikszy buhaj w całym owym stadzie,
Cośmy to, pomnisz, wzięli w Gallangadzie.
Czarne miał rogi, choć sam jak śnieg biały,
Czerwone oczy jak węgle gorzały.
Cośmy też mieli z nim bied i kłopotu,
Gdy przyszła kolej śpiesznego odwrótu!
Trud był dla wszystkich i praca nie błaża.
Idąc już nawet przez las Beal'maha,
Miotał się jeszcze i gził się jak dziki;
Lecz jak go sparły nasze pikownicy,
Tak spuścił z tonu, że przy końcu drogi,
Lada go dziecię wziąć mogło za rogi.“ —

V.

N O R M A N.

— „Zabił go Brian — i świeżo odartą
Skórę na ziemi włosem rozpostarto,
Nad wodospadem, co wiiesz, między lasem
Wali się w przepaść z głuszącym hałasem,
I jakby piorun na dwoje rozdziera
Grzbiet skały zwaną Tarczą Bohatera.
Tam rozesłano tę skórę; a na niej,
Nad samym brzegiem bezdenną otchłani,
W którąbyś spojrzeć nie mógł bez zawrótu,
Na skale drżącej od wałów łoskotu,

Czarownik wczoraj, gdy noc już zapadła,
Uległ, czekając na sny i widziadła.
Wódz śpi w pobliżu. — Lecz patrz! patrz na prawo!
Widzisz go, mnicha! z jak dumną postawą
Pnie się na ową skałę przed wawozem.
I stanął we mgle nad śpiącym obozem!
Patrz! czyż się istnym nie zdaje szatanem
Nad polem bitwy trupami zasłaném,
Lub czarnym krukiem, co patrząc jak szczwacze
Płatają w lesie sarny lub rogacze,
Czeka swój części, i wążąc się kracze 3)?

M A L I Z.

— „Dość już, dość tego! — kto inny, Normanie.
Za złaby wróżbę wziął twe przyrównanie.
Lecz dla mnie wróżba i wiara jedyna,
Jest w dzielnym wodzu i w męztwie Alpina.
A nie tam w jakimś obrządku pogańskim,
Albo, co gorsza, w tym synu szatańskim! —
Lecz któż to przy nim? — Ha! wódz, wsparty dzidą!
Patrz! zehodzą na dół — naprzeciw nam idą.“

VI.

I gdy zehodzili, w pół mową, w pół krzykiem,
Mnich uroczyście tak mówił z Rodrykiem.
„Rodryku! straszna to rzecz i zuchwała,
„Dla duszy w pętach śmiertelnego ciała,
„Kiedy krew w sercu wre ogniem lub krzepnie,
„Gdy wzrok z przestracchu słupieje i ślepnie,

„Gdy wszystkie włosy jeżą się jak włócznie ,
„Świat przyszłych rzeczy obaczyć widocznie!
„Jednak, patrz na mnie! ta bladeś na twarzy,
„To drganie w ustach, ten wzrok co się żarzy,
„I ten, co w duszy czuję szal rozpaczy,
„Żem to dla ciebie uczynił, niech świadczy.
„Tego com widział, w żadnej ludzkiej mowie.
„Żaden żyjący człowiek nie wypowie;
„Bo żaden, chyba przeklęty lub święty.
„Lub jak ja, z ojca nie - człeka poczęty,
„Mógłby tak ludzką naturę pokonać.
„By, com ja widział, widzieć, i nie skonać.
„Ja żyję, ale com cierpiał! — aż w końcu,
„Przyszła odpowiedź, jak w gromie, jak w słońcu:
„Nie przez wzrok w piśmie, nie w słowach przez uszy,
„Lecz powiedziana, wypalona w duszy: —
„...Strona, co pierwsza krew wroga prze-
[leje,
„...Zwycięstwa w boju mieć może nadzie-
[ję“].““

VII.

— „Dzięki, Brianie! dzięki za twe służby!
„Klan Alpin lepszej nie może chcieć wróżby.
„W którymże boju, on pierwszy wśród szyków
„Nie pokosztował krwi swych przeciwników?
„Lecz los, jak gdyby chciał wzmódc naszą wiarę,
„Sam nam pewniejszą nastęca ofiarę.
„Szpieg dzisiaj do nas ma przyjść pokryjomu;
„Żadne go jutro nie obaczy w domu.

„Gdzie się bądźkolwiek najpierwej ukaże.
„Wszędzie już gęste czyhają nań strażę.
„Murdoch przewodnik, co mi go sam zdradził,
„Ma dany rozkaz, by go tak prowadził,
„Że gdzieś śród lasu lub w ciasnej dolinie.
„Natrafić musi zasadzkę, i zginie. —
„Lecz któż to na nas czeka na rozłogu? —
„Ha! Maliz! witaj! co słyhać o wrogu?..”

VIII.

— „Na polach Dunu. za królewską władzą.
„Dwaj Baronowie lud zbrojny gromadzą.
„Widziałem gwiazdę Moraja sztandaru,
„I w czarném polu tarcz Hrabiego Maru.” —
— „Dobra nowina! sereu wojownika
„Dodaje siły dzielność przeciwnika.
„Kiedyż wyruszą?” — „Jeśli nie obłudnie
„Szerzą wieść sami, to jutro w południe.” —
— „Ha! więc gorące mieć będziemy spotkanie!
„Lecz gdzie? — Nic nie wiesz o Erneńskim klanie?
„Czy się dziś z nami połączy? gdyż wtedy
„Zaszedłbym wrogom na szczytach Benledi.
„Nie wiesz nic? — mniejsza! więc samym czas radzić.
„Wąwóz Trosachu musimy osadzić.
„I walczyć będziemy na brzegach Katrinu.
„W obliczu niewiast i starców Alpinu:
„Każdy za wszystko najmilsze na świecie,
„Syn za rodziców, i ojciec za dziecie,
„Mąż i kochanek za oblubienicę. —
„Lecz cóż to? wiatr mi powionął w źrenice?”

„Czy grożącego smutku znak proroczy?
„Że się łąza, czuję, po licu mém toczy! —
„Lecz pierwój Saxon z posady wyruszy
„Skałę Benledi, lub szczyt jój pokruszy,
„Niżliby zachwiał potęgą méj duszy!
„Nie! ufam sereu mojemu jak tarczy,
„Że mi na odpór złych losów wystarczy. —
„Lecz dość! — już słońce daleko od wschodu:
„Naprzód, Malizie! dać znak do pochodu!“ —
Brzmi dźwięk pibrochu, zrywają się mężo,
Szumią chorągwie, błyskają orężo,
Stają szeregi, i z głośnym okrzykiem
Rusza się obóz za wodzem Rodrykiem. —
— Lecz duch mię wieszczy, od zbrojnego gminu.
Porywa w ustron Kojr-nan-Uriskinu.

IX.

Gdzież Duglas? — odszedł; — w posepném milczeniu,
W bieli, przed grotą, na szarym kamieniu
Siedzi Helena; łzy błyszczą w spójrzeniu,
I znać z jak smutném roztargnieniem ducha,
Słów Allan-Bana, słów pociechy słucha.
„Wróci on, wierzaj! niechaj cię nie smuci
„Czcze przywidzenie; — obiecał, powróci.
„Czas téż by przecie przed grożącą wojną,
„Gdzieś jaką ustron wynaleźé spokojną.
„Sami Alpini nie dobrze znać wróżą,
„Chroniąc się przed nią, jak ptastwo przed burzą.
„Widziałem łodzie, przez całą noc wczora,
„Jak z pochodniami po falach jeziora

„Migały zewsząd śród ciemności nocnej.
„Jak latające skry zorzy północnej.
„Widziałem dzisiaj, jak gęsto w szeregu
„Stoją u wyspy, przyparte do brzegu,
„Jak stado kaczek przypadłych do ziemi,
„Gdy w górze sokół szybuje nad niemi.
„Jeśliż to z wojną oswojone plemię,
„Kryje się przed nią i opuszcza ziemię,
„Mógłże twój ojciec, w tak ciężkiej potrzebie,
„O bezpieczeństwie nie myśleć dla ciebie?“ —

HELENA.

— „Nie, nie! Allanie! ten pozór wyprawy.
Złowieszczęj we mnie nie uspi obawy.
Serc kochających przecucie nie myli.
On sam, w ostatniej pożegnania chwili,
Nie chcąc przedemną swój zamiar objawił.
Kiedy mię żegnał, i gdy błogosławił,
Widziałam, jak się zdobywał na męstwo;
Zgadłam, że idzie na niebezpieczeństwo! —
Allanie! jestem niewiastą, lecz umiem
Pojąć ducha męża; myśl wielką rozumiem,
Duszę Duglasa czuję w mojej duszy:
Jak woda, którą lada wiatr poruszy,
Odbija jednak w swém łonie ruchomem.
Góry i skały niezachwiane gromem. —
Zgubny cios wisi nad rodem Alpina.
W nim, sądzi Duglas, téj wojny przyczyna.
Widziałam, cały jak stanął w płomieniu,
Gdy mu o swoim powiadał widzeniu,

O owych więzach, com niby ja sama
Kładła na ręce Malkolma Grahama.
Nie wiem, czy wiara w sen twój wyobraźni,
Czy sam czuł bojaźń troskliwej przyjaźni:
Lecz widząc obu przyjaciół swych, którzy
Mogliby zginać, nas broniąc od burzy —
Nie! bardzie! Duglas nie mógł chwiać się dłużej!
Cóż znaczą słowa, i żal jego niemy:
„Jeśli nie tutaj, tam się zobaczymy?“
Co znaczy rozkaz, by jeśli przed nocą
Nie wróci do nas, za twoją pomocą,
W Kambus-Kennetu klasztornej zaciszy
Skryć się, i ród mój wyznać przeoryszy?—
O! nie! nie płonny mój domysł i trwoga!
Duglas sam poszedł oddać się w moc wroga;
Poszedł swą głowę złożyć u stóp tronu,
By swych przyjaciół ratować od zgonu;
Poszedł uczynić, coby uczyniła
Córka Duglasy—gdyby synem była.“—

XI.

A L L A N.

— „Nie, nie! Heleno! unosisz się w trwodze.
Ojciec twój zwłoki lękając się w drodze,
Wskazał ci tylko ów klasztor spokojny,
Byś w nim tymczasem ustrzegła się wojny.
Lecz wróci pewnie.—Co zaś o Grahamie—
Niech Niebø krzepi duch jego i ramię!

Widzenie moje choć ziści się w porze,
Jemu ni tobie źle z niego nie wróżę.
Kiedyż mój wieszczy sen nie był prawdziwym?
Przypomnij tylko o gościu myśliwym;
Wspomnij wczorajsze arfy mojej brzmienie,
Co nam dzisiejsze wróżyło cierpienie!
Prawdziwą była wyrocznia złowieszcza,
Zawierz jój śmiało, gdy dobro obwieszcza.
Byle już tylko wyjść z dzikich tych jarów! —
Zgubną jest zawsze dla ludzi moc czarów.
Wiém o tém wiele ciekawych powieści. —
Otrzyj, Heleno, łzy próżnej boleści!
Niegdyś cię moje cieszyło śpiewanie.“ —

H E L E N A.

„Będzie i teraz.—Lecz przebacz, Allanie,
Że łez mych wstrzymać nie czuję się w stanie.“ —
—Bard zaczął prostą pieśń, lecz roztargnione
Myśli Heleny, gdzieś w inną szły stronę.

XII.

B a l l a d a.

ALIKA ⁵).

Pięknie, wesoło w onym, lesie zielonym.
Gdy ptaszęta świegocą, śpiewają;
Gdy strzelecy polują, jelenie harcują,
A psy gończe po śladach szekają.

„Aliko jedyna! mych przodków dziedzina
Stracona przez miłość dla ciebie;
Błądzimy w pustyni, mieszkamy w jaskini,
Bez ulgi, bez wsparcia w potrzebie.

„Aliko jedyna! miłości w tém wina.
Że ciebie i siebie zgubiłem:
Śród nocy, śród sprzeczki, w dzień naszej ucieczki,
Brata twego nie chcąc zabiłem.

„Dziś moja dłoń śmiała, co zbroje rąbała,
Ciąg musi gałęzie i drzewa;
Lub zbierać mech szary, by zatkać skał szpary,
Zkąd zimny wiatr na cię powiewa.

„I twoja dłoń biała, co z lutnią igrała,
Do miękkich nawykła atłasów,
Dziś sama się uczy, ze skóry borsuczój.
Szyć odzież na zimę śród lasów!“ —

— „Ryszardzie jedyny! nie z twojej to winy
Brat poległ — zrządzenie w tém losów;
Bo kłótnia wzajemna, bo noc była ciemna,
Bo nikt z was nie mierzył swych ciosów.

„Że teraz śród lasów, ja miękkich atłasów,
Ty nie masz szkarłatu i zbroi:
Zarówno mi luba, ta odzież choć gruba,
Strój łowczy ci równie przystoi.“

„Choć musisz oskardem, ciąć włonie skałtwardém *),
By zwiększyć pieczarę tę dziką:
Tu za to Alika jest z swoim Ryszardem,
Tu Ryszard ze swoją Aliką.” —

XIII.

Pięknie, wesoło w onym, lesie zielonym.
Gdy nadobna Alika pieśń śpiewa.
A z pieśnią po boru, brzmią szczęki toporu.
Gdy Lord Ryszard tnie sęki i drzewa.
Usłyszał śpiewanie, usłyszał rąbanie.
Król czarów, co mieszkał śród góry^{*)}:
Jak wieher pustyni w ruinach świątyni.
Zahuczał głos jego ponury.

„Kto szerzy hałasy? kto rąbie me lasy?
Kto nosi mój kolor zielony?
Kto w moje dąbrowy śmie chodzić na łowy?
Kto płoszy zwierzynę méj żony?—

„Urganie, mój gnomie! stań przed nim widomie!
Wszak byłeś ochrzczoneń dziecęcim^{*)}:
Choć będzie cię żegnać, nie zdoła odegnać,
Nie strwoży łacińskim zaklęciem.”

„Idź, rzuc nań przeklęstwa: rozpaczy, szaleństwa.
Dni tęsknych i nocy bezsennych:
Niech śmierci pożąda, lecz próżno wygląda.
I żyje w konaniach codziennych!”

^{*)} Oskard, rodzaj siekiery.

XIV.

Pięknie. wesoło w onym, lesie zielonym,
Choć i zmierzchno. i ptastwo nie śpiewa;
W jaskini dziewica. ognisko podsycę,
A Lord Ryszard przynosi więź drzewa.

Wtém Urgan z pod ziemi. wyskoczył przed niemi;
Lord Ryszard jął krzyżem go żegnać.
„Dłoń krwawa. człowiecze!” gnom sztydząc mu rzece,
„Nie zdoła mię krzyżem odegnać.“

A na to się śmiała Alika ozwała.
Niewiasta z odwagą rycerza:
„Jeżeli krwi jakiej. dłoń jego ma znaki,
To chyba krwi ptaka lub zwierza!“ —

— „Na duszęś skłamała. niewiasto zuchwała!
Za kłamstwo nie minie zapłata:
Najlepiej wiesz sama. krwi czyjjej to plama —
Krwil ludzkiej. krwi twojej. krwi brata!“ —

To słysząc Alika. krok naprzód pomyka,
I wprost się do widna przybliża:
„Jeżeli cię ręka skrwawiona nie lęka,
To oto ja robię znak krzyża.

„I zaklinam ciebie. przez Boga na Niebie,
Przed którego piekła drżą mocą,
Ażebyś mi. czaracie. powiedział otwarcie,
Zkąd do nas przybywasz. i po co?“ —

XV.

U R G A N.

„Pięknie, jasno jak w raju, w czarodziejstw kraju,
Gdy wkrąg ptaki zakłète śpiewają,
Gdy z królem w dąbrowy, dwór jedzie na łowy.
A ich konie rzędami brząkają.

„I wszystko tam wkoło, lśni zda się wesolo:
Lecz blask to jest martwy i zwodny *)
Jak promień co w Grudniu, od słońca w południu,
Skrzy w śniegu jak ogień, a chłodny.

„I jako on zmienny, jest kształt nasz codzienny,
Czém chcemy, możemy wnet zostać:
Czy ptakiem, czy zwierzem: dziewczyną, rycerzem:
Olbrzyma, czy karła wziąć postać.

„Popadłem w moc czarów, raniony wśród swarów,
O półnoocy, w myślach zawziętych:
Gdym leżał w pół żywy, król czarów straszliwy,
Porwał mię do krajów zakłetych 9).

„Lecz gdybym miał kogo, co byle nie z trwogą,
Przeżegnałby trzykroć me czoło.
Człowiekiembym ożył, kształt dawny mój włożył.
I żyłbym, nie grzesząc, wesolo.” —

Nie zwłócząc posługi, raz jeden i drugi
Alika go żegna bez trwogi.
Twarz gnoma zezerniała, jaskinia zadrżała.
Zatrzęsły się ściany i progi.

Nie zlekła się przecie. i żegna po trzecie,
Odważna niewiasta!—O! dziwy!
Gnom zniknął. lecz stoi młodzieniec we zbroi,
To brat jój! brat zdrowy i żywy! —

Pięknie. wesoło w onym, lesie zielonym.
Gdy ptaszęta zabrzmiały nad rankiem:
Lecz w zamku Aliko weselsze okrzyki.
Gdy wróciła z bratem. z kochankiem.

XVI.

Ledwo pieśń Barda i arfa ustały,
Gość jakiś ku nim szedł pnąc się na skały.
Rycerska postać, na czole wryta
Myśl. strój myśliwski. i z czaplich piór kita.
I oko bystre jak iskra piorunu,
Budzą wspomnienie:—Fitz-Jakób z Snowdunu!
Jak na zjawienie straszego widziadła.
Helena nagle struchlała i zbladła.
„O! cudzoziemcze! jakież los złowrogi
„Trzygnał cię tutaj w dniach wojny i trwogi?“ —
— „Nie jest złowrogim los, co mi użycza
„Raz jeszcze blasku twojego oblicza.
„Góral ów. pełniąc obietnicę daną.
„Dawny przewodnik, spotkał mnie dziś rano,
„I wskazał, dzięki moim prośbom i zlotu.
„Szczęśliwą drogę mego tu powrotu.“
— „Szczęśliwą!—Nie-że nie mówił o wrogach,
„O bliskiej wojnie, o strzeżonych drogach?“ —

— „Nie, ani słowa; i sam w przejściu całym,
„Żadnego wojny znaku nie widziałem.“ —
— „O! śpiesz, Allanie, do tego człowieka!
„Patrz, tam z za skały przed widać zdaleka.
„Zbadaj co myśli, proś, żądaj koniecznie,
„By cudzoziemca wiódł nazad bezpiecznie. —
„Po coś, nieszczęsny, wrócił w te pustynie?
„Nie ma jednego człowieka w Alpinie,
„Coby ujęty cheiwością lub trwogą,
„Bez wiedzy wodza wprowadził tu kogo.“ —

XVII.

— „Piękna Heleno! widząc jak cię trwoży.
„Sam odtąd życie będę cenil drożej.
„Lecz cóż jest życie, i na co się zdało,
„Gdy je okupim miłością lub chwałą?
„Posłuchaj, pozwól, bym szczerym wyrazem.
„Cel przyjscia mego objawił zarazem.
„Przychodzę wyrwać i wrócić cię światu.
„Z pustyń, niegodnych tak pięknego kwiatu:
„Przychodzę unieść na łono pokoju,
„Z krwawego pola wojny i rozboju.
„W lasach Bochastlu ukryte rumaki,
„Do bram Sztirlingu przelecają jak ptaki:
„Tam cię jak różę, królowę ogrodów.
„Strzedz będę w cieniu od skwarów i chłódów!...“
— „O! przestań. przestań! — nie chcę i nie umiem
„Udawać, mówiąc, że cię nie rozumiem.
„Nadto już przedtém twój gładkiej pochwały
„Płocze me uszy z rozkoszą słuchały.

„Zgadłeś to, wracasz w nieszczęsną godzinę. —
„Czémże, ach! czémże naprawię mą winę?—
„Jeden jest sposób!—niech przejrzy mą duszę!—
„Milcz dumne serce!—wszystko wyznać muszę.
„Grzech swój próżności zgładź wstydem pokuty!—
„Lecz wprzód — mój ojciec jest ze czei wyzuty,
„Wygnany z kraju, wyjęty z pod prawa:
„Posag mój byłby: nędza i niesława. —
„Co? nie dbasz o to?—więc prawdę odkryję.
„Jest jeden młodzian—jeśli jeszcze żyje—
„Narażen dla nas, za nieposłuszeństwo.
„Na gniew królewski i niebezpieczeństwo...—
„Wiész wszystko: zdrady chcieć nie możesz po mnie.
„Oddal się, przebacz, i zapomnij o mnie!”—

XVIII.

Fitz-Jakób dobrze znał serce tajemnice,
Zręczne udania i sztuki kobięce;
Ale tu poczuł i poznał różnicę.
Okło jój jasne i patrzące śmiało,
Spokojnie prawdę jój słów potwierdzało:
Ufna niewinność jaśniała z oblicza.
Chociaż je skromność krasila dziewicza;
A gdy mówiła o swojej miłości,
W głosie brzmiał wyraz tak jawnej żalości,
Takiéj boleści, jak gdyby w téj dobie
Przedmiot jój uczuć spoczywał już w grobie.—
Uznał Fitz-Jakób nadziei swych mylnosć,
Ale z nadzieją nie zgasła przychylnosć.

Chciał jak brat siostrze być za przewodnika.
— „Nie, nie! ty nie wiesz, ty nie znasz Rodryka!
„Musim się rozstać. — Śpiesz! Allan ci powie,
„Czy możesz ufać w przewodnika słowie.“ —
Z ręką na czole, w dumaniu głębokiem.
Znać sprzecznych uczuć miotany natłokiem.
Już chciał był odejść, i postąpił krokiem —
Wtém, jakby nową myśl w sercu ocucił.
Wstrzymał się nagle, i nazad powrócił.

XIX.

„Słuchaj, Heleno! słowo tylko jedno! —
„Los zdarzył niegdys, że tą ręką biedną,
„W natłoku bitwy ocaliłem króla.
„Gdy mu groziła śmierć albo niewola,
„Wdzięczny Monarcha, na znak swój podzięki,
„Dał mi ten pierścień, z własnej zdjęty ręki,
„I rzekł, że jeśli w jakiegokolwiek porze,
„Przyjdę, i pierścień w ręce jego złożę,
„O cobym tylko mógł prosić wzajemnie,
„Król żadnej prośby nie puści daremnie.
„Jam nie jest dworak, wśród obozów wzrosłem,
„Żyć z krwi i z miecza jest mojem rzemiosłem;
„Zamkami memi jest mój hełm i tarcza.
„Plac bitw wygranych za państwo wystareza,
„O cóżbym prosił dla siebie, ja, który
„Nie dbam o żadne zaszczyty i zbiory? —
„Daj rękę! — pierścień do ciebie należy.
„Uzna go każdy z dworzan i żołnierzy.
„Sama do króla udaj się bez trwogi,
„Pierścień ten wszystkie otworzy ci drogi,

„Proś o co zechcesz. król ci nie odmówi,
„Pomnąc co winien mnie. Fitz-Jakóbowi.”—
Rzekł —na jój palcu złoty sygnet błysnął—
Ujął jój rękę, do ust swych przycisnął,
I odszedł nagle;—Bard osłupiał z trwogi,
Z takim go pędem ominął w pół drogi.
Wziął przewodnika. i oba pospołu,
Zbiegłszy z gór wkrótce stanęli u dołu.
I szli przez Trosach, nad brzegiem ruczaju.
Co łączy Katrin z jeziorem Achraju.

XX.

Wszystko spokojne w głębokościach jaru,
Powietrze tylko migoce od skwaru.
Wtém Murdoch świsnął.—„Co to jest? znak jaki?”—
—„Nie! chciałem tylko rozpędzić te ptaki.”—
Spójrzył Fitz-Jakób, i poznał w ustroniu
Trup konia swego:—„Ach! dzielny mój koniu!
„Lepiejby było i tobie i panu,
„Nie widzieć nigdy Alpińskiego klanu!—
„Murdochu! naprzód!—lecz niechno usłyszę
„Głos twój raz jeszcze—patrz. czém cię uciszę!”—
Z ręką na mieczu, w milczeniu głębokiém.
Szli, bacząc na się podejrzliwym wzrokiem.

XXI.

Ślad krętej ścieżki, ciasnej i kamiennój,
Wił się nad brzegiem przepaści bezdennój,
Gdy oto! postać znędznionój niewiasty,
Ubrana dziko w łachmany i chwasty.

Z licem zezernioném letniemi upały,
Zaszła im drogę na urwisku skały;
I szybko wzrokiem rzucając wkrąg siebie.
Po górach, lasach, przepaściach i niebie,
Zdała się na wpół z radością i trwogą,
Czy bać się czego, czy wyglądać kogo. —
Wieniec z traw dzikich wisiał na jój skroni,
Pękiem piór czarnych powiewała w dłoni,
Piór, co je orły szybując w obłokach,
Gubią po puszczech i stromych opokach:
Tych ona szuka i zbiera do koła. . . .
Gdzie ledwo giemza zaczepić się zdoła. —
Gdy pęd górą zdaleka spostrzegła,
Krzykiem jój trwogi przepaść się rozległa:
Ale się nagle zaśmiała jak dziecko,
Widząc Saxona i odzież strzelecką:
Nagle umilkła, i dłoń załamała.
Zaczęła płakać, i płacząc śpiewała.
Śpiewała! głos jój za czasów szczęśliwych,
Słynać mógł kiedyś przy dźwięku arf tkliwych,
Bo i dziś jeszcze choć twardy, zdziczały,
Wdzięczném się echem odbijał o skały.

XXII.

P i e ś ó.

„Spać mi kazali, modlić się kazali,
Bili mię, mówiąc, zem w szaleństwie dzikiem:—
Ja spać nie mogę pod dachem górą,
Nie chcę się modlić góralskim językiem.

„Lecz gdybym była w mojej krainie.
Gdzie czysty Dewan. gdzie Allan płynie.
Takbym słuchała, tak się modliła.
Ażby śmierć sama żal mój uspiła.

„Na mojej skroni tak kiedyś był wianek!
Śpiesz, śpiesz, mówili dobrzy przyjaciele.
Idź do kościoła, tam czeka kochanek.
Wesel się, wesel. dziś twoje wesele!

„Przekłęta zdrada! przekłęte śluby!
Zwiędął mój wianek, zginął mój luby!—
O! śnie mój piękny! na coś mię łudził?
O! dniu okrutny! na coś mię zbudził?“—

XXIII.

— „Kto ta dziewczyna? co znaczą jej żale?
„Czemu tak smutna. po urwistej skale!
„Czepia się w płaszczu na wiatrach rozdętym.
„Jak czarna czapla nad źródłem zakętym?—
— „Blanka z Dewanu“— rzekł Murdoch zmięszany.
„Branka mająca rozum obłąkany:
„Wzięta w dzień ślubu, gdy na czele klanu
„Rodryk dań zbierał z nadbrzeży Dewanu.
„Jój oblubieniec śmiał stawać oporem.
„I legł pod wodza naszego toporem.
„Dziw mnie, że sama tak włóczyć się waży.
„Musiała uciec z pod Maudlina straży. —
„Precz ztąd, szalona!“— łuk podniósł nad głową.—
— „Wara!“ Fitz-Jakób zakrzyknął surowo.

„Palcem jój tylko śmiej tknąć się, zuchwały!
„A zlecisz w przepaść, jak kamień ze skały! —
— „Dzięki, obrońco! dzięki!” — Blanka rzekła.
I drząc do jego boku się uciekla.
„Patrz, co piór różnych zebrałam dla siebie;
„Kochanka mego chcę szukać po niebie!
„Nie dam ich temu krukowi — niech spadnie!
„Niech go tam wilki pożerają na dnie!
„Albo nie! lepij, niech lecąc w pół drogi
„Pledem się swoim zaczepi o głogi.
„I niech tak wisi, aż sęp wygłodniały
„Przyleci żywcem szarpać go w kawały!” —

XXIV.

— „Dość, dość!” rzekł rycerz — „Tysłodkospogląd asz
„Prosisz mię pięknie: więc zrobię co żądasz.
„Choć już mym oczom nie staje promieni,
„Miły im widok myśliwskiej zieleni:
„Choć rozstrojone stróny mego ucha.
„Saxońskiej mowy rade ono słucha.
„I on był łowcem, mój ulubiony.
Co serce biednej Blanki ułowił:
Jak ty on nosił kolor zielony,
Jak ty saxońskim językiem mówił! —
„Lecz ach! nie o tém chciałam ci zaśpiewać...
„Musisz być mądry, więc umiesz zgadywać.” —
I zaraz zeicha, z obłądnym uśmiechem.
Pieśń nową nócić zaczęła z pośpiechem.
I wciąż na przemian, z przerażeniem w oku.
To na górala poglądała z boku,

To na Saxona mrugała. to znowu
Patrzyła bystro ku głębi parowu.

XXV.

P i e ś ń.

„I koły zabili, i sieć nastawili,
I sami zasiedli w około;
I łuk nateżyli, i nóż wyostrzyli,
Myśliwey wesoło, wesoło.

„Był jeleni wspaniały, najpierwszy w swém stadzie,
Do góry niósł rogi i czoło;
Biegł prosto doliną, nie wiedział o zdradzie,
Poglądał wesoło, wesoło.

„Ujrzała go łani, i drogę zabiegła,
Choć sama raniona straszliwie;
Wiedziała o zdradzie, jelenia ostrzegła,
Ostrzegła życzliwie, życzliwie.“

„A jeleni miał oczy, i mógł się wystrzegać —
Niech patrzy troskliwie, troskliwie!
A jeleni miał nogi, i mógł się wybiegać—
Niech bieży szczęśliwie, szczęśliwie!“

XXVI.

Saxon czém inném miotany przez drogę,
Stracił był z myśli Heleny przestroge:

Lecz świst Murdocha wątpliwość w nim wzniecił,
A śpiew go blanki do reszty oświecił.
Nie jako jeleni; gdy zoczy obierze *),
Lecz jak lew gniewny gdy zdradę postrzeże.
Wyrwał miecz z pochwy. i naprzód poskoczył:
„Wyznaj swą zdradę, lub gin!”—Murdoch zoczył
Ruch Fitz-Jakóba, i pomknął skwapliwie,
Puściwszy strzałę co miał na cięciwie.
Świszcząc drasnęła wierzeh kity Saxona.
I w piersiach Blanki zadrgnęła utkwiona.
Teraz, Murdochu! daj dowód pośpiechu.
Co siły w nogach, i w piersiach oddechu!
Bo jak grom groźny. a jako wiatr chyży.
Mściciel za tobą!—już bliżej, już bliżej!
Los na twą rączosć zdał swe przeznaczenie —
Krok wolniej, zguba:—krok prędzej. zbawienie.
Blisko już, blisko, ukryci ziomkowie.
Czają się w trawach. jak węże w parowie;
Dość, byś ich dobiegł, zawezwał opieki!....
Nie! nie dobieżysz. nie ujrzysz na wieki!
Wróg tuż! już dopadł—miecz świszcze. migocze.
Jak błysk piorunu, gdy sosnę druzgoce,
Spadł—wzrok Murdocha zgasł w wiecznej pomroce.
Reki i nogi Fitz-Jakób używał,
Gdy z piersi wroga miecz nazad dobywał.
I zgięty nad nim. ze wżgardą spojierał,
I śmiał się patrząc. jak zdrajca umierał.

*) Sieci myśliwskie.

Pocém już wolniej, nad brzegiem jaskini.
Wracał na pomoc ranionój zbawczyni.

XXVII.

Pod gęstą brzozą, tuląc się w lachmanach.
Siedziała, łokcie wsparłszy na kolanach.
Sama już strzałę z swych piersi wyrwała.
Patrzyła na nią, i gorzko się śmiała.
Wieniec jej z chwastów i z piór upleciony.
Leżał przy nogach krwią cały zbaczony.
Rycerz chciał wstrzymać krew, co z rany ciekła. —
„Próżno! daj pokój, cudzoziemcze!” rzekła.
„Ta chwila śmierci, przed zejściem ze świata.
„Wraca mi rozum stracony przez lata.
„Z krwią zda się razem spływają z przed oka.
„Dziki widziadła i mglista pomroka.
„Umiéram biedną, skrzywdzoną nędznicą. —
„Lecz łzy litości, co w twych oczach świecą.
„Lecz ten blask gniewu, co ogniem z nich strzela.
„Wróżą mi w tobie krzywd moich mściciela. —
„Widzisz te włosy? — masz! daję je tobie.
„Zawsze je, zawsze nosiłam przy sobie.
„W chwilach boleści, rozpaczy, szaleństwa,
„W nich miałam źródło pociechy i mięztwa.
„Złotawe niegdyś, jak twoje dziś, były,
„Lecz krew, łzy, lata, blask dawny przyćmiły.
„Nie mogę mówić, kiedy, z czyjéj skroni.
„I jak do mojej dostały się dłoni —

..Mózg mi się kręci!—Na pamięć krzywd moich,
..Weź je. na hełmie noś obok piór swoich,
..Aż deszcz i słońce wybielą z nich plamy;
..Wtenczas je odnieś, i oddaj mnie samój!...
..Znow marzę!—Boże! niech choć chwilę jaśnie
..Świeci mój rozum, nim na wieki zgaśnie!—
..O! na krzyż święty, co zdobi pierś twoją,
..Na życie twoje, zbawione krwią moją.
..Zaklinam, jeśli głośny z krwawych czynów
..Spotka cię kiedy wódz zbójczych Alpinów,
..W czarnym swym płaszczu, i z czarném swém pió-
[rem,
..Z skrwawioną ręką, i okiem ponurém,
..Czy będzie jeden, czy na czele klanu,
..Walcz z nim, i pomścij krzywd Blanki z Dewanu!—
..Teraz—o! Boże! już mówić nie mogę —
..Czyhają na cię — strzeż się!—rzuć tę drogę!“—

XXVIII.

 Czułe miał serce Fitz-Jakób waleczny,
Zapomniał na się, że nie był bezpieczny,
I długo, z żalem i gniewem w źrenicy,
Stał patrząc na śmierć nieszczęsnej dziewicy.
..Niech mi tak Pan Bóg pomoże w potrzebie,
..Jak ja się pomścze krzywd twoich za ciebie!“ —
Rzekł, i do włosów oblubieńca Blanki,
Dodał splot włosów tak wiernej kochanki,
Zmaczał je razem w krwi ciepłej potoku,
I u piór czapki zawiesił na boku:

„Klnę się na Tego, co jest prawdy źródłem!
„Hełm się mój inném nie ozdobi godłem.
„Aż znak jój krzywdy i przysięgi mojej.
„Krwia się jój wroga i mego napoi! —
„Lecz cóż to? slysze krzyk w głębi parowu.
„Psy się, jak widzę, zerwały do łowu.
„Ale poznają, wprzód może niż życzą,
„Jak lew, choć w sieci, jest trudną zdobyczą!” —
Rzekł, i ze znanj, lecz strzeżonej drogi.
Bocząc, jał drzeć się przez ciernie i głogi.
I często krążył lub cotał wstecz kroki.
By minąć przepaść lub strumień głęboki.
Aż gdy już słońce gasło u zachodu,
Mdlejąc na siłach ze skwaru i głodu.
Padł na murawę, i ufnj w swém męztwie.
Marzył, nie myśląc o niebezpieczeństwie:
„Z wszystkich mych przygód i szaleństw na świecie.
„To już ostatniém powinno być przecie!
„Trzebaż ślepoty, nie przejrzeć zawczasu.
„Że całe gniazdo tych szerszniów śród lasu.
„Ruszy się w pole i żądła wysunie.
„Skoro posłyszą o zbiorze wojsk w Dunie! —
„Jak psy znać teraz rozbiegli się zgrają,
„Słyszę jak świszczą, i hasła podają!
„Jeśli mam dalej brnąć w parów ten ślepy.
„Wpadnę w ich ręce, jak zwierz na oszczepy.
„Wolę tu skryć się, i czekać do zmroku.
„A wtedy oślep iść drogą wyroku.” —

XXIX.

Wieczne cienie ścisnęły się w massy,
Sinią pomroką powlokły się lasy;
Puszczyk się ozwał w skały rozpadlinach.
Szczekanie lisa słychać po dolinach.
Dość jeszcze światła zostało na niebie,
By idącemu widziéć wkoło siebie,
Lecz już nie dosyć, aby go zdaleka
Dójrzało oko drugiego człowieka. —
Szukając drogi to ręką, to okiem,
Zwolna Fitz-Jakób krok stawiał za krokiem.
Nie to są kraje, w których letnie ciepło
Tchem dziennym jeszcze grzeje północ skrzepłą.
Lecz każdy powiew, co go z gór spotykał,
Mrozącym dreszczem do kości przenikał.
Ziębły, zgłodniały, w ustawicznej trwodze,
Środkiem zasadzek, po nieznanój drodze,
Szedł, smutnym myślom popuściwszy wodze:
Aż okrążywszy zrab skały, tuż blisko
Ujrzał przed sobą płonące ognisko.

XXX.

W świetle od ognia, jasném i czerwoném,
Stał góral w płaszczu, z czołem nachylném.
Szmer usłyszawszy, nim broń porwać zdołał:
„Kto? stój! bo zginiesz!.. — głos groźny zawołał.

- „Jestem podróżny.” — „Czego ci potrzeba?” —
— „Snu, przewodnika, ogrzania i chleba.” —
— „Jestżeś przyjaciel Rodryka?” — „Bynajmniej!” —
— „Wrogiem się nie śmiesz nazywać przynajmniej?” —
— „Śmiem! wrogiem jego i wszystkich Alpinów,
„Co mu do sprośnych pomagają czynów.” —
— „Śmiałyś! — lecz chociaż myśliwskim zwyczajem,
„Szlachetnym zwierzom względ pewny przyznajem,
„Choć czas i miejsce dać musim zdobywszy,
„Nim puścim strzałę, lub charta ze smyczy:
„Któż kiedy jakich strzegł praw i przepisów.
„Gdzie i jak łowić i zabijać lisów,
„Lub karać zdrajców, co chytrym przebiegiem?...
„Lecz nie! to kłamstwo! — ty nie jesteś szpiegiem!” —
— „Nie! na mój honor! i niech mi tu stanie
„Sam Rodryk, z dwóma najlepszymi w klanie:
„Niech spoczne chwilę — a miecz mój ochoczy
„Ostrzem im potwarz wyrzuci na oczy.” —
— „Jeśli w ciemności dobrze widzieć mogę.
„Masz pas rycerski, i złotą ostrogę?” *) —
— „Tak! i z tych znaków znaj moją powinność:
„Poskraniać przemoc, i wspierać niewinność.” —
— „Dość na tém! — siadaj, i dziel w dobrej wierze.
„Żołnierską pościel, żołnierską wieczerzę.” —

XXXI.

Rzucił na ogień więz suchej jedliny,
I dobył z torby wędzonej zwierzyny.

*) Godło rycerstwa.

Siedli na trawie. Gall obok Saxona.
Połowę pledu dał mu na ramiona.
Częstował milcząc. a gdy jeść przestali.
Patrząc mu w oczy, w te słowa rzekł dalej:
„Saxonie! przyjaźń łączy mię z Rodrykiem.
„Jestem mu krewnym i wiernym lennikiem:
„Każda z ust twoich czei jego zniewaga.
„Obrony po mnie i pomsty wymaga.
„Nadto—jest wróżba. w co każdy z nas wierzy.
„Że od twój śmierci los klanu zależy.
„Byłem chciał—widzisz tę trąbkę u boku?—
„Dość zadać. zginiesz oskoczony w natłoku.
„Byłem chciał—mógłbym. nim wytechniesz po znoju.
„Sam na sam zaraz wyzwąć cię do boju.
„Lecz ni dla wodza. ni klanu. me ramię
„Praw gościnności i wiary nie złamię.
„Krew znużonego méj broni nie skala,
„A imię gościa jest świętém dla Galla.
„W górach on swoich. pod dachem czy niebem.
„Dzieli się z każdym swém łożem i chlebem.
„Ani mu usiąść przed ogniem swym wzbrania,
„Ni się usuwa od drogi wskazania.
„Tyś jest mym gościem:—zlóż oręż i twogę!
„Ja ci sam jutro pokażę twą drogę:
„Przez strome góry i kręte wąwozy.
„Aż po za nasze czaty i obozy,
„Po bród Koljantol będziemy iść razem:
„Lecz tam. Saxonie! spór skończym żelazem.“—
— „Zgoda! przyjmuję ochoczo i szczerze.
„Twoje wyzwanie. i twoje przymierze.“—

— „No teraz śpijmy! — bo już z nad jeziora
„Bąk bębni hasło późnego wieczora.“ —
Narzucił ogień gałęzmi świeżemi,
I pleć swój przed nim rozesał na ziemi.
Na jednym płaszczu, śmiertelne dwa wrogi,
Jak brat przy bracie, zasnęli bez trwogi;
I spali. aże brzask wschodniej purpury
Zaczął rumienić jezioro i góry.

KONIEC PIEŚNI CZWARTÉJ.

PIEŚŃ PIĄTA.

W A L K A.

I.

Miły oczom blask pierwszy jutrzeńki rumianéj.
Gdy się nad czołem nocy burzliwéj promieni.
I rozjaśniając pomrok i mgliste tumany.
Poznacza kręte ścieżki i biegi strumieni.
Wróżąc dzień i pogodę. zbłąkanym śród cieni:
Lecz miléj stokroć—zorzą zgody i braterstwa.
Ku której ze czią oczy wznosi świat zbłąkany —
Łagodząc dzikość wojen i bitew morderstwa.
Świecą ludzkość i wiara w Zakonie Rycerstwa.

II.

Pierwszy brzask świtu. niepewny i mglisty.
Przedzierał gęstwę leszczyny krzewistéj.
Gdy obok pod nią uśpieni bez trwogi.
Obaj rycerze powstali na nogi.

Wlepiwszy czyzy w sklep niebios rumiany,
Zmówili każdy swój pacierz poranny.
Gall z suchych liści wznieciwszy stos świeży,
Podzielił z gościem ostatek wieczerzy:
I wierny słowu, wstał, w pleć się obwinał,
W milczeniu ręką na Saxona skinął,
I obok niego, sam idąc ponury,
Wskazywał drogę przez lasy i góry.
Dziwaczna podróż! — raz chmurą owiani,
Pnąc się po skałach, nad brzegiem otchłani,
Widzą pod sobą, błyszczące od świtu,
Kręte rzek wstęgi: Forty i Teitu,
I między niemi rozległe doliny,
I aż po Sztirling, niknący w mgłę siniej:
To zehodząc w wąwóz zaległy pomroką,
Na długość włóczni nie widzi w nim oko.
Nieraz tak ślisko na skalistój drodze,
Że ręka w pomoc musi śpieszyć nodze:
Nieraz tak ciasno w zaroślach, że z drzewa
Kroplista rosa jak deszcz ich oblewa,
Rosa tak lśniąca od wschodniej jasności,
Że rzekłbyś brylant, albo łąza piękności.

III.

Stanęli wręście gązcie stroma i dzika
Ścieżka z gór wierzchu ku głębi się zmyka.
W dole jezioro W e n n a c h a r u leży,
W górze piętrzysta B e n l e d i się jeży:
Jedyna ścieżka snuje się głęboko
Między jeziorem i stromą cpołą:

Stu ludzi na niój, byle z wodzem śmiałym.
Mogłoby przejścia wzbronić wojskom całym.
Na barkach góry, pomiędzy skał zrzeby,
Zwisają brzozy i zkarłone dęby:
Tu mech szarzeje przyschły do kamieni,
Tam się gdzie niegdzie splot bluszezu zieleni;
Ówdzie chwast z wrzosem bujając wyniośle.
Poziomych krzaków zagęszcza zarosłe.
U stóp téż góry, jeziora brzeg siny
Zarastał gajem osetu i trzciny.
Nieraz tam ścieżka wstecz pnie się na wzgórze,
Mijając spady potoków, lub łoża
Wyschłych, lecz zimą wezbranych strumieni.
Nasute żwirem i stosem kamieni.—
Nużąca droga!—obadwaj przechodnie
Stawali nieraz, by wytehnąć swobodnie;
Aż Gall, po cięższój nad inne przeprawie,
Patrząc na gościa, zapytał ciekawie:
Czém go zwabiła kraina tak dzika,
Że śmiał ją zwiedzać bez glejtu Rodryka?

VI.

— „Gallu!” — rzekł Saxon z wesołością w oku.
„Glejt mój najlepszy mam zawsze u boku.
„Lecz nie myślałem, wyznaje, tym razem,
„Bym musiał drogę torować żelazem.
„Gdy, trzy dni temu, łowami znużony,
„Straciwszy konia zbłądziłem w te strony,
„Wszystko tu było tak ciche w téj porze,
„Jak nieruchoma ta mgła na jeziorze;

„Wódz wasz daleko gdzieś zbierał łup krwawy.
„Ani go rychło czekano z wyprawy.
„Tak mówił góral, co mię ztąd prowadził:
„Widzę że kłamał, by tém łatwiej zdradził.“ —
— „Czegożeś wrócił do kraju naszego?“ —
— „Jesteś sam żołnierz. a pytasz: dla czego?
„Czyż chęci nasze, jak martwe sprzężyny.
„Z pewnej się tylko ruszają przyczyny?“ —
„Chciałem się otrząść z próżnowania. z nudów:
„Czudem potrzebę rozrywki i trudów.....
„Lada myśl wtedy, lada przywidzenie
„Człowieka z domu daleko wyżenie:
„Stracony sokół. pies zbiegły na łowach.
„Ładna dziewczyna w samotnych dąbrowach.....
„Wreście dość wiedzieć że kraj niebezpieczny.
„By już czuć powab i cel dostateczny.“ —

V.

— „Nie chcę cię badać!“ — góral odpowiedział.
„Lecz idąc do nas, mów. czyżeś nie wiedział.
„Że Mar z Morajem połączeni razem.
„Grożą nam wojną za króla rozkazem?“ —
— „Nie! na mój honor! — że z wojsk swym oddziałem
„Na przegląd króla czekają. słyszałem:
„Lecz żadnej wojny nie było zamiaru.
„Dziś być już może; — znam hrabiego Maru,
„I ani wątpię. że gdy wieść odbierze.
„Ze Rodryk w górach gromadzi żołnierze.
„I on sztandary rozwinie ku wojnie.
„Coby inaczej drzémały spokojnie.“ —

— „Niechaj rozwija! szkoda, gdyby miały
„W pokrowcach swoich popróchnieć w kawały!
„Niechaj rozwija! toć i pod nami
„Sosna Alpina zaszumi z wiatrami!—
„Lecz jeśliś przybył jak wędrowiec cichy.
„Po co przechwałki płocności czy pychy.
„Których. wiesz dobrze, że się nie ustraszym:
„Żeś wrogiem wodza naszego, i naszym?“—
— „Do wczoraj rana, wierz mi, wojowniku!
„Tom tylko wiedział o waszym Rodryku.
„Że jest wygnaniec, nieposłuszny panu.
„Wódz buntowniczy zbójckiego klanu.
„I że śród klótni. co nie wiem zkaąd wszczęta,
„Zabił rycerza na dworze Rejenta.
„Lecz trzebaż więcej. aby na mordercę
„Oburzyć Szkota i Rycerza serce?“—

IV.

Ponuro góral wzrok ku ziemi trzymał.
Przygryzał wargę—znać gniewem się zżymał.
I rzekł nakoniec z tajoną obrazą:
„Wiészże. dla czego on dobył żelazo?
„Wiész. jakie słowa i jaka zelżywość
„Wzbudziły w wodzu gniew i zapalezywość?
„Miałże znieść hańbę. i myśleć w tój porze.
„Czy jest w swych górach, czy na króla dworze?
„Nie! mścił się krzywdy. gdzie krzywdy doświadczył:
„Na dworze Niebios byłby nie przebaczył!—
— „Mord zawsze mordem:—prawda. że w tój chwili
„Małoście władzę królewską ważyli:

„Gdy sam Albany, w ustawicznój trwodze.
„Rozkełznał rządu zwierzone mu wodze,
„A król nieletni, w Sztirlingu zamknięty.
„Grał jeszcze w caeka z małemi chłopięty.—
„Lecz dziś, to jego życie rozbójnicze!
„Krwia ludu błahe oblewać zdobycze;
„Mord i pożogę nieść w kmiece zagrody;
„Wydierać biednym ich żniwa i trzody!....—
„Serce, jak twoje, wzdrygać się powinno,
„Na nocną łupież i na krew niewinną.“

VII.

Góral ku mówcy obrócił wzrok hardy,
I rzekł z uśmiechem goryczy i wzgardy:
„Patrzałem na cię, gdyś z gór tych, Saxonie!
„Spoglądał z dumą na szerokie błonie,
„Na bujne łąki, niktące w przestrzeni,
„Przerzniete tyłą i rzek i strumieni;
„Na wdzięczne wzgórza i gaje kwitnące,
„Ku południowi i na wschód leżące!....
„Żyzne te pola, kraj oczom tak miły,
„Naszém dziedzictwem, naszym krajem były.
„Przyszedł wróg Saxon, i przemocą zbójców.
„Wydarł je, zbroczył we krwi naszych ojców.
„Gdzież żyjem teraz?—patrz! to nasze włości:
„Głazy na głazach, i przepaść w przepaści!
„Będziemyż prosić u twardych kamieni,
„Roli na wiosnę i chleba w jesieni?
„Będziemyż błagać te góry piaszczyste.
„O tuezne woły i trzody wełniste?

„Nie odpowiedzą kamienie i góry:
„My wam stoimy za twierdze i mury,
„Po ojcach macie broń, siłę i mężstwo,
„Co wróg wam wydarł, niech wróci zwycięstwo!“ —
„A my, mrąc głodem w tych twierdzach północy,
„Mamyż nie słuchać, nie użyć swój mocy:
„Nie wydrzeć łupu z rąk naszych wydzierców.
„Nie mścić się mordu nad rodem morderców?....
„Nie, nie! Saxonie! — dopoki wam niwa,
„Jeden snop zboża rodzić będzie w żniwa;
„Póki z tysiąca trzód, co się tam błąka,
„Jednego wołu wypasie wam łąka;
„Póty Gall, dziedzie niw, łąk i krainy,
„Iść będzie z mieczem po krwawe daniny 1)!
„Gdzież jest wódz góral, co myśli inaczej.
„Co w wojnach z wami słuszności nie baczy? —
„Zemsta za ojców, jest powinność synów. —
„Innych skarg szukaj na wodza Alpinów!“ —

VIII.

— „Nie znajdę, myślisz?“ — rzekł Saxon spokojnie.
„Cóż powiesz, nie już o mordach na wojnie,
„Lecz o podstępach uknowanych skrycie,
„O sidłach na mnie i na moje życie?“ —
— „To, żeś je własną ściągnał nierozwagą.
„Gdybyś był przyszedł i rzekł prawdę naga:
„Szukam sokola, ścigam za zwierzyną,
„Chcę się obaczyć z góralską dziewczyną:
„Byłbyś szedł wolno, i wrócić mógł śmieje.
„Lecz skryte kroki znaczą zdraadne cele.

„A i tak. nie sądź, choć za szpiega miany,
„Że byłbyś na śmierć bez sądu skazany,
„Gdyby nie wyrok—srogi, lecz konieczny.“ —
— „Więc i to mijam“ — rzekł Saxon niesprzecznym.
„Ani chcę, widząc że to gniew twój drażni,
„Wymieniać dalszych źródeł nieprzyjaźni.
„Dość, żem się związał rycerskimi słuby.
„Walczyć z twym wodzem, i szukać nań zguby:
„Nie po zdradziecku — lecz jawnie i zbrojnie.
„Dwukroć klan Alpin zwiedziłem spokojnie,
„Jak gość; lecz jeśli przyjdę trzecim razem,
„Przyjdę jak wróg wasz, z ogniem i żelazem,
„Z sztandarem wojny, i z orszakiem dzielnym,
„Na bój śmiertelny, z mym wrogiem śmiertelnym!
„I ani pasterz pod oknem dziewczyny,
„Nie czeka tęskniój zmówionój godziny,
„Jak ja téj chwili, gdy w pośród swój dziezy.
„Stanie przedemną wasz wódz buntowniczy.“ —

XI.

— „Miěj więc, co żadasz!“ — świsnął — smug i skały
Jak jedném długiém echem się ozwały.
Jak w stadzie hasło strażniczego ptaka.
Świst się powtórzył od krzaka do krzaka:
I oto — z krzaków, z za skał, z nad jeziora,
Wznoszą się dzidy, łuki, czapki, pióra:
Nisko, wysoko, na lewo, na prawo,
Wyskoczył żołnierz ukryty pod trawą.

Z nagich mechów drzewca jak gajem wyrosły,
Z ciemnych drzew ostrza jak gwiazdy się wzniosły,
Jak woda w trzcinie błysnęły orężem.
I krzaki w zbrojne zmieniły się mężem.
Z lśniącym puklerzem, z dobytym żelazem,
Piećset ich z ziemi powstało zarazem.
Jakby na czarów zaklęcie tajemne,
Wojsko się duchów zjawilo podziemne.
Każdy gdzie powstał, tam stał nieruchomy,
Aż nowe hasło da wódz niewidomy.
Jak nad przepaścią wiszące skał bryły,
Co je wiek strącił, lub gromy w dół zbiły,
Chwiejąc się wiszą na wątliej podporze.
Że lada wietrzyk w głąb strącić je może:
Tak ci, z gotowym orężem i krokiem
By skoczyć—stoją w milezeniu głębokim. —
Z milczącą dumą, Gall wzrokiem płomiennym
Wodził przez chwilę po tłumie wojennym;
Nagle brew zmarszczył, i ponure skronie
Zwrócił na gościa: „Cóż teraz, Saxonie?
„To jest Klan-Alpin“—hucce wskazał gestem.
„A wódz ich Rodryk—Saxonie!—ja jestem!“—

X.

Saxon był mężny, i choć w nim krew cała
Wrzącym strumieniem do serca zbieżała,
Nie zbladł, twarz zimną uzbroidł odwagą,
Wzrok groźby wzrokiem odtrącił z powagą,
I z niezachwianą wyniosłością męża.
Wsparł się o skałę, i dobył oręża.

„Przystap! przystapcie! jeden. czy tłumami!
„Głaz ten wprzód pierzchnie. niżli ja przed wami.“ —
Patrzył nań Rodryk—a jego spójrzienie
Zdradzało wewnętrzną cześć i podziwienie.
I ową radość, co mężnych przenika.
Gdy na godnego trafią przeciwnika.
Poczekał chwilę—i ręką w dół skinął.
Cały tłum zbrojnych jak zjawił się, zginął.
Gdzie kto stał, wszysej zniknęli zarazem.
W trzcinnie. we wrzosach. za drzewem. za głazem.
Stereżące drzewca na mechu się pokładły.
Iskrzące ostrza w gęstwinię zapadły:
Otechłań się. rzekłbyś. skróś ziemi otwarła.
I plód swój zbrojny na nowo pożarła.
Ostatni powiew. zlatując z Benledi,
Kołysał pióra. chorągwie i pledy:
Lecący za nim. już tylko powiewa
Na trawy. liście, zarośle i drzewa.
Ostatni promień. bijący od słońca.
Lśnił w ostrzu mieczów i włóczni tysiąca:
Drugi już tylko. niezém nieodbity.
Świeci na szare mechy. piaski. granity.

XI.

Spójrzył Fitz-Jakób—i ledwo sam wierzył
Że go ten widok na jawie uderzył:
Tak był podobny sennemu widzeniu,
I znikł z przed oczu, jak sen przy ocknieniu.
Niepewnym wzrokiem myśli wodza pytał.
I wódz myśl jego w tym wzroku wyczytał:

„Nie bój się! — lecz nie! nie trzebać téj rady! —
„Nie wątp, i nie miej podejrzenia zdrady!
„Jesteś mym gościem: przyrzekłem z swój woli.
„Być sam twym stróżem po bród Kojlantaoli:
„Ni sądź, że obcych przyzywałbym broni.
„Przeciwko jednéj i walecznéj dłoni.
„Nie! choćbym walczył o zwrót wszystkich plonów.
„Co kiedyś Gallom wydarł miecz Saxonów! —
„Więc pójdźmy! — wskazać chciałem ci jedynie.
„Na jak ułomnéj wspierałeś się trzcinie.
„Sądząc, że miecz swój mając za strażnika.
„Przejsć możesz tędy bez gļejtu Rodryka. —
„Pójdźmy!“ — i poszli. — Fitz-Jakób był śmiały.
I jako rycerz, co żyje dla chwały,
Umiał w potrzebie nie baczyć na życie:
Lecz nieraz serce zadrgnęło w nim skrycie,
Gdy obok wodza szedł kwapioną nogą,
Pustą na pozór i spokojną drogą,
Lecz gdzie po stronach, jak żądła węzowe,
Czyhały miecze i włócznie, gotowe
Powstać i mścić się, byleby zamarzył
Człowiek, którego, sam czuł, że znieważył.
Nieraz w bok rzucił oczyma bystremi,
By dójrzeć mężów przypadłych do ziemi;
Nieraz się zdało, na lada ruch trawy,
Że się z niéj ludzkie podnoszą postawy:
Nie raz na lada lot ptaka pierzechliwy.
Zabrzmiało w uszach brząknięcie cięciwy,
Albo świst kani, krążącój w obłoku.
Zdał się być hasłem zgubnego wyroku.

I nie wprzód wolno odetchnął ze zgrozy.
Aż leśne w tyle rzuciwszy wąwozy,
Wyszli na czyste, szerokie równiny,
Gdzie już nie było ni skał, ni gęstwiny,
Chwastów, ni krzaków, by się w nich zdradziecko
Zakraść mógł zbrojny na czatę zbojceką.

XII.

Rodryk szedł milcząc:—aż gdzie w biegu skora,
Rzeka, trzech jezior pełnobrażga córa.
Z bram W en n a c h a r u srebrząc się wytryska.
I przez zielone Bo c h a s t l u bagniska
Szumiąc, podrywa twierdz owych posadę.
Gdzie Rzym swe niegdyś orły świato-władę ²⁾
Zatrzymał w locie, i chciwym napaści.
Raz pierwszy kazał swój tylko strzedz włści.
Tam wódz pled z ramion i tarcz swą odrzucił,
Ku Saxonowi twarzą się obrócił,
I rzekł: „Saxonie! Gall słowu nie skłamał.
„Rodryk gościny i wiary nie złamał.
„Ów zbojca krwawy, ów człek bez sumienia,
„Wódz buntowniczy dzikiego plemienia,
„Środkiem czat zbrojnych, przez błędne przechody.
„Wiódł wroga swego, i przewiódł bez szkody!
„Lecz tu bój równy—mąż przeciwko męża:
„Tu doznasz mojej zemsty i creża.
„Patrz! oto stoję, z mieczem tylko w dłoni —
„To bród Kojlantol!—Saxonie! do broni!“—

XIII.

— „Gallu!“ Fitz-Jakób rzekł. „nigdy nie zwlekał
„Dobyć oręża, gdy wróg na mnie czekał.
„Śmierć twą, co większa, ślubowałem Bogu.
„Lecz ta szlachetność i wiara we wrogu.
„Wdzięczność za życie i szczerą gościnność.
„Inną méj duszy wskazują powinność.
„Posłuchaj! nie-że oprócz krwi rozlew
„Nie zgoi w tobie obrazy i gniewu?
„W bitwież się tylko złączą nasze dłonie?
„Nie maż sposobu?..“ — „Żadnego, Saxonie!
„I wiedz, by skrzepłe wzbudzić w tobie męztwo.
„Na tobie leży twych ziomków zwycięstwo:
„Bo tak w proroczym widzeniu natchnięty,
„Rzekł wieszczbiarz, z ojca nie-człeka poczęty:
„„Strona, co pierwsza krew wroga przeleje,
„„Zwycięstwa w boju mieć może nadzieję.“ —
— „Czy tak?—więc Niebo przyzywam na świadka.
„Że się już losów rozstrzygła zagadka.
„Tam—każ poszukać!—pod tą ciemną skałą.
„Krzepnie w krwi własnej Murdochowe ciało.—
„Nie zmienić ludziom, co los postanowi.
„Poddaj się, wodzu! nie mnie, lecz losowi!
„Pójdź! pójdźmy razem do króla Sztuarta:
„Tam, jeśli niechęć nie zmięknie uparta.
„Gdy cię król przyjąć nie zechce uprzejmie.
„Nie wróci łaski, wyroku nie zdejmie:
„Wierz memu słowu, rękojmi, przysiędze.
„Ze znów—bez ujmy ni w czei, ni w potędze.”

„Chociażbyś z królem chciał w dalszej trwać wojnie,
„Na czoło klanu powrócisz spokojnie.“—

XIV.

Szczerym płomieniem zaiskrzył wzrok Galla:
„Tak cię więc płocha duma rozzuchwała?
„Żeś może zdradą zmógł tego nędznika,
„Śmiesz już do jarzma nakłaniać Rodryka?...
„Nie! on się ludziom ni losom nie zegnie,
„Będzie żył wolny, lub wolny polegnie!
„Kaźde twe słowo gniew tylko mój drażni,
„I śmierć lennika domaga się kaźni.—
„Broń się!—Tyś jeszcze nie gotów?—Na Boga!
„Zbłądziłem widzę, biorąc cię za wroga
„Godnego mojej prawicy i pieczy,
„Żem cię dla gminnych pozazdrościł mieczy!
„Tyś widzę rycerz atlasem podszyty,
„Którego cała chwała i zaszczyty,
„Pstrzyć hełm w kędziory z warkocza kobiety!... “ —
— „Dzięki, Rodryku! dzięki za to słowo!
„Zatliłeś serce, dłoń wzmogłeś na nowo:
„Ślub mój przez ciebie przypomniały losy,
„Bym we krwi twojej umaczał te włosy.—
„A więc do broni!—i nie sądz, Alpinie!
„Że w tobie tylko i w twojej krainie
„Rycerska wiara żyć może jedynie!—
„Chociaż gdy świsnę, z za drzew, z za kamieni,
„Nie wskoczą zbójcy na mord zasadzeni,
„Jeden dźwięk trąbki, co noszę u boku,
„Stałby się hasłem twój zguby wyroku.

„Lecz nie drzyj—nie wąp!—jak ci się podoba
„Spór nasz sam na sam skończymy tu oba.“ —
Jeden i drugi wnet mieczów dobyli,
I obaj pochwy na ziemię rzucili;
Jeden i drugi ku niebu spójrzeni,
Jakby go więcej oglądać nie mieli;
I oko w oku, z wzniesioném żelazem,
Wpadli na siebie, i zwarli się razem.

XV.

Zapóźno Rodryk błąd poczuł w potrzebie,
Że tarcz warowną odrzucił od siebie ³).
Z twardych skór zbita, gwoźdźmi nakowana,
Stokroć śmierć w boju odbiła od pana.
Bo Saxon sztuczny w robieniu żelazem.
W mieczu miał oręż i tarczę zarazem,
Siekł, kłół, odbijał, i ostrzem i płazem:
Gdy Gall mniej zwinny, choć silniej hartowny,
Z trudem na sobie bój dzierżał nierówny.
Trzykroć się zwarli—i trzykroć Saxona
Lśniący miecz struga zaćmiła czerwona:
Nie trysk. nie kropla, lecz wrząca krwi fala
Lunęła z piersi na tartan górala.
Rozżarł się Rodryk—i jak deszcz zimowy
Spuścił na wroga grad ciosów stalowy.
Lecz jak o dachy, lub twarde skał szczyty,
Grad się odbija i taje odbity:
Tak Saxon ślepój zawziętości razy
Odbijał sztuką, nie wzięwszy obrazy.

Aż na słabszego, im coraz siekł gęściej,
Natarłszy. oręż wytrącił mu z pięści,
I zemdlonego i trudem, i raną.
Zwalił o ziemię—na jedno kolano.

XVI.

— „Poddaj się!” — groźnie zawołał tą razą,
Po nad klęczącym podnosząc żelazo:—
„Poddaj się! albo przez Boga na Niebie!
„Ta chwila będzie ostatnią dla ciebie!”—
— „Łask twych nie pragnę, a grózb się nie boję!
„Zwycięztwo jeszcze ni moje. ni twoje!”—
I jak wąż w pogoń za ptakiem gdy wzleci.
Jak lew rozżarty wyrwawszy się z sieci.
Jak ryś drapieżny broniący swych dzieci:
Porwał się z ziemi, wściekłością miotany.
Odnosił cios nowy. lecz nie czuł téj rany.
I poskoczywszy ku piersiom Saxona.
Zachwiał nim, w silne objąwszy ramiona.
Teraz, Saxonie! wzmóż siłę prawicy.
Bo to nie uścisk zalotnej dziewczycy!
Przez miedź potrojną, przez zbroję ze stali.
Czulbyś moc jego. — Zwarli się, porwali.
Łamają się, chwieją—upadli pospółu:
Rodryk na wierzchu, Fitz-Jakób u dołu.
Tu Gall za gardło porwawszy go z gniewem.
Przygniótł pierś jego kolaniem swém lewem:
Skinieniem czoła odrzucił w tył włosy.
Przetarł wzrok ręką, czy ze krwi, czy z rosy.

I podniósł sztylet:—lecz źle zastąpiły
Gniew i zawziętość stracone już siły:
Zapóźno dopiął nad wrogiem korzyści,
By mógł dokonać dzieła nienawiści.
Bo ledwo sztylet zabłysnął wysoko,
Twarz zbladła nagle, zaćmiło się oko:
Spuścił cios jednak—ale go niekrwawa,
Za piersi wroga, przyjęła murawa.
Sam padł zemdlony:—Fitz-Jakób bez rany.
Wstał, bez tehu, blady, krwią wroga obłany.

XVII.

Niebu cześć naprzód uczynił i śluby.
Że go tak cudem zbawiło od zguby.
Stanął nad wrogiem, co w krwi swój strumieniach,
W ostatnich z śmiercią pasował się drgnieniach.
Wzrok się zwycięzcy łzą żalu zamroczył.
Gdy we krwi jego włos Blanki umoczył:
„Biedna dziewczyno! krzywda twa pomszczona!
„Lecz w Nim z łupieżcą i bohater kona.
„Oby na lepsze chciał użyć oręża,
„Świat dzielniejszego nie widziałby męża!“ —
Podumał chwilę, trąbkę do ust złożył,
Zagrał raz—przestał, i dwakroć powtórzył.
Odwiązał z szyi chustkę koronkową,
Rozpiął odzienie, i z odkrytą głową
Usiadł nad wodą, i czerpając w dłonie.
Obmywał ręce skrwawione i skronie. —
Wtém łoskot jakiś zahuczał po błoni...
Zbliża się, rośnie—to tentent, cwał koni!

I wnet z za wzgórze, po równej przestrzeni,
Pędzą wprost czterej myśliwcy w zieleni.
Dwóch niesie włócznie i puklerze z godłem.
Dwóch wiezie łózem dwa konie pod siodłem.
Pędzą—aż kurzem i znojem okryci,
Przed Fitz-Jakóblem stanęli jak wryci.
Widzą plac boju, dziwią się, chcą badać: —
„Nie pytać o nic! przed nikim nie gadać!
„Herbert z Lufnesem niech zsiądą wnet z koni.
„Temu rannemu użyżcie swych dłoni:
„Obwiążcie rany!—nie obce wam leki.
„Chcę by mu czulój nie brakło opieki.
„Wprost do Sztirlingu, gdy siła pozwoli.
„Wsadźcie go na koń. i wieźcie powoli.
„Łagodny siwosz nie strudzi go weale.
„Biedny koń! musi przestać na téj chwale:
„Milszy dziś ciężar miał dostać w podziale!—
„Ja muszę przodem: —godzina już bliska.
„W której się miejskie rozpoczną igrzyska.
„Ale mój Bajard szybko mię przeniesie.—
„Śpieszcie!—wy za mną! De Vaux *) i Herresie!“—

XVIII.

„Stój, stój, Bajardzie!“—koń grzywę nadyma,
Poryża zeicha. i strzyże uszyna:
Znać się z pańskiego raduje widzenia.
Pan nie wziął cugła, nie dotknął strzemia,

*) Devaux czytaj: De Wo.

Lecz głaszcząc ręką po grzywie, od ziemi
Wskoczył na siodło nogami równemi.
Dotknął ostrogą, munsztuk ściągnął w rękę,
Koń wspiał się—jeździec nie zachwiał się w lęku.
Popuścił wodze—a koń niecierpliwy,
Pomknął się z miejsca, jak strzała z cięgiwy.
Przebrnął przez potok, prześmignął po błoniu.
I zarżał głośno na wzgórzach Karhoniu.
Jeździec go znowu polechtał ostrogą.
Giermkowie za nim zdążają jak mogą.
Brzegiem Teitu czwają w zawody.
Pęd ich bystrzejszy, niż w rzece nurt wody.
Już Torry, Lendrik, i Dunstan za nimi:
Kurz tylko w kłębach po drodze się dymi.
Błysły z wież Dunu chorągwie zatknięte.
I za las nagle zapadły jak ścięte.
Na Bler-Drummondzie skry krzeszą ze zwiru:
Jak wiatr przemknęli wszcz pól Ochtertiru.
Mignęła tylko i znikła z przed oka.
Bodąca chmury Kieru opoka.
Do brzegów Forty przypadli, i płyną.
Pianami wodę posrebrzając siną;
Parskają konie, aż na brzeg pochyły
Wspięły się przodem, i rżąc wyskoczyły.
Kreg-Fort na prawo minęli jak z procy—
I już sędziwa warownia północy.
Sztirling, rozsiadły na dzikich skał czole.
Widzi ich z góry pędzących przez pole.

XIX.

Już pną się w górę po skalistój drodze:
Gdy pan Bajarda, wściągając mu wodze.
Skinął na giermka:—posłuszny skinieniu,
Wnet ku pańskiemu poskoczył strzemieniu.—
„Widzisz tam, De Vaux! owego człowieka,
„Co się ku miastu przebiera zdaleka?
„Olbrzym z postawy, w ubogiój odzieży.
„Co za krok! patrzaj! przysięgłbyś że bieży,
„Prosto pod górę, bez trudu oznaki!—
„Przypatrz się tylko!—nie znasz kto on taki?“—
—„Nie, na mój honor!—lecz olbrzym prawdziwy!
„Pewno czyjś hajduk. lub sługa myśliwy.“—
—„Wstydź się, wstydź, De Vaux! czyż wzrok nie-
[przyjaźni,
„Czyż zawiśe dójrzeć nie umié wyraźniej?—
„Nim wszedł pod górę, zaledwo spojrzełam,
„Zaraz tę postać i krok ten poznałam.
„Równych im nie ma w całej Szkoekiój ziemi,
„A któżby z obcych śmiał mierzyć się z niemi?—
„To Jakób Duglas, hrabia na Bottwelu!—
„Śpieszmy dwór ostrzedz o nieprzyjacielu!
„Król się téż musi namysłéć tymczasem,
„Jak się ma znaleźe, i spotkać z Duglasem.“—
Tu zwrócił konia ku murom zamkowym,
I wbiegł do bramy po moście zwodowym.

XX.

Duglas przez pola zdążając bez toru.
Z Kambus-Kennetu powracał klasztoru,

I spoglądając na Sztirlingu mury,
Tak z sobą w myślach rozmawiał ponury: —
„Tak! prawda była w Allana widzeniu:
„Szlachetny Graham u króla w więzieniu!
„I wkrótce moja złowroga gościna
„Ściągnie grom zemsty na plemię Alpina.
„Ja, ja sam tylko odkupić ich mogę. —
„Bóg daj! bym późno nie wybrał się w drogę! —
„Ksieni przyrzekła; — tak, ufać jój muszę.
„Helena Bogu poślubi swą duszę. —
„Ach! te łzy moje nie obrażą Boga! —
„Tyś ją dał, Panie! ty wiesz, jak mi droga,
„Jak dobra! — Darmo! — nie czas się ozierać:
„Myślmy, jak Douglas powinien umierać. —
„O! smutne mury! wśród których obwodu
„Miecz króla niegdyś pił krew mego rodu! ⁴⁾
„I ty, o! wzgórze złowrogie! na którym *),
„Smierć krwawym kaźni śmigając toporem,
„Zmiałała nieraz przed stopami kata,
„Głowy słynące u kraju i świata:
„Gotujecie więzy, loch i rusztowanie!
„Douglas sam idzie, aby wstąpić na nie. —
„Lecz cóż to? — słyszę gwar wesółych tonów:
„Muzyka! bębny! odgłos wszystkich dzwonów!....
„Patrz! lud się sypie! — wesole maskary!
„Trębacze, cechy, rozwite sztandary.
„Strzeley, tancerze pobrawszy się w pary! —

*) Wzgórek niedaleko miasta, gdzie tracono winowajców stanu.

„Zgaduję powód. znam te widowiska:
„Miasto dla króla wyprawia igrzyska ⁵⁾!
„Król na nich będzie:—bo równie mu miła
„Zręczność łuczników i szermierzy siła,
„Jak gdy we zbrojach, przyrosła do koni.
„Szlachta hareuje i na ostre goni.
„Pójdę tam—będę walczył o nagrodę.
„Król mię obaczy:—i może dowiodę.
„Że wiek nie całkiem osłabił te siły.
„Co go chłopięciem tak często dziwiły.”—

XXI.

Otwarto na wścież dziedziniec zamkowy.
Drzał tętniąc głucho most długi, zwodowy.
I brukowana bryłami granitów
Brzmiała ulica od końskich kopytów.
Gdy w dół ku miastu, wolnemi krokami,
Zjeżdżał król Jakób ze swymi panami.
A lud po stronach ściskając się w szyki.
Witał monarchę głośnemi okrzyki.
Za każdym razem król głowę odsłaniał.
I aż do siodła schylając się kłaniał,
Witając ręką, z wdzięcznemi uśmiechy.
Mieszczki płonące od wstydu i pychy.
Mogły się pysznić:—bo król gdy spozierał,
Wzrok same piękne i młode wybierał.
Mieszczan pozdrowiał z powagą, lecz grzeczną,
Wieśniakom odzież pochwalał święteczną,
I spoglądając to w lewo, to w prawo.
Ośmielał wzrokiem i twarzą łaskawą

Tłum, co mu wzajem wykrzykał bez końca:
„Vivat król Jakób! miast naszych obrońca!”—
Z tyłu za królem, błyszczący od stali
Pierwsi panowie i dworscy jechali.
I strojne w pióra i złote tkanice,
Poważne panie i młode dziewice.
Co ledwo konie pohamować mogą.
Niechęć zwolna spadzistą iść drogą.—
Lecz w tym orszaku, nie na jednej twarzy
Znać, że się w sercu skryta niechęć żarzy.
Tam szlachta, w duszy tając dumę hardą,
Zabawy mieszczan ogląda z pogardą:
Tam wodze klanów, w zakładzie u króla,
Którym dwór jego gorzki jak niewola.
Marząc o górach rodzinnych i lasach.
O niepodległych zabawach i wczasach,
Sądzą się sami częścią widowiska.
I klną w swój duszy króla, i igrzyska.

XXII.

Wpośród zielonej łąki, cała rzesza,
Różnobarwista, płacze się i miesza.
Tu, widać, zgrają murzyńskich tancerzy.
W piórach na głowie, w jaskrawej odzieży,
Z przywiązaniem u pasa dzwonkami,
Kręci się, brzęcząc, z gołemi szablami.
Tam—co najbardziej gmin wabi i cieszy,
Robin hūd stoi na czele swój rzeszy ⁶⁾.
W niej Tuk braciszek, z pałką i w kapturze,
Skatelok starzec, wsparty na kosturze:

Sążnisty Skarlet, i wesoły Janek,
Do ust chylący beczulkę jak dzbanek;
I tuż kochanka jego, Maryanna,
Jak kość słoniowa biała i rumiana;
A ich trębacze, stojący przy Tuku,
Wzywają strzelców do strzelania z łuku *).—
Przystąpił Duglas, wziął łuk, podniósł, zmierzył,
I pierwszą strzałą w śród celu uderzył;
Nałożył drugą, krok w miejscu ukrzepił,
Puścił, i pierwszą na dwoje rozszczepił.
„Jemu z rąk króla—tłum zgodnie wykrzyka,
„Wziąć srebrną strzałę, nagrodę łuczника!“—
Lecz próżno Duglas, ukląkłszy w milczeniu,
Szukał współczucia w monarchy spójrzeniu;
Król obojętnie, jak strzelcu prostemu,
Dał mu nagrodę, nie patrząc ku niemu.

XXIII.

Tłum się rozstał—ucichły hałasy:
Wyszli szermierze, i idą w zapasy.
Dwóch pozostało zwycięzców nad zgrają:
Chępią się dumnie, i lud wyzywają.

*) Robinhud (Robinhood), sławny łucznik i rozbójnik, za czasów Ryszarda Lwie Serce. Przedstawianie go z całą bandą, było najulubieńszém widowiskiem na igrzyskach miejskich w Anglii i w Szkocyi. Wszystkie wymienione osoby znane są po dziś dzień w tych krajach, z wielu bardzo pieśni i powieści gminnych, których Robinhood jest bohaterem.

Wystąpił Duglas, i obu przełamał.
Hugo z Larbertu na wieki ochramał:
Nie lepsze przyszło na Jana z Aloii.
Bez tehu do domu odnieśli go swoi.
„Jemu z rąk króla—okrzyk się rozszerza.
„Wziąć złoty pierścień, nagrodę szermierza.”—
Król dając spójrzał:—lecz źrenica chłodna,
Jak w lód błękitny ścięta kropla wodna.
Serce Duglasa zmroziła aż do dna.
Duglas chciał mówić—lecz myśli chaosu
Nie mógł rozkwikłać, ni znaleźć dość głosu.
Wzburzony powstał i szedł, gdzie młodzieńce,
Zebrani kołem, zakasawszy ręce,
Ciężkimi kręgi ciskają ku górze.
Gdy już z nich każdy pokazał co może:
Zbliżył się Duglas, i dłońmi silnemi.
Kamień od wieków wpół wrosły do ziemi.
Wyrwał, rozważał, i cisnął pod nieba:
Kamień o staje padł dalej niż trzeba.
Dotąd w Sztirlingu, w królewskich ogrodach.
Starecy pomniący o dawnych przygodach.
Wskazują przestrzeń, zwaną: rzut Duglasów.
Skarżąc na słabość terażniejszych czasów.

XXIV.

Po całej łące oklaski zabrzmiały.
Trzykrotném echem odbiły je skały.
Król po raz trzeci, z twarzą niewzruszoną.
Podał zwycięzcy kiesę napelnioną.

Duglas z uśmiechem pogardy i dumy,
Powstał, i złoto rozsiał między tłumy.
Dziw je ogarnął: zbliśka i zdaleka
Tłoczą się widzieć dziwnego człowieka.
Aż wkoło szepty powstały przychylnie:
Że dłoń tak hojna, i ramię tak silne,
Rodu Duglasów są cechy niemyślne! —
Starcy zważali, potrząsając głowy,
Na skroniach jego szron włosa zimowy,
I szepeąc z sobą, uczyli swych synów,
Przeważnych zwycięstw i chwalebnych czynów,
Jakie za dawnych i za nowych czasów,
Kraj ich był winien rodowi Duglasów.
Niewiasty postać szlachetną chwaliły,
Choć ją i trudy i lata zgarbiły:
Młódź czeią przejęta, w myślach się zacieka
Nad siłą większą, niż siła człowieka:
A szepty o nim i szmery ciekawe
W coraz głośniejszą zmieniały się wrzawę. —
Lecz nikt ku niemu, w owém całym gronie
Panów i dworzan, co stali przy tronie,
Nie zwrócił nawet wzroku dobrój chęci;
Nikt nie przywołał wygnańca w pamięci;
Nikt — z takich nawet, co niegdyś bez braku
O służbę w jego żebrali orszaku,
I w polu bitew, i za jego stołem,
Pod jego tarczą kupili się społem,
Ślady stóp jego zamiatając czołem!... —
Ale któż z łaski monarszój wygnany,
Znajdzie przyjaciół pomiędzy dworzany? —

XXV.

Król, by ożywić radość zgromadzenia,
Kazał wypuścić pięknego jelenia,
Którego w polu, dla większej dnia chwały,
Dwa ulubione charty ścigać miały,
A ztąd zwierzyna, przy burgundzkim winie,
Miały być ucztą strzeleckiej drużynie.
Lecz Lufra—nieczém od Duglasa boku
Nieodwołana, nieodstępna kroku,
(Psa jój równego Szkocya nie miała!)
Zoczywszy zwierza, pomknęła jak strzała;
I psy królewskie minąwszy w pół drogi,
Wskoczyła z tyłu na łup pysznorogi,
I ostrym pyszczkiem wpoiwszy się w szyję,
Zwisła ku ziemi, i krew jego pije. —
Łowczy królewski cudzego psa zoczył,
Rozżarł się gniewem, i szybko przyskoczył,
I zaprzątzione zwałoną zdobyczą,
Szlachetne zwierze okładać jął smyczą. —
Duglas bez gniewu znieść umiał od rana
Pogardę dworzan. i zimny wzrok pana,
I co najbardziej dumne serce boli,
Politowanie gminu w swój niedoli:
Lecz ten pies jego! kochanek rodziny,
Towarzysz łowów, stróż łoża jedyny!
Lufra!—dla której na wysmukłą szyję
Helena codzien świeży wianek wije;
Co z nią tak wzrosła, że samo wspomnienie
Lufry, już budzi pamięć o Helenie!....

Nie! Duglas tego nie zniesie widoku!
Znać że wre gniewem, znać z twarzy i wzroku.
Jak wały morskie przed łodzią pędzone,
Ciżba się przed nim rozpierzcha na stronę:
On słyszy skowyt swój Lufry—i bieży.
Jeden policzek—już łowczy w krwi leży.
„Takiego razu—krzyknęła gromada.
„Dłoni w rękawicy żelaznej nie zada!”—

XXVI.

Tu okrzyk powstał w królewskim orszaku,
Miecze i kije wzniosły się bez braku.
„Precz!” krzyknął Duglas, „komu życie miłe!
„Precz podła zgrajo!—widzieliście siłę.
„Znajcie Duglasa!—Tak, królu Jakóbie!
„Jam jest ów Duglas—i z krwi się méj chlubię!—
„Próżno śledzony od sług twego gniewu.
„Dziś, by nie sprawiać krwi bratniej rozlewu,
„Sam dobrowolną przynoszę ofiarę,
„Tę głowę moję—pod jaką chcesz karę,
„Ani śmiem czekać, ni błagać łask twoich,
„Prócz przebaczenia dla przyjaciół moich.“—
— „Tak mi to płacisz—król z gniewem wyrzecz.
„Moję łaskawość, zuchwały człowiecze!
„Żem niepamiętny krzywd moich tak wielu,
„Ciebie jednego, Jakóbie z Bottwelu,
„Przez słabość serca, w plemienu twém całym,
„Długo za wroga policzyć nie chciałem?—
„Lecz czyliż mniemasz, że króla oblicze
„Ścierpi bezkarnie gwałty buntownicze?

„Hej! wodzu warty! miej go w ścisłej straży!
„Niech się nikt zbliżać ku niemu nie waży!—
„Dosyć tych igrzysk!“ —bo wzmogły się huki,
I lud już zaczął porywać za łuki. —
„Dosyć tych igrzysk! i niech jazda nasza—
Dodał brwi marszcząc—„ten gmin porozprasza!“ —

XXVII.

Wnet ciżba, nieład, zgiełk, jęki i wrzawy.
Zmieniły pozór wesołej zabawy.
Jeźdźcy w bok koński wciskając ostrogę,
Przez tłum przebojem torować chcą drogę.
Dzieci i starców tratują kopyty.
Pierzchają tchórze, w głos krzyczą kobiety:
Śmielsi kamieńmi, maczugą, toporem,
Bronią się w miejscu, i stają oporem.
Widząc bunt jawny, Duglasa niezwłocznie
Lasem królewskie opasały włócznie.
Wiodą na zamek;—rozhułkana tłuszcza,
Z tyłu i z przodu kupi się, nie puszcza.
Z boleścią Duglas ujrzał i z obawą,
Że lud za niego powstaje nad prawo,
I by oszczędzić występku i mordu,
Do wodza straży rzekł: „Janie z Hinfórdu!
„Jeżeli pomniśz, że moje to ramię
„Niegdyś rycerstwa przypieło ci znamię,
„Za ten czyn dobry, każ się zastanowieć,
„Bym do zbłąkanych mógł słowo przemówić.“ —

XXVIII.

„Ludu! ziomkowie! nim dla méj miłości
„Stargacie węzły praw i powinności,
„Słuchajcie! — Douglas pod rozwałę prawa,
„Sam swoje życie i cześć swą oddawa.
„Jestże to prawo w tak słabój niemocy,
„Że mu aż buntu potrzeba pomocy?
„Lub choćbym z krzywdą miał ponieść cios zgubny,
„Zaliż myślicie, że gniew samolubny
„Z miłości kraju tak wyzuł me serce.
„Iż, aby podłe ukarać oszezerce,
„Zechcę być wojny domowój powodem,
„I zerwę miłość krwi mojej z narodem? —
„O! nie! — Pomnijcie, że w ciężkiej niewoli,
„Myśl ta nie będzie osładzaé méj doli:
„Ze się broń, której nasz wróg niech się boi!
„Krwia własnych ziomków z méj winy napoi;
„Że śród was reszta przyjaciół mych zginie;
„Że dla mnie matka wyrzeka po synie;
„Że dla mnie, słuszną przejęte rozpacza,
„Sieroty ojców, wdowy mężów płaczą;
„Że obywatel, widząc praw zniewagę,
„Zdeptaną wierność i tronu powagę,
„Kląć musi w duszy, jak złego przyczynę,
„Imię Douglasa i jego rodzinę! —
„Nie, ludu! przestań! pozwól, bym i dalej
„Ia was mógl kochać, i wy mnie kochali!“ —

XXIX.

Rzekł, a gniew ludu, po wzdęciu złowieszczém,
Skończył się łzami, jako burza deszczem.
Wkoło Duglasa otoczyli zgrają,
Podnoszą oczy i ręce, wzywają
Błogosławieństwa dla szlachetnej głowy,
Co niepamiętna na śmierć i okowy,
Woli znieść krzywdę, niż szukać mścicieli,
Z krzywdą ojczyzny i obywateli!—
Starcy przed chwilą drżąc o byt spokojny.
Wielbią rozjemcę bratobójczej wojny;
Niewiasty dzieci podnosząc, zdaleka
Wskazują ze czcią wielkiego człowieka,
Co wołał raczej znieść śmierć i sromotę,
Niż jedną w kraju uczynić sierotę.
Żołnierze nawet wzruszyli się sami,
I czując oczy zachodzące łzami,
Jakby za wodza trumną ulubioną,
Szli za nim zwolna, i z bronią spuszczoną,
Aż nie bez żalu, u bramy zamkowej.
Chlubnego jeńca zdali straży nowej.

XXX.

Król wrzasków tłuszczy słuchając ze wstrętem,
Jechał w milezeniu i z sereem zawziętém,
Ni się dał prosić, by tymże znów szlakiem,
Przez miasto z swoim powracał orszakiem.
„Słyszysz? Lennoxie!—sądź, czy warte trudu,
„Władza nad ludem, i miłość u ludu?

„Słyszysz ten tryumf, ten okrzyk wesela,
„Jak sławią imię Duglasa-Bottwela,
„Te same gardła. co dziś przez dzień cały,
„Darły się wrzeszcząc na króla pochwały?—
„Ogłuchłem niegdyś od takich hałasów,
„W dniu, kiedym skruszył potęgę Duglasów;
„Takiżby hałas w tym samym brzmiał tonie,
„Gdyby dziś Duglas na moim siadł tronie!—
„Rządźże ten motłoch, ten potwór stugłowny,
„Niepewny, zmienny, dziwaczny, gwałtowny!
„Niepewny drogi, jak liść na strumieniu.
„Zmienny w uczuciach, jak obraz w marzeniu,
„Dziwaczny w chęciach, jak myśl białogłowy,
„A gwałtowniejszy, niż szal gorączkowy!—
„Litości godne jest życie i dola
„Tego, co musi wam służyć za króla!”—

XXXI.

„Lecz patrzcie! cóż to za chyży posłaniec?
„Pędzi w ezwał połem pod zamkowy szaniec?
„Goniec od wojska... ciekawym zamiaru!
„Cóż nam donosi nasz krewny, Jan z Maru?”
— „Błaga cię, panie, byś podczas igrzyska
„Bezpieczną strażą otoczył się zbliska.
„Bo skryty podstęp, czy jawne szaleństwo,
„Zdają się godzić na twe bezpieczeństwo.
„Rodryk wygnaniec, wódz Alpińskiej dzicy,
„Zebrał pod bronią swój klan buntowniczy,
„Mówią, że w sprawie Duglasa-Bottwela,
„Tobie się, panie, przeciwie ośmiela.

„Lord Mar z Morajem, na czele swych szyków,
„Wyszli rozproszyć zgraję buntowników,
„I wnet o bitwie przyjść musi nowina. —
„Tymczasem, wódz nasz błaga i zaklina,
„Abyś, o! królu! póki bunt się warzy.
„Nie raczył nigdzie wyjeżdżać bez straży.” —

XXXII.

— „Poselstwo twoje błąd mój przypomina! —
„Byłem zapomniał o klanie Alpina.
„Obymże jeszcze złe wstrzymać był w stanie! —
„Wróc, z kądes przybył: a śpiesz, co tchu stanie!
„Nie dbaj o konia, pędź! choćby padł w pędzie.
„Najlepszy z moich nagrodą ci będzie.
„Powiedz hrabiemu, by cofnął krok zbrojny,
„Że zakazuję kończenia téj wojny.
„Rodryk dziś rano w szczególném spotkaniu
„Raniony, jeńcem jest w naszym pojmaniu;
„I Jakób Duglas, pod sąd nasz i prawa.
„Sam swą osobę i sprawę oddawa.
„Wieść straty wodzów, co gmin ośmielali,
„Rozproszy sama zebranych górali:
„A nie pragniemy, ażeby lud niski.
„Za winy wodzów czuł zemsty pociski. —
„To jest nasz rozkaz — pośpieszaj, Brakonie!” —
— „Będę pośpieszał — lecz niżli to błonie
„Przelecieć zdołam, boję się, ażeby
„Tam już do krwawej nie przyszło potrzeby!” —
Rzekł; — koń z pod kopyt darń w górę wyrzucił —
Król zamysłony na zamek powrócił.

XXXIII.

Nie w smak królowi szły tego wieczoru
 Pieśni minstrelów i uczta u dworu;
 Wcześniej pożegnał dworaków tłum cały,
 I pieśni w zamku przed nocą ustały.
 Ani weselój nad miejskimi mury
 Osiadał ze mgłą mrok siny, ponury.
 Mieszkańcy z igrzysk wracając tłumami,
 Śpieszą do domów, lub stają przed drzwiami,
 I wkoło siebie patrząc niespokojnie,
 Szepecą pocichu o domowej wojnie,
 O wojskach, zbliżka grożących nawzajem,
 Klanu Alpina, i Mara z Morajem;
 O strasznych skutkach, co z tego być mogą,
 I o Duglasie, skarany zbytnie srogo,
 Zamkniętym w wieży, gdzie za dawnych czasów,
 Miecz króla niegdyś pił już krew Duglasów!...—
 Tu mówca umilkł, i jakby się trwożył
 Słów swoich, palec na ustach położył,
 Wszedł prędko we drzwi, lub kroku przysporzył.—
 O zmierzchu jeźdźców ujrzano na błoniach,
 Pędzili w zamek na spienionych koniach;
 I wnet pogłoski gruchnęły wśród gminu,
 O bitwie zaszłej na brzegach Katrinu:
 Trwała z południa do zachodu słońca,
 Krwawa z obu stron—niewiadomo końca.
 Tak wieść niepewna głosiła po mieście,
 Aż noc znużonych uspiła narzęście.

KONIEC PIEŚNI PIĄTEJ.

PIEŚŃ SZÓSTA.

WARTA.

I.

Słońce wschodząc nad miastem. przez mgły dymu
[bure

Patrzy smutnie na szczyty kamiennych pałacy,
Budząc, nie z snu do życia wesolą naturę.
Lecz ludzi z ciężkich marzeń do trok i do pracy;
Kończąc ucztę, gdzie wrzeszczą gracze i pijacy,
Płosząc zbójcę, z kąd w nocy czyhał na przechodnia;
Lub zaglądając w mędrca mieszkanie ponure,
Walczy z światłem. co błada rozrzuce pochodnia
Na bladą twarz i księgi. w których czytał do dnia.

Co za obrazy cierpień. choć różnie odmienne,
Ogląda wzrok ów słońca po mieszkaniach ludzi!
Tu konający łazarz, klnąc nocy bezsenne,
Klnie ostatni dzień życia, że go blaskiem trudzi;
Tam nędzarz mrący głodem z rozpaczą się budzi;

Tam bogacz, jeszcze nie wstał, już z nudów poziewa;
Uwiedziona dziewczyna drży na światłoienne;
Ówdzie nad chorém dzieckiem matka łzy wylewa,
I tuląc je noc całą—tłumi żal, i śpiewa.

II.

W zamku Sztirlingu, po wałach i wieży,
Brzmia szczęki broni i kroki żołnierzy,
Gdy bęben głosząc dnia hasło poranne,
Znużonej straży zapowiedział zmianę.
Przez kraty w oknach i strzelnic otwory,
Do kordygardy dzień weiskał się z góry,
Ómiać zżółkłe światła świec i smolnych szczepów,
Co tkwiąc po szparach zakopconych sklepów,
Lub tu i ówdzie lepione po ścianach,
Błyszcza się w dymie, jak gwiazdy w tumanach,
Wpół ukazując, wpół kryjąc w pomroku,
Dzikie postaci, skupione w natłoku,
Brodate twarze i oczy zbłąkane,
Bezsenną nocą i trunkiem pijane.
W środku dębowy stół, winem obłany,
Pobite szlanki, wywrócone dzbany,
Swiadcza na jakich noc przeszła zabawach.
Jedni już chrapiają po ziemi i ławach,
Ci kończą jeszcze dopijać się winem;
Ci zziębli strażą, przed wielkim kominem
Grzeją się, ręce trzymając nad żarem
Węgla, tlejących w popielisku szarém;
A z każdym ruchem dokoła się szerzy,
Albo brzęk ostróg, albo chrzęst pancерzy.

III.

Nie są to kraju własnego obrońcy,
 Z ziem lennych oręż za panem noszący ¹⁾;
 Ani ich miłość lub ojcowska władza
 Wodzów, pod jedną chorągiew zgromadza.
 Zbiegi, przybyłce z różnych świata krajów.
 Różnych języków, krwi, i obyczajów.
 Z wojen na wojny, z przygód na przygody,
 Idą szukając śmierci, lub nagrody.
 Tu Włoch, rodzinném ogorzały słońcem,
 Tu Hiszpan, z okiem jak iskra błyszczącém:
 Tu Szwajcar, tęskny do gór swych ojczystych.
 Oddycha wolniej w krainach górzystych;
 Tu dumny Flamand, co pracy się lenił.
 Pług lub rzemiosło na oręż zamienił:
 Tu syn Sekwany, tu Renu mieszkaniec.
 I Anglik, z własnej ojczyzny wygnaniec.
 Z nędzy u wrogów przyjął służbę twardą.
 Za żołd płacony, i brany z pogardą.
 A wszyscy mężni, wprawieni do znojów,
 Gardzący życiem, tęskniący do bojów:
 W obozach hardzi, niekarni, swarliwi,
 W wojnach łupieżcy okrutni i cheiwi:
 Dziś, na cześć igrzysk i uczyty u dworu,
 Wolni od służby i starszych dozoru.

IV.

Mówią o bitwie wojsk króla z Alpinem.
 Po nad Achrajem i po nad Katrinem:

Twierdzą i przeczą: a każdego słowa
Dłoń zaraz mieczem dowodzić gotowa.
Ani ich wrzawy na chwilę uciszy
Wzgląd na spokojność rannych towarzyszy,
Co z téjże bitwy, oblani krwią świeżą,
W rękach lekarzy po za ścianą leżą,
A jęk ich głośny, z modłami zmieszany,
Brzmi, jak wtór spreczny biesiady pijanej. —
Wtém wstał Jan z Brentu, kapral wielce wzięty,
Najlepszy łucznik z ponadbrzeża Trenty,
Człek nieznający co strach i sumienie:
Niegdyś ochotnik na cudze jelenie,
W obozach pierwszy do nieposłuszeństwa,
Lecz niezrównanej odwagi i męztwa,
Gdy szło o trudy i niebezpieczeństwa. —
Zły był, że w kości przegrywał noc całą,
I że dnia hasło grę dalszą przerwało.
Wstał więc i krzyknął: „Hej! szklanki nalewać!
„Chce mi się piosnkę wesolą zaśpiewać;
„A niech mi każdy wtóruje nie zcicha,
„Kto mój towarzysz broni i kielicha!“ —

V.

P i e ś ć.

„Nasz klecha nam prawi kosałki, opalki,
Że Paweł czy Gaweł zakazał gorzałki;
Że pełna baryłka lub gąsior pękaty,
Pęcznieją grzechami jak szatan brzuchaty: —

Ej! fraszki! czart z flaszki za nos nas nie złowi!
Wypijmy, użyjmy! a figa mędrkowi!“

„Nasz klecha nam grozi, że ścisnąć dziewczynę,
To znaczy leżeć w piekło po samą czuprynę;
Że w oczach jój siedząc djablęta z rogami,
Zdaleka na człeka rzucają iskrami: —
Obcesem, z tym biesem, jak tylko się złowi.
Tańczujmy, całujmy! a figa mędrkowi!“

„Nasz klecha tak uczy, boć mądrą ma głowę,
By na te łakocie mieć oczy popowe:
Nas straszy od flaszki, sam djabła chrzci z beczki.
Sam dla się on pasie niewinne owieczki: —
Ej! drwijmy, użyjmy, dopókiśmy zdrowi!
Tańczujmy, całujmy! a figa mędrkowi!“ —

VI.

Głos straży zewnątrz przerwał pieśń i wrzawę.
Ku drzwiom się oczy zwróciły ciekawe:
Przemknął je żołnierz oparty na dzidzie:
„Cicho! panowie! Bertram z Gentu idzie:
„Ale mu werbel zabębnić nie wadzi,
„Bo nam dziewczynę i barda prowadzi!“ —
Wszedł Bertram, starzec poznaczony blizny,
Poważny Flamand, jeden ze starszizny:
Z nim bard, i młoda góralska dziewczica.
Pledem po oczy zakrywając lica,
Weszła, i nagle cofnęła się w kroku,
Chroniąc się zgrai spójrzeń i widoku. —

„Co słyhać?“ wrzasli.—„Wiém, żeśmy się wczora
„Od pół dnia z wrogiem tłukli do wieczora,
„Z obu stron darmo strugi krwi przelano,
„Żadna się chlubić nie może wygrana.“—
—„Po tobie nie znać, żeś darmo pracował:
„Jeńcy nie lada!—Dość jużes wojował,
„Na starość lepsza gratka ci się zdarza:
„Jesteś sam Niemiec, masz teraz arfiarza,
„Dzieweczyna widać nieszpętnie wygląda:
„Kup sobie jeszcze małpę i wielbłąda,
„Wsadź mu to wszystko na garb między juki,
„I jedź niemieckie pokazywać sztuki!“—

VII.

—„Nie, towarzysze! ci nie są jeńcami;
„Po bitwie zaraz przyszli do nas sami.
„Mar ich wysłuchał. i wydał rozkazy
„By im nikt żadnej nie czynił obrazy;
„I mnie polecił, bym koni nie szczędził,
„I co tchu starezy wraz z nimi tu pędził.—
„Dość więc tych żartów! bo nie dam nikomu
„Czynić im żadnej ni krzywdy. ni sromu.“—
—„Ho ho!“—Jan z Brentu ozwał się śród gwaru,
Zawsze najpierwszy do bójki lub swaru:
„Patrz go, jak groźny!—Myślisz, że kto zniesie,
„Byś nam zwierzynę strzelał w naszym lesie,
„I jeszcze mruczał, broniąc nam udziału?...
„Nie tobie, bratku, uczyć nas morału!
„Sam ja część moję wziąć umiem dla siebie.
„Mimo twych Marów, Morajów, i ciebie.“—

Z mieczem na drodze stanął Bertram z Gentu,
I Allan, drżący z obrazy i wstrętu,
Choć i niewprawny i słaby do broni,
Ujął za sztylet, i zzymał go w dłoni.
Gdy wtém Helena, co za nim się kryła,
Dała krok naprzód, i pled swój zrzuciła —
Tak zwykło nagle z mglistego chmur wianku,
Wychodzić słońce w majowym poranku. —
Dzikie żołdactwo zamilkło dokoła,
Jak na cudowne zjawienie Anioła:
Nawet Jan z Brentu stanął niewzruszony.
Wpół zachwycony, wpół upokorzony.

VIII.

„Żołnierze!” rzekła — „w czasach niebezpiecznych,
„Ojciec mój niegdyś był wodzem walecznych;
„Wiódł ich do boju, do męstwa zagrzewał.
„Dzielił trud z nimi, i krew swą przelewał:
„Dziś jest wygnanećm — lecz czyż od żołnierzy
„Córce się jego krzywd lękać należy? —
Na to Jan z Brentu, w złém czy dobrém dziele
Zawsze najsłabszy, by stanąć na czele:
„Przebac!” — zawołał — „zbłądziłem, jak widzę,
„Żal mi słów moich, sam siebie się wstydzę.
„Córkaś wygnaneć! — ach! wie, kto doświadczy,
„Jak na tym świecie gorzki chleb tułaczy! —
„Jam też wygnanieć i tułacz od młodu:
„Przyczynę tego wie knieja Nidwođ u.

„I moja Rózia!—biedne moje dziecko!
„Jeżeli jeszcze żyje gdzie na świecie.
„Biedna sierota!—w twém być musi lecie...” —
Żelazną ręką przetał wzrok i czoło,
I dodał, groźnie spoglądając w koło:
„Hola! kamraci! ja po wodza idę,
„A tu na ziemi kładę moję dźidę:
„Kto mi się przez nią jednym krokiem ruszy,
„Ostrzem mu w piersiach domacam się duszy.
„Znacie mnie, wiecie, że na wiatr nie mówię.
„Wara od żartów!—słyszycie, panowie!” —

IX.

Przyszedł wódz straży, udatny młodzieniec,
Tullibardinów rodu pokrewieniec;
Nie nosił jeszcze rycerskiej ostrogi;
Wesołej myśli i serca bez trwogi,
I choć grzeczności nie uchybiał w niczém,
Swobodny mową i śmiały obliczem.
Nie łatwo było znieść skromnej dziewicy
Wzrok przenikliwy badawczej źrenicy,
I uśmiech w ustach:—spłonęła rumieńcem. —
A jednak Ludwik zaenym był młodzieńcem:
Lecz twarz Heleny i postać jęj cała,
Tak źle się z miejscem i strojem zgadzała,
Że mimowolnie krzywdzące domysły,
Jak w myślach jego, i w oczach zabłysły.
„Witaj!” rzekł. „piękna! w tych twierdżach północy!
„Jeśli przybywasz szukając pomocy,

„Z sędziwym bardem, na białym dzianecie,
„Jak niegdyś błędne królewny po świecie:
„Mów, czy rycerskiej chcesz włóczni lub tarczy,
„Czy do twych usług i giermek wystarczy? —
Wzrok jój zaiskrzył—lecz westchnęła cicho:
„Ach! nie mnie teraz unosić się pychą!—
— „Śród niebezpieczeństw i wojny po drodze,
„Sierota, błagać za ojcem przychodzę,
„O wstęp do króla i o posłuchanie.
„Dziwi cię, widzę, zbyt śmiałe żądanie;
„Lecz oto pierścień, co za mną przemówi;
„Sam go monarcha dał Fitz-Jakóbowi.“ —

X.

Ujrawszy pierścień, Ludwik się zapłonił,
Zmienił oblicze i czoła nakłonił,
I rzekł: „Znam pierścień, i przebacz, o! pani!
„Jeśliśmy prości, w obozach schowani,
„Zmyleni kształtem twój odzieży gminnej,
„Chybić w czém mogli czei tobie powinny!—
„Skoro się pańskie otworzą podwoje,
„Niosę mu pierścień i żądanie twoje.
„Tymczasem, pani! w zamkowych pokojach
„Racz spocząć z drogi po trudach i znojach:
„Znajdziesz na rozkaz niewiasty służebne,
„Ranny posiłek, i stroje potrzebne:
„I jeśli względu spodziewać się mogę,
„Pozwolić raczysz, bym wskazał ci drogę.“ —
Lecz nim odeszła, z uśmiechem powabnym,
Kilka sztuk złota w woreczku jedwabnym,

Oddała, prosząc, aby jak należy
Rozdał je równo pomiędzy żołnierzy.
Przyjęli wszyscy z korném dziękczynieniem:
Ale Jan z Brentu, z nieśmiałym spójrzeniem,
Odepchnął złoto i rękę Ludwika:
„Przebacz! rzekł, dumie wolnego Anglika,
„I ach! zapomnij o żołnierza błędzie!
„Próżny ten worek niech działem mym będzie.
„Na czapce mojej, mam kiedyś nadzieję,
„W tłumie on bitew tam nieraz powieje,
„Gdzie się niejednen hełm z piórem zachwieje!“—
Helena z wdzięcznym uśmiechem i słowy,
Przyjęła dowód grzeczności marsowej.

XI.

Skoro odeszła za śladem Ludwika,
Allan się z prośbą zwrócił do łuczника:
„Dzięk! rzekł, za twą opiekę waleczną!
„Pani już moja jest widzę bezpieczną.
„Mężny żołnierzu! pozwól mi téż żądać,
„Bym mógł dziś pana mojego oglądać!
„Jam jest bard, jego: do grobu z powicia
„Przeznaczon dzielić losy jego życia.
„Dziesiąty z rodu, po ojcach bez sromu,
„Piastuję arfę w świetnym jego domu;
„A nie był żaden, coby się znieważył,
„Że dobra panów nad własne nie ważył.—
„Z życiem wraz wodza bard służbę zaczyna:
„Przy pieśniach jego usypia dzieciąta:

„On żądę chwały zaszczipia w młodzieńca.
„Uczy dzieł przodków, i w ślad ich zachęca:
„W pokoju. w wojnie, nierozdzielny z mężem,
„Sławi go pieśnią, i wspiera orężem:
„I nie opuści, aż w szczerój żałobie.
„Pieśń mu ostatnią zanóci na grobie.
„Dziś pan mój w więzach; przychodzę mu służyć.
„To prawo moje;—pozwól mi go użyć!“—
— „Mało my wiemy, rzekł Brent, w naszym kraju,
„O naszych przodkach i ich obyczajaju.
„Ani pojmujem, jak imię, czeze brzmienie.
„Trzyma w poddaństwie całe pokolenie.
„Lecz i mój zwierzchnik—błogosław mu Boże!
„Lord z Bodesertu, nie był złym;—i może.
„Gdybym to umiał czuć w młodszych mych czasach,
„I zamiast sarny płoszyć mu po lasach,
„Szedł raczej z pługiem za wołem oraczem:
„Latbym mych nędznie nie styrał tułaczem!—
„Pójdź dobry starcze! nie prosisz daremno.
„Obaczysz wodza swojego:—pójdź ze mną!“—

XII.

Rzekł, i ze ściany zdjął pęk zardzewiały
Kluczów. co u drzwi na haku wisiały:
Zatlił pochodnię, i sam idąc przodem.
Wiódł starca ciasnym i krętym przecho-dem.
Szli mimo okien z żelaznemi sęki.
Zkąd słyhać w głębi jęk i kajdan brzęki;
Przez ciemne lochy i ponure sale.
Gdzie tu i ówdzie rzucone niedbale

Leżą i wiszą, rdzą krwawą okryte,
Katnie topory, i miecze zużyte.
I różne sprośnej tortury narzędzia,
Na których wzmiankę blednie kat, i sędzia;
Dzieła rąk mistrzów, co przez wstyd sumienia
Sami im nadać nie śmieli imienia. —
Stanęli wręście u nisko sklepionych
Drzwi, na wrzeciędzie i rygle zamkniętych;
Brent w ręce barda pochodnię swą złożył,
Dobrał klucz, zgiął się, i zamek otworzył.
Weszli do środka:—było to więzienie,
Posepne ściany i mroczne sklepienie,
Nie loch jednakże: bo dzień do komnaty
Z okien u góry wciskał się przez kraty.
I na podłodze kobierzec rozpięty,
I starożytne obicia i sprzęty,
Świadczą, że w pośród tych murów obwodu,
Jest miejsce więźniów wysokiego rodu.
„Zostań tu śmiało! nikt cię nie pośledzi —
Rzekł Brent. — „aż lekarz znowu go odwiedzi.
„Sam król, jak słyhać, przykazał surowie
„Jak najtroskliwiej dbać o jego zdrowie.“ —
Spójrzal ku łożu, potrząsł smutnie głową,
I wyszedł:—rygle skrzypnęły na nowo.
Zbudzon ich brzękiem ze snu, czy z dumania,
Chory pół ciałem podniósł się z posłania;
Zdziwiony Allan, w twarzy niewolnika
Poznał—nie pana swego, lecz Rodryka!
Bo przybyłego z gór pytać o panu,
Wzięto za barda Alpińskiego klanu.

XIII.

Jak wielki okręt, co burzą strzaskany
Walezyć już więcéj nie będzie z bałwany,
I na mieliźnie piaszczystych wybrzeży
Od swych żeglarzy opuszczony leży:
Na niskiem łożu, leżał Rodryk śmiały.
Piers i ramiona konwulsyjnie drgały,
Jak boki nawy, gdy szumiąc dokoła
Fala nią wstrząsa, lecz zruszyć nie zdoła.—
Gdzież dziś jój lotne bujanie po morzach!
Gdzie szybkość jego po polach i wzgórzach!—
Skoro go poznał—wzrok topiąc w Allanie:
„Cóż o twój pani?“—rzekł—„co o mym klanie? —
„O mojej matce?—Duglasie?—mów śmiało!
„Czy i ich moje nieszczęście spotkało?—
„Ach, tak! przyjsz tutaj nie mógłbyś inaczej!—
„Lecz mów! mów!—podłój nie bój się rozpaczy.“—
(Bo Allan znając zapał jego gniewny,
Wahał się, milcząc czy mówić niepewny).
„Starcze! mów prędko!—chcę, żądam koniecznie.—
„Kto walezył mężnie? kto dotrwał statecznie?
„Kto pierzechnął?—mogli! bez wodza, bezemnie!—
„Mów! kto legł z chwałą? kto żyje nikiemnie?“—
—„O! bądź spokojny!“ rzekł bard „bądź spokojny!
„Helena żyje daleko od wojny.“ —
—„Dzięki ci za to!“—„Duglas w dobrym stanie,
„Matka twa zdrowa;—co zaś o twym klanie:
„Nigdy pieśń bardów, ni bitwy tak śmiałej,
„Ani świetniejszej nie głosiła chwały.

„Wiele gałęzi ubyło twój sośnie.
„Lecz nie upadła, i wysoko rośnie!“—

XIV.

Z dumnym uśmiechem wódz podniósł swą głowę.
Ogniem błysnęły oczy gorączkowe,
Choć sina bladość i twarz wycieńczona.
Bliskiej już śmierci nosiły znamiona.
„Starcze! pamiętam, śpiewałeś mi nieraz.
„Tam.... na tej wyspie zielonej.... gdzie teraz.....
„Gdzie nigdy więcej bardów moich pienia
„Nie będzie słuchał wódz z mego plemienia!—
„Pomnisz tę nótę—hymn chwały Alpinów²).
„Pieśń o pogromie Dermidowych synów?
„Graj ją! a razem wojennym jej tonem
„Nóc mi bój klanu mojego z Saxonem!
„Będę cię słuchał, aż słuch mój usłyszysz
„Miły szczełk mieczów, głos mych towarzyszy;
„Aż przed mém okiem te kraty, te mury.
„W wolne. rodzinne zamienią się góry.
„A duch mój wtedy, swobodny i śmiały.
„Uleci w górę, jakby z pola chwały!“—
Nie mógł się oprzeć Minstrel rozrzewniony.
Długo wprzód, długo tręcał zeicha stróny:
Ale wnet pamięć widoku, na który
Sam okiem wieszczą spoglądał był z góry.
I to. co słyszał w Saxonów obozie.
O bitwie. w ciasnym zakrytej wąwozie:
Zatliły duszę natchnieniem płomienném,
I myśl uniosły nad polem wojenném.

Tak łódź na rzekę puszczonej od brzegu,
Odpływa zwolna, i chwieje się w biegu,
Lecz niech ją porwie prąd wody—wnet śmiała.
Przestaje chwiać się, i leci jak strzała.

XV.

Pieśń Barda.

BITWA ³⁾.

..Raz ostatni przed rozstaniem.
Na Benwenu szczyt ponury
Wstąpił Minstrel, i dumaniem
Kraj rodzinny żegnał z góry.
Gdzież on znajdzie w cudzym kraju.
Takie wody jak Achraju!
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!...

..Żadnym listkiem wiatr nie wiewa,
 Żadnej fali nie muśnie;
Ptaszek w lesie nie zaśpiewa,
 Rybka w wodzie nie pluśnie:
Sęp pod skrzydło głowę chowa,
 Jeleń w gęstwę ucieka:
Taka straszna, krwisto-płowa,
Chmura dżdżysta, piorunowa.
 Od Benledi nawleka.—

„Słyszę, słyszę! huczy w górach,
Jak wezbranych szum potoków:
Czy to echo gromu w chmurach.
Czy od zbrojnych ziemia kroków?—
Widzę, widzę! mgłę prześwieca.
Wężem błysło po tle fali:
Czy krzyżowa błyskawica.
Czy słoneczny blask od stali?—
Patrz, patrz! wioną z głębi jaru
Herb Moraja, sztandar Maru!
I za niemi, wzdłuż po brzegu.
Stąpa szereg po szeregu.—
Rycerz cheiwy igrzysk zbrojnych,
Bard wojennym tehnąc zapałem.
Dałby dziesięć lat spokojnych.
Za ten widok, co ja miałem!

XVI.

„Zbrojna w łuki strzelców rota,
Straż i czata, przodem bieży;
Środkiem sunie krok piechota.
Las to włóczni, mur puklerzy!
Z pod piór hełmów stal migota.
Gdzie straż tylną jazda dzierży:
A na czele Mar z Morajem
Jadą obok nad Achrajem.

„Cicho, głucho między niemi,
Ni zabębnią, ni zagrają:
Z chrzęstu zbroi, z huku ziemi,
Słyszysz tylko że stąpają.

Nie ma wiatru zachwiać piórem.
Rozdąć sztandar, co w dół płynie:
Ledwo chyba nad jeziorem
Liść gdzie zadrzy na osinie. —
Pusto! — nigdzie żywej duszy!...
Próżne szpiegi, czaty marne!
Nie się nie mknie. nie nie ruszy.
Prócz gdzie w krzakach spłoszą sarnę.
I szeregi, jako wały,
Co skał jeszcze nie spotkały,
Idą równe, groźne, czarne.

„Już minęli brzeg Achraju,
Na równinę wyszli z gaju.
Przed Trosachu ciasne wrota.
Znać się boją zdrańców górali —
Obaj wodze rozkaz dali.
Staje jazda i piechota.
Mar z Morajem szła łuczniczki.
By przejrżeli wąwóz dziki.

XVII.

„Nagle powstał wrzask tak srogi,
Gniewu. zemsty. groźby, trwogi.
Jakby całe piekło wrzasło
Na powszechną wojny hasło.
I w przestkach, wstecz z Trosachu,
Jak dym wiatrem popędzony,
Tłum łuczników. już bez szyków.
Wypadł. pierzcha w różne strony:

„W pomoc! w pomoc!“—cizba, wrzawa.

Jęki, szczyki, bitwa krwawa.

Tuż, tuż wali, tłum górali—

Chmura pędów, błyski stali:

„Śmierć Saxonom! sromota!“

Biegną, wależą, pomieszani

Ścigający i ścigani,

Gdzie kto może, śmierć miota. —

Tój ucieczce, tój pogoni,

Czyż się oprze, czy obroni

Jak mur wryta piechota?—

— „Wróg czy swoi, w tył!“ — Mar woła.

„Włócznie na sztych, w dół!“ —

Jak przed wiehrem puszcza goła,

Jak na polu kłosów czoła,

Las się włócznie zgiął.

Chrzęszczą zbroje, szyk się zwięza,

Tarcz do tarczy, mąż do męża,

Jak z żelaza mur.

„Na tych włóczniech“ — dumnie krzyczą.

„Dzicz góralów buntowniczą

„Wtłoczym do ich gór!“

XVIII.

„Rot łuczników białe szczyty

Pręc przed sobą—jako wzdęty

Wał po przedzie miece piany —

Pędzi Alpin niewstrzymany.

Za nim, nad nim, jakby chmura,

Wzdęte pędy, czarne pióra,

Mieczów, tarczy blask;
I jak w burzy morskie wały.
Wpadł na wroga. jak na skały —
 Cizba, łoskot, wrzask! —
Jęczą drzewca, jako w boru
Suche sosny od toporu:
Huczą zbroje, jaby. razem
W sto kowadeł grzmiał żelazem:
 Alpin wygra bój! —
Lecz ach! widzę chmurę pyłu —
Moraj jazdę ruszył z tyłu:
 „Naprzód sztandar mój!
„Naprzód! woła. naprzód śmiało!“ —
Zabrzęczało, zatętniało,
 Jeźdźcy lecą w skok;
Z dwóch stron razem, za rozkazem,
Z kopijami i żelazem,
 Wpadli w pieszych tłok.
Jak jelenie wprost przez krzaki,
Wczwał tratuja ich rumaki:
 Widać tylko pył;
Miecz tnie z góry. spisa kole —
Próżno. próżno stawić pole!
 Alpin pierzcha w tył.
Ale jeszcze. jeszcze w szyku —
„Gdzieżeś. gdzieżeś. o! Rodryku!“
 Krzyczą dzieci twe:
„Twój głos chyba. twoje ramię,
„Wstrzyma popłoch, wroga złamie: —
 „Gdzież jest Rodryk. gdzie?“ —

Do Trosachu tłum się wali:
Włócznie. pióra, błyski stali,
Widać z pyłu chmur;
Jeźdźni, piesi, pomieszani,
Ścigający i ścigani,
Prą się w paszczę gór.
Jak w Braklinu otchłań mglistą,
Nieżgłębioną, przepaścistą.
Wścieklój wody szum:
Jak w podziemny wir bałwany:
W wąwóz ciasny, niedojrzany,
Zapadł wrzask i tłum.
A na polu, jak po burzy,
Widać tylko mgłę rozwianą;
Nikt nie został — prócz tych, którzy
Już na wieki nie powstaną.

XIX.

„Coraz dalej echem grozy,
Coraz ciszéj brzmia wawozy: —
Nuże! bardziej, przyspiesz kroków!
Pójdź oglądać grę wyroków.
Gdzie się Trosach drugą stroną
W wód Katrinu patrzy łono,
I na wyspę ich zieloną! —

„Szczyt Benwenu'm wstecz przebieżał,
U stóp moich Katrin leżał.

„Słońce zgasło, chmury wstały —
Pełzną, dymią, po skał wierzchu:
Pod ich cieniem brzeg i wały,
Leżą sine, jak o zmierzchu.
Wiatr to nagle świśnie w borze.
To zakręci po jeziorze,
To znów cisza; i jak wprzódy.
Mileżą chmury, brzeg i wody. —

„Ja nie baczę chmur ni burzy,
Sroższą burzę Trosach wróży.
Słyszę tylko huk ponury,
Jakby z posad wstrząsał góry.
Nad wąwozu ciasną szyją,
Huczą wrzaski, jęki wyją,
I zmieszane grzmią ku niebu.
Jak dzwon trwogi i pogrzebu.

„Coraz bliżej, coraz bliżej,
Grzmi szeptek mieczów, trzask paizy —
Cóż to? nagle ustały! —
Słyszę tylko okrzyk mściwy:
Trzeszczą łuki, brzmia cięciwy —
Zaświstało — to strzały!
Czekam, patrzę — wtém z parowu
Wybiegają, pędzą znowu:
Lecz nie razem w natłoku.
Bo górale w pledach, w piórach.
Po urwistych pną się górach,
Szyk ściskają w obłoku:

A u dołu, nad jeziorem,
Saxon gęstym włóczni borem
Zaćmił brzegi potoku.

„Obie strony, z gniewną pychą
Grożąc wzajem, stoją cicho,
Jedna drugiej znać strzegą.—
Każdy sztandar rozpostarty,
Jak śród burzy żagiel zdarty;
Nieład w szykach, lózne konie,
Ścięte włócznie, krwawe bronie,
Świadczą dzieło dnia tego.

XX.

„Ruch w Saxonach:—krąg gromadzą,
Wodze w środku—znać że radzą;
Po jeziorze wzrok prowadzą.
Moraj wyszedł, wznosi włócznię,
Wskazał wyspę, i niezwłocznie
Gniewem zdjęty mówić pocznie:
„Patrzcie! wyspy nikt nie broni:
„Tam się plemie zbójców chroni,
„Tam swe skarby mają oni!
„Kiesę złota daję temu,
„Pławaczowi odważnemu,
„Co przebrnąwszy wpływ przez wodę,
„Z czółnem wróci po nagrodę.
„Tém uskromim bunt téj dziezy:
„Wilk nam u stóp zaskowyczy,
„Po swych dzieciach. po zdobyczy!“ —

Młody łucznik wskok wybiega,
Zrzucił odzież, i wprost z brzegu
W wodę nurka dał.

Gall i Saxon zamiar baczy:
Głos tryumfu, krzyk rozpaczy,
Wzniósł się z głębi skał.

Płacz niewieści i jęk w dali,
Poklask zbrojnych rąk po fali,
Na powietrzu wrzask górali,
Jedném echem brzmiał.

Jakby hasła czekał w chmurze,
Piorun błysnął, zagrzmiał w górze,
Wiatr zaświstał:—K a t r i n cały
Wre i kipi, jak śnieg biały.

Dla pławacza szczęściem fala,
Wziąć go na cel nie dozwala:
Bo wraz z deszczem Gallów strzały.
Jak deszcz gęsto, wkrąg padały.
Próżno, próżno! on uchodzi!
Wprost ku wyspie, wbrew powodzi.
Już dopłynął—sięga łodzi.

Wtém błysnęło;—błyskawica
Cały wyspy brzeg oświeca.
I ujrzałem—w porcie stała
Dunkragana wdowa śmiała,
W prawej ręce stal błyszczała.
Pociemniało;—wtém zdaleka
Usłyszałem jęk człowieka.

Błysło znowu:—trup Saxona
Pływa z falą, a Matrona
Stoi nad nim. krwią zboczona.

XXI.

„Zemsta! zemsta!“ Saxon wrzasnął.
Gall z tryumfem w ręce klasnął.
I z obu stron krzyk „do broni!“
I z obu stron miecz już w dłoni.
Zemsty cheiwe, na krew skore—
Nie im burza!—w dół i w górę
Biegną. lecą...—Wtém ujrzałem,
Jeździec zdala pędzi czwałem:
W mgle od konia, jakby w chmurze.
Biały sztandar trzyma w górze;
Dwóch trębaczów posłał wprzód,
Trąbią rozejm, hasło zgody;
Goniec w króla imieniu:
Każe wstrzymać bój śmiertelny.
Bo już Douglas, Rodryk dzielny,
Są u króla w więzieniu.“—

Tu znikły nagle i śpiew, i strón dźwięki,
I arfa z barda wymknęła się ręki. —
Często on patrzył, w ciągu swój powieści,
Na twarz Rodryka, jak znosił jój treści.
Z razu wódz, słysząc wojska pochód zbrojny,
Wzniósł dłoń, i zlekka znaczył takt spokojny.

Ruch ten wnet ustał;—lecz gwałtowne czucie,
Przy każdej w twarzy zmieniało się nócie.
W końcu znać było, że w uchu stępieném
Pieśń niewyraźnym brzmi już tylko tonem.
Wtém twarz zadrgała—ścisnęły się palce,
Jakby w rozpacznej z boleściami walce;
Ścieły się usta; obumarłe oko
W słup nieruchome stańęło wysoko;
I w tój postaci, bez mąk, bez jęczenia,
Rodryk ostatnie wyzionął westchnienia!—
Z drzeniem Allana cześć przejęła głucha,
Jakby czuł przejście potężnego ducha:
Ale wnet, patrząc na śmiertelne zwłoki,
Tak w smutnej pieśni wydał żal głęboki.

XXII.

P i e ś Ń.

„Takżeś skończył, zgasł poranu,
Słońce chwały Bredalbanu!
Gromie wrogów, tarczo klanu!
W więzach u nieprzyjaciela?—
Lecz tyś kochał pieśń minstrela,
Tyś przytulił ród Bottwela —
Cześć twa w pieśni żyć zaczyna:
Bard, ojezyczna, i rodzina
Nie zapomną dzieł Alpina.

„Co za bolesć w rodzie Gallów.
Co rozpaczy, łez i żalów,

Co za wściekłość twych wassalów,
Zabrzmią w górach twego rodu! —
Legł bohater wpół zawodu.
Dzień nie dotrwał do zachodu! —
Gdzież dom taki, gdzie rodzina,
Coby nie dał ojca, syna,
By mógł ożyć wódz Alpina?

„Smutny, smutny kres twój doli!
Szpak choć w klatce, życie woli,
Lecz dla orła — śmierć w niewoli. —
Duchu wielki! usłysz z góry
Pieśń, dziś głuchą między mury,
Pieśń samotną — lecz przy której,
Ta, coś kochał, mąk przyczyna,
Łzy lać będzie twa jedyna,
Słyszac cześć i śmierć Alpina!“

XXIII.

Tymczasem w trwodze o najdroższe głowy,
Helena w izbie czekała zamkowej.
Gdzie blask słoneczny, tęczą barw zmieszanych,
Wpadał przez szyby okien malowanych.
Lecz próżno igrał z pozłocistym szczytem,
Z drogim marmurem i ścian axamitem:
Próżno naczyniem złotem nie leniwa
Służba, stół przed nią do uczy nakrywa:
Przepych komnaty, bogaetwo zastawy,
Ściągnęły ledwo jeden wzrok ciekawy:

A i ten tylko w duszy zasmuconej
Obudził pamięć téj wyspy zielonej.
Tych dni szczęśliwych, gdy nieraz w poranku,
W myśliwskiej sali, lub na wonnym ganku,
Luby jój ojciec, do skromnego stołu
Z gościem Malkolmem zasiadał pospołu;
Gdy wierna Lufra, z niepokojem w oku.
Strzegła zawistnie miejsca przy jój boku.
A Douglas w męzkich smakując rozmowach.
Wiódł rzecz z Malkolmem o wojnach i łowach:
Choć nieraz w ciągu odpowiedź wspanak dana,
Zdradzała inny cel myśli młodziana.
Ci, co tych prostych rozkoszy doznali.
Czują ich wartość, gdy je czas oddali!—
Wtém patrz! podniosła w dół zwieszona skronie.
Wzrok gore ogniem, twarz rumieńcem płonie:
Wstrzymała oddech, nastawuje ucha.
Ku oknu zwolna zbliża się, i słucha!—
Czyjeż-to głosy, czyjéj pieśni echo.
Tak ją snąć nagłą natchnęły pociechę?—
Z małej wieżyczki, z jój okien widoméj,
Z za krat u okna, nócił głos znajomy.

XXIV.

Pieśń uwięzionego myśliwca.

„Smutny mój sokół skrzydłami bije.
Chart mój zamknięty skomli i wyje,
Koń się mój zżyma i rzy przy złobie,
I pan ich w więzach tęskni sam w sobie.

Kiedyż znów, kiedy, w dzikich dąbrowach
Będziem jelenie ścigać na łowach,
Na rączym koniu, z sercem wesołym,
Z swobodną myślą, z psem i sokołem!

„O! jak tu smutno liczyć czas życia
Na pogrzebowe zegarów bicia,
Albo go mierzyć, patrząc na mury,
Jak kirem po nich cień pełza bury!—
W polu skowronek głośił mi zorzę,
Hasło wieczoru gil świstał w borze:—
O! piękne lasy! o! czyste pola!
Tu choć król mieszka—dla mnie niewola!

„Kiedyż znów, kiedy, ujrzę blask świtu
Z oczu Heleny, z niebios błękitu?
Kiedyż znów, kiedy, wracając z boru,
Odetchnę wolno wonią wieczoru,
I witający, i powitany,
U nóg Jój złożę łup pozyskany,
I znów jak niegdyś, wzrok Jój dobroci—
Kiedyż, ach! kiedy, szczęście mi wróci?“—

XXV.

Ledwo śpiew przebrzmiał ostatnimi słowy,
Słuchaczka jeszcze nie podniosła głowy,
Nie oschły jeszcze łzy lśniące w jój oku,
Gdy usłyszała szmer bliskiego kroku —
Jakób Fitz-Jakób stanął przy jój boku.

„O! witaj!“ — rzekła, śpiesząc się z rozmową,
Nimby głos więźnia ozwał się na nowo:
„Czémże ci zdołam, w méj doli sierocój,
„Zawdzięczyć łaskę tak bratniej pomocy?“ —
— „O! nie mów tego! — tyś mi nie nie winna.
„Los twój niestety! ma w mocy dłoń inna.
„Ja ci do króla wskazać tylko drogę,
„I do próśb twoich przyczynić się mogę.
„Nie jest on tyran — choć może gniew skory
„Nieraz krzywdzące rzucił nań pozory. —
„Śpieszmy, Heleno! — to właśnie godzina,
„Gdy król swych dworzan przyjmować zaczyna.“ —
Drżąca z bojaźni, na poły w omdleniu,
Jakby na brata wsparła się ramieniu.
On dodał męztwa. on otarł łez ślady,
I wiódł przez ganki i mroczne arkady,
Aż na znak jego, złociste podwoje
Królewskie przed nim otwarły pokoje.

XXVI.

Wszystko tam wewnątrz jasne, okazałe,
Bogate stroje, postacie wspaniałe!
Cały ten obraz lśniącego natłoku,
Razem w Heleny wydawał się oku,
Jak zwał obłoków nad zachodniem słońcem,
Połyskujących barw jego tysiędem,
W których złudzony wzrok łatwo dostrzeże
Strojne niewiasty i zbrojne rycerze. —
Drżąc, nieodstępna od Jakóba boku,
Nieśmiało naprzód pomykała kroku,

I wznosząc zwolna zapłonione czoło,
Lękliwym wzrokiem rzuciła wokoło,
Szukając Tego pomiędzy natłokiem,
Czyja chęć prawem, a słowo wyrokiem!—
Widziała wielu, z postaci, z pozorów,
Godnych być panem królewskiego dworu;
Widziała wielu strój i przepych drogi...—
I wtém struchlała z podziwu i z trwogi:
Bo wszyscy stali z nagiemi głowami,
Jeden Fitz-Jakób miał czapkę z piórami!
Na niego wszystkich oczy obrócone,
Ku niemu wszystkich czoła nakłoniłone:
Śród blasku złota i drogich kamieni.
On sam stał w prostej myśliwskiej zieleni,
Stał w środku, dworzan otoczony półkolem —
Jakób Fitz-Jakób był Szkocy królem ⁴)!

XXVII.

Jak wianek śniegu, gdy słońce zabłyśnie,
Zsuwa się z skały, na której zawisnie,
Biedna Helena, struchlała i zbladła,
U stóp monarchy na kolana padła.
Nie mogła mówić—głos zamarł w jej łonie.
Podniosła pierścień, uderzyła w dłonie...—
O! ani chwili monarcha łaskawy
Nie zniósł jój trwogi i kornój postawy!
Podniósł uprzejmie—i zmarszczeniem czoła
Powściągnął uśmiech obecnego koła,
I na jój głowę kładąc obie dłonie,
Z powagą ojca ucałował skronie,

I rzekł: „Tak, piękna! gość twój z obcém mianem,
„Jest królem twoim i Szkocyi panem.
„Do niego zanoś twe prośby i chęci,
„Król chce odkupić pierścień swój pieczęci.
„Nie prosz za ojcem:—od wczorajszej chwili,
„On i król jego wiele przebaczyli:
„On poniósł krzywdę z potwarców przyczyny.
„Jam krzywd doświadczył od jego rodziny.
„Wzgardziłem tłumy niesfornemi wrzaski,
„Gdy się śmiał gwałtem domagać dlań łaski:
„Lecz sam, z pomocą rady mojej wiernej,
„Z walecznym De-Vaux i lordem z Glenkerny.
„Spokojnie całej wysłuchawszy sprawy,
„Znieśliśmy wyrok śmierci i niesławy;
„I znów w osobie Duglasa-Bottwela.
„Tron ma podpore, a król przyjaciela.—
„Co? jeszcześ smutna? Izy twe widzę znowu?—
„Śmiesz-li nie wierzyć królewskiemu słowu?—
„Lordzie Duglasie! wystąp, i za karę,
„Świadectwem swoim zawstydz jój niewiarę!—

XXVIII.

Ukryty Duglas wystąpił z śród grona,
I córka w jego upadła ramiona.
Król patrząc na nich rozrzewnioném okiem.
Poił się władzy najslodszyim urokiem,
Gdy może głosem pociechy Anioła
Rzec smutnej enocie: „wstań, i bądź wesola!“—
Lecz nie zniósł długo, by obce źrenice
Śledziły świętych uczuć tajemnice:

„Dość, rzekł. Duglasie! czas twe szczęście skrócić!
„Bierzesz mi serce, com ja chciał nawrócić.
„Do mnie należy wyjaśnić rzecz całą.
„Jak nam tę Niebo pociechę zesłało. —
„Tak, wiedz Heleno! gdy przebrany chodzę
„Po życia niższej, lecz szczęśliwszej drodze,
„Przybieram zwykle znajome ci miano:
„Snowdunem Sztirling w dawnych czasach zwano,
„A dotąd jeszcze w Normandzkiej mnie mowie
„Anglik Jakóbem Fitz-Jakóbem zowie.
„Tym ja sposobem, kosztem mego trudu,
„Czuwam nad prawem i słucham skarg ludu.“ —
Potém z uśmiechem szepnął jój do ucha:
„Ty wiesz, zdrajczyni! jak płocha otucha,
„Jak możne czary i cel sercu miły
„W góry mię wasze raz drugi zwabiły:
„Ale pamiętaj! że co bądź król winien.
„Nikt nigdy o tém wiedzieć nie powinien.“ —
I znowu głośno rzekł: „Nie myśl o dziękach!
„Talizman łaski masz dotąd w swych rękach.
„Mów, żadna wielka nie zda mi się cena. —
„Czego od króla chce piękna Helena?“ —

XXX.

Zgadła dziewica, że król z nią żartował.
I że jój serca słabości próbował:
Lecz wraz z tą myślą, nie postrzegła sama,
Jak przysła pewnośc o losy Grahama.

A sądząc raczój, że król gniewem płonie

Przeciwno temu, co buntowne dłonie

Wzniósł przeciw prawu, w jój ojca obronie:

Prosiła, idąc za głosem natchnienia.

Życia Rodryka i win przebaczenia.

— „Próżna twa prośba! sam chyba Król-króli

„Konającego z rąk śmierci wyzwoli.

„Znam jego serce, znam moc jego dłoni,

„Doznałem jego gościny i broni:

„Najlepsze hrabstwo państw moichbym łożył.

„By bohaterski wódz Alpinów ożył! —

„Lecz niktże inny, wart twojój przyjaźni.

„O los swój w tobie nie wzbudza bojaźni?“ —

Nie śmiąc wznieść oczu, spłonila się cała.

I ojcu pierścień królewski oddała,

Jakby żądając, aby on wymienił

Tajemny powód, co twarz jój rumienił. —

„Tak? — więc mój zakład moc swoją utracę,

„I sprawiedliwość do praw swoich wraca!

„Malkolmie! wystąp!“ — i wnet u stóp pana,

Posłuszny Graham uchylił kolana.

„Nikt się za tołą przyczynić nie raczył.

„Sądz sam, czyś godzien, bym ja ci przebaczył?“

„Ty, coś przez nasze wychowan staranie,

„Czarną nam zdradą wypłacił się za nie,

„I w pośród wiernych Grahamu mieszkańców,

„Śmiał szukać miejsca dla rodu wygnañców?...

„Nie! — słusznój zemsty dosięgnie cię ramię! —

„Więzów i stróża trzeba ci, Grahamie!“ —

Rzekł, i z swój szyi, kunsztownej roboty
Na pierś Malkolma rzucił łańcuch złoty,
Zacisnął klamrę, i przy ogniw brzęku,
Z uśmiechem pełnym dobroci i wdzięku,
Podał Helenie, i złożył w jej rękę.

Arfo północna, żegnaj!—mrok osiadł w dolinach,
I purpurowe szczyty gór ciemność odziewa;
Gwiazdy w chmurach, świetliki błyszczą po gęstwi-
[nach,
Zwierz ukrył się w łożysku, i ptastwo nie śpiewa.
Zawieszam cię, z kąd wziąłem, na gałęzi drzewa:
Brzmij znów, jak brzmiałaś, z wiatrem nad cichym
[strumieniem!
Niech się z hymnem natury słodki głos twój zlewa:
Z dalekim szumem lasów i wód, i z kwileniem
Nocnej fletni pasterza, i pszczoły brzęczeniem.

Żegnaj raz jeszcze, arfo wieszczów i minstreli!
Raz jeszcze przebacz słabe ręki mój władanie!
Nie trwoży mię sąd świata; ni zdziwi, jeżeli
Lekka pieśń w lekkiej wadze u sędziów zostanie.
Dość miałem, gdym w rozpaczonym duszy mojej
[stanie.
Ból niewyjawny światu słodził twemi dźwięki;
Gdy po bezsensnych nocach natrętne świtanie
Przymus tylko i nowe zwiastowało męki!...
Żem to zniósł, czarodziejko! jednej tobie dzięki!

Lecz słyszysz!—ledwom odszedł, w ciszy uroczystej
Jakiż duch niewidomy budzi strón twych brzmienie?
To raz jakby w nie skrzydłem bił Seraf ognisty,
To jakby na nie wiało płóche Sylfa tchnienie!..—
Dźwięk rozchodzi się, płynie—echo i milczenie
Chwytają naprzemiany błędne tony wieszczę.
Ucichły—i już tylko jak przedtém, strumienie
Szumią z gór, i po drzewach cichy wiatr szeleszcze.—
Arfo czarownych pieśni! żegnaj mi raz jeszcze!

K O N I E C .

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 5. wiersz 14. Pędził na dziki szczyt gór Uam-waru.

Góra w hrabstwie Mentheith. Nazwisko jój znaczące: Wielką Pieczarę, pochodzi od dzikiej groty, między skałami, będącej niegdyś, jak niesie podanie, schronieniem olbrzyma.

2. Str. 7. wiersz 26. Z gniazda świętego Huberta ogary.

Psy te pospolicie są czarne; niezbyt lekkie w biegu, ale wytrwale, i obdarzone najostrzejszym węchem. Nazwisko ich pochodzi ztąd, iż gniazdo ich pielęgnowali opaci świętego Huberta, na pamiątkę tegoż świętego, który równie jak święty Eustachy, był lubownikiem i jest patronem myślistwa.

3. Str. 8. w. 18. Lecz gdy z wzniesioném nad głową ramieniem
Przypuścił konia, by starć się z jeleniem.

Gdy już psy osadziły były jelenia, natenczas sam naczelnik łowów, pieszo lub konno, uderzał na niego, i kordelasem zadawał mu cios śmiertelny; niekiedy obecnym damom ustępował tego zaszczytu.— W pewnych jednakże porach roku,

była to rzecz bardzo niebezpieczna; gdyż rana od rogów jelenich uważaną była za gorszą niż od klów dzika.

4. Str. 15. w. 13. Lecz wiem że w dzikich tych górach i kniejach
Nie brak na zbójcach i śmiałych złodziejach.

Górale w dawnych czasach nie mieli za występki, lecz owszém za dzieło chwalebne, napadać i pustoszyć ziemie nieprzyjaznych pokoleń. Zwyczaj ten w okolicach jeziora Kattrinu utrzymywał się dłużej niż gdzie indziej, dla różnych okoliczności miejscowych.

5. Str. 21. w. 5. Bard białowłoso, któremu widzenia
Zwiastują przyszłość i bliskie zdarzenia.

Wiara w zmysł, czyli władzę drugiego widzenia, była i jest dotąd pospolitą w Szkocyi. Jest to coś nakształt ducha prorockiego; pewny gatunek magnetycznego jasnowidzenia na jawie. Osoby posiadające tę własność widzą, jakby przed oczyma, przedmioty niewidzialne nikomu, albo wypadki mające się zdarzyć w przyszłości. Widzenia te czynią tak mocne wrażenie na wieszczach, którym się objawiają, że ci w téj chwili nic więcej wkoło siebie nie widzą, i żadną inną myślą rozerwać się nie dadzą. Są zaś weseli lub smutni, podług przedmiotu, jaki się im przedstawia.

Za zjawieniem się widziadła, oczy wieszczki stają w ślup, powieki się podnoszą; a to tak dalece, że kiedy stan ten przeminie, potrzeba użyć niekiedy pomocy palców, aby je znowu nasunąć na oczy.

Jeśli wieszcz postrzeże kogo otoczonego całunem, jest to pewna wróżba śmierci dla téj osoby. Jeśli widzi kobietę po lewój stronie mężczyzny, jest to przepowiednią ich małżeńskiego związku. Jeśli dwie lub trzy kobiety, ukążą się po lewój stronie tegoż samego mężczyzny, ten, pomimo wszelkich obecnych okoliczności, zaślubi je jedną po drugiej, etc. (Martin. Opisanie Szkocyi).

6. Str. 22. w. 21. Tam pod ich cieniem, ktoś, znać niespodzianie,
Na prędcie wiejskie zbudował mieszkanie.

Wodzowie górali, których życie na tysiączne niebezpieczeństwa wystawioném było, mieli zwykle w najskrytszym zakątku posiadłości swoich jakieś pewne schronienie, dom, wyspę, zamek lub grotę, gdzieby przed niebezpieczeństwem ująć mogli.

7. Str. 25. w. 13. Z wzrostem Ferraga albo Askabarta.

Dwaj olbrzymi, synowie Anaka, sławni w romansach rycerskich.

8. Str. 26. w. 2. Ani śmiać badać imienia lub rodu.

Górale ściśle niezmiernie w przestrzeganiu obowiązków gościnności, nie śmieli pytać gościa o jego imię lub familię, dopóki wprzód nie przyjął jakiego posiłku. Nieprzyjaźnie familijne tak między nimi zagęszczone były, że przeciwne prawidło nierazby musiało pozbawić gościa uprzejmego przyjęcia.

9. Str. 27 w. 13. Rzekła, w tém arfa w niewidomój ręce
Zabrzmiała, wtórzac góralskiej piosence.

Górale lubią powszechnie muzykę; a mianowicie arfy i kobzy.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 33. w. 7. Ożywezy wpływ poranku natchnął pierś Min-
[strela.

Wodzowie góralów, aż do ostatnich czasów, mieli każdy na usługach swych barda, który się liczył w poczet domowników. Bard musi znać doskonale dzieje i genealogią

wszystkich familii mieszkańców gór, a mianowicie własnego pokolenia: niekiedy jest nauczycielem młodego wodza, i śławi w pieśniach swoich dzieła swych panów i klanu.

2. Str. 37. w. 28. Śpiewaj, o! mistrzu! cześć rodu Grahamów.

Familia Grahamów, jedna z najznakomitszych familij góralskich, posiadała znaczne majątności w Hrabstwach Dumbartonu i Sztirlingu; i mało jest imion Szkoekich, któreby miały większą w swym kraju sławę historyczną.

3. Str. 38. w. 20. Arfa ta. niegdyś świętego Modana.

Św. Modan, równie jak święty Dunstan, miał sławę wielkiego muzyka i proroka za życia. Arfa jego, jak świadczą legendy, podzielała prorocką własność swego mistrza, i w różnych razach brzmiąc sama przez się, przepowiadała przyszłość, a mianowicie śmierć właściciela swojego.

4. Str. 39. w. 6. Przedtém nim Duglas śród nieszczęść pogromu. Tułacz. ująć musiał z przodków swoich domu.

Rodzina Duglasów zawsze wielka i potężna w Szkocyi, za małoletności Króla Jakób V, doszła była do najwyższego stopnia potęgi. Hr. Angust Duglas, pojął za żonę matkę małoletniego monarchy, wdowę po Jakóbie IV, królu Szkocyi, a wsparty prawami ojczyma i osobistém znaczeniem, przywłaszczył sobie opiekę nad młodym dziedziecem korony, trzymając go w niej jak w niewoli. Nawet gdy ten już do pełnoletności był doszedł, Duglas w jego imieniu rządził całém królestwem. Przeciwnicy Duglasa czynili wiele otwartych kroków aby uwolnić króla z pod nienawistnej przewagi; lecz te wszystkie były daremne; zwycięstwo zawsze sprzyjało mężstwu i stronnikom Duglasa. Nakoniec, sam król, omyliwszy czujność opiekuna, uszedł w nocy z własnego pałacu, i schronił się do zamku Sztirlingu, gdzie go nieprzyjazny Duglasowi rządzca przyjął z radością. Król zwołał natychmiast do siebie przedniejszych parów państwa, zawistnych

zławna potęgi domu Duglasów. Zapozwano Duglasów i ich stronników do stawienia się przed sądem, czego gdy dopełnić nie chcieli, uważani za nieposłusznych, zaocznym wyrokiem królewskim na wygnanie skazani i za nieprzyjaciół ojczyzny ogłoszeni zostali.

5. Str. 42. w. 8. Zabił rycerza w progach Holyrood.

Holyrood nazwisko pałacu królewskiego w Edyμβurgu. Zabójstwo, o jakie tu Rodryk jest oskarżony, nie było rzadkiem na dworze Szkoekim, gdzie obecność Monarchy nie była zawsze dostatecznym hamulcem do poskromienia dumy i porywczosci, potężnych a dzikich baronów.

6. Str. 42. w. 20. Gdy jak zwierz dziki od kniei do kniei,
Ojciec twój błędził bez wsparcia nadziei.

Położenie rodziny Duglasów po wygnaniu, nie jest bynajmniej przesadzone w tych i w następnych wierszach. Nieawisic którą król Jakób powziął dla całego ich domu, tak była wielką i tak powszechnie znaną, że nikt bez narazenia się na zemstę królewską, nie śmiał im dać przytułku.

7. Str. 44. w. 8. Ale gwałtowny, jak fala Braklina.

Jest to jeden z najpiękniejszych wodospadów szkockich, w hrabstwie Mentheith; spada z wysokości 50 stóp z wielką gwałtownością i łoskotem.

8. Str. 45. w. 20. Wypadłszy z pochwy, gdy on stał u progu,
Czyż nie dość ostrzegł o bliskim nas wrogu?

Dawni wojownicy, których największa nadzieje polegała na mieczu, umieli wyciągać zeń rozmaite wróżby; zwłaszcza z takich, które, jak czytamy w owoczesnych romansach, były ukute przez czarnoksiężników, lub przez nich czarowane. — Przytaczamy tu w tym względzie osobliwsze zdarzenie, wyjęte z kronik niemieckich.

Młodzieniec jeden, ze znakomitego domu w Niemczech, zabląkawszy się wieczorem na przedmieściu stołecznego miasta swego kraju, skrył się przed burzą do najbliższego domu. Gospodarz, który mu drzwi otworzył, był człowiek wysokiego wzrostu, groźnej i ponurej twarzy, w odrażającym nieczystością stroju. Na scianach w izbie wisiały miecze, topory, i rozmaite narzędzia do tortury znać należące. W chwili gdy młodzieniec wstąpił na próg, jeden z tych mieczów wypadł z brzękiem z pochwy na podłogę. Na ten widok gospodarz domu z tak nadzwyczajną uwagą i dzikim wyrazem twarzy zaczął się wpatrywać w przybyleca, iż ten nie mógł się wstrzymać od zapytania go nawzajem o jego imię, rzemiosło, i coby miał oznaczać wzrok tak osobliwy? „Jestem, odpowiedział gospodarz, katem tego miasta; przypadek zaś ten, coś widział, jest niewątpliwą przepowiednią, iż kiedyś, pełniąc moję powinność, zetnę ci głowę tym samym mieczem, który teraz wypadł z tej pochwy.“

Młodzieniec opuścił co rychłej złowrogie schronienie; lecz w kilka lat później, wmięszawszy się do pewnego rozruchu, został skazany na śmierć, i ścięty przez tegoż kata i tymże samym mieczem.

9. Str. 47. w. 10. Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega.

Pibroch, jest to rodzaj symfonii wojennej, właściwy tylko góralom i mieszkańcom wysp Szkoekich. Gra się tylko na kobzach, i różni się od wszelkiej innej muzyki. Znawcy umieją w nim rozróżnić naśladowcze dźwięki marszu, natarcia, odwrotu, i wszystkich wypadków bitwy.

10. Str. 49. w. 12. Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!

Oprócz imienia i nazwiska, każdy naczelnik klanu miał jeszcze jakiś przydomek, wyrażający patryarchalną godność jego jako wodza klanu, wspólny mu z poprzednikami i następcami jego na tę dostojność; jak np. imię Farao, służyłc

wszystkim królom egipskim, imię Cezar, wszystkim cesarzom rzymskim.

Przydomki wodzów góralskich pochodziły zwykle albo od imienia jakiego wielkiego przodka, albo od sławnego w rodzinie wypadku, albo od herbu. Lecz oprócz tego familijnego przydomku, wspólnego wszystkim wodzom jednego klanu, każdy miał jeszcze nadane sobie przezwisko od osobistych swoich przymiotów; ten zwał się czarnym lub białym, od koloru włosów lub stroju; ten chudym, tłustym, etc. Wiersz w tekście, który autor bez tłumaczenia na angielskie, w języku gallickim umieścił, i który też dla tego, bez zmiany zachowałem, znaczy:

Rodryk Czarny, potomek Alpina.

Wyraz *Vich* czyta się *Vicz*. Miara pieśni, wiernie zachowana w przekładzie, ma naśladować nutę pieśni łodziowych górali, zastosowanych w takcie do ruchu i uderzenia wiosel.

11. Str. 50. w. 4. Loch-Lomond krwią spłynął w popłochu.

Hrabstwo Lennox, a zwłaszcza okolice jeziora Lomond, wystawione były najczęściej na napady i łupieżę górali. Sławna jest w dziejach szkockich bitwa stoczona pod Glen Fruin w 1602 r. między klanem Mac-Gregor, a rodem Colguhounów. Ostatni zostali zwyciężeni; lecz zwycięzcy nie przestając na tém, wszystkich prawie mieszkańców płci męskiej, osiadłych na ziemiach nieprzyjaciół, nie przepuszczając nawet dzieciom, w pień wycięli. Okrucieństwo to ściągnęło okropne klęski nie tylko na tych, którzy się go dopuścili, lecz na cały klan Mac-Gregorów. Wdowy pomordowanych stronników rodziny Colguhounów, w liczbie 60, udały się na skargę do króla, przemieszkującego naówczas w twierdzy Sztirlingu. Jechały wszystkie na białych koniach, same ubrane w żałobie; niosąc zawieszoną na pikach skrwawioną koszulę swych mężów. Jakób VI, król ówczesny, tak był wzruszony tym widokiem i sprawie-

dliwym ich żalem. iż poprzysiągł nieublaganą zemstę całemu rodowi Mac-Gregorów. Jakoż zebrawszy wojsko, nie tylko ich kraj cały ogniem i mieczem spustoszył; lecz na mieszkańców z psami jak na dzikie zwierzęta polował, i pojmany bez litości mordować kazał. Imię nawet Mac-Gregorów potępione i z rzędu klanów wymazane zostało.

12. Str. 57. w 26. Zwiedzionych zdradą klanów nadgranicznych.

W r. 1529 Jakób V w skutek postanowienia zgromadzonej w Edyńburgu rady państwa. przedsięwziął surowe środki dla poskromienia nadgranicznych klanów, których napasci i łupieże mieszały zdawna spokojność publiczną, zwłaszcza podczas małoletności królewskiej. Na ten koniec zebrał obóz z 10,000 wojska, złożonego z przedniejszej szlachty, mającej rozkaz brać z sobą psy i sokoły, aby król podczas wyprawy mógł się zabawić łowami. W tym orszaku przebiegał on okolice lasów Etryckich, kazać wieszać i ścinać przedniejszych wodzów rozbójniczych klanów, którzy nie spodziewając się bynajmniej takiej surowości monarchy, wychodzili na przeciw niemu na czele swego myślistwa, lub zapraszając go na uczyty, sami przed nim otwierali swe zamki.—Surowosc królewska tak przeraziła pozostałych przy życiu wodzów, że przez długie lata potem, jak mówiło przysłowie, same krzaki pilnowały owiec królewskich, których 10,000 utrzymywano na paszy w puszczy Etryckiej.

Str. 60. w. 15. Hymn mój weselny po kraju Saxonów.

Górale wywodzący swój początek od dawnych pokoleń Gallickich, dotąd sami siebie nazywają Gallami (*Gael*), mieszkańców zaś reszty Szkocyi Saxonami mianują.

13. Str. 65. w. 13. — trefione te włosy.

Szkoda, by miały zwilgotnieć od rosy.

Zarzut zniewieszciałości jest najdotkliwszym dla szkockiego górala:

„Jednej nocy, gdy sędziwy Evan Cameron z Lochielu, spoczywał na śniegu z towarzyszami swoimi, ujrzał, że jeden z wnuków jego, chcąc leżeć wygodniej, podłożył pod głowę zamiast poduszki walec zlepionego śniegu.” Cóż to ja widzę—zawołał obruszony starzec, wytrącając mu śnieg z pod głowy: „takżes to już zniewiesiał, że ci potrzeba poduszki?”

„Do pływania tak są przyzwyczajeni od dzieciństwa jak wyży: gotowi przebywać wplaw najbystrzejsze i najszersze rzeki i to o każdej porze roku.” (Listy o Szkocyi).

14. Str. 65. w. 22. — wszedł sługa popleczny.

Był to rodzaj adjutanta albo sekretarza przy osobie wódza. Obowiązkiem jego było, być zawsze przy boku pana: stać za krzesłem jego u stołu i spełniać szybko wszystkie jego rozkazy.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 70. w. 4. A krzyż ognisty krążył jak meteor wojny.

Gdy wódz górali chciał zwołać klan swój w razie niebezpieczeństwa, zabijał kozła, i zrobiwszy krzyż z cisowego zazwyczaj drzewa, opalał końce jego w ogniu, i gasił je potem we krwi zabitego zwierza. Krzyż taki zwał się „Krzyżem ognistym,” albo też „Krzyżem hańby” (Crean Tarigh); albowiem nieposłuszeństwo wezwaniu, które ten krzyż oznaczał, sciągało największą hańbę. Powierzano go wiernemu i szybkiemu w biegu gońcowi, który biegł z nim bez wytchnienia do najbliższej wioski, i oddawał go drugiemu, wymieniwszy tylko miejsce zebrania. Tym sposobem znak ten ogłaszający wojnę, obiegał okolice z niepojętą szybkością. — Na widok ognistego krzyża, każdy mieszkaniec klanu, zdolny do noszenia broni, od szesnastu do sześćdziesię-

ciu lat wieku, obowiązany był stawić się zbrojno na wskazane miejsce zebrania. Niestający, ulegał karze żelaza i ognia, którą figurycznie wyrażał krzyż, opalony ogniem, i zbroczony we krwi.

2. Str. 72. w. 27. Dziwne są wieści o rodzie Briana.

Całe następujące w tekście opowiadanie, nie jest wymysłem autora, lecz wzięte jest z gminnego podania w Szkocyi.

3. Str. 73. w. 24. Ni zdjął z jej czoła przepaski dziewiczej.

Przepaska, albo wstążka, zwana po szkocku Snood, którą dziewczęta szkockie zwykły nosić na czole, była razem godłem panieństwa.

4. Str. 75. w. 12. Tam syn widział, sam wierząc w swe czary
Wywołał z pustyni ich duchy i mary.

Cała ta strofa odnosi się do miejscowych podań i przesądów górali szkockich.

5. Str. 76. w. 4. Jęk strażniczego ducha w ich plemienu.

Każda ze znakomitszych rodzin góralskich, przypisywała sobie iż ma opiekuńczego, a raczej domowego ducha, który do niej tylko przywiązany, jej się dobrem szczególnie zajmował, lub żałośnym swym płaczem i jękiem ostrzegał ją o grożącym nieszczęściu.

6. Str. 77. w. 3. Wzięte drzew, które na Inch-Kaliachu.

Inch Kaliach (Incz-Kaliach), co znaczy wyspa mniszek, albo starych kobiet, jedna z najpiękniejszych na jeziorze Loch-Lomond. Kościół należący niegdys do klasztoru, leży w gruzach; ale otaczający go cmentarz nie przestaje być używanym dotąd, i zawiera familijne groby naczelników sąsiednich klanów.

7. Str. 81. w. 17. — — — po skalach i darni.
Niech jako sarna mknie obów twój sarni.

Obuwie górali szkockich jest często ze skóry dzikich zwierząt, niewyprawnej i włosami obróconej na wierzch; z porobionemi tu i ówdzie otworami, aby przez nie woda wpływać i odpływać mogła.

8. Str. 87. w. 13. Góra Beuledi ujrzała znak trwogi.

Ktoby chciał bliżej poznać kraj, który krzyż ognisty przez Rodryka wysłany obiega, niech raczy rzucić okiem na kartę jeograficzną Szkocyi. Mianowicie na hrabstwo Perthshire, gdzie się właśnie scena poematu odbywa.

9. Str. 93. w. 2. Nie tak Baldwirze. wzdłuż zeschłych twych
Szerzy się płomień pasztuszych pożarów.

W Szkocyi wypalają zwykle zeschłe trawy i wrzosy na pastwiskach, aby na ich miejsce świeża porosła murawa. Ma to, zwłaszcza w nocy, pozór wulkanicznego wybuchu.

10. Str. 95. w. 6. Innój przysięgi. prócz wodza imienia.

Religijne uszanowanie, jakie klany góralskie miały i mają dla swych wodzów, przysięgę na imię lub ramię wodza czyniło najuroczystszą i której nikt bez hańby złamać nie śmiał.

- Str. 84. w. 2. Głośny jest wąż Kojr-nan-uriskinu.

Wąż ten, a raczej jaskinia, której wierny opis znajduje się w tekście, położona jest wśród skał góry Benwenu, i należy zdaniem autora do najdzikszych, lecz razem najromantyczniejszych widoków szkockich.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 103. w. 21. — — Brian wśród tych jarow
Rozpoczął obrzęd nowych wróżb i czarow.
Tagerm.—

Górale szkoccy, równie jak wszystkie ludy wpółdzikie, mieli różne sposoby zgadywania przyszłości. Jednym z najważniejszych był tak zwany Taghairm, wzmiankowany w tekście. Obwijano człowieka w surową skórę nowo zabitego wolu, i kładziono go w tém spowiciu nad spadem wody, na dnie przepasci, lub w jakimkolwiek bądź inném dzielnym, samotném i niezwycajnym miejscu, gdzie go samokolijny widok zgrozą i przestachem napelniał. W takim położeniu ów człowiek, musiał rozważać w myśli zadane sobie pytanie, a wszelkie wrażenia, które na nim rozogniona wyobraźnia sprawiła, uchodziły za tajemnicze natchnienia duchów, przebywających w tém miejscu, i stawały się przepowiedniami przyszłości, w których góral ślepą wiarę pokładał.

2. Str. 104. w. 1. Ach! znalazem dobrze to szlachetne zwierze.

Autor, którego głównym celem w niniejszym poemacie było malowanie okolie, zwyczajów i obyczajów górali szkockich, powiada, że całe to miejsce jest wyjęte prawie dosłownie z ust prostego górala, który z nim często „o dawnych dobrych czasach“ rozprawiał.

3. Str. 105. w. 11. Lub czarnym krukiem, co patrząc jak
[szczwacze
Płatają w lesie sarny lub rogacze,
Czeka swój części, i wążąc się kracze?

Wszystkie obrządki myśliwskie odbywały się dawniej z wielką uroczystością; lecz najuroczystsze było płatanie i podział zwierzyny. Lesnicy i dojeżdźczacze mieli prze-

znaczoną sobie część pewną mięsa, stosownie do gatunku zwierzyzny: psom oddawano wnętrzności, i aby podział jak najogólniejszym uczynić, część ich zawieszano na drzewach dla ptaków.

4. Str. 106. w. 18. Strona co pierwsza krew wroga przeleje.
Zwycięztwa w boju mieć może nadzieję.

Przesąd ten, w tekście za wyrocznię Taghermu podany, był powszechnym między góralami, tak dalece, że nieraz przed bitwą zabijano bezbronnych jeńców, lub wieśniaków ze strony przeciwnej, by sobie przez to dobrą wróżbę zapewnić.

5. Str. 111. Ballada. Alike.

Osobliwsza ta powieść, równie w treści jak stylu, jest naśladowaniem dawniej ballady duńskiej. Osnowa jej opiera się na tamecznym mniemaniu gminnym, o kraju czarodziejstw, wspólnym góralom szkockim i wszystkim innym narodom w wiekach średnich.

6. Str. 112. w. 10. Usłyszał śpiewanie, usłyszał rąbanie
Król czarów, co mieszkał śród góry etc.

Mitologia ludów północno-germańskich obfituje w rozmaite, jedne od drugich dziwniejsze podania, o różnego rodzaju duchach, zamieszkujących zaczarowane kraje w głębi ziemi leżące. Podania te, podług mniemania uczonych, pochodzą z czasów Druidów. Wszystkie te duchy, pod różnemi coraz imionami: karłów, gnomów, sylfów, wrózek, rusłek etc., w całej Europie znajome, chociaż nie zupełnie złośliwe z natury, były jednakże bardzo obraźliwe i w gniewie skore do zemsty. Szczególniej zaś przestrzegały praw swoich, względem ulubionej sobie zielonej barwy, którą zwykle nosili, i względem zwierzyzny, którą za wyłączną własność swą uważali.

7. Str. 112. w. 14. Wszak byłeś ochrzczoneń dziecięciem.

Duchy, składające królestwo czarów, zazdrościły najbardziej ludziom przywilejów przez chrzest nabytych, i przeto chrześciance dostający się niekiedy pod ich władzę, doznawali od nich szczególniejszych względów. Jeden z podobnych więźniów, w stariej balladzie szkockiej tak opisuje swój stopień w orszaku wrózek. „Jadę zawsze najpierwszy, na koniu białym jak mleko; ustępują mi tego zaszczytu, bom był chrześcijańskim rycerzem.“

8. Str. 115. w. 6. I wszystko tam wkoło łśni zda się wesoło,
Lecz blask to jest martwy i zwodny.

Najglówniejszą cechą królestwa czarów być miało, że cała jego piękność i okazałość, polegała na pozornym złudzeniu oka.

9. Str. 155. w. 16. Gdym leżał wpół żywy. Król czarów stras-
[szliwy.
Porwał mię do krajów zaklętych.

Poddani królestwa czarów byli to ludzie śmiertelni, porwani gwałtem, lub uwiedzeni przez duchów. Dawne szkockie i duńskie ballady pełne są podobnych powieści. Nikt jednak nie mógł być porwany gwałtem, jeśli się nie dopuścił wprzód jakiego grzechu, dającego nad nim władzę złym duchom.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 139. w. 14. Póty Gall, dziedzic niw, łąk i krainy,
Iść będzie z mieczem po krwawe daniny.

Górale szkoccy, z podań znający dobrze historję, nie mogą zapomnieć, że kiedyś cała Szkocya była dziedzictwem ich celtyckich przodków; i ztąd wszystkie łupieże popelniane

przez nich w krajach niższych (Lowlands), uważają tylko za godziwe odzyskanie swojej własności. Krwawe napadci na ziemie spokojnych sąsiadów; pożar wsi i rabunek, nie tylko w ich mniemaniu nie sciążały hańby, lecz owszem każdy młody wódz klanu, od nich zwykle zaczynał swój zawód.

2. Str. 144. w. 12 — — Podmywa twierdz owych posadę.
Gdzie Rzym swe niegdyś orły światowładne
Zatrzymał w locie, etc.

Strumień wypływający z jeziora Wannachar przerzyna obszerną bagnistą płaszczynę, zwaną *Bochastle*. Wzdłuż tej płaszczyny, a zwłaszcza na małych wzgórkach, znać jeszcze tu i ówdzie ślady owego sławnego muru, którym niegdyś Rzymianie odgradzili się od Piktów, którzy schroniwszy się przed nimi w góry, ztamtąd bezprzestannie napadali kraj przez nich podbity.

3. Str. 147. w. 10. Zapóźno Rodryk błęd poczuł w potrzebie.
Ze tarcz warowną odrzucił od siebie.

Puklerz okragły, obity podwójną skórą i opatrzony blachą żelazną, lub też gęsto nabijany gwoździami, był całą bronią odporną góralów, i służył im do odbijania bagnietów w bitwach z wojskiem regularnym. Klajmorów, albo mieczów używali dopiero wtenczas, gdy nieprzyjaciel zmieszał się i ustępować zaczynał.

4. Str. 153. w. 16. Miecz króla niegdyś pił krew mego rodu.

Jakób II, król szkocki, zabił własną ręką Williama hrabiego Duglasa, jednego z najpotężniejszych w swoim czasie panów szkockich, wezwawszy go wprzód na przyjacieliską rozmowę, w celu załatwienia trwających między nimi sporów. — Wzgórze, wspomniane w tekście, niedaleko od miasta, było zwykłym miejscem egzekucyi, gdzie najznakomitszych przestępców politycznych tracono.

5. Str. 154. w. 2. Miasto dla króla wyprawia igrzyska.

Każde prawie miasto w Szkocyi, a mianowicie znaczniejsze, miało swoje uroczyste igrzyska. Rozdawano na nich nagrody najcenniejszym łucznikom, najsilniejszym szermierzom, i najrzęczniejszym w innych gimnastycznych ćwiczeniach. Jakób V szczególniejszym był łubownikiem tego rodzaju widowisk; co się przyczyniło zapewne do nadania mu tytułu króla gminu, *Rex plebejorum*, jak go ówczesni historycy po łacinie mianują.

6. Str. 155. w. 26. Robinhud stoi na czele swej rzeszy.

Robin-Hood (Robinhud) sławny rozbójnik w wieku XII, za panowania Ryszarda Lwie serce, znany jest zapewne większej części czytelników naszych z romansu Waltera Skotta „Iwanhoe.” — Dramatyczne przedstawienia jego bandy, były najulubienszém widowiskiem na igrzyskach gminnych.

PIEŚŃ SZÓSTA.

1. Str. 169. w. 12. Nie są to kraju własnego obrońcy,
Z ziem lennych oręż za panem nożący.

Wojsko szkockie składało się głównie ze szlachty i z lenników możnych baronów, trzymających od nich ziemie pod warunkiem służby wojennej. Władza patryarchalna na ezelników klanów, w górach i na pograniczu, była innéj natury i różniła się od zasad feudalnych. Opierała się ona na władzy ojcowskiéj (*patria potestas*), sprawowanéj przez wodza, który był uważany za wyobraziciela i zastępcę pierwszego ojca całego pokolenia. Jakób V zaprowadził pierwszy w wojsku szkockiem łufce najemnych żołnierzy, powszechnie naówczas używane w Europie i z nich utworzył przyboczną straż swoję.

2. Str. 180. w. 11. Pomniśz tę nótę—hymn chwały Alpinów.

Bywały osoby tak mocno przywiązane do niektórych pieśni, że żądały je słyseć na łożu smiertelném. Najciekawszy w tym względzie przykład jest pewnej damy dworu francuzkiego. nazwiskiem de Limeuil. Ta czując zbliżającą się godzinę smierci, przyzwala sługę swojego, dobrze grającego na skrzypcach. „Weź skrzypce, Julianie, rzekła, i graj mi dopóki nie skonom, Porażkę Szwajcarów (tytuł pieśni); a gdy przyjdiesz do słów: „wszystko stracone,” powtarzaj je po razy kilka, i to najtkliwój i jak możesz najlepiej.“—Sługa uczynił co chciała; grał, a ona mu jeszcze dopomagała głosem. Gdy przyszło do słów: „wszystko stracone,” powtórzyła je sama dwa razy, i obracając się na drugą stronę, rzekła do otaczających ją przyjaciółek: „Teraz wszystko stracone! Bywajcie zdrowe!” i to wymawiając umarła. Brantome.

Piosnka, którą ta dama tak namiętnie lubiła, ułożoną była na porażkę Szwajcarów pod Marignan: każda jej strofa kończy się następującemi słowami, naśladującemi mowę gminną Szwajcarów, złożoną z dwóch pomieszanych języków: francuzkiego i niemieckiego:

Tout est verlore.
La tintelore.
Tout est verlore. bi Got.

3. Str. 181. Pieśń Barda. Bitwa.

Bitwa, która się za czasów Kromwela w wąwozie Trosachu stoczyła, sławna jest mężstwem bohaterki, nazwiskiem Helena Sztuart, która właśnie spełniła czyn, który tu autor wdowie Dunkana przyznaje.

4. Str. 196. w. 16. Jakób Fitz-Jakób był Szkocyi królem.

Odkrycie to, przypomni zapewne czytelnikom piękną powieść arabską, *li Baidarani*. Ztómwszystkiém zdarzenie to

nie jest wzięte z Tysiąca Nocy i jednej, lecz z historycznego podania o królu Jakóbie V. Monarcha ten, pełen najlepszych chęci i troskliwości o szczęście poddanych, skutkiem wybujałej imaginacyi, miał wiele romantycznych dziwactw i lubił mianowicie wszelkie awanturnicze przygody. — Chcąc widzieć własnymi oczyma czy sprawiedliwość w kraju ściśle wymierzana była, lecz téż nieraz i z mniej chwalebnego powodu miłostek, miał zwyczaj pod rozmaitem przebraniem obiegać kraj; przez co się po razy kilka na niebezpieczeństwo życia wystawił. Kroniki i poezya szkocka wiele o tém ciekawych zachowały powieści.

KONIEC TOMU I.

P I E Ś Ń

OSTATNIEGO MINSTRELA.

BALLADY I BAŚNIE:

TŁÓMACZENIA

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM II.

PIEŚŃ OSTATNIEGO MINSTRELA.

BALLADY I BAŚNIE.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa.

1874.

Дозволено Цензурою.
Варшава 3 Сентября 1872 г.

JÓZEFOWI I JÓZEFINIE

HRABIOM

ŁUBIENSKIM.

Z UCZUCIA I NA PAMIĄTKĘ PRZYJAZNI.

POSWIECAM.

A. E. O.

PRZEDMOWA AUTORA.

Głównym celem niniejszego poematu, jest malowanie zwyczajów i obyczajów, panujących niegdyś na pograniczu między Anglią i Szkocją. Dzieje mieszkańców tych okolic, prowadzących życie w pół pasterskie, w pół wojenne, i obok ustawicznych niezgód, napaści i wzajemnych łupieży, szanujących i zachowujących ściśle ustawy i obrzędy rycerstwa; przedstawiają mnóstwo wypadków, godnych być przedmiotem poezji. Przeciż zamiarem autora jest raczej opisanie miejsc i obyczajów, niż ciąg i układ opowiedzianej powieści; uznał przeto za stosowne do swojego celu, przybrać dla swego dzieła formę dawnych poetycznych romansów, jako pozwalającą większej w tym względzie swobody, niżby to z godnością epicznego poematu pogodzić się dało. Forma ta ma jeszcze i tę dogodność, iż nie przeciwi się bynajmniej różnym przemianom miar wiersza, z czego autor często korzystał *). Wprowadzona też dziwność.

*) Właściwość tę tłómacz starał się też zachować w przekładzie.

oparta na podaniach gminnych, mogłaby zdawać się dziecinną w poemacie, nie mającym cech dawnój balady lub poetycznego romansu.

Z tych to względów, autor kładzie swą powieść w usta dawnego Minstrela, ostatniego z téj klasy ludzi, który przeżywszy, jak się przypuszcza, rewolucyę, która obaliła tron Sztuartów, mógł już korzystać cokolwiek z wydoskonalenia poezyi nowożytnej, nie tracąc całkiem prostoty pierwiastkowych swych wzorów. Sama rzecz powieści dzieje się około połowy XVI-go wieku, gdy wszystkie prawie działające osoby rzeczywiście kwitnęły. Akcja zajmuje trzy dni i trzy noce

PIEŚŃ
OSTATNIEGO MINSTRELA

POEMA

WALTERA SKOTTA.

W SZĘCIU PIEŚNIACH.

W S T Ę P.

Wiatr był północny, droga daleka,
Minstrel był stary, słaby kaleka;
Poważne lice, włos jego biały,
Widać, że lepsze dni kiedyś znały;
Arfę, jedyną jego osłodę,
Dźwigało za nim pachole młode.
Był to ostatni z szkockich Minstreli,
Co ze czią niegdyś w kraju słynęli,
I głosząc dzieła praojców sławnych,
Uczyli młodych, iść w ślady dawnych.
Lecz się, niestety, wszystko zmieniło!
Współbracia jego śpią pod mogiłą;
On, biedny tułacz w ojczystej ziemi,
Chciałby już tylko odpocząć z niemi.
Bo cóż po życiu, gdy wszystkie jego
Młode uroki serce odbiegają?
Nie jemu teraz, na rączym koniu,
Jak ptak swobodnie hasać po błoniu!

Nie jemu teraz, ach! już nie jemu,
Pożądanemu, szanowanemu,
W zamkach, na ucztach, wśród grona gości,
Śpiewać cześć męztwa, urok miłości,
I w sercach mężów budząc wzruszenie,
Z oczu piękności czerpać natchnienie!

W Szkocji teraz wszystko inaczej:
Ani tych biesiad, ni tych słuchaczy!
Z starymi ludźmi, zniknęły wszędy
Stare zwyczaje, stare obrzędy:
Przychodzień, z ciężkim berłem w prawicy,
Na Sztuartowej zasiadł stolicy:
Mroczny fanatyzm, grożąc pochodnią,
Pieśń i wesołość mieni być zbrodnią.
Wzgardzony śpiewak, płonąc od sromu,
Musi iść zebrać z domu do domu,
I dla motłochu arfę swą stroić.
Którójby dźwiękiem król się mógł poić.

Szedł, gdzie z wśród cienia dębu i świerku
Wznoszą się błyszcząc wieże Newerku.
Bard zwrócił ku nim posępne oko.
Wspomniał swą przeszłość, westchnął głęboko;
Spójrzył dokoła—lecz nigdzie innéj
Nie było niższéj strzechy gościnnéj.
Drżącym więc krokiem, przez most zwodowy,
Szedł ku podwojom bramy zamkowéj.
Którój żelazne rygle i brony
Odbiły nieraz szturm rozpedzony.
Lecz w którój zawsze stojąc na straży.
Duch gościnności witał nędzarzy.

Księżna przez okno starca ujrzała *);
Włos jego biały, postać nieśmiała,
Wzbudziły litość;—rzekła paziowi,
By go z czeią spotkać wyszli domowi.
Bo choć tak można, z krwią królów bliska,
Znała i ona losu igrzyska,
Gdy kochająca, w lat swych zaraniu,
Z dziką rozpaczą, przy rusztowaniu
Lubego męża, próżno na wroga
Wzywała pomsty ludzi i Boga.

Gdy zmordowane wędrowca siły
Skromnym posiłkiem nieco ożyły,
A widok chętniej, dworskiej względności,
Wzbudził w nim pamięć lepszej przeszłości:
Z dawno doznaném czuciem wesela,
Zapłonął w duszy ogień minstrela.
Zaczął więc prawić o przodkach księżny,
Co był za rycerz dziad jój potężny **).
Jak gromił wrogów, jak w kraju słynął;
Jak, świeć mu Panie! ojciec jój zginął.
Dodał, że jeszcze z dawniejszych dziejów
Wié różne czyny wielkich Buklejów;
I gdyby księżna, przez wzgląd na treści,
Chciała posłuchać starca powieści,

*) Anna, córka Franciszka Skotta, Lorda Buccleuch, a wdowa po księciu Jakóbie Monmouth, ściętym w r. 1685.

**) Walter Skott, Lord Buccleuch, sławny wojownik.

Choć dłoń mu skrzepla, choć głos oniemiał,
On—i dla czegoż wyznaćby nie miał?—
On czuje w sobie dość jeszcze ducha,
By śpiew zanócić godny jój ucha.

Chętnie spełniono skromne żądania,
Paż go do księżny zawiódł mieszkania.
Lecz skoro wstąpił w gmach jój wspaniały,
Gdzie z nią jój dworskie damy siedziały,
Możeby raczój wolał odmowę;
Tak uczuł w sobie wzruszenie nowe.
Tak mu się nagle w myślach zmąciło
Wszystko co teraz, co dawniej było;
Że gdy sam w sobie upokorzony,
Chciał dobyć z arfy dawne jój tony,
Uczuł, że palce moc swą straciły.
Którą nadaje wiara w swe siły.

Księżna odgadła co się w nim działo.
A więc nie rażąc zbytnią pochwałą,
W słowach jednakże miłych dla ucha,
Dodała serca, zagrzała ducha,
Aż stróny, w które trącał powoli,
Zabrzmiały wszystkie w ton jego woli.
Wtedy rad z siebie ozwał się śmielój,
Że pomni powieść dawnych minstrelów.
Którój już w życiu swém poniżoném
Nie miał nadziei śpiewać przed zgonem.
Bo nie dla gminu pieśń ta złożona,
Lecz dla dam wielkich, dla panów grona;
Sam ją przed królem śpiewał za młodu,
Na jednéj z świetnych uczt Holy rodu:

Pieśń tę powtórzyć chciałby w téj dobie,
Nótę jéj tylko przypomni sobie.

I zwolna ręką wodząc po strónach,
Coraz to w innych przebiera tonach;
I w czole widać walkę z pamięcią,
Którém raz po raz wstrząsał z niechęcią.
Aż gdy raz wzbudził znajome brzmienia,
Twarz zajaśniała blaskiem natchnienia.
Duch w oku starca zaiskrzył młody,
Dziwny rumieniec oblał jagody,
I harmonijny, choć w miarach zmienny,
Rozległ się odgłos pieśni wojennéj. —

Miejsce, słuchacze, dola żebraka.
Wszystko zniknęło z myśli śpiewaka;
Zimna nieufność w sereu zbolałém.
Nagle przed wieszczym pierzchła zapałem;
I tak, gdy wszyscy wkrąg oniemieli,
Nócił ostatni z szkockich Minstreli.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Umilkł w Brankson gwar biesiady ¹⁾,
Do tajemnych komnat gmachu
Samotna odeszła Lady.

Do komnat, których drzwi potężne czary
Tajemniczemi zamknęły słowami: —

Słów tych nikt wspomnieć bez strachu,
Powtórzyć nie śmie bez kary: —

Jezus Marya zmiłuj się nad nami!

Nikt oprócz Lady, za żaden skarb ziemny

Nie śmiałyby wstąpić w ten gmach jój tajemny.

II.

W biesiadnej sali gwarliwa drużyna,
To stoi kołem przed ogniem komina,
To znów pod ręce wzdłuż chodząc pospołu,
Ciągnie rozmowy zaczęte u stołu.

Na potrząsnionych gałęzi kamieniach
Śpią psy myśliwe, i w sennych marzeniach
W głos gonić zwierza zdają się śród boru,
Z Tewiotstonu do Eskedalmoru.

III.

Dwudziestu dziewięciu szlachetnych rycerzy
 Weiaż w zamku Branksomskim gościło;
Dwudziestu dziewięciu, w bogatěj odzieży,
 Na rozkaz ich paziów służyło;
Dwudziestu dziewięciu rycerskiěj młodzieży
 Runaki ich w stajniach karmiło;
A wszyscy waleczni, ojezyny nadzieja,
A wszyscy są krewni hrabiego Bukleja.

IV.

Dziesięciu z nich w kolej, na pierwszy znak trwogi,
Gotowych co chwila do boju lub drogi,
Z orężem u pasa, z ostrogą u nogi,
 W dzień i w nocy nie zrzuca zbroicy;
 Na swych twardych puklerzach,
 W nierozpiętych pancierzach,
Chwilę ledwo snu dadzą źrenicy;
 W rękawicach ze stali
 Za stół nawet siadali,
Wino pili przez kratę przyłbicy.

V.

Dziesięciu giermków, wprawionych do broni.
Trzyma przed gankiem kopije rycerzy;
Trzydzieści zbrojno osiodłanych koni,
Dziesięciu w rękach wodzi masztalerzy;
Każdy koń z kitą piór strusich u skroni,
Za każdym siodłem buzdygan się jeży;
Sto innych w stajniach zostaje się w domu. —
Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.

VI.

Dla czegoż te konie pod siodłem tak stoją?
Dla czego rycerze czuwają pod zbroją?—
Czuwają, by w porę brytanów szeczekanie,
By w porę posłyszeć strażników wołanie:
By zdala nad chmurą kurzawy wzniesiony
Świętego Jerzego krzyż dójrzeć czerwony *);
By w porę pośpieszyć i bronić swych włości,
Przed Skropem, lub Pereym, wslawionym z zrad tyłu,
I nie dać się ubiedz Howarda napaści,
Z Warkwortu, z Nawortu, z pięknego Karlilu.

VII.

Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.—
Mężni rycerze bronią go i strzegą:

*) Godło na sztandarze Anglików.

Lecz on, pan zamku, wódz Buklejów domu!
Miecz jego straszny jak łyskanie gromu,
Rdzewieje nad grobem jego! —
Rok ledwo upłynął
Jak lord Walter zginął²⁾,
Gdy nie syt krwi bratniej i mordu,
Nieżgodę na nowo,
Straszliwą, domową,
Rozniecił Karr, baron z Cessfordu.
Gdy lud z nad granicy
Pierzchał ku stolicy,
Gdy Edyburg nawet krwią spłynął:
Tam w dymach pożogi,
Lord Walter bez trwogi,
Broniąc swoich, walezył i zginął.

VIII.

O! straszna wojno pychy rodowej,
Wojno sąsiedzkiej zawiści!
Kto cię rozbroi? kto z Kainowej
Zbrodni twych wodzów oczyści?...
Ach! — próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy³⁾;
Próżno za dusze poległych w boju
Wspólne sprawiali obrzędy:
Póki w Cessfordzie władą dom Karrów,
Buklej w Etryku przewodzi:
Póty zawziętość odwiecznych swarów,
Z pamięcią rzezi, klęsk i pożarów,
Z ojca na syna przechodzi.

IX.

Lud wojowniczy załamywał ręce
Nad trumną lorda Waltera;
Niewiasty w łzami uroszone wieńce
Stroiły grób bohatera.
Lecz łzy ni kwiatu pozostała wdowa
Nie uroniła na grobie;
Nadzieja pomsty i duma surowa
Dodały męztwa w żalobie.
Aż gdy wkrąg patrząc na twarze żałośnie,
Syn mały w domu zawołał:
„Pomszczę się ojca, niech tylko podrosnę!“
Zal dłużej kryć się nie zdołał,
Łkając go swemi okryła pieszczoty,
I łzy jój wdowie zlały twarz sieroty.

X.

W stroju z rozpaczy starganym,
Na wiatr rzuciwszy włos,
Nad ojcem swym ukochanym
Anna płakała w głos.
Lecz prócz żalości dziecinnój,
Był jeszcze powód łez inny:
Bojaźń o przyszły los.
Serce jój gore miłością —
Przed nimby tylko z ufnością

Odkryła głąb tajemnicy;
Lecz twardéj matczynéj duszy,
Wié, że ni zmiękczy, ni wzruszy,
 Prośba ni rozpacz dziewicy.
Lord Kranston jéj oblubieniec ⁴⁾,
Cessfordów był pokrewieniec,
 Herb jeden na ich sztandarach;
A wié, że matka jéj sroga,
Wprzód niż ją wydać za wroga,
 Woli wprzód ujrzeć na marach.

XI.

Lady ród wiodła wysoki.
Ojciec jéj, mędrzec głęboki,
 Szczep możnych Bethunów domu ⁴⁾,
Za morzem szukał nauki,
I w Padwie uczył się sztuki
 Niedozwolonéj nikomu.
Wieści krążyły u ludu,
Że czynił, czego bez cudu
 Człek nie dokaże swą siłą;
I w dzień, gdy szedł w zamysleniu,
Ni przed nim, ni za nim cieniu
 Od ciała jego nie było ⁶⁾.

XII.

Po ojcu, mówią, z dziecięcia
Lady tę sztukę posiadła,
Że na jéj straszne zaklęcia
Nadziemskie drżały widziadła ⁷⁾.—

I oto właśnie, w swój niedostępnej,
Zaczarowanej wieży posepnej,
Powstawszy z gniewem, słucho łośkotu,
Co się wzniósł nagle z fal T ewio tu.
Ryk-że to wody, co gdy przybierze,
Chce swe skaliste skruszyć nadbrzeże?
Szum-że to wichru, co między lasy
Z twardemi dęby idzie w zapasy?
Trzęsienie ziemi, czy łośkot gromu,
Co wstrząsł jak z posad mury Branksomu?

XIII.

Przerażone echem dzikiém
Psy zawyły z przestachu;
Ćma puszczyków, z głośnym krzykiem,
Rozpierzchła się po gmachu.
Goście z miejsc się swych porwali,
Tłum ku oknu się spycha:
Myślą, burza! — patrzą z sali,
Lecz noc jasna i cicha.

XIV.

Lady odgadła powód łośkotu.
Nie był to łośkot fal T ewio tu,
Nie był to wichur burzy dalekiej,
Nie grom to wstrząsnał Branksomu mury:
Lady poznała, że Duch to rzeki,
Przemawiał do Ducha góry.

XV.

DUCH RZEKI.

„Śpisz-li bracie?“

DUCH GÓRY.

— „Bracie, nie! —

Księżyc w pełni świeci mnie.
Na kobiercach moich z wrzосу,
Od Skelf-hillu do Craig-crossu *),
Pod drzewami, nad zdrojami,
Tłumy Sylfów girlandami,
W przezroczystej tańczą mgłę.
Wstań, i obacz tan ich zręczny,
Wstań, i usłysz śpiew ich wdzięczny,
Luby bracie, odwiedź mnie!“ —

XVI.

DUCH RZEKI.

— „Nurt mój macą łzy dziewicy,
Pięknój Anny z Branksomu,
Co swój serca tajemnicy
Nie śmie zwierzyć nikomu.
Powiedz ty, co widzisz gwiazdy,
Prędkoż mordy i najazdy

*) Czytaj Kreg-Krossu.

Wezmą koniec na granicy?—
Co sądzono dla dziewicy?—
Gdzie jest kres jój doli złój?
Kto ma zostać mężem jój? —

XVII.

DUCH GÓRY.

— „We mgle krąży Wóz Artura;
Niedźwiedzica zamroczona
Patrzy groźno; czarna chmura
Stoi w pasie Oryona.
Wyższe gwiazdy w émie obłoków —
Nie wyczytać ich wyroków!
Lecz nie pierwój wszystko wróży,
Wojnie koniec, ludziom zgodę,
Aż się pycha upokorzy,
A miłość zyszeze swobodę.“ —

XVIII.

Nadziemskie duchy mówić przestały,
I łoskot umilkł w przestworze;
Tewiot tylko pluska o skały,
I drzewa szumią na górze.
Ale w Branksonie jeszcze się szérzy
Echo ich głosów złowieszeze:
Bo brzmi dokoła zaklétój więzy,
I w uchu Lady brzmi jeszcze.

Porywezo i śmiało,
Z postawą wspaniałą,
Postąpiła ku oknu i mówi:
„Góra wasza pęknie,
„Rzeka w ziemię wsięknie,
„Nim ja córkę oddam wrogowi!“ —

XIX.

I śpiesząc dąży przez samotne gmachy,
Gdzie wśród domowych i gości,
Syn jój. w pancerzu i w szyszaku z blachy,
Bawi się z krzykiem radości.
I małym w rękę wywijając kordem,
Na kiju biega po sali,
Krzyząc, że jedzie na wojnę z Cessfordem,
I zamki wrogów popali.
Starzy wojacy gościami i słowy
Dodają dziecku ochoty:
Serec ich twarde jak puklerz stalowy.
Wzrusza wesołość sieroty.
Patrzają i wzajem szepeją wróżby ciche,
Ze byle tylko rósł w zdrowiu,
Poniżej kiedyś Jednorożca pychę,
Wskrzesi blask Gwiazdy i Nowiu *).

*) Aluzya do herbów Karrów i Buklejów.

XX.

Lady przez chwilę z matczyném wzruszeniem
Spójrzała na widok ten,
I wnet, wkrąg bystro rzuciwszy spójrzeniem,
Wyszła—wezwawszy za sobą skinieniem
Wiljama de Deloraine.

XXI.

Z tylu rycerzy, co w zamku gościło,
Nikt mu nie równał postawą i siłą;
Nikt na turniejach, ni w bitew natłoku,
Kopii zręczniej nie ułożył w toku.
Od błot Tarrasu, do piasków Solwaju,
Nikt nie znał lepiej mieszkańców i kraju,
Gdzie stokroć z łupem uchodząc przez jary,
Zmylił najlepsze Percego ogary ⁸⁾.
W niczém dlań nigdzie nie było zapory:
Przez góry, rzeki, przez lasy i bory,
Wię wszystkie ścieżki, i ani się boi
Wezwał gnać po skałach, lub płynąć we zbroi.
Jedno dla niego czas lipca czy grudnia,
Ciemność północy, czy skwary południa;
Niczém dla niego jest mord i pożoga,
Gdy ma łup dostać, lub napaść na wroga.
Pięćkroć przez Szkoeką wygnany królowę,
Unosił życie w kraj nieprzyjacielski;
I pięćkroć wracał, gdy na jego głowę
Cenę nałożyć król kazał Angielski.

XXII.

- „Rycerzu! — rzekła Lady — téj nocy
„Trzeba mi twojéj wiernéj pomocy.
„Weź najlepszego konia ze stajni.
„I co najspieszniéj, i co najtajniéj.
„Pędź do Melrozu! — Gdzie? zkąd? i po co?
„Milcz! — lecz pośpieszaj, byś przed północą
„Był tam, nim przebrzmia modły wili! —
„Pytaj o mnicha Świętój Maryi.
„Pozdrów i powiedz, żem cię przysłała:
„Że przyszła chwila, i że wam obu
„Poruczam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś Świętego wilja Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty. —
„Czas wam i miejsce krzyż wskaże krwisty.

XXIII.

- „Co ci mnich odda, strzeż i ukrywaj!
„Wracaj! — nie stawaj, ani spoczywaj!
„I czy to będzie pismo, czy księga,
„Niech do niéj twoje oko nie sięga:
„Bo gdybyś zajrzał, albo dochodził —
„Lepiejby było, byś się nie rodził! —

XXIV.

- „O! nie bój się Lady! mój dzielny koń gniady
„Niech tylko się kopnie z kopyta,
„Za Bozką pomocą, tam dziś przed północą,
„Tu staniem nim zorze zaświta.

„I szukać daremnie, lepszego odemnie
„Do spełnienia twojego rozkazu:
„Bo jako Bóg żywy! jam rycerz prawdziwy!
„Książki w rękę nie miałem ni razu.“—

XXV.

Rzekł, dopadł konia, wzmocnił się w łęku.
Kopiję z giermka pochwyił rękę,
Ścisnął ostrogą—przez most zwodowy
Zagrzmiał jak piorun tentent podkowy.
Przez las, na prawo, szybkim zawrótem,
Puścił się drogą nad Tewiotem.
W bok Goldilandu granicznej wieży,
Skalnych Bortwiku dotarł wybrzeży:
W mgłę Moat-hillu szczyt ujrzał głuchy,
Gdzie dotąd błędzą Druidów duchy:
Z okien Hawiku, światła w pomroku
Jak wstęga tylko migły mu w oku;
I wnet jak widmo straszne dla gminu,
Przemknął około bram Hazeldinu.

XXVI.

„Kto? stój!“—strażnicy z baszt zawołali.
— „Swój—rzekł—z Branksomu! — i pędził dalej.
Skręcił na północ brzegiem strumienia,
Na stromą górę wbiegł bez wytchnienia:
Aż nieznużony po trudach tyłu.
Ujrzał półdrożną błoń Horslie-hillu.

Na lewo przed nim pasem leżała,
Odwieczna Rzymian droga wspaniała.

XXVII.

Tu wstrzymał konia, lecz się nie bawił:
Obejrzał oręż, siodła poprawił,
I wskok znów dalej!—Jasność księżycyca
Olbrzymie Mintu skały oświeca,
Zkąd głośny w pieśniach, zbójca przemożny,
Czyhał przed laty na łup podnożny ⁸⁾,
A trąbki jego dźwięk między skały,
Tysiączne echa w grom zamieniały.
Delorraine myśląc o nim, żałował
Że go dziś nie ma, by z nim spróbował!

XXVIII.

Szybko i prosto, jak grot do celu,
Przeleciał bujne pola Riddelu,
Gdzie Ail z jezior i z gór wezbrany,
Wrąc z szumem tłucze o skalne ściany,
I jak wędzidła koń niecierpliwy,
Fal swych pieniste wydyma grzywy.
Ale dla gońca nie ma przeszkody!
Wprost, jak gnał czwałem, wskoczył do wody.
Nigdy mąż cięższy, w nocnym półmroku.
Nie walezył z szybszym nurtem potoku.
Konię się ponurzył:—jeździec bez trwogi,
Spiał go wędzidłem, dodał ostrogi;

Koń wzbił się na wierzch — nozdrza rozszerza,
Fala dosięga piersi rycerza,
Pryska nad głowę: — lecz w nim odwaga
Z niebezpieczeństwem równo się wzmaga.
Zwrócił na ukos, i z biegiem prądu
Kierując zręcznie, dobił się ładu.
Koń nie miał czasu parsknąć na brzegu,
Pan go znów bodźcem zmusił do biegu.

XXIX.

Przez Bowden-Moru pędząc bezdroże,
Halidon-Hillu obaczył wzgórze,
I westchnął z smutném wstrząśnieniem głowy. —
Bo w myślach jego stanął dzień owy.
Straszny dzień piérwszy wojny domowój,
Krwawy początek dziedzicznych swarów,
Przyjaznych dotąd Skottów i Karrów ¹⁰⁾.
Gdy król, w Duglasów tęskniąc przemocy,
Wiernój Bukleja wezwał pomocy,
A wodze Karrów, w stanowczój chwili,
Zwycięztwo jego w klęskę zmienili:
A śród pogoni, ciżby i mordy,
Legł z nich najpierwszy, baron z Cessfordu. —

XXX.

Z gniewem w bok konia topiąc ostrogi,
Deloraine mijał widok złowrogi;
Aż z góry we mgle ujrzał w oddali,
Cień wież Melrozu, błysk Twidu fali.

Olbrzymi nakształt skały szerokiej,
 Gmach się kościelny dźwigał w obłoki,
 A wkoło w massach skupione mury,
 Zdały się gruzem zwalonej góry.

W Hawiku słyszał haśło wieczoru,
 Tu dzwon się ozwał z wieży klasztoru —
 Księża na *Laudes* idą do choru.
 „Ha! w sam czas!” — jeździec krzyknął z pociechą.
 I podwojone kopytów echo,
 Jak grom się przed nim tocząc wzdłuż ładu,
 Spotkało z świętém brzmieniem organu,
 Co z bram kościelnych wiatr niósł na błonia.—
 Deloraine w bramie zeskoczył z konia,
 I przy ostatniej nócie nieszporniej,
 Jak duch w pół widny we mgle wieczorniej,
 Szedł ku podwojom fórty klasztornej.

Tu strony zmiłkły;—z echem ich brzmienia,
 Zgasł w duszy wieszczą zapal natchnienia.
 Skromnie ku arfie pochylił czoło.
 Nieśmiałym wzrokiem rzucił wokoło:
 Znać, że w obecnych twarzy i oku,
 O pieśni swojej szukał wyroku:
 I jakby nie śmiąc ufać pochwale,
 Nieco o dawnym wspomniął zapale,
 I jak w nim nędza i wiek zwątliły,
 Lepsze za młodu pamięć i siły.

Księżna i wszystkie damy orszaku,
Umiały pojąć wieszeza w śpiewaku,
I z szczerém czuciem. głośno oddały
Jemu i pieśni winne pochwały.
Starzec ośmielon słodką ich mową,
Tak pieśń swą nócić zaczął na nowo.

KONIEC PIEŚNI PIERWSZEJ.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Kto dziś Melrozu chesz zwiedzać ruiny ¹⁾,
Idź, gdy je nocy mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się urągać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyrzy księżyc blade,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdlém jego światłem bielejąc po wierzchu,
Czernią się spodem jak oteńlanie zmierzchu:
Gdy każda ściana, w cieniach lub jasności,
Zda się z hebanu, lub słońsiowej kości;
A wkoło wieków wpół zatarte rysy,
Obrazy świętych, grobowe napisy,
Mówią z przeszłości:—a szum T w i d u fali,
Albo huk sowy słyhać tylko w dali;—
Wtedy, wędrowcze! idź, gdy ci się przyda,
Idź na gruz gmachu świętego Dawida.

I gdy czuć umiesz, wyznaj, żeś ni razu
Tak uroczego nie widział obrazu!

II.

Ślepy na urok malownych scen,
Wielkimi kroki szedł Deloraine,
I rękojeścią swego kłajmoru
Bił, co miał siły, w fórtę klasztoru.
— „Kto tam?” — głos z wewnątrz ozwał się groźno.
„Czemu tak głośno? po co tak późno?” —
— „Goniec z Branksomu!” — Ledwo domówił,
Drzwi się otwarły, stróż go pozdrowił.
Bo z dawien dawna Buklejów plemię
Prawa i właści Melrozu strzeże,
I hojne dary, skarby i ziemie,
Za dusze przodków święci w ofierze.

III.

Deloraine krótko cel swój wymienił.
Stróż nie rzekł słowa, lecz się nie lenił:
Zatlił pochodnię, i idąc wprzód,
Przez kryte ganki, przez kręte wschody,
Ostróżnym krokiem, boso, w kapturze,
Sunął się cicho, jak cień po murze:
Gdy łoskot zbrojnej rycerza stopy,
Krok w krok sklepienie wtórzyły stropy.
Aż uchyłając hełmu i szyi,
Wszedł w progi mnicha Świętej Maryi,

I pozdrowiwszy skinieniem głowy,
Wznosząc przyłbicę, rzekł temi słowy.

IV.

„Lady z Branksomu tu mię przysłała:
„Mówi, że przyszła chwila, i obu
„Każe nam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś Świętego wilja Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty.—
„Czas nam i miejsce krzyż wskaże krwisty.“—

V.

Z twardéj pościeli, mnich ze snu zbudzony,
Zwłókł wyschłe członki, i stał cały drżący.
Wiek stuletniami ubielił mu szrony
Poważną brodę i włos rzędziejący.
Stał, i na gońca obrócił źrenice,
W głębokich jamach tłące pode brwiami:
„Tyżbyś śmiał zgłębiać straszne tajemnice,
„Co Bóg i szatan chce ukryć przed nami? —
„Patrz na mnie! widzisz z mojego oblicza
„Com cierpiał:—skóra odpadła od kości,
„Od włosiennicy i ostrego bicza;—
„Przez lat sześćdziesiąt ciało moje pości,
„Żyjąc o chlebie i wodzie;—kolanem
„Starłem kamienie podłogi;—a przecie,
„Nie wiem, czy dotąd nie stoi przed Panem
„Grzech, com go z młodu popełnił na świecie,

„Chcę przedrzeć chmurę, którą Bóg na ziemi
„Rozdzielił wiecznie duchów z śmiertelnemi!—
„Zważ więc!—lecz jeśli odrzucisz przestrożę,
„Jeśli wiek cały strawiwszy w pokucie.
„Chcesz drzeć o duszę w ostatniej minucie: —
„Pójdź!—obiecałem, pokażę ci drogę.“ —

VI.

— „Pokut ja żadnych czynić nie myślę,
„Post chyba w głodzie zachowam ściśle.
„Trzępię, jak umiém, *Pater* i *Ave*,
„Gdy siadam na koń iść na wyprawę,
„Lecz piekłem sobie głowy nie suszę. —
„Czyn więc co trzeba, bo śpieszyć muszę.“ —

VII.

Znowu na niego mnich spójrzał zdumiały,
I patrząc westchnął głęboko.
Bo i on kiedyś był wojownik śmiały,
I w świecie słynął szeroko.
I wspomniał siebie, gdy w zbroi promiennój,
Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennój,
Lub koniem sięgał sokoły.
Wspomniał—i kijem podpierając kroki,
Schylony, drżący, pokorny,
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
Otaczał ogród klasztorny.
Cień mrocznych sklepień padał na ich głowę,
A stopą głązy deptali grobowe ²⁾.

VIII.

Zioła i kwiaty, mgłą noczą obwiane,
Błyszczały rosą—a księżyc na ścianę
Padając z boku, oświecał dokoła
Podobnie w rzeźbie i kwiaty i zioła. —
Mnich stanął nagle; i trwożne źrenice

Zwrócił ku stronie północnej:

Gdzie jak z wulkanu, skry i błyskawice
Tryskały z ciemności nocnej.

I to jak race, śmigając ku górze.

To w bok, jak szmeremle rozpierzchłe.

Czerwoną łuną, jak polarne zorze.

Oblały niebo zamierzchłe.

Mnich zdwoił kroku, i szepeąc akt skruchy,

Korzył się w częstych westchnieniach:

Bo on to poznał, że nieczyste duchy

Bujały na tych promieniach.

IX.

Przez kute z miedzi wążkie drzwi poboczne.

Weszli do środka kościoła.

Na lekkich słupach, szczyty jego mroczone

W ciemnościach nikły dokoła.

Gdzie niegdzie tylko promień księżycowy.

Przez okna padając z góry,

Oświecał obszar olbrzymiej budowy,

I kształty wewnętrznej struktury.

Łuki rzucone wszere bokowych skrzydeł.

Cud dłota, podziw spójżenia!

Gzysmy z potwornych masek i straszydeł,
Zdobiły kosze sklepienia.
A słupy cienkie, od góry do dołu
W trofeach między kwiatami,
Zdały się każdy pękiem dzid, pospołu
Pozwiązywanych wieńcami.

X.

Z ponurém echem wiatr wiejąc przez szpary,
Wstrząsał chorągwie i stare sztandary,
Tkwiące przy wielkim ołtarzu.
Tam jedna tylko, ze srebrzystej urny,
Bładowa lampa siała blask pochmurny,
Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu!—³⁾
O! marne szczęty wielkości światowej:
Blask tylko lampy i kamień grobowy!

XI.

W oknach, przez które lśnił księżyc promienny,
Splot fantastyczny trelazy *) kamiennój,
Zdumiewał oczy patrzące;
Rzekłbyś że wróżka, z dziecinnój swawoli,
Prątkami z trzciny, gałęzie topoli
Pogięła w węzłów tysiące,
I potem wręście, dla lepszych omamień,
Wiotką pleciankę zamieniła w kamień.

*) Wyraz techniczny, z francuzkiego *treillage*; kratkowanie w oknach gotyckich.

Srebrzysta jasność. w pośród ram tych krętych,
Na tle szyb w różnych kolorach.
Ukazywała Proroków i Świętych.
W różnobarwistych ubiorach.
W środkowém oknie stał Archaniół Michał,
Z chorągwią z krzyżem czerwonym,
Deptał szatana i w otchłań go spychał.
Godząc weń mieczem wzniesionym.
Przez tę chorągiew blask przechodząc z góry,
Krwawy znak krzyża rzucał na marmury.

XII.

Deloraine z mnichem usiedli na grobie.—

Był to grób króla szkockiego ⁴⁾.

A mnich, znać było że gwałt czyniąc sobie,
Tak zeicha mówił do niego.

„Nie zawsze byłem, czém mię widzisz teraz;

„W krainach Maurów pogańskich.

„Z młodu za wiarę krew przelałem nieraz.

„Walcząc w szeregach hiszpańskich.

„Dziś wzrok mój émi się patrząc na twą zbroję,

„Szczęk twego miecza razi ucho moje.

XIII.

„Tam. w Salamance. zdarzenie mi dało

„Napotkać Michała Skotta ⁵⁾.

„Świat drżał przed jego czarnoksiężką chwałą;

„Bo gdy go wzięła ochota,

- „Dać tam swym uczniom dowody swój siły,
„I laską powiódł po śpiżu:
„Z wież same dzwony na trwozę dzwoniły,
„I wieże drżały w Paryżu ⁶).
„Mag mi przez przyjaźń odkrył tajnie swoje,
„Pozwolił użyć wyrazu,
„Co szczyt Ejdlo nu rozszczepał na troje,
„I przez Twid rzucił most z głazu ⁷).
„Lecz, wojowniku! powtórzyc go tobie.
„Byłoby zgubić twą duszę;
„A i tak nawet, żem go wspomniał sobie,
„Pokutę potroić muszę.

XIV.

- „On téż na swojej śmiertelnój pościeli
„Poznał, że moc ta jest grzechem.
„Jam był najbliższy z jego przyjacielei,
„Kazał mi przybyć z pośpiechem.
„W Madrycie jego odebrałem hasło.
„Gdy słońce wstawało z morza;
„I, wojowniku! nim słońce zagasło,
„Stałem tu, u jego łoża.
„Co mi powiedział ostatniemi słowy,
„Nie pytaj!—straszna ich siła
„Na gróby jego i na nasze głowy
„Sklep téj świątyni zrzuciła.

XV.

- „Lecz jak mi kazał, złożyłem przysięgę,
„Pogrześć z nim razem jego Czarno-księgę,
„Nie okazując nikomu;
„Prócz gdyby chyba w gwałtownej potrzebie,
„Dla swego klanu, lub samego siebie,
„Żądał jej Buklej z Branksomu.
„Wtedy ją z grobu wziąć mogłem jedynie,
„Lecz pod przysięgą, gdy potrzeba minie.
„Że ją na nowo zagrzebie. —
„W nocy, przede dniem Świętego Michała,
„Tu go złożyłem w grób ciasny,
„Gdy z wieży pierwsza godzina zabrzmiała,
„A z okien księżyc lśnił jasny.
„Umyślnie na to wybrałem tę chwilę,
„Aby ów krzyż Archanioła.
„Świecąc wprost wtedy na jego mogile,
„Złe duchy płoszył dokoła.

XVI.

- „Straszna to była noc!—Kościół ten cały
„Drżał jak od ziemi trzęsienia;
„Chorągwie same bez wiatru szumiały,
„A z za filarów, wśród cienia,
„Słyszałem śmiechy i głosy złowieszcze. —
„Włos się na głowie mój jeżył;
„Jednak...“—Mnich dalej chciał coś mówić jeszcze,
„Wtém zegar pierwszą uderzył. —

Deloraine dotąd nie wiedział co trwoga:
Na rzędy włóczni, na zastępy wroga,
 Na śmierćby nawet szedł śmiało;
W téj chwili jednak dreszcz go przejął zimny,
I gdy za mnichem powtarzać chciał hymny,
 Głosu mu w piersiach nie stało.

XVII.

„Teraz, rycerzu! teraz chwytaj porę!
 „Krzyż łśni na grobie mocarza.
„Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
 „Którój blask duchy odraża ⁸⁾.
„Gore, i będzie goreć nieprzerwanie,
„Aż na sąd straszny pan jój nie powstanie.“—
Mnich rzekł, i wskazał na środku kościoła
 Głaz niczém nieodznaczony,
Prócz że nań z góry sztandar Archanioła
 Rzuczał cień krzyża czerwony.
Deloraine idąc za mnicha rozkazem,
Znalazł w framudze drąg kuty żelazem,
 I jak mógł krzepił ochotę.
Mnich bił się w piersi, i grób wkoło zegnał,
I jakby pewny że duchy odegnał,
 Dał znak by zacząć robotę.

XXIII.

Z bijącym sercem, natężając siłę,
Ze wszech stron rycerz ciężką wzruszał bryłę,

I krwawym oblał się potem.
Dwakroć odpoczął:—lecz za trzecim razem,
Głaz zasadzonóm podjęty żelazem
Na bok odwalił z łoskotem.—
O! wtenczas, chciałbym, żebyście tam byli!
Bo czyż wam zdołam wystawić
Obraz téj chwili, gdy światło z mogiły
Buchnęło łuną błyskawic;
I w mgnieniu oka, jak blask meteoru,
Oblało ołtarz i ściany,
I kolumnadę krużganków i choru,
I sklep w trójkąty łamany?—
Z zbroi rycerza jak płomień wytrysnął.
Jak śnieg zaiskrzyło pióro.
Mnich prędko kaptur na oczy nacisnął,
I w ziemię patrzył ponuro!

XIX.

W całej postaci Mag leżał przed niemi,
Jakby od wczoraj złożony do ziemi.
Do pasa długa, broda jego biała
Jak biały całun pierś mu okrywała;
Sto lat przeżytych znać było z oblicza,
Gdzie tchnęła jeszcze wielkość tajemnicza.
Strój miał pielgrzymi, bez żadnego znaku,
I pas w złociste godła zodyaku;
Srebrny krucyfiks trzymał w dłoni prawej,
Pod lewą, gruba, żałobnej oprawy.
Leżała księga na kłanry zamknięta,
A u stóp lampa płonąła zaklęta.

Twarz była cicha i wypogodzona.
Mnich wniósł, że dusza być musi zbawiona.

XX.

Nieraz na polach krwią ludzką okrytych,
Deloraine koniem tratował zabitych,
I nie czuł zgryzot ni strachu:
Lecz go przejęły i strach i zgryzota.
Widząc otwarty grób Michała Skotta.
I ów blask nagły po gmachu.
Krew skrzepła lodem, i stał jak przykuty.—
Mnich bił się w piersi, i akty pokuty
Odmawiał głośno, żarliwie.
Lecz w grób już więcej nie śmiał rzucić wzroku,
Bo czuł, że dłużej nie znieśie widoku
Tego, co kochał tak tkliwie.

XXI.

I domówiwszy swojego pacierza:
„Czyn, co masz czynić!“—krzyknął na rycerza,
„Śpiesz! albo biada nam obu!—
„Nie możesz widzieć—bo śmiertelne oczy
„Znieśćby nie mogły—tłumu, co się tłoczy
„Na brzeg otwartego grobu!“—
Deloraine chwili nie tracąc daremno,
Przykląkł, i z grobu wziął księgę tajemną,
I nagle porwał się z trwogą;
Bo czy to światło, co wzrok osłepiało.
Czy strach go złudził:—dość, że mu się zdało,
Że martwy zmarszczył się srogo ⁹).

XXII.

Gdy kamień znowu pokrył wierzch mogiły,
Głębsze niż przedtém ciemności wróciły,
Bo księżyc zaszedł, a gwiazdy się sémiły.—
Mnich z Delorainem przyspieszając kroku,
Szli, i drzwi długo w nieprzejrzanym mroku
 Nie mogli znaleźć z przestrichu;
Bo wciąż, długimi powtarzane echy,
Nadludzkie głosy i szydercze śmiechy
 Brzmiały za nimi po gmachu.
Rzekłbyś, złe duchy radośnym okrzykiem,
Tryumfowały z urąganiem dzikiém,
 Że na świat idą ich czary.—
Co w tém jest prawdy?—gdybyście spytali,
Nie śmiałbym ręczyć;—lecz tak powiadali
 Starcowie, co godni wiary.

XXIII.

„Teraz uciekaj!—rzekł mnich na podwórze:
„A gdy już będziem na śmiertelném łożu,
 „Wzywajmy Świętych opieki:
„By przez ich mozną za nami przyczynę,
„Bóg litościwy odpuścił nam winę,
 „I nie potępił na wieki!“—
Rzekł, i sam jeden wrócił do swój celi.—
Ale gdy w chórze nie widząc go rano,
Bracia w południe do drzwi jój zajrzeli,
 Już go w niej martwym zastano.

Leżał na ziemi krzyżem rozciągnięty,
Lecz w twarzy jego jaśniał pokój święty.

XXIV.

Rycerz wyszedłszy z pod sklepień krużganku.
Odetchnął wolniej świeżością poranku:
Dopadł rumaka, i pędząc co siły,
Rad był że minął klasztorne mogiły.
Bo mu na piersiach, jak ołowiu bryła,
Tajemna księga pod zbroją ciężyla.
I jakby własnym ożywione duchem,
Czuł, że jej karty ciągłym drgały ruchem.
Lecz nabrał męztwa, gdy z wyższych gór szczytu
Ujrzał świecący pierwszy promień świtu;
I aby całkiem pokonać obawę.
Trzepał, jak umiał, swój *Pater* i *Ave*.

XXV.

Słońce rumieni szczyt Czewiotu,
Słońce na skalnym błyszczy Karterze;
I już niém iskrzy nurt Tewiotu,
I już niém tłą się Branksomu wieże.
Ptastwo się zewsząd chórem ozwało,
Wietrzyk odetchnął wonią poranną.
Kołysząc zlekka liliję białą,
Lub rozwijając różę rumianną.
I już piękniejsza niż kraśne róże,
Choć od lilii bladsza od żalu,

Swoje bezsenne rzuciła łożę,
Królowa dziewięć Tewiot-dalu.

XXVI.

Czemuż to piękna Anna z Branksomu
Wdziewa tak rano, strój tak powabny?
Czemu tak z drzeniem, tak pełna sromu
Sznuruje śpiesznie stanik jedwabny?
Czemu tak wkoło rzucea wzrok strachu,
Zbiegłszy na boczny dziedziniec gmachu?
Czemu tak czule brytana głaszcze,
Co już by szecznąć otwierał paszczę?
Czemu, choć cała kwefem okryta,
Stróż jój „kto idzie?“ w bramie nie pyta?
Gdzież to tak sama śpieszy w tej porze,
Gdy ledwo pierwsze zabłysło zorze? —

XXVII.

Anna z Branksomu stąpa tak z trwogą,
By ujść przed matki czujnością srogą.
Głaszcze brytana, bo wie, że ludzi
Głos jego gruby w zamku rozbudzi.
Strażnik jój daje przechód bezpieczny,
Bo tym strażnikiem jest brat jój mleczny;
A tak się rano z zamku wymyka,
By spotkać w gaju Lorda Henryka.

XXVIII.

I już pod cieniem drzew zielonych wianków,
Usiadła para szczęśliwych kochanków;

A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie!
On młody, różny, szlachetnej postawy,
Grom wpośród bitwy, i dusza zabawy;
A ona, ona!—gdy widok młodzieńca
Oblał jej lice szkarłatem rumieńca;
Gdy każde tchnienie jej piersi miotanej
Zaokręgało jej strój sznurowany,
A wdół spuszczone błękitne źrenice
W łzach malowały serca tajemnicę:
Jakażby piękność w tej chwili, bez sromu
Śmiała na równi iść z Anną z Branksomu?—

XXIX.

O! teraz widzę, że moje pienię,
Szlachetne damy! serce wam wzrusza:
Ku mnie się zwraca wasze spójrzenie,
W każdym spójrzeniu lśni wasza dusza!
Czekacie pewnie tkliwej powieści,
Tęsknej rozkoszy, słodkiej boleści,
 Co pierś kochanków przejmuję;
Jak śmiały rycerz, w słowach płomiennych,
Czciliwie niezachwianej, uczuć niezmiennych
 Świętość i zapal maluje;
I jak dziewica, z tęsknym westchnieniem,
Wpół z przelęknieniem, wpół z rozrzewnieniem,
 Słucha, i słuchać się boi;
I jak nakoniec, lekką zasłoną
Na wpół obwianą, skroń zapłonioną,
 Oparła na jego zbroi;

I cichym głosem, ledwo słyszany,
To raz nagłonym, to przerywanym,
Rzekła: że byle w ich domu
Krwawa nieprzyjaźń była skończona,
Ręki swój, oprócz Lorda Kranstona,
Nigdy nie odda nikomu.

XXX.

Ale niestety, szlachetne panie!
Próżne jest wasze oczekiwanie!
Widzicie ten szron starości.
Wiek mię oziębł, nędza mię tłoczy.
Arfa straciła dźwięk swój uoczy —
Nie śmiem już śpiewać miłości!—

XXXI.

Blizko pod dębem, na straży od błonia,
Karzeł Kranstona trzymał jego konia ¹⁰⁾,
I włócznię, i hełm z piórami.
Karzeł, nie wiedzieć czy ze krwi i z ciała,
Jeśli prawdziwa wieść o nim biegła
Nad Tewiotu brzegami.—
Razu jednego Lord bawiąc na łowach,
W mało zwiedzanych Ridsdalu dąbrowach,
Nagle w gęstwinie usłyszał zdziwiony,
Okrzyk: „stracony! stracony! stracony!“

I wnet, jak piłka palantem podbita,
Postać wpół ludzka, wpół małpia, w kłęb zwita,
Na stóp trzydzieści trzy z głębi gęstwiny
Dała skok w górę, i w środku doliny
 Upadła pod jego stopy.
Baron spał konia i puścił wędzidło,
I gnał co siły;—lecz karle straszycło
 Leciało za nim tuż w tropy.
I w tymże czasie, co koń jego mile,
Ubiegło pieszo cztery razy tyle;
I gdy Lord Kranston, czyniąc krzyża znamię,
Wjeżdżał w swój zamek—spotkało go w bramie.

XXXII.

Czas, powiadają, i z czartem oswaja.
Baron i cała domowników zgraja
 Nawykli zwolna do karła.
On nie nie robił, nie jawnie nie jadał,
Rad stronił wszystkich, i z nikim nie gadał;
Lecz gdy był jeden, machając ramiony,
Wrzeszczał: „stracony! stracony! stracony!”
 I śmiał się z całego gardła.
Był zły, gniewliwy, i mściwy niezmiernie.
Lecz baronowi pokornie i wiernie
 Służył, i pełnił co kazał.
Mówią, że nawet ocalił mu życie:
Ostrzegł o zdradzie uknutój nań skrycie,
 I drogę ujścia pokazał.

XXXIII.

Bo gdy Lord Kranston raz do kaplicy
Słynnej cudami Boga-Rodzicy,
Po nad Yarrowem, blisko granicy,
Szedł z nim, by ziścić swe śluby:
Nie wiedzieć jako. Lady z Branksomu
Miała wieść o tém, i pokryjomu.
Zwoławszy krewnych swojego domu,
Powzięła myśl jego zguby.
Z Newark-Lee *), piérwsi wodzowie klanu,
Walter z Hardenu. Jan z Tirlestanu,
Deloraine piérwszy podzegacz planu,
Przez las, wzdłuż brzegów Yarrowu,
Trzysta trzy włócznie wiodąc za sobą.
By go tam napaść, szli nocną dobą,
I byli pewni połowu.
Ale paź-kärzeł, mówią, przez czary,
Wiedział ich przyjście, odkrył zamiary —
Lord z nim przed świtem uszedł przez jary;
I gdy Skottowie przybyli,
W próżnej wściekłości, z gniewu i sromu,
Mszcząc się zawodu na Bożym domu,
Obraz z kaplicą spalili ¹¹⁾.

*) Czytaj *Niurark-Li*.

XXIV.

W tój chwili karzeł, trzymając konia,
Czujny wzrok ciągle zwraca na błonia.
Nagle koń chrapnął, nastawił ucha —
Karzeł ku ziemi zgiął się i słucha:
I wywijając w górze ramiony,
Dał wnet kochankom znak umówiony. —
Nie było czasu dłużej rozmowy,
Przysięg. pożegnań: — tentent podkowy
Słychać zdaleka. — Jak gołębia
Przed lotem ptaka, trwożna dziewica
Śpieszy do zamku: — Lord Henryk śmiało,
Słuchając echa co się zbliżało.
Stał jeszcze w miejscu: — lecz karła rada
Przemogła wręście: — na koń więc wsiada,
I w myślach na dół zwiesiwszy głowę,
Zwolna w cienistą jedzie dąbrowę.

Kiedy tak śpiewał wieszcz osiwiwały,
Głos i natchnienie coraz słabiały.
Postrzegł to młody paź, i z uśmiechem
Wybiegł, i z czarą wrócił z pośpiechem:
Z czarą Welezu winnej purpury.
Bard ze łzą w oku wznosił ją do góry,
I drząc polecał opiece świętej
Dom, gdzie syn pieśni tak był przyjęty.
Młode dziewice kryły śmiech pusty.
Patrząc jak starzec cheiwemi usty,

Z jaką rozkoszą chylił z puharu,
Ożywiające krople nektaru.
On zgadł ich myśli—i patrząc wkoło,
Wzajem się ku nim zaśmiał wesoło.
Bo czuł, jak coraz rosła w nim siła.
Jak coraz żywiej krew w nim krążyła;
Aż coraz jaśniej czując swe treści,
Tak ciągnął dalej wątek powieści.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Jażem powiedział, że mię los tak zgnębił;
Jażem powiedział, że czas tak oziębił
Serce me szronem starości:
Że nie śmiem śpiewać bóztwa, co udziela
Barw najświetniejszych marzeniom minstrela,
Że nie śmiem śpiewać miłości?—
Nie, nie!—dopóki w piersiach bije serce,
Póki choć jeszcze w ostatniej iskiecce
Tli zapał wieszczego ducha:
Na samą wzmiankę świętego imienia,
Serce się musi obudzić z uspienia,
Natchnienie iskrę rozdmucha!

II.

Miłość w pokoju,
Stroi flet pasterzy;
Miłość śród boju,
Krzepi miecz rycerzy.

Miłość w pałacach,
Na ucztach przewodzi;
W chatach, po pracach,
Sen rolnika słodzi.
Ludziom nagradza
Trud ziemskich padołów;
W Niebie jój władza
Jest szczęściem Aniołów.
Dzielona wzajem,
Niewinna z ufnością,
Świat czyni rajem,
Bo raj jest miłością.

III.

O niój, jak sędzę, pochyliwszy głowę,
Dumał lord Kranston jadąc przez dąbrowę,
I w myślach z Anną przedłużał rozmowę.—
Wtém karzeł nagle świsnął i zawołał.
Lord spójrzał w górę—lecz ledwo co zdołał
Spuścić przyłbicę, już prosto nań z boku
Olbrzym nie rycerz gnał z kopią w toku.
Koń był śpioniony, okryty kurzawą,
Zbroja rycerza przyćmiona rdzą krwawą;
Sam chwiał się w łęku, i tak się zdawało,
Że musiał nie spać i jechać noc całą.
Nie spał. i jechał—i nie dbał o sen:
Bo tym rycerzem był sam Deloraine.

IV.

Ale wnet znikły i ślady znużenia,
Gdy błyskający z pomiędzy drzew cienia.
Ujrzał hełm zdala, i poznał po godle.
„Bronń się, bo zginiesz!“ zawołał tuż wpodle.
Kranston się raźnie umocnił na siodle—
I był to widok godzien oczu barda!—
Groźne pytanie i odpowiedź harda
Dały znak boju.—Obadwa ich konie,
Jakby dzieliły nienawiść, co płonie
W sercu ich panów, parskąły i rżały,
Rzekłbyś patrząc, że się ośmielały
 Ku przeczuwanój potrzebie:
Gdy tocząc niemi między rzadkim gajem,
Jeden i drugi szukali nawzajem
 Korzyści miejsca dla siebie.

V.

Kołem harcował koń dzielny barona,
On się pomodlił, westchnął pokryjomu:
Modlitwa była do jego Patrona,
Westchnienie było do Anny z Branksomu.
Deloraine zamiast westchnień i modlitwy,
Zgrzytał zębami z przewłoki gonitwy.
I zwarłszy konia, wprost pędził do bitwy.—
O! widzieć było, gdy w pędzie, z łoskotem,
Starli się—echo rozległo się grzmotem.

VI.

Deloraine z gniewem moc całą wysilił.
Kranston się zachwiał i na wznak pochylił.
Dosiedział jednak; pióra tylko letsze
Z kity się jego rozpierzchły na wietrze.
Gdy włócznia wroga, jako maszt o skały,
O tarcz się jego strzaskała w kawały.
Silniej czy trafniej wymierzył snąc swoją,
Bo przebił tarczę, koleczugę i zbroję.
I w piersiach wroga załamał żelazca.
Jeździec nie upadł—lecz słabszy od jeźdźca
Koń się zatoczył, i jak martwe brzemię
Runął, i pana pociągnął na ziemię.
Kranston wstrząśniony gwałtownością ciosu.
Nie widział nawet przeciwnika losu.

VII.

Lecz gdy po chwili obaczył leżących.
Konia i jeźdźca, w krwi własnej broczących.
Litość go zdjęła nad krewnym kochaném;
Kazał karłowi opatrzyć mu rany.
I wieść do zamku, by go wzięły strażę.
„Śpiesz tylko, dodał, i spełń co ci każę!
„Mnie chwila droga; bom jeszcze nie gotów
„Iść na sąd Boży. by czekać na Skottów.”—

VIII.

Rzekł, i wezwał dalej puścił się dąbrową.—
Paź patrzył za nim potrząsając głową:

Nie miał on nigdy chęci do dobrego.
Lecz rozkaz pana był prawem dla niego.
Kiedy więc zaczął oglądać rycerza,
Księgę sterczącą ujrzał z pod pancerza,
Zdziwił się mocno, że rycerz tak dzielny
Jeździ z książkami jak klecha kościelny;
Potém, nie dbając że ranny umiera,
Chciał naprzód wiedziéć co księga zawiera.

IX.

Lecz się z klamrami musiał biedzić długo:
Co odpiął jedną, i chciał odpiąć drugą,
Pierwsza znów mocniej niż wprzód zaskoczyła.
Zgadł, że je broni czarnoksiężka siła,
I że trud próżny, bo jój nie pokona,
Bez znaku krzyża. ręka nieochrzczona.
Lecz znalazł sposób na sztukę szatańską:
Krwiał je z ran jeźdźca potarł chrześcijańską;
I gdy otworzył, z uwagą głęboką,
Trafił na rozdział, jak omamić oko ¹⁾:
By zwierz człowiekiem, człek zdać się mógł zwierzem,
Rycerz dziewicą, dziewica rycerzem;
By sieć pajęcza w podziemném więzieniu,
Zdała się rzeźbą na złotém sklepieniu;
Obronnym zamkiem, lada chaty strzecha,
Nawą zagłówną, łupina z orzecha;
Słowem, by w żywym czy martwym przedmiocie,
Pozór był inny, niż przedmiot w istocie.

X.

Karzeł się bardzo ucieszył z nauki,
Śmiał się. i w myśli snuł przyszłe swe sztuki.
I już wytrzeszczał wzrok na rozdział wtóry: —
Wtém wiatr zaświstał. i policzek z góry
Spadł nań jak piorun:—wzrok mu się zamroczył,
Padł jak nieżywy i w kłęb się potoczył.
Powstawszy jednak. ogłuszony ciosem,
„No! starcze, bijesz!” rzekł tylko półgłosem;
I choć ciekawość wrzała najgoręcej.
Do strasznej księgi nie śmiał zajrzeć więcej:
Któręj też kłamry, straciwszy krwi płamę,
Znowu jak przedtém zamknęły się same.
Wziął ją jednakże i ukrył w swój szacie. —
Lecz zkąd policzek?—jeżeli spytaacie.
Nie nie śmiem twierdzić: ale raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej ²⁾).

XI.

Karzeł tymczasem, choć wbrew swój ochoty,
Do nakazanej zabrał się roboty.
Podźwignął konia, jeźdźca złożył w łuku.
I sam za cugle prowadząc go w rękę,
Wiódł wprost do zamku; —straż oczarowana,
Widziała tylko że wjeżdża wóz siana. —
On wszedłszy w bramę, rycerza we zbroi
Niósł aż do Lady zaklętych podwoi,
I gdyby wewnętrznych czarów się nie trwożył,
Na jójby łożu niechybnie go złożył.

Lecz stanął w progu, i niemiłe brzemię
Podniósł nad głowę, i rzucił o ziemię: —
Bo ile razy miał porę po temu,
Zawsze coś złego chciał zrobić każdemu: —
I śmiał się dziko, potrząsając głową.
Gdy krew z ran płynąć zaczęła na nowo.

XII.

Wracając, ujrzał w dziedzińcu na dole,
Bawiące samo nadobne pacholę.
Wpadł zaraz na myśl, by nie tracąc czasu.
Zwabić je z sobą i uwieść do lasu:
I nie mógł wstrzymać dzikiego chychotu.
Myśląc co przez to narobi kłopotu.
Bo zły czyn każdy był jego żywiołem. —
Zdał się więc dziecku chłopięciem wesołym.
I wyjść za bramę namówił je społem.
Tuż przy ich drodze przedmostowa warta.
Widziała tylko brytana i charta.

XIII.

Karzeł swą zdobycz prowadząc przez niwy,
Różne mu w lesie obiecywał dziwy.
Aż gdy zabrnawszy w głąb ciemnego gaju,
Przyszli nad brzegi bystrego ruczaju,
Bieg żywój wody zniszczył nagle czary ³⁾.
I karzeł wrócił do kształtu poczwary.
Gdyby w téj chwili śmiał iść za swą chętką,
Męczyłby dziecię; — lecz przypomniał prędko

Moe jego matki. i bojąc się kary,
Wstrzymał rad nie rad złośliwe zamiary.
Krzyknął więc tylko na biedną dziecinę,
I dał skok w górę. i zapadł w gestwinę;
Głos przeraźliwy, ze śmiechem złączony,
Zabrzmiał: „stracony! stracony! stracony!”

XIV.

Dziecię przejęte nadludzkim widokiem,
Nie śmiać ni płakać, ni ruszyć się krokiem,
Drżało jak trzcina nad bystrym potokiem.
I gdy się wreście ozierając wszędy,
Chciało iść nazad, nieświadome kędy,
Na każdy szelest drzew albo powiewu,
Karzeł mu zdał się wyskakiwać z krzewu,
I śmiać się śmiechem szyderstwa i gniewu. —
Tak coraz bardziej zbijając się z toru,
Zamiast do zamku. szło dalej wzdłuż boru;
Aż usłyszało, z głębi dzikich jarów,
Gończe szczekanie myśliwych ogarów.

XV.

Głos bliżej, bliżej — aż tuż w ślady sarny,
Zziajany z gestwy wypadł ogar czarny,
I wzniosłszy paszczę wietrzącą po tropie,
Rzucił się obces na bezbronne chłopię.

Była to scena malowania warta:
Gdy chłopiec widząc psa tylko, nie czarta,
Poczuł w swém sercu godne ojców mężstwo,
I niepamiętny na niebezpieczeństwo,

Z twarzą i okiem iskrzącém od gniewu,
Plecami tylko przyparł się ku drzewu.
I gdy nań ogar już zęby wyszczerzył,
Kijkiem co trzymał, tak zręcznie uderzył,
Że pies odskoczył, stanął, grzbiet najeżył.
I nie śmiać kasać, już tylko zdaleka
Szczekał zajadle, czekając człowieka.

Jakoż wnet, pełen zapału.

Myśliwiec nadbiegł, i psa gdy obaczył,
Pewny, że zwierza grubego osaczył.

Podniósł łuk jakby do strzału.

Wtém z drugiej strony głos zabrzmiał strzelecko:
„Hop, hop, Edwardzie! nie strzelaj, to dziecko!” —

XVI.

Mówca po chwili ukazał się z chróstu.
Łucznik angielski, wysokiego wzrostu:
Krótki do kolan strój jego zielony.
Czapka z piórami, włos krągło strzyżony:
Na czapce świecił krzyż, Anglii znamię:
Trąbka myśliwska wisiała przez ramię,
Oszyta skórą wilczą, a za pasem,
Sajdak z strzałami, obok z kordelasem.
W ręku łuk trzymał, co o pięćset kroków
Jaskółkę umiał zrzucić z pod obłoków.
I smycz, co grożąc gdy podniósł do góry,
Pies skomlać tylko, warował z pokory.

XVII.

Łucznik nie złego nie czyniąc dziecięciu,
W silném go jednak zatrzymał ujęciu,
I uspakajał w sposób przyjacielski.
Bo chłopiec widząc strój jego angielski.
Szarpał się strasznie:— a wtém téż z kolei
Młodszy towarzysz, Edward wyszedł z kniei.
„Hop, hop!“— rzekł łucznik—, „patrz, zdobyćz nie marna;
„Lepiej się może opłacić niż sarna.
„Patrz, jak się szarpie!— ręczę bez zawodu.
„Że to jest dziecię wysokiego rodu.

XVIII.

— „Pewnie że jestem! — chłopiec krzyknął groźno —
„Bo jestem Buklej, i dziedzic Branksomu.
„Puść mię! — bo będziesz żałował za późno.
„Puść mię, powiadam, lub odwiedź do domu?
„Bo gdy mię więzić chcesz, zbójco bez wstydu!
„Wszyscy Skottowie od Esku do Twidu,
„Szukać mię będą; i tu gdy przybiegą.
„Zaraz cię z twoim i psem i kolegą.
„Mimo tych waszych długich strzał i łuków.
„Każę powiesić na pastwę dla kruków!“ —

XIX.

— „Ho, ho, mój mały! dzięki za chęć twoją!
„Lecz ja tak bardzo wysoko nie kroję.

„Ale gdy wzrośniesz—ho! nasi strażnicy
„Będą co mieli robić na granicy! —
„Tymczasem lordek niech z nami pójsé raczy,
„Lord Dacre *) rad będzie, gdy ciebie zobaczy.—
„No cóż, Edwardzie! tęgi zuch z mołojca?—
„Nie lada zdobyecz jest syn jego ojca!“

XX.

Rzekł, i nie bacząc na krzyki dziecięce,
Obaj z Edwardem wzięli go pod ręce,
I psa wołając poszli nazad w knieje. —
Lecz próżne były dziecięcia nadzieje,
Usłyszeć tentent pogoni z Branksomu:
Nikt tam nie wiedział, że baron znikł z domu.
Bo karzeł kończąc złośliwą swawolę,
Ptakiem do zamku powrócił przez pole,
Wziął jego postać, i grał jego rolę.—
Ale jak! —ludzie zachodzili w głowy,
Zkąd mu tak nagle tak dzikie narowy!
Na cały zamek wrzeszczał, gdy się bawił,
Swych towarzysów bił, szarpał, pokrwawił,
Jednego nawet omal nie zadławił.
Starszym się także przykrzył nieskończenie:
Zdarł nową suknię ciotce Magdalenie:
Rycerzom octu namięszął do wina:
I gdy Sym stary grzał się u komina,
Wsadził mu węgiel w ładownicę z prochem,
Aż się gmach cały wstrząsł jednym popłochem.

*) Czytaj *Dacre*.

Lecz któżby wszystkie zle jego spamiętał? —
Dość, że myślano, że go czart opętał.

XXI.

Lady od razu poznałyby czary,
I karzeł słusznój nie uszedłby kary;
Ale on wiedział, i ztąd był tak śmiały,
Że Delorainem zajęta dzień cały.
Skoro go bowiem ujrziała na progu,
Pierwsza myśl była o nieziemskim wrogu,
Jeśli, choć czytać nie umiał wyrazów,
Śmiał zajrzeć w księgę wbrew danych rozkazów.
Lecz fałsz posądzeń uznała widocznie.
Postrzegłszy w piersiach załamaną włócznię.

XXII.

Zlekka ją zatém wydobywszy z rany,
Krew utuliła swemi talizmany;
I ani dłużej pozostała przy łożu:
Lecz go przy wiernym zostawiwszy stróżu,
Narzędzie rany wzięwszy tylko z sobą,
Poszła skuteczniej czuwać nad chorobą.
W gmachu, gdzie ludzkie oko nie dościgło,
Z żelaza naprzód zmyła krew zastygłą,
I wióry z drzewca strugając żelazem,
Kładła do wody; a za każdym razem.
Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie 4).

Lady nakoniec wyrzekła, że chory
Będzie zdrów całkiem od pory do pory:
Lecz nie przestała swych sztuk czarnoksięstwa,
Nie chcąc z uwagi spuścić bezpieczeństwa,
Męża tak znanój wierności i mężstwa.

XXIII.

Tak dzień przeminął—i słońce bez chmury,
Za błękitnawe spuściło się góry,
Szczyt ich malując szkarłatem purpury.
Wieczór był cichy, powietrze łagodne.
Ziemia wesola, i niebo pogodne.
Księżyc się zwolna wyiskrzył od wschodu,
Wietrzyk orzeźwiał tchem woni i chłodu;
W nieporuszonej wód rzeki kryształe.
Zamek się z brzegu odbijał wspaniale.
Najdzikszy nawet z zbrojnych towarzyszy,
Czuł w sercu urok pogody i ciszy:
Jakże więc Anny tkliwe serce młode.
Błogosławiło ciszę i pogodę,
Gdy sama jedna, na wysokim ganku.
Patrząc po niebie, marząc o kochanku.
Trącała zlekka swojej arfy stróny:
Lub w dal bez celu szląc wzrok zamyślony,
Czekała zda się, aż błysnie z za wzgórzy.
Miłej kochankom, wschód wieczornój zorzy!...
— Cóż jej ta gwiazda dobrego wywróży?—

XXIV.

Onaż to, ona? — co nagle tak w zmierzchu
Na Penchrist-Penu wyiskrza się wierzchu,
I jak kometa w powietrza przezroczy
Roztacza wstęgi czerwonych warkoczy? —
Nie! — to nie promień kochankówéj gwiazdy!
To sygnał wojny! to mord i najazdy! —
Arfa z rąk Anny jak z jękiem wypadła,
Gdy chcąc zbiedz na dół struchlała i zbladła,
Wzrok się jéj zaćmił — i mdłość nią owładła.

XXV.

Ledwo straż światło ujrzała promienne,
Z wszystkich wież trąby zabrzmiały wojenne.
I widzieć było, w godowniczéj sali,
Jak się rycerze porwali od stołu!
I słyszeć było, chrzęst, łoskot, szezęk stali.
Gdy wszyscy na dół zbiegali pospołu! —
Wkrąg na dziedzińcu, przy bramach, wzdłuż szanćów,
Wpół w cieniach nocy, wpół w świetle kagańców.
Migają hełmy, kołyszają się kity.
Konie parskają i biją kopyty:
Drzewce o drzewce trącają w natłoku.
Jak zmarzłe trzciny w zimowym potoku.

XXVI.

Seneszał *) w środku, z ubielonym włosom,
Prędkim skimieniem, podniesionym głosem,
Daje rozkazy:— a sędziwe lica
Jaskrawa jasność pochodni oświeca.

„Na Penchrist-Penie sygnał się pali ³⁾,
„Trzy na Priesthawie;—na koń więc, dalej!
„Na koń za Branksom! ^{**})—Janie z Altonu!
„Spiesz zbudzić mężów klanu Dżonstonu!—
„Do Liddesdalu nie ma potrzeby
„Posyłać gońców: dość jest ażęby
„Ujrzeni sygnał:—któż z Eliotów,
„Któryż z Amstrongów zawsze nie gotów,
„Spieszyc na pomoc braci swych Skottów?—
„Na koń Todrygu! patrz wzdłuż granicy,
„Czy na swych miejscach stoją strażnicy.—
„Z was, gdzie kto może niech się przemyka,
„Byle o wrogu dostać języka!—
„Gilbercie! zapal oba sygnały:
„Wróg się znać zbliża w sile nie małej—
„Spiesz! niech do broni kraj staje cały!“

XXVII.

Rzekł—zamek jednóm rozległ się echem:
„Na koń, za Branksom!“—Gońcy z pośpiechem

*) Major Dónas.

**) To było hasło wojenne klanu Skottów.

Wpadli na siodła:—każdy w swą stronę,
Pędzą za bramy:—mosty zwodzone
Brzmia jedném echem:—a trąby grają.
A strażę krzyczą, konie chrapają—
Szczęk, łoskot, hałas. huk nakształt gromu.
Zbudził z omdlenia Annę z Branksoma.

XXVIII.

Młody paź rzesko poskoczył na wały,
Z dwóch wież narożnych dwa błysły sygnały.
Z drew suchych wybuch czerwonych płomieni
Oświecił zamek i niebo rumieni.
Po nad ogniami dym w kłęby kręcony.
Czarny i gęsty, od spodu czerwony.
Wieje z wież obu, jak sztandar podwójny.
Złowrogie godło żaloby i wojny. —
I w mgnieniu oka, jak wzrok sięgnie zdała,
Ogień się widać po ogniu zapala:
Na ostrych skałach, na lesistych górach.
Gdzie orle gniazda kołyszą się w chmurach:
Na piramidach grobowych kurhanów ⁶⁾.
Gdzie śpią snąć prochy dawnych kraju panów.
Rzekłbyś, na niebie rodzące się gwiazdy:
Każdy przeraża, zwiastując najazdy.
A jednak każdy ośmiela i cieszy.
Wróżąc, że bratu brat w pomoc pośpieszy.
Aż po nad Soltrą i Dumpender-Lawem.
Edyńburg światłem przeraził się krwawóm:
Aż okrzyk zbudził echa Lothianów ⁷⁾:
„Na kon! na odsiecz pogranicznych klanów!”—

XXIX.

W zamku Branksonu do zorzy porannój,
Weiaż, jak z wieczora. trwał gwar nieustanny,
Czujność, i zapal. i trwoga.
Słysząc jak toczą kamienie do bramy,
Widać na wieże jak windują tramy,
By je ztąd spychać na wroga.
Kapelan kazał uderzyć we dzwony.
Dźwięk ich przeciągły. żalobnemi tony
Jęczy nad lasem i górą;
Zbudzone echem ciągłego rozruchu.
Psy niecierpliwe rwąc się na łańcuchu,
W dziedzińcach wyją ponuro.

XXX.

Lady podziela trudy Seneszala,
Młodszych zachęca i męztwo wychwała:
Z starszymi radzi i słucho wysłańców.
Wrócili wszyscy bez wieści i brańców:
Nikt nie wie pewno, kto? zkąd? gdzie są wrogie?
Jaka ich liczba, ni jaki cel drogi?—
Jedni twierdzili, że dziesięć tysięcy:
Drudzy przeciwnie, że to jest nie więcej.
Jak zwykły podjazd rabusiów z Tyndału,
Po czarny haracz ⁸⁾; i że z Liddesdału,
Sami mieszkańcy wypędzić go mogą.—
Tak między ciągłą nadzieją i trwogą.
Przeszła noc straszna: i wszysey we dworze
Z radością nowe powitali zorze.

Tu śpiewak umilkł;—w ciągu powieści,
Częste przemiany tonu i treści,
Którym podrażał arfy swój brzmieniem,
Znużyły siłę;—z ciężkiem westchnieniem
Wsparł się na arfie.—Wzruszone damy
Pytały tkliwie: czemu tak samy
Błądzi po świecie? Nikogoż nie ma,
Coby przytulił starca-pielgrzyma?
Nie ma-li córki, którejby tkliwość
Słodziła nędzę, wsparła sędziwość?
Nie ma-li syna, coby staranny,
Zapewnił ojcu chleb nie żebrany?—
—Ach! miał był kiedyś!—żał stłumił mowę,
Ku arfie białą pochylił głowę,
I widać było łzy, co po zbladłej
Twarzy, kroplami na pierś mu spadły.
Aż uroczystym tonem boleści,
Tak ciągnął dalej rym swój powieści.

KONIEC PIEŚNI TRZECIEJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

O Tewiocie! już dziś wzdłuż twych brzegów
Nie płoną hasła bratobójczej wojny;
Pól twych nie wstrząsa cwał zbrojnych szeregów,
Echa twych gajów drzemią sen spokojny.
Prócz wierzb twych szmeru i fali mruczenia.
Nie uroczego nie maści milczenia
 Twych wzgórz, łąk, łąnów twych plennych:
Jak gdybyś nigdy, prócz fletni pasterskiej,
Nie słyszał głosu, ni trąby rycerskiej.
 Ni szczęku mieczów wojennych!

II.

Nie tak się dzieje z rzeką życia ludzi:
 Jakkolwiek nurt się jej wije,
Łzy co ją zmaci, krwi co raz ją zbrudzi,
 Zadna z niej siła nie zmyje.

Im bliżej ujścia swojej wiecznej bramy,
Tém czarniejszemi pokrywa się plamy:
Zgryzoty, żalu, lub winy.
Tyle lat temu! a dotąd tak żywo
Pomnę, jak wczoraj, tę chwilę straszliwą,
Gdy poległ syn mój jedyny!
Gdy Hannowerskich muszkietów wystrzały
W ręku Górali ich broń druzgotały,
A na ich czele walczył Dundee śmiały!... 1)—
Czemużem razem nie zginął?—
Stało się!—poległ godny ojców meztwa,
Obok z Grahamem, na polu zwycięstwa:
Obok z nim będzie téż sływał!

III.

Na pograniczu w dolinach i górach,
Wzdłuż i wszerek straszna rozbiegła się trwoga;
Po grzązkich bagnach, po zamierchłych borach.
Lud rzucał domy i krył się od wroga 2).
Na rozkaz Lady, noc całą i rano
Stada i trzody do zamku spędzano.
Niewiasty z dziećmi szły płacząc, gdy męże
Na ich obronę chwyтали oręże.
Z wałów Branksomu widziano, jak bury
Dym tu i ówdzie wzbijał się do góry,
I blask na niebie odbijał czerwony:—
Znak, że wróg krwawe rozpuścił zagony.

IV.

„Otóż i wieści o nieprzyjacielu!“ —

Krzyknął stróż; — „widzę zdaleka.

„Jak w bród przez rzekę. Watt Tinlinn z Liddel³⁾).

„Tu, znać przed wrogiem ucieka.

„Nie jest to napaść niesfornój gromady.

„Gdy jój Watt Tinlinn sam nie mógł dać rady.

„Stawiłbym szyję. że nie to wróg liczny.

„Lecz że dowodzi sam Lord nadgraniczny.“ —

V.

Ledwo domówił, ujrzano na błonia.

Watt Tinlinn pieszo szedł obok przy koniu.

Konik był mały, kosmaty i czarny.

Lecz z kęp na kępy, przez bagna i tarny.

Sadził wezwał zręczniejsz od kozy lub sarny.

Teraz niósł panią z dwojgiem małych dzieci:

Pieszko za niemi szedł służalec kmieci.

Pani rumiana, czarnobrewa, biała.

Dumna ze srebrnych błyskotek co miała ⁴⁾.

Ręką znajomych z uśmiechem witała.

Łęcznik był chudy, wysokiego wzrostu:

Stała misiurka, ukuta po prostu.

I tarcz powłoką obwiedziona skórą.

Składały całą jego broń odporną.

Na krzyż przez plecy miał sajdak szeroki,

I w ręku włócznię. od świeżój posoki

Znać zrumienioną: a zaś łuk śmiertelny,
Jeżył się w rękę połowicy dzielnej.

VI.

Tinlinn zdał sprawę o nieprzyjacielu.
„Wiliam Howard i Lord Dacre potężny ⁵⁾,
„Idą tu sami na czele dzid wielu.
„Prowadząc w pomoc Niemców huf zaciężny ⁶⁾,
„Co stał w Askerten na zimowych leżach.
„Najwywścieższy w mordach i łupieżach.
„Wczoraj przez Liddel w bród przeszli o zuroku,
„I dom mój naprzód spaliła dziec wściekła. —
„Czart niech ich za to spiecze na dnie piekła!
„Nie był spalony już przeszło od roku! —
„Przy blasku jego iskrzystej pożogi.
„Przez grzązkie bagna, przez las i rozłogi,
„Uchodząc z dziećmi, szukałem mój drogi.
„I ledwom uszedł od pogoni krwawej:
„Fergus z Grahamu i Jan z Akeszawy.
„Tuż tuż w ślad za mną ścigali noc całą.
„Cierpiałem długo, lecz jak rozedniało.
„Wzięli za swoje; — w Priest-Scrogg. na zawrócie.
„Konie ich naprzód postrzelałem w błocie.
„Potém Fergus, gdy uciekał z siodeł.
„Dopadłszy. dzidą na wylot przebodłem.
„Żal mi jest nieco biednej jego wdowy —
„Lecz już się stało! — spór nasz był nie nowy —
„Ostatnie zapust zabrał mi dwie krowy.“ —

VII.

Wkrótce stwierdziły Tinlinn a nowiny,
Co tehu z stron różnych czaty wracające;
A wszystkie głoszą, że za trzy godziny,
Stanie pod zamkiem wrogów trzy tysiące.
Lecz i zamkowi nie braknie obrońców!—
Na blask sygnałów, na wezwanie gońców,
Z gajów Ettriku, z nad Ailu brzegów,
Wzdłuż Tewiotu brzmi tentent szeregów.
Wszędzie mężowie siodłają swe konie,
Wszędzie niewiasty podają im bronie;
Bo każdy śpieszy ku odsieczy bratniej,
Bo biada temu, kto przyjdzie ostatni!
Szyderstwo dziewie i pogarda braci,
Równie lenistwo, jak tehorstwo zapłaci.—

VIII.

Przede wszystkimi, bohater klanu,
Z gór i zamierzehłych Gamesklu jarów,
Zastęp swych włóczni, Jan z Tirlestanu 7)
Przywiódł pod cieniem świetnych sztandarów.
Na tarczy jego, zaszczyt i chluba,
Lśni herb królewski:—króla Jabuba
Dar to pamiętny;—gdy nikt z wassali,
Z obozujących nad brzegiem Fali,
Nikt, oprócz niego, nie chciał iść dalej

Na wojnę, z cichych namiotów.
Odtąd na hełmie swym zamiast kity.
Nosi pęk włóczni laurem obwity:
Odtąd na tarczy napis wryty:
„Jam gotów, zawsze jam gotów!” —

IX.

Sędziwy starzec z okiem sokolém.
Zbrojno na koniu huf przywiódł bitny.
Na tarczy jego ze złotém polem.
Świecą Trzy Gwiazdy i Nów błękitny.
W krąg Oakwudu i Owru wieży,
Ciągną się jego pola przestronne:
Z po nad Bortwiku skalnych wybrzeży,
Jeżą się jego zamki obronne.
Tam, w lesistego głębiach parowu,
Rażąc powietrze echem swych ryków,
Pasa się trzody—nie jego chowu,
Lecz łup to wzięty z wrogów Anglików.—
Wódz napastniczy! jego zabawa:
Ranna potyczka, nocna wyprawa!
Ani go wdzięki Róży Yarrowu.
Zdołały z młodu wstrzymać od boju:
Ani wiek syty prac i obłowu,
Mógł mu dać uczuć słodycz pokoju.
Choć z pod szyszaku włos świeci biały,
Jak śnieg na skalnym szczycie Benwenu,
Sam pięciu synów, na polu chwały.
Uczy przykładem:—a gdzież tak śmiały,
Gdzie tak potężny, jak Lord z Hardenu ⁸⁾?

X.

Skottów z Eskdału lud wojowniczy,
Z gór Todshaw-hillu przybieżał społem:
I mężny Hedschaw, wódz nadstrażniczy,
I chyży Whistlade, zwany sokołem.
Leez któż wyliczy wszystkich, co śmieli,
Od Yarrow-Klejgu, do Czester-Glenu,
Od Hindhaw-Sweru, do Wudhouseslie,
Szli, mając hasłem: „błoi Bellendenu?“⁹⁾
I nigdy lepszych włóczni i mieczy,
I nigdy śmielszych serc i prawicy,
Ni ku napaści, ni ku odsieczy,
Nie było widać na téj granicy.—
I serce Lady wzniosło się w pychę,
Patrząc na dzielne konie i męże:
Tak, że rzuciwszy zaklęcia ciche,
Wolała w ziemskie ufać orężu.

Każę więc przywieść syna-dziedzica,
By wcześniej uczeń Marsowej szkoły,
Poznał przyjaciół swego rodzica,
I nawykł walczyć z nieprzyjaciółu.
..Widziałam. rzecze, jak krucze gniazda
..Zbijał strzałami z wierzchołków skały;
..Na piersiach wrogów czerwona gwiazda,
..Pewniejszym celem będzie dla strzały.
..Ty go, Whistladzie, wesprzyj twą dłonią,
..Gdzie mu dziecinne siły nie starczą:
..Ty go ucz władać ojcowską bronią,
..I w razie zasłoni ojcowską tarczą!“—

XI.

Łatwo jest zgadnąć, że świadom swój zdrady.
Karzeł nie życzył iść przed oczy Lady.
Udał więc trwogę i fochy dziecięce:
Tupał nogami, załamywał ręce,
Wrzeszczał, i jęczał, i łez lał potoki.
Aż przerażone piastunki i świadki,
Z trwogą oznajmić przybiegły do matki,
Że nań ktoś widać zle rzucił uroki.—

Lady niemilój wysłuchawszy wieści,
Spłonęła ogniem wstydu i boleści:
„Precz z nim! — krzyknęła — precz z zamku Branksomu,
„Nimby klan stał się świadkiem mego sromu! —
„W zamku Bukleju, nad brzegiem Ranglbornu,
„Tam niech nikezemnik żyje po klasztoru! —
„Ty, Watt Tinlinnie, bądź mu przewodnikiem,
„Ni się daj wzruszyć prośbami ni krzykiem! —
„Bóg mię snać skarał w surowości swojej.
„Że się nikezemnik narodził z krwi mojej.“

XII.

Stokroć Watt Tinlinn przeklinał swą dołę.
Gdy przyszło na koń brać wściekłe pachole.
Posadził jednak; — lecz koń przerażony,
Czując na sobie szatańskie straszidło,
Rżał, parskął, wierzgał, leciał jak szalony,
Nie nie pomogły ni bież ni wędzidło.

Aż gdy przez pole przemknąwszy w zawody,
Trafił pod lasem na żywy źródło wody.
Pierzchnęły czary;—i paż w oka mgnieniu,
Zmienił się w potwór, jak obraz w marzeniu.
Zeskoczył z siodła, i kręcąc ramiony,
Wrzasnął: „stracony! stracony! stracony!”
Lecz jak bądź szybko uciekał po brzegu,
Strzała Tinlina dościgła go w biegu,
I aż po pióra zagrzeźła we grzbiecie.—
Nie mógł on umrzeć: lecz żyjąc na świecie,
Czuł ból po ludzku;—więc bieżąc po niwie,
Na czém świat stoi wrzeszczał przeraźliwie.
Łucznik, jak gdyby rażony od gromu,
Gnał wstecz co siły do zamku Branksomu.

XIII.

I już był stanął na wierzchołku góry.
Zkąd widać u stóp i rzekę i mury,
Gdy nagle z głębi lesistych rozłogów.
Usłyszał hasła zbliżania się wrogów:
Dźwięk kobz, piszczałek, i wojennych rogów,
Zmieszany z bębnów łoskotem, i czasem
Ze rżeniem koni i ludzi hałasem.
I wnet nad niższe zarośle wzniesione,
Powiały z wiatrem chorągwie czerwone;
I widać było, gdzie gąszcz rzedniejąca,
Jak broń i zbroje błyskały od słońca.

XIV.

Przednia straż naprzód, na rączych koniach.

Rozpierzchłym szykiem hasa po błoniach,

Sledząc zasadzek i wrogów:

Za nią Kendalsey dzielni łucznicy,

Cali w zieleni, z łukiem w prawicy,

Mierzą krok z taktem swych rogów.

Tuż po za nimi, rzędem jak ściana.

We zbrojach Dakra jazda dobrana,

Szła z krzyżowemi sztandary:

Co niegdyś z Akry zdobytej szaniców.

Wionęły grozą w hordy pohańców.

Męztwem w rycerzy swój wiary.

Zbroje na piersiach krzyżem znaczone.

Na krzyż przez piersi szarfy czerwone.

Twarz za kratami przyłbicy:

A przed ich szykiem, gronem minstrele.

Z kobzami w ręku, grają na czele:

„Lord Dacre, stróż naszej granicy!- *)

XV.

Po za angielską jazdą i piechotą.

Szedł Niemców hufiec zacieźny:

Konrad z Wolfsteinu, zuchwały i męzny.

Krew ich frymarczył za złoto.

*) Słowa pieśni narodowej szkockiej.

Tłuszcza bez prawa, bez kraju i domu,
Niedbała o nic, niekarna nikomu,
Gwoli piérwszemu, co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wroga lub braci ¹⁰⁾.
Broni ich téż inna, niż noszą Anglicy:
W górę z ramienia tkwi rura rusznicy;
Z bawolój skóry marszczone kaftany,
Ściąga w pół ciała pas klamrą spinany;
Z lewego boku, zwieszona z pod pachy,
Wisi u szarfy ładownica z blachy;
Prawe kolano jest nagie, ażeby
Łatwiej na mury iść w razie potrzeby;
A wszyscy razem, w zwartym idąc szyku,
Śpiewali pieśni w swym twardym języku.

XVI.

Lecz zgiełk się wzmaga — i głośniej, i śmielój.
Brzmiały trąby, surmy, i kobzy minstreli,
Gdy na kraj pola, okutą we zbroje,
Lord Howard z lasu wywiódł jazdę swoją:
Straż tylną w szyku, lecz piérwszą na boje! —
Nie jeden młody ochotnik bez trwogi.
Szedł z nią, by złote zasłużyć ostrogi.
I na ognistym hareując rumaku.
Godłem swój damy wstrząsał na szyszaku.
Szli dwaj za dwóma, aż nad lasu brzegiem,
Długim, podwójnym stanęli szeregiem,
I „Święty Jerzy za Anglią!“ wkoło
Okrzyk z ust wszystkich rozległ się wesoło.

XVII.

Oczy Anglików, jak strzały, łakomie
Utkwiły wszystkie w warownym Branksomie,
Co tak już blisko, że słuch przenikliwy
Dosłysz y każde brząknięcie ciężkiy.—
Na wałach wkoło jeżą się błyszczące,
Ostrza halabard i włóczni tysiące;
Na wieżach stoją mosiężne haubice,
Gotowe ciskać grom i błyskawice;
Słupem z nadbramnych baszt, dym i popioły
Wieją z pod kotłów smażącej się smoły:
Deszcz to ognisty na nieprzyjacioły!
A od czerwonych promieni ogniska,
Śród kłębow dymu stał krwawo połyska.
Anglicy patrzają;—wtém most się odwala,
I z bram wyjeżdża rycerz, w którym zdala
Poznali wszyscy, starca Seneszała.

XVIII.

W pełnej byli zbroi, prócz hełmu, a biała
Broda poważnie na pierś mu spływała.
Nieugięty wiekiem, prosto siedział w łęku:
Wodze rumaka w lewym ściąga rękę,
I coraz bodźcem łechtając po bokach,
Zmusza go zwolna iść w ciągłych podskokach.
Na znak rozejmu, w prawicy nad głową
Trzymał do góry gałązkę wierzbową;

A za nim giermek, w bawolim kirysie,
Niósł rękawicę zwieszoną na spisie ¹¹⁾. —
Skoro się zbliżył, wnet Angielscy wodze,
Lord Dacre i Howard, by spotkać na drodze,
Wyszli na czoło wojsk swoich, ciekawi.
Co im ów goniec z Branksomu objawi.

XIX.

„Lordowie!“ — starzec rzekł — „Lady z Branksomu,
„Pyta was przez mię: przez i przeciw komu,
„Gwałcąc przymierze, co wiąże dwa kraje.
„Wiedziecie Niemców najemnicze zgraje,
„Kendalskie łuki i Gilslandzkie włócznie? —
„Lady wam radzi cofnąć się niezwłocznie;
„A jeśli dobra nie pomoże rada.
„Przez usta moje to wam zapowiada:
„Że niechaj tylko tłum łupu łakomy,
„Spali nam w polu choć jedno zdźbło słomy;
„Niech tylko hałas lub szczyk broni waszój,
„Jedną jaskółkę z wież naszych wystraszy:
„Jako Bóg żywy! na zbojeckiej bandzie.
„Ogniem i mieczem pomścim w Kumberlandzie!“ —

XX.

Dacre z gniewu ledwo dosłuchać go zdołał.
Lecz spokojniejszy Lord Howard zawołał:
„Cny Seneszalu! prosz twój pani samój,
„Niech raczy zstąpić do zewnętrznej bramy,

„Tam jój przez usta Herolda powiemy,
„Z czémeśmy przyszli, i z czém wrócić chcemy.“—

Seneszał wrócił, i wnet z Lady samą,
Stanął na murze, nad zewnętrzną bramą;
A wkoło klanu przedniejsi wodzowie,
Chciwi usłyszeć co Herold opowie.—

W barwach Howarda, zbliżył się przez pole,
Wiodąc za rękę nadobne pachole. —
O! widok matce straszniejszy od gromu!
Poznała syna, dziedzica Branksomu!—
Herold ją grzecznym witając ukłonem,
Wskazał na dziecię, i rzekł śmiałym tonem.

XXI.

„Lord Daere i Howard, przeciw pięknej damie,
„Z boleścią serca muszą zbroić ramię;
„Ale im dłużej znosić nie przystoi,
„Widząc jak krewni i lennicy twoi,
„Wzdłuż granic naszych puszczając zagony,
„Lud nasz mordują i łupieżą plony,
„A ty, o pani! z ujmą czei imienia.
„Zbójcom w swym zamku udzielasz schronienia.
„Żądają zatém, by im był wydany
„Rycerz. Wiljame Delorainem zwany,
„Na słuszną karę, jaka się domierza
„Na gwałcicielach wspólnego przymierza.
„Niedawno bowiem, jak o tém wie każdy,
„Złupił Stapleton na czele swój jazdy,

„I depcąc Bozkie i rycerskie prawa.
„Sam zabił brata Ryszarda Musgrawa.
„Gdy więc, jak widać, kobiécie i wdowie
„Trudno powściągnąć to złe: Milordowie,
„Chcą, abyś w pomoc, w zamku twego progi,
„Przyjęła dwieście angielskiej załogi.
„Inaczéj, szturmem wziąwszy jego wały,
„Pługiem zaorzą te miejsca, gdzie stały:
„A syn twój, pani, w prostych paziów rzędzie,
„Na dwór Londyński odesłany będzie.“ —

XXII.

Umilkł—lecz chłopiec lejąc łzy dziecięce.
W górę ku matce wznosił drobne swe ręce,
I po imieniu zwał wiernych lenników.
By go wyrwali z przemocy Anglików.—
Serce się Lady ścisnęło boleścią.
I oko matki zaszło łzą niewieścią.
Bystro po wodzach spójrzała wokoło:
Każdy stał smutny, opuściwszy czoło.
A więc zamknąwszy na dnie mężkiej duszy,
Żal swój, co łkaniem chciał ulżyć katuszy,
Nieporuszona na pozór i śmiała.
Wyniosłym głosem tę odpowiedź dała.

XXIII.

„Idź, powiedz panom twym, co tak wspaniali
„Wojnę niewiastom i dzieciom wydali:

„Ze się Deloraine, cel ich nienawiści,
„Albo przysięgą z zarzutów oczyści ¹²⁾,
„Lub na sąd Boski, zgodnie z ludzkim prawem,
„Stanie sam na sam do walki z Musgrawem. —
„Ze krwi i z męstwa Deloraine, z pierwszymi
„Równać się może lordami waszymi:
„Z ręki Duglasa wziął rycerstwa znamię.
„Gdy krew angielska wzbierała w Ankrامية ¹³⁾:
„I sam Dacre, gdyby nie rączość sokola
„Konia. co wtedy unosił go z pola.
„Dacre samby widział, czém w dniu tym bez trwogi
„Deloraine złote okupił ostrogi. —
„Co do młodego dziedzica Branksonu:
„Bóg niech go strzeże! — lecz ja w jego domu,
„Ja, póki żyję, nie dopuszczę sromu.
„By przyjaciela wydać w ręce wrogów.
„Lub wrogom naszym dać wstęp do mych progów! —
„Idź więc i powiedz dumnym twoim panom.
„Ze gdy się dobrym nie cofną sposobem.
„Trąby wnet nasze zabrzmia śmierć ich klanom.
„A ten nasz przekop stanie się ich grobem.” —

XXIV.

Rzekła, i z dumą spojrziała dokoła. —
Tirlestanowi gniew iskrzy się z czola.
Walter z Hardenu zatrąbił — i razem
Cały gmach nagle zabrzączał żelazem.
Z wież sto chorągwi rozwiło się w górze.
Tysiące mieczów błysnęło na murze.

I okrzyk w niebo wzbił się nakształt gromu:
„Święta Maryo! za Lorda Branksomu!“ —
Hasło angielskie ozwało się echem:
Jazda w tok włócznie złożyła z pośpiechem.
Łucznicy z trzaskiem ciężkiw napięli,
Zabrzmiały trąby i kobzy minstreli
Pieśń, hasło szturm i mordów:
Wtém—nim ostatni znak dano do boju,
Ujrzano gońca:—w kurzawie i znoju
Przypadł, i mówi do Lordów.

XXV.

„Przebóg, Lordowie! o! biada wam, biada!
„Pochód wasz wrogom odkryła snąć zdrada.
„Co tu czynicie pod temi murami,
„Twierdza przed wami, a wojna za wami?—
„W nieprzyjaciołach już się radość nieci,
„Że lew angielski dał się złowić w sieci.
„Z gór Ruberslawu, pod dzielnym Duglasem.
„Równina włóczni pokryła się lasem;
„Nieprzeliczony tłum Lorda z Maxwelu,
„Tył wam zabiera od brzegów Liddelu.
„Z Dżedwudu *), Esku, i Tewiotdalu,
„Angus zastępy prowadzi;
„Z całego Mersu, i z niw Lauderdalu.
„Hom ochotników gromadzi.

*) Jedwood.

„Ja jestem Anglik, wygnaniec z méj ziemi,
„Ale Anglicy są braćmi mojemu:
„Ciche schronienie mam śród Liddesdału,
„Lecz klęsk ojczyzny nie zniosę bez żalu;
„Co tchu więc stało pędziłem tu w nocy,
„By wam oznajmić o wrogów przemocy.“—

XXVI.

— „Niech przyjdą — krzyknął Dacre — „na zgubę
[swoje!

„Znamię to ojca mego i moje.
„Co niegdys godłem zwycięzkiój nadziei
„Wiało z wiatrami na brzegach Judei.
„Wnet z wież Branksomskich wzdymając się groźno,
„Uragae będzie z przybyłych za późno!—
„Łuczniczcy! naprzód!—zdwojcie krok i meztwo!
„Kto Anglik, za mną!—śmierć albo zwycięztwo!“—

XXVII.

— „Stój!— rzekł mu Howard — „przyjm radę przyjaźni,
„Ani sądz, proszę, że mówię z bojaźni;
„Bo i któż widział, by kiedy Lew Biały *)
„Zadrsał przed wrogiem, lub zszedł z pola chwały?—
„Ale tak na szwank stawić kwiat rycerstwa,
„Naprzeciw siłom całego królestwa:

*) Herb Howardów.

„Chcieć w trzy tysiące zbić dziesięć tysięcy:
„Czyn taki byłby szaleństwem, nie więcej.
„Przetoż me zdanie jest przyjąć układy,
„Nim wieść odsieczy wzmoże duch osady.
„Mus gra w swe spory niech kończy orężem:
„Jeśli zwycięży, my przezeń zwyciężem;
„Gdy się zaś szczęście odwróci od niego,
„Będzie to strata—lecz tylko jednego.
„Zresztą spokojnie, bez szkody i sromu,
„Jakośmy przyszli, wrócimy do domu.“—

XXVIII.

Nie w smak Dakrowi szły takie wyrazy,
Wstrzymał się jednak, i zmienił rozkazy.
Ale już odtąd, dawni przyjaciele
Nie stali razem na wojsk swoich czele;
I mówią ludzie, że ten powód gniewu
Był potem źródłem bratniej krwi rozlewu.

XXIX.

Herold na nowo zbliżył się pod wały,
I dźwięki trąby znów wodzów przyzwały.
Herold z obrzędem rycerskiego prawa,
Czynił wyzwanie w imieniu Musgrawa;
U stóp ich zbrojną rękawicę złożył,
I w takich słowach rzecz swoją wyłożył:

„Gdy Musgraw palnę zwycięstwa odbierze,
„W zakładzie u nas zostanie lord młody;
„A za doznane gwałty i łupieże,
„Klan wasz nam wróci ubytki i szkody.
„Jeśliż Deloraine Musgrawa pokona,
„Puścimy wolno dziedzica Branksomu:
„A w każdym razie, ta i owa strona,
„Nie szkodząc drugiej, ani uszkodzona,
„Lud swój wojenny rozpuści do domu.“ —

XXX.

Nikt z wodzów blizkich posiłków nie świadom.
Každy więc w sercu rad był tym układom.
I próżno Lady dwuznacznemi słowy
Chciała przewłóczyć lub zerwać umowy:
Bojąc się wydać z wiedzą tajnych rzeczy,
I sztuki wyższej nad rozum człowieczy,
Przez którą miała wieść pewnej odsieczy:
Przystąpiła w końcu, że nazajutrz rano,
W polu szrankami plac oznaczyć miano.
Gdzie z Delorainem Musgraw przed wieczorem,
Stoczą bój pieszo, z szablą i toporem.

XXXI.

Wiém, że niejedni minstrele bajali.
Iż się bój taki, we zbrojach ze stali.
W szrankach odbywać zwykł konno:
Z kopią w toku, w całym pędzie koni.
I z mieczem w zapas, gdyby włócznie w dłoni
Prysły o tarczę ochronną.

Lecz mistrz mój w pieśniach — on lepiej to wiedział ¹⁴
I jak wam mówię, tak mnie opowiedział
Wszystkie tej walki obrędy;
(On, co tak prawa rycerskie Duglasów ¹⁵),
I tak znał dzieje najdawniejszych czasów,
Jakby sam zawsze był wszędy!
To też nie ścierpiał, by żart czy zuchwałość,
Fałsz pieśniom jego lub niedoskonałość
Zarzucać śmiały przed światem;
I gdy raz wspólnie spełniali kielichy,
Za taki zarzut, w gniewie swojej pychy,
Wszczął spór z Reullem współbratem.
Nad Tewiotem, w samotnej ustroni,
Spokojne echa zbudził szczęk ich broni,
I Reull poległ w złą chwilę.
Mistrz mój, gdy ostygł gniew co go zaślepił,
Polany łzami krzew głogu zaszczeplił
Na przeciwnika mogile.

XXXII.

Mamże wspominać pod jak krwawym ciosem
Legł sam, mistrz pieśni, z ubielonym włosom,
Jak osądzili go ludzie? —
Próżno głos jeden współziomków boleści,
I Ousenamskich dziewię płacz niewieści,
Błagały za nim w Dzedwudzie.
Umarł! — uczniowie jego po jednemu.
Płacząc tu po nim, już poszli ku niemu:

Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płacę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszysz.
Zajrzanych nieraz pieśni towarzyszy:—
Bo zawiść moja zgasła razem z niemi.
A żal mi tylko został na téj ziemi.

Umilkł—i znowu łza błysła w oku,
Którą wnet skrycie otarł na boku.
Lecz księżna ucuć przenikła skrytość:
I na wpół szczerze, na wpół przez litość,
Ona i damy, co go słuchały.
Jedna przed drugą pieśń uwielbiały.
Księżna się zdała dziwem przejęta.
Że tyle rzeczy wie i pamięta.
O rodach, co już dawno wymarły.
O czynach, co się w dziejach zatarły;
O zbrojnych zamkach, gdzie las dziś wzrasta,
Albo o lasach, gdzie teraz miasta:
O zapomnianych tylu zwyczajach.
I tylu mężach, w obu tych krajach,
Co je na własnych dźwigali siłach,
A tyle wieków śpią już w mogiłach,
Że już od wieków, zwodnicza chwala
Imion ich nawet pozapomniała.
I na skroń młodszych dała czcicieli.
Wieniec, za który krew swą przeleli.
Nie jestże dziwną pieśń, co tak budzi
Z grobu przeszłości, czasy i ludzi?—

Wieszsz się uśmiał:— bo gdzież pochwała
W nehu poety próżno zabrzmiała?
Ról prostó-duszny! cel ich i pycha,
Czyjś krótki uśmiech, czyjaś łza cicha!
Temu z nich każdy, zapal młodzieńca,
Temu swe męskie siły poświęca;
I gdy wiek nawet oziębi ducha,
Jeszcze pochwała iskrę rozdmucha.
I wyobraźnia, jak zgonu bliska
Lampa, raz jeszcze kołem zabłyska.

Wieszsz się uśmiał—i tak z uśmiechem
Śpiewał, wtórując cichém strón echem.

KONIEC PIEŚNI CZWARTÉJ.

PIESN PIĄTA.

I.

Nie zwijcie płonném marzeniem minstrela.
Jeśli wam powie, że po zgonie wieszczą
Natura płacze swojego ezciciela,
I żal swój po nim widomie obwieszczą.
Że mroczne lasy i skaliste góry,
Z głębi swych pieczar wnoszą jęk ponury;
Że w kir obłoków stroją się niebiosy;
Że kwiaty nad nim sączą łzy swój rosy;
Że wiatr po lubyh gajach jego wzdycha,
A szelest liści wtóruje mu zeicha:
Albo że woda wezbrana w strumieniach,
Jak gdyby lkała. brzęczy po kamieniach.

II.

Nie by w istocie, po śmierci człowieczój
Smucić się mogły nieżyjące rzeczy:

Leez ze wiatr, woda, las, przepaść i góra,
Niebo i ziemia, i cała natura,
Są echem żalu tych, co zapomniani
Na ziemi, w pieśniach żyli jeszcze dla niej,
A z śmiercią Barda, ich pamięć u ludzi
Kona raz drugi, i już się nie wzbudzi. —

Tkliwój dziewicy cień, która boleje
Że czystych uczuć jej zaginę dzieje,
Na grób śpiewaka, i z kwiatów ich wonie,
I świeżą rosę westchnieniem owionie,
Duch wojownika, widząc kres swój chwały,
Którą rozumiał że wieki cześć miały,
Ze wstydu w czarnych zawiwszy się chmurach,
Jęczy z wiatrami po lasach i górach.
Feudalny mocarz, poznając jak lieha,
Jak marna była potęga i pycha,
Dla której kraje zamieniał w pustynie,
A której z Bardem ślad nawet zaginie:
Wyje z wściekłości po przepaściach ziemi,
I wody w źródłach wzdyma łzami swemi.
A wszyscy w Barda lutni oniemiałej,
Płaczą swój własnej pamięci i chwały.

III.

Ledwo co hasło cofniono bojowe,
I obie strony stwierdziły umowę.
Gdy z wież Branksomu, z Tewiotu brzegów,
Ujrzano przednią straż nowych szeregów.
Kurz tumanami kłębił się po błoni,
I słychać było głuchy tentent koni:

Ostrza sztandarów i włóczni tysiąca.
Jak gwiazdy w górze błyskały od słońca:
A rozwinięte chorągwie znaczyły,
Gdzie który z wodzów. i jakie wiódł siły.

IV.

Cóż nada klany zwać po imieniu,
Z jakich szły grodów, gór. albo lasów?
Dość, że na przedniej straży znamieniu
Jaśniało Krwa we Serce Duglasów ¹⁾:
Że w środku Siedem Lane z Wedderburny ²⁾.
Dosiadło siedmiu orłów-dzianetów:
Że odwodowy hufiec poczwórny,
Wiódł Swinton, pogrom Plantagenetów! ³⁾—
Lecz któż wyliczy wszystkich rycerzy,
Imie ich klanu, godło sztandaru:
Których z niw Mersu, z Twidu wybrzeży,
Wiódł młody Hepburn, i Hom z Dunbaru ⁴⁾?—
Tłum różno-barwny szedł różnym szykiem.
Aż z gór ujrzawszy wieże Branksonu,
Zatrząsał powietrze jednym okrzykiem:
„Hom! Hom! za Brankson! naprzód Lord Homu!“—

V.

Z zamku tłum gońców, giermków i rycerzy,
Na dzielnych koniach, w godowej odzieży,
Czwałem przebiega równinę:

Klanom za pomoc dziękować uprzejmie,
Wodzom oznajmić o zaszłym rozejmie,
I ofiarować gościnę.—

Ale chcąc ucześć wodzów przyjacielskich,
Nie zapomniano i Lordów angielskich:

Seneszał, w obrzędnym stroju,
Staął przed nimi. i w imieniu Lady,
Wzywa, by chętnym podziałem biesiady,
Stwierdzili układ pokoju.—

Lord Howard, który, jak w sztuce szermierskiej,
Nie miał równego w grzeczności rycerskiej,
Przyjął gościnność; lecz Dacre ku ochocie
Nie skory, wołał pozostać w namiocie.

VII.

Terazbyś, Księżno, spytać może rada,
Jak się przeciwne dwa wojska spotkały,
Mysząc zapewne, że trud był nie lada,
Utrzymać pokój zaledwo nastaly,
Gdy wojsko z wojskiem, na téj saméj błoni,
Zawziętość w sercu, a broń mają w dłoni?—
Z mlekiem wyssana dziedziczna nienawiść,
Wzajemne krzywdy, i sąsiedzka zawiść,
Wszystko ich dzieli przez wieki;
Lecz się w téj chwili, układów świadomi,
Schodzą, witają, jak dobrzy znajomi,
Zszedłszy się w ziemi dalekiej.
Z uprzejmą twarzą, z rozjaśnioném czołem,
Wkrąg na murawie zasiadają społem,
W ufności, w zgodzie braterskiej;

Z rąk do rąk krąży napelniona fiasza,
Jeden drugiego woła i zaprasza
 Na podział uczty żołnierskiej.
Tam dwaj gdy wzajem podnieśli przyłbice.
Sąsiad sąsiada poznał o granicę,
 Śmieją się, podają dłonie;
Młodzież gra w piłkę z palantem, lub w kości ⁵⁾.
A wszędzie wrzawa i gwar weselości
 Napelnia lasy i błonie.

VII.

A jednak wiedzcie, że gdyby w téj chwili
 Trąby do boju znak dały:
Z tych samych, którzy jak bracia bawili.
Co razem z sobą igrali i pili,
 Wrogiby wzajem powstały.
Wesołe echa po nad Tewiotem,
Nagleby zbrojnym zabrzmiały łoskotem.
 I chórem jęków i krzyków;
A sztylet, który w prawicy bezbrojnej,
Pomagał krajać na uczie spokojnej,
 Sam piłby krew biesiadników. —
Nagły ten przechód od uczt do zapasów.
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów,
 Że nie był dziwny nikomu ⁶⁾.
Tą razą jednak, spokojnie i zgodnie
Przeszedł dzień cały, i słońce pogodnie
 Zaszło nad zamkiem Branksomu.

VIII.

Mrok nigdzie miłej nie przerwał zabawy:
I wkrótce słupy światłości jaskrawej,
Z sal biesiadniczych, przez okna zamkowe,
Sięgając rzeki, padły na dąbrowę.
I słychać w zamku, jak coraz weselój
Brzmi gwar biesiady i pieśni minstreli.
Którym, jak gdyby przeciągłemi echy,
Wtórują z zewnątrz obozowe śmiechy,
Żołnierskie śpiewy, lub wybuch hałasów.
Na wiwat imion: Dakrów lub Duglasów.

IX.

Ale im ciemniej, tém ciszej i ciszej
Brzmi ruch i gwary—aż całkiem ustały.
Z wałów Branksomu nic ucho nie słyszy,
Prócz szmeru rzeki, gdy pluska o skały.
I na równinie mileczenie dokoła:
Prócz że gdzie niegdzie straż hasło zawoła;
Prócz że z tchem wiatru, z dalekiego boru,
Kiedy niekiedy zabrzmie szcęk toporu:
Gdzie robotnicy. wysłani z wieczoru.
Całą noc drzewo sposobią do szranek.
By stanąć mogły na jutrzejszy ranek.

X.

Anna nie bacząc na groźny wzrok Lady,
Powstawszy wcześniej od stołu biesiady,

Odeszła do swych pokoi;
Ani widziała, ile tkliwych oczu,
I ile westchnień, tajonych w uboczu,
Szło za nią na próg podwoi.
Nie jeden bowiem sprzymierzeniec młody,
W sercu jój słodkiej pożądał nagrody,
Za wierną przyjaźń dla domu;
Nie świadom o tym, co jak w myślach dziennych,
Sam tylko teraz w jój marzeniach sennych,
Zajmował Annę z Branksomu.—
Marzenia były ciężkie i zwiłkane:
Więc uprzedzając świtanie rumiane,
Wstała, szukając im przerwy.
Z tyluset, którzy tu wczoraj zasnęli.
I z przyjacieli, i z nieprzyjacieli.
Najlepsza. wstała najpierw!

XI.

Wstała, i patrzy na dziedziniec próżny,
Który zalegał cień wieży narożnej,
I na dalekie rozłogi.
Wszystko w śnie twardym i ciszy ponurój,
Gmach i obozy:—a wtém się o mury
Odbił brzęk zbrojnej ostrogi.
Jezus Marya! sen-że to czy jawa? —
Oddech jój w ustach stłumiła obawa,
I serce w piersiach ustało.
To on! Lord Kraston! jak gdyby w swym domu,
Stąpa sam jeden w dziedzińcach Branksomu,
Stąpa spokojnie i śmiało!—

Mogłaż go duma lub ufność tak złudzić?
Gdy dość jednemu paziowi się zbudzić,
Dość by straż słowo wyrzekła :
Za wszystkie perły Królowej Maryjój.
Za wszystkie droższe od pereł, ach! łyż jój.
Śmierćby się jego nie zwlekła.

XII.

Lecz Kranston pewien był swoich zamiarów:
Karzeł albowiem nauczył go czarów,
Jak przybrać na się kształt cudzy:
I gdy przechodził przez bramę Branksomu,
Znanego wszystkim przyjaciela domu
Widział w nim strażnik i słudzy.—
Ale jakiegóż potęga uroku
Zaemi przenikłość w kochającym oku.
Przeczcucie w duszy młodzieńczej?—
Anna poznała—lecz drżąca i blada.
Nie wie co czynić;—i nim przyszła rada,
Lord Kranston u nóg jój klęczy.

XIII.

Nie raz myślałem, jaki cel prawdziwy
Mógł mieć w istocie ów karzeł złośliwy,
Gdy to ułatwiał spotkanie?—
Miłość szczęśliwa a czysta zarazem.
Nazbyt jest nieba na ziemi obrazem,
By znaleźć pomoc w szatanie.

Wpadam więc zawsze na ten domysł, czyli
Nie myślał raczej, że w uniesień chwili,

Namiętność popchnie do grzechu:

A wtedy widząc jój łzy i sromotę,

I jego rozpacz, i żal, i zgryzotę.

Miałby dość przyczyn do śmiechu. —

Lecz podle duchy pojąć nie są w stanie,

Co jest prawdziwe, szlachetne kochanie:

Drogi dar Niebios, który przed innemi

Bóg zesłał ludziom na osłodę ziemi.

Nie jest to wietrzny ogień wyobraźni,

Co póty gore, dopóki się drażni:

Nie z ziemskiej żądry swój mocy nabiera,

Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.

Lecz jest to związek ducha z duchem, który,

Spaja się tajnym ogniwem natury,

I łączy węzłem niezrywnój jedności.

Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności! —

—Ale zostawmy szczęśliwych kochanków,

A przejdźmy, gdzie się tłum kupi do szranków.

XIV.

Trąby z obozów zabrzmiały po łanach,

Wojska się ze snu porwały ochoczo:

Hufce po hufcach, i klany po klanach,

Jeden przed drugim ku szrankom się tłoczą;

Włócznie się jeżą nad głowami tłuszczy,

Jak nagie sosny w wypalonej puszczy.

A wszystkich oczy zwrócone ku drodze,

Zkąd zapaśnicy i przedniejsi wodze

Z zamku przybędą za chwilę;
A każdy tego lub owego sławi,
Wróży mu tryumf, i zakłady stawia
Na jego mężtwie i sile.

XV.

W zamku tymczasem toczyły się spory.
Walter z Hardenu i Jan z Tirlestanu.
Za Deloraina, co jeszcze był chory,
Obaj chcą bronić czei jego i klanu.
Obaj uparci:—już jeden i drugi
Liczy swe prawa, wspomina zasługi,
Już gniew zaiskrzył w ich oku;
Słowo—a z sporu przejść mogą do zwady!
Próżne jednania przyjaciół i Lady:—
Gdy wtém—o! dziwny widoku!
On sam, Deloraine, już w zbroję odziany,
Zdrów, jakby nigdy nie odebrał rany,
Wszedł—sam chce bronić swęj chwały.
Lady zdumiała nad skutkiem swych czarów,
Między wodzami znikł powód do swarów,
I trąby wyjścia znak dały.

XVI.

Lady jechała na czele orszaku.
Lord Howard pieszo szedł przy jój rumaku.
Ręką trzymając za wodze;
Z częstych uśmiechów i skinienia głowy.
Znać, że uprzejme i wdzięczne rozmowy
Wiedli nawzajem po drodze.

Lord zamiast zbroi godowe miał szaty:
Brabanckie tkania i perskie bławaty
 Zdobiły kaftan bawoli;
Na zwierznym płaszczu haft połyskał drogi,
Złoty miał łańcuch, i złote ostrogi,
 I kołpak z polskich soboli.
Miecz Toledański, formy starożytnój,
Wisiał w szkarłatnej pochwie aksamitnej,
 U pasa cudnej roboty.
Wassale widząc ten strój od przepychu,
Jeden drugiemu szeptali po cichu
 Dawniejsze Lorda zaloty.

XVII.

Tuż po za Lady, krokami wolnemi
Stąpił koń Anny;—strój długi do ziemi
 Igrał z tchem wiatrów nieśmiałych;
Twarz obwiewała przejrzysta zasłona,
Włos utrefiony spadał na ramiona,
 Ujęty wieńcem z róż białych.
Gdyby nie Duglas idący koło niej,
Cugłów utrzymać nie mogłaby w dłoni,
 Tak drżała w sobie i w ręku.
Duglas rozumiał, że blizki bój krwawy
Trwoży dziewicę: i koił obawy,
 Zlekka wstrzymując ją w łęku.
Ale prawdziwa przyczyna katuszy
Nieodgadniona została w jej duszy,

I znać ją całkiem ośwładła:
 Gdy wszedłszy ledwo na wysoki ganek,
 Pod baldachimem wzniesiony u szranek,
 Miejsce przy matce zasiadła.

XVIII.

Z boku, w obliczu obustronnych szyków,
 Stał młody Buklej, pod strażą Anglików,
 I cały w oku, z ciekawém obliczém.
 Znać, że prócz bitwy nie myślał o niczém,
 W szrankach Hom z Dakrem, na koniach, wezbroj,
 Bacznie, jak sędziom potyczki przystoi,
 Plac rozmierzają od końca do końca,
 Dzieląc korzyści powietrza i słońca.
 I z ich rozkazu woźny, przy trąb dźwięku,
 Głosi, by podczas walki zapaśników,
 Nikt wzrokiem, ręką, ani niczém w rękę,
 Nie dawał znaków, nie wydawał krzyków,
 Pod karą śmierci z prawa i zwyczajów.
 Skończył—i cichość nastąpiła dokoła;
 A Heroldowie obu wojsk i krajów
 Wyszli na środek, i każdy tak woła.

XIX.

HEROLD ANGIELSKI.

„Tu stoi Ryszard Musgraw, rycerz prawy,
 „Mąż dzielny, z zacnej, wolnej krwi szlacheckiej;

„I Deloraina, za mord brata krwawy,
„Za łupież podczas napaści zbojeckiej,
„Ogłasza zbójcą bez czei i bez sławy,
„Zdrajcą przymierza i zgody sąsiedzkiej.
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“ —

XX.

HEROLD SZKOCKI.

— „Tu stoi Wiljam Deloraine, mąż dzielny,
„Rycerz i wolny szlachcic;—i powiada:
„Ze Ryszard Musgraw jest kłamca bezczelny,
„Że żadne podłe morderstwo i zdrada
„Nie plamią jego czei nieskazitelnej;
„I niechaj potwarz na potwarce spada!
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“ —

LORD DACRE.

— „Bóg niech rozstrzyga! Do broni, rycerze!
„Trębacze! hasło!“ —

LORD HOM.

— „Bóg niech prawdy strzeże!“ —

Rzekł—i wnet echa po nad Tewiotem.
Trąb przeraźliwych i broni łoskotem
Zabrzmiały wszystkie zarazem:

Gdy się śród szranek dwaj współzawodnicy,
Z zapalem w sercu i gniewem w źrenicy,
Starli — żelazo z żelazem.

XXI.

Nie przed damami śpiewać przystoi,
Jak ostrza siekier grzeźły we zbroi.
Jak po nich krwawe płynęły strugi:
Bo siła równa i bój był długi.
Lecz gdybym śpiewał wobec rycerzy,
Mógłbym opisać wszystko najszczerzej: —
Bom i ja widział starcie puklerzy!
Bom i ja widział, jak się łamały
Włócznie o zbroje, i jak bryzgały
Krwia ludzką końskie kopyty!
A przecież nigdy nie cofnął kroku,
I nieraz ze mną wróg, oko w oku.
Zwarł się, i pierzchnął odbity.

XXII.

Stało się, stało! — hełm przeszła siekiera,
Zachwiał się, we krwi uśliznął na trawie,
Padł! — próżno jeszcze ostatek sił zbiera —
Już ci nie powstać Ryszardzie Musgrawie!
Krew pluszcze z rany: — przyskoczyli swoi,
Przecięli węzły u hełmu i zbroi,
Cheą podnieść z ziemi — daremne staranie!
Twarz coraz bledsza: — śpiesz, śpiesz kapelanie!

Niech szczerą spowiedź i serdeczną skrucha,
W drogę wieczności usposobią ducha!

XXIII.

Sługa pokoju bieży na plac bitwy,
Nad konającym odmawiać modlitwy.
Z wiatrem w pośpiechu ulata włos biały,
Nagie się stopy krwią zafarbowwały,
Gdy miejsce walki przebywał:
Ukląkł, i bacznie nastawiając ucha,
Niezrozumiałych słów spowiedzi słucha,
Którą jęk często przerywał.
Słucha—i w górze przed jego oczyma,
Godło mąk ludzkich i zbawienia trzyma,
I budzi żalność za grzechy;
Każe zapomnieć nienawiści wroga,
Uczy jak ufać w miłosierdziu Boga,
I krzepi słowem pociechy.
Umierający wznosił jeszcze powieki,
Oczy w krzyż wlepił—i zamknął na wieki.

XXIV.

Jakby wysilon spracowaniem bitwy,
Lub jakby z mnichem odmawiał modlitwy,
Zwycięzca stoi jak wryty;
Szyszaku nawet nie zdejmuje z czoła,
Głuchy na okrzyk, co brzmi dookoła,
Zimny na chwały zaszczyty.

Wtém nowe krzyki podziwu i trwogi,
Wzniosły się razem od zamkowej drogi,
 Między Szkoekimi widzami:
Tłum się rozpierzcha:—człowiek, czy widziadło?
Wpół nagi, z usty i twarzą wybladłą,
 Z rozczochranemi włosami:
Bieży—przeskoczył zagrodę—i oczy
Wpół obłąkane na około toczy...
 Cóż to jest? jawa czy sen?—
Gwar przerażenia dokoła się szerzy:
Patrzają wszyscy, nikt oczom nie wierzy:—
 To Wiljam de Deloraine!—
Lady się szybko porwała z siedzenia,
Sędziowie szranek skoczyli z strzemia,
 „Ktoś ty jest?“ razem spytali,
„Coś Deloraine wziął postać i lice,
„I w imię jego przyjął rękawicę?“—
Zwycięzca milcząc odsłonił przyłbicę—
 Lord Kranston!—milczą zdumiali.
On rzekł: „walczyłem w obronie dziecięcia!“—
I syna Lady przywiódł w jój objęcia.

XXV.

Przemogło dumę uczucie matczyne,
Całując łzami oblała dziecinę:
Bo i w śród boju, jak bądź sobą władła,
Widziano nieraz jak drżała i bladła.
Lecz na Kranstona nie zwróciła wzroku,
Choć klęcząc u stóp snąć czekał wyroku.

Długoby mówić, co za nim w téj chwili
Hom, Douglas, Howard, i drudzy mówili,
Prosząc i radząc, by wspólne niechęci
Rzucić nawzajem na wiatr niepamięci',
I by wzgląd słuszny na miłość i mężstwo,
Zjednał im łaskę i błogosławieństwo.

XXVI.

Lady spójrzała na rzekę i góry,
Przypominając ich duchów wyroczenie:
I na Kranstona wznosząc wzrok ponury:
„Bóg, nie tyś przemógł!—Niebo chce widocznie
„Wrócić nam pokój i zgodę.
„Obyź się całkiem ziścił wyrok Boży!
„Przed wolą Jego pycha się ukorzy,
„Miłość mieć będzie swobodę.“—
Rzekłszy, dłoń Anny, co jak listek drżała,
Wzięła. i w ręce Kranstona oddała:
„Oto masz twoją nagrodę!
„Bądź zawsze wierny dla mnie i dla moich,
„Jak ja być pragnę dla ciebie i twoich:
„I niech Bóg czuwa nad wami!
„Bo dzisiaj jeszcze jest wasze wesele
„A wszyscy nasi zacni przyjaciele
„Zechęą podzielić je z nami.“—

XXVII.

W drodze do zamku, Lady przez połowę
Pojęła przeszłych wypadków osnowę,

Długą z Kranstonem prowadząc rozmowę:
O jego karle, gdzie i jak go zoczył;
O bitwie, którą z Delorainem stoczył;
O księdze, którą paż zabrał mu skrycie;
I jak przez wziętych z niej nauk użycie,
Dziś go do zamku wprowadził o świecie.
Jak ukradł potem Deloraina zbroję,
W którą się Kranston przyodziął na boję,
Za brata Anny wążąc życie swoje.—
Co było więcej—ukrył w tajemnicy,
I konia zwolna zwrócił ku dziewicy.
Lady z swój sztuki nie szukała chwały,
Ani ją śmiała okazać w dzień biały;
Lecz w myśli swojej, nim minie pół nocy,
Przysięgła użyć wszelkiego sposobu,
By dać karłowi uczuć gniew swój mocy,
I księgę nazad odesłać do grobu.

XXVIII.

Na cóż się przyda powtarzać do słowa,
O czém szła tkliwa kochanków rozmowa:
Jak Niebu dzięki czynili i śluby,
Że ich tak cudem zbawiło od zguby;
Jak Anna, jeszcze bledniejąc z przestrichu,
Opowiadała, co czuła w téj chwili,
Gdy go dziś rano ujrzała w swym gmachu,
I gdy patrzyła, jak w szrankach walezyli?—
Na co odkrywać sere ich tajemnice,
Wzruszeń, uniesień, szczęścia i wesela?...

Same to kiedyś poznacie, dziewice!
Gdy i wam wasza zaświta niedziela.

XXIX.

Deloraine jeszcze pozostał śród szranek.
Ledwo go ze snu obudził poranek,
Gdy z trwogą i przerażeniem,
Zewsząd oznajmić przybiegli mu swoi,
Że się ktoś w jego postaci i zbroi,
Zjawił pod jego imieniem,
I walczył w szrankach. — Na te straszne wieści,
Deloraine z gniewu zapomniał boleści:
I tak jak leżał w chorobie,
Pędził — i wszystkich przestachu nabawił:
Mysleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie ?). —
Z razu z nowego nie rad sprzymierzeńca,
Widząc w nim jednak Anny oblubieńca,
Rękę mu podał serdecznie;
Bo jak bądź dziki, zawziętej urazy
Nie chował nigdy za rany i razy,
Byle zadane walecznie.
Nie skory nawet był do krwi rozlewu:
Chyba w potyczce, lub w zapale gniewu,
Lub mszcząc się śmierci krewnego.
I teraz właśnie, nad martwym Musgrawem,
Patrząc nań okiem wpół gniewnym, wpół łzawym.
Tak zeicha mówił do niego.

XXX.

„Toż i na ciebie, Ryszardzie Musgrawie,
„Przyszła godzina, żeś stanął przed Bogiem!
„Równieśmy sobie dokucz yli prawie,
„Tyś mnie, jam tobie był śmiertelnym wrogiem.
„Ja tobie brata, a ty mnie siostrzeńca
„Zabiłeś mieczem; i gdym wpadł w niewolę,
„Tyś tysiąc marków wziął za okup jeńca,
„I miesiąc w wieży przetrzymał na dole.
„Przysięgłem tobie nienawiść do grobu,
„Ścigałem wszędzie ogniem i żelazem.
„Ścigałbym zawsze, póki by z nas obu
„Nie poległ jeden, albo oba razem.
„Lecz już to przeszło!— odpoczywaj z Bogiem!
„Nikt szlachetniejszym nie może być wrogiem;
„Nikt śród gór waszych i naszych rozłogów,
„Nie ścigał dzielniej jeleni i wrogów!—
„Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
„Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami ⁸⁾.
„A dźwięk twój trąbki, na każdym zawrócie,
„Najśmielszym skrzydeł dodawał w odwrócie!—
„Dałbym połowę mych lasów i błoni,
„Gdybyś żył jeszcze—lub poległ z méj dłoni!“

XXXI.

Rzekł, i stał jeszcze:—aż Lord Dacre z namiotu,
Wojsku swojemu dał znak do odwrótu.—

W twarzach rycerzy tętnął smutek głęboki,
Gdy brali z ziemi towarzysza zwłoki,
I przy rozwitych nad niemi znamionach,
Na tarczy w kolej nieśli na ramionach.

Przodem minstreli słychać śpiew pogrobnny,
Z tyłu kapłani, w odzieży żałobnej,

Nócią *Requiem* i *Ave Maria*.

A dym kadzideł ku niebu się wzbija.

Po bokach jeźdźcy, krokami wolnemi,

Jadą, ostrz włóczni schyliwszy ku ziemi.—

I tak go nieśli śród swoich szeregów,

Skrós Liddesdału, do Lewenu brzegów,

I w Holm-Koltramskiej świątyni dalekiej,

Obok z przodkami złożyli na wieki.

Śpiew zmiłkł—lecz jeszcze strón dźwięk marsowy

Przedłuża, zda się, marsz pogrzebowy.

To brzmi głośniejszém, to cichszém echem,

Jakby wiał zdala z wiatru oddechem;

To się rozlega, jakby na górach.

To głuchnie, jakby w dołach i borach;

To słychać, zda się, pieśni minstreli.

To jakby cichy jęk przyjacieli:

Aż smutną nótę psalmu kapłanów.

Skończył poważném brzmieniem organów.

Gdy muzyk spoczął—księżna go bada:

Czemu, gdy arfą tak cudnie włada.

Woli kraj, w którym fanatyzm dziki

Wykłał jak zbrodnię urok muzyki ³).

I gdzie prócz tego ubóstwo ludu,
Nie ma czém godnie nagrodzić trudu;
Gdy na Południu *) każdy ochoczy
Wspiérałby mistrza arfy uroczej?—

Starzec, jakkolwiek miłą mu była
Aria, co resztę dni mu słodziła,
Nie lubił jednak, gdy jój zalety
Ceniono wyżej niż rym poety;
Mniej znosił jeszcze, gdy kto kraj inny
Kładł wyżej jego ziemi rodzinnój;
Więc dumę, którą poczuł w swém łonie.
Tak wydał w pieśni słowach i tonie.

*) W Anglii.

PIEŚŃ SZÓSTA.

I.

Jest-że gdzie człowiek, sąż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich,
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich!“
Którychby łzami nie zaszyły powieki,
Gdy wspomną o nim w pielgrzymce dalekiej?
Którychby serce nie wrzało płomieniem,
Gdy go znów własném obaczą spójrzeniem? —
O! gdy na świecie jest gdzie taki który:
Patrzcie nań, jakby na potwór natury!
I niechby błyszczał choć w mitrze książęcej,
Niechby miał w skrzyniach tysiące tysięcy:
Mimo tych blasków, tytułów, i złota,
Dział jego będzie: wżgarda za żywota,

I śmierć podwójna—gdy z ciałem pospołu,
I pamięć jego zarzucą do dołu,
Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych,
Na przykład kaźni do niego podobnych!

II.

O Kaledonjo! posępna i dzika.
Piastunko marzeń wieszcz-samotnika!
Ziemio skał mrocznych i lasów zielonych,
Przejrzystych jezior i rzek zapienionych,
Ziemio mych ojców!—jakażby potęga
Zerwać zdołała łańcuch co nas sprzęga,
Dziś, gdy odwieczne twe drzewa i skały
Jedne już tylko na ziemi zostały,
W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna.
Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
I których moją nie znudzę żałobą,
Nie zdziwię łzami,—nad sobą i tobą?

O! wy Yarrowu lesiste rozłogi!
Choćby nikt przez was nie wskazał mi drogi;
O! wy Ettriku rozłożyste gaje!
Choć już w was dzisiaj nikt mię nie poznaje;
O! Tewiocie! choć na twoim brzegu
Darń jest mi tylko łóżem do noclegu;
Nie pójdę od was, cudzej żebrać strzechy,
Cudzej pomocy, ni cudzej pociechy!
Choćbym zbłąkany zaginać miał z głodu,
Choćby krew skrzepła od nocnego chłodu:

Znajdą się przecież, co rękami swemi
Rzucają na oczy garść rodzinnéj ziemi,
W której odpocznę z przyjaciółmi memi! —

III.

Nie tak wżgardzeni, jak dziś ja, minstrele.
Przybyli zewsząd na Anny wesele;
Z blizka i z dala przybyli wezwani,
Wojny i biesiad weseli kapłani! —
Żadne się bez nich nie działy obchody:
Z godów na bitwy, i z bitew na gody,
Szli po kolei, i zmieniając nótę,
Krzepili męztwo, rzeźwili ochotę. —
Przed chwilą jeszcze na czele swych klanów,
Jątrzyli każdy gniew swych współziemianów:
A oto wspólnie wobec pary młodéj,
Sławią wdzięk cichéj miłości i zgody.
Jedni na kobzach, ci na arfach grają,
Młodszy tańczą, sędziwsi śpiewają,
Aż się ich echem mury rozlegają.

IV.

Długoby było wyliczać wam z rzędu,
Wszystkie przepychy ślubnego obrzędu:
Jak się w zamkowej zebrali kaplicy,
Damy, Rycerze, Szkoci i Anglicy;
Jakie na szatach drogie aksamity,
Atłasy, hafty, lub złotogłów lity;
Jakie na głowach pióra albo kity,

Ze strusich, czaplich, albo rajskich skrzydeł,
Pływały w górze, w mgle dymu kadzideł.
Jak po ciosowych kamieniach podłogi,
Brzęczały miecze i złote ostrogi.
Gdy czyniąc miejsce przechodzącej parze,
Każdy w ślad za nią chciał biedz przed ołtarze.
Lub jak Lord Kranston płomienne źrenice
Zatapiał z dumą w narzeczoną lice:
Lub jak jój uśmiech, rumieniec lub bladość,
Zdradzały w kolej: wstyd, bojaźń i radość! —

V.

Byli, co potem głosili, że Lady,
Zajęta wrzkomo przyborem biesiady,
W rzeczy zaś nie śmiąc stanąć przed ołtarze,
Nie była razem; — to fałsz i potwarze!
Lady się weale nie miała powodów
Obawiać świętych ni miejsce, ni obchodów.
Bo nie przez zgubną moc Magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej ¹⁾,
Wiedziała tylko sposoby, przez które
Mogła zniewalać Duchy i Naturę.
Mówię co prawda — choć zgoła nie chwale,
Że się w te rzeczy wdawała zuchwale.
Lecz że w kaplicy była — ręczę za to.

Okryta czarną aksamitną szatą,
Na głowie miała, ze strusiem pióry,
Tok aksamitny, jaskrawej purpury,

Szyty rzędami pereł, a u krajów,
Obramowany pasem gronostajów.
Na pięści sokół, w szkarłatnym kapturku,
Siedział, trzymany na jedwabnym sznurku ²⁾).

VI.

Obrzęd skończony:—gromada wesoła
Parami nazad wracała z kościoła.
W sali podłużnej, sklepionej w arkady,
Stał zastawiony stół świetnej biesiady.
Marszałek, podług wieku i godności,
Laską swą miejsca wskazywał dla gości;
Młodzi paziowie, z nożami ze stali,
Na znak krajania po rogach czekali.

Nad czaplą, gluszcem, bażantem, zórawiem,
I w samym środku wznoszącym się pawiem,
Z złożonym dziobem i odzianym w pióra ³⁾),
I nad łabędziem z Maryi jeziora ⁴⁾):
Nad głową dzika z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów ⁵⁾);
Nad żubrem, sarną, i inną zwierzyną,
Ksiądz błogosławił krzyżem i łaciną. —

Wtenczas to z gwarem i wrzawą u stołu,
Zgiełk, hałas, łoskot zabrzmiały pospołu,
Zewnątrz i wewnątrz, i z góry i z dołu!
Bo tuż przy oknach, na zewnętrznym ganku,
Trąby i kotły grzmiały wciąż bez ustanku;
Starzy wojaacy, na przekór ich echu,
Podnoszą coraz ton głosu i śmiechu:

Młodzi tém śmielsi, że nikt ich nie słucha,
Młodym dziewicom szeptają do ucha.
Sokoły w górze, pod sklepieniem gmachu,
Słyszając tę wrzawę i kracząc z przestrichu,
Brzęczą dzwonekami i skrzydłami biją,
Wtórując chartom, co skomlą i wyją.
Tymczasem Reńskie i Burgundzkie wino,
Z flasz w roztruchany potokami płyną;
Jeden drugiemu ochoty dodawa:
Wszędzie śmiech, żarty, pijatyka, wrzawa.

VII.

Karzeł Kranstona, jak żadnej zręczności
Nie miał nigdy do psoty i złości,
Widząc w tej chwili pijaną ochotę,
Rozpoczął swoją szatańską robotę.
I obiegając w krąg stołu biesiady,
To jątrzył żarty, to poduszczał zwady:
Aż wreszcie Konrad z Wolszsteinu, z natury
Skory do gniewu i zawsze ponury,
Dziś jeszcze bardziej, że mu w nocy z błonia
Skradł ktoś w obozie najlepszego konia:
Słowo za słowo, uniósł się do tyła,
Że rękawicą uderzył Hunthila,
Rycerza z dumnych Ruterfordów domu:
Na słowo karła, co mu pokryjomu
Szepnął, że Hunthil wie sprawców kradzieży.—
Hom, Douglas, Howard, i inni z rycerzy,

Skoczyli zaraz, by w piérwszym zarodzie
I koniec krwawój położyć niezgodzie.
Hunthil nie nie rzekł, lecz z twarzą surową
Zgryzł rękawicę, i potrzaskał głową ⁶).—
Miesiąc nie minął— a już jak wieść niesie,
Ciało Konrada znalezione w lesie,
Skrzepłe we własnej krwi, i już bez broni.—
Nikt nie mógł dociec, jak, z czyjój legł dłoni,
Lecz słyhać było z powieści sąsiedzkiej,
Że Hunthil odtąd miecz nosił niemiecki.

VIII.

Karzeł się bojąc, aby oko Lady
Złośliwój jego nie dostrzegło zdrady,
Wemknął się, skrycie opuściwszy salę,
Gdzie godowali giermki i wassale,
Niemniej wesoło, hucznie i wspaniale.

Watt Tinlinn grając gospodarza rolę,
Uprzejmie gości częstował przy stole.
I pił, śród gęstych i głośnych okrzyków,
Zdrowie Howarda i mężnych Anglików.
Red Roland, wzajem za gościnność domu,
Wzniósł toast Szkotów i Lady Branksomu.
A każdą razą, z wielkich dzbanów, w kolej,
Szumiało piwo, płynące jak olej.
Wszysey twierdzili, że równój biesiady
Nie było w zamku od przenosin Lady.

IX.

Karzeł poznawszy łuczника, któremu
Poprzysiągł zemstę od wczorajszej doby,
I widząc teraz że pora po temu,
Jął mu dokuczać różnemi sposoby.
A naprzód w słowach dojadł do żywego:
Mówiąc, jak Armstrong bawił żonę jego;
Jam sam z pod Solway uciekł z pola bitwy,
I gnał co siły, i trzepał modlitwy.
Potém się czając, i choć nie bez strachu
Chroniąc się ręki potężnej zamachu:
To go uszczypnął wpoiwszy paznokieć.
To oblał piwem trąciwszy pod łokieć,
To mu z pod ręki skradł talerz z posiłkiem;
Aż pod stół wręście weisnąwszy się chyłkiem,
Ostrem żelezcem, snać w jądzie zmaczaném,
Nogę mu na wskrós przebił pod kolanem:
Bo mimo leków różnego sposobu,
Ból ztąd i blizna zostały do grobu.—
Porwał się Tinlinn zgrzytając zębami,
I stół przewrócił do góry nogami.
Ściany się dzikim zatrzesły hałasem:
Każdy kłął, krzyczał—a karzeł tymczasem
Wrócił do sali, i w kąć utajony,
Mruczał: „stracony! stracony! stracony!”

X.

Lady by zabiedz wznawianiu się kłótni,
Przyzwała bardów i mistrzów na lutni.

Albert Groem, starzec, z powagą w obliczu,
Bard klanu swego, co na Pograniczu
Sam pan swój tylko, na swe hojne stoły
Brał równie szkockie jak angielskie woły¹⁾:
Powstał, i arfę trzymając na łonie,
Nócił pieśń prostą w układzie i tonie.

XI.

ALBERT GROEM.

„Była Angielka cudnej urody,
 (Gdzie Karlil błyszczy od słońca w lecie):
Czułe jój serce Szkot zyskał młody,
 Bo miłość wszystkiém rządzi na świecie.

„Jasno dzień ślubu wschodził ich oku,
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Lecz z nim ich szczęście zgasło o zmroku,
 Choć miłość wszystkiém rządzi na świecie.

„Ojciec ją darzył bogatym strojem,
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie):
Brat podał tylko czarę z napojem,
 Gniewny, że miłość rządzi na świecie.

„Brat jój zazdrościł bogactw i złota,
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Nie chciał by posag szedł w ręce Szkota,
 By miłość wszystkiém władła na świecie.

„Wypiła kroplę—i twarz jój zbladła;
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
U nóg kochanka bez życia padła,
 Jak dlań żyć tylko chciała na świecie.

„Kochanek mieczem przebił jój brata.
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wszystkim należy taka zapłata,
 Co szczerą miłość dzielą na świecie.

„Potém z rozpacz, próżen nadziei,
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wziął krzyż, i walcząc zginął w Judei.
 Żyć bez niej dłużej nie chcąc na świecie.

„O wy! co kochać umiecie szczerze,
 (Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Z westchnieniem za tych zmówcie pacierze,
 Co dla miłości giną na świecie!“ —

XII.

Gdy Albert skończył skromną pieśń swych krajów,
Powstał bard Anglik, bratniego języka,
Niegdyś z swych ballad, sonetów i lajów,
Słynny szeroko na dworze Henryka.
Tam twoję złotą arte, Fitztrawerze!
Wielbiły damy, lubili rycerze,
 I Surrey—Surrey! niestety!
Komuż jest obcą cześć tego imienia?...
Rycerz bez skazy, poeta z natchnienia,
 Kochanek z sercem poety ⁸⁾!

XIII.

Z nim razem błędząc po dalekich krajach,
Nieraz gdy gwiazdy zabłyśły na niebie,
Obaj w mirtowych lub w oliwnych gajach,
Pieśniami wzajem pocieszali siebie.
A tak był wdzięczny chór zlanych ich głosów,
Że nieraz wieśniak hiszpański lub włoski.
Brał je za echo, co płynąc z niebiosów,
Nad grobem Świętych brzmi hymn chwały Boskiej:
Choć treść obudwu ich pieśni jedyna,
Była Surreja luba, Geraldyna.

XIV.

O Fitztrawerze! któż znając twą duszę,
Wysłowić zdoła rozpacz twego serca,
Gdy przyjaciela, na śmierć i katusze
Skazał bezbożny Tudor przeniwierca?—
Gardząc tyrana łaskami i gniewem,
Głos barda mściwym odezwał się śpiewem;
I opuściwszy blask miasta i dworu,
On sam, z zielonych ogrodów Windsoru,
Szedł szukać ulgi w żalach swoich rzewnych,
W pośród Surreja przyjaciół i krewnych.
I dziś przy wodzu rodziny Howardów,
Był druhem jego, i przewodzcą bardów.

XV.

FITZTRAWER.

„Było to na Zaduszny Dzień;—serce Surreja
Drżało gwałtownie:—północ wybiły zegary.
W sercu jego z bojaźnią walczyła nadzieja:
Mistrz Kornelius, mędrzec, obiecał przez czary,
Choć go z kochanką morza dzieliły obszary,
Ukazać mu jój postać, i dać poznać razem,
Czy mu wiernie raz danój dochowuje wiary.—
Surrey ufał—lecz poszedł za mistrza rozkazem,
By wzrok i serce lubym nasycić obrazem.

XVI.

„Ciemna była komnata, osklepiona gładem,
Gdzie czarodziej rycerza wiódł z licem wybladłym.
Jedna tylko gromnica, z mistycznym wyrazem,
Na ołtarzu, okrytym kiru prześcieradłem,
Tłąc się blado przed mrocznym, wysokim zwiercia-
[dłem,
Rzuciała blask na czarne dwóch tablic marmury:
Talizmany, z tajemnym wschodniem abecadłem:
Na magiczne narzędzia, koła i figury,
Śród których z laską w ręku stanął mistrz ponury.

XVII.

„Nagle w głębi zwierciadła, jakby białe chmury,
Jak mgły wznoszą się z dołu, spływają się z boków;

Skrós nich światło, jak gwiazda spadająca z góry,
Błysło w środku—i laską skinął mistrz uroków.
We szkłe, jak z pod zasłony rozwianych obłoków,
Widać pańską komnatę:—w oknach blask księżycy,
Wpadając słupem, walczy z cną wieczornych mroków:
W głębi lampa złocistą alkową oświeca,³
Na rzędach kolumn;—resztę okrywa ciemnica.

XVIII.

„Wszystko piękne—lecz stokroć piękniejsza dziewica,
Na łożu z perskiej tkani, jakby wpół uspiona,
Duma:—na śnieżnej dłoni smutne wsparła lica,
Włos niedbale rzucony spływa na ramiona,
I na tunikę białą;—przed nią rozłożona
Księga w drogiej oprawie;—w niej zda się przyczyna
Ciężkich westchnień, co gwałtem wznoszą się z jój
[łona:—
To księga pism Surreja!—to jego jedyna,
Wiernie po nim tęskniąca, piękna Geraldina!

XIX.

„Surrey chciał biedz: — wtém obraz cofać się za-
[czynna,
Jak gdyby się zatapiał w przezrocza otchłanie,
I znowu tło zwierciadła mgła powlokła sina.—
Tak złość twoja i zawiść, bezbożny tyranie!
Zaćmiły dni Surreja!—Niebo niech ci za nie
Odplaci!—kara jego na twych synów syny,
Przeklęstwo niechaj spadnie na twe panowanie:

Za twe łoże zbroczone krwią ofiar bez winy,
Za morderstwo Surreja, i ży Geraldiny! —

XX.

Zgodne oklaski Anglików i Szkotów,
Zabrzmiały echem piorunnych łoskotów;
Bo wszystkim wspólna nienawiść Henryka,
Jako tyrana i wiary zmiennika. —

Wtém z grona bardów powstał Harold młody,
Bard Lorda Saint Clair, co bawiąc z przygody
Gościem na uczenie u barona Homu,
Z nim razem przybył na odsiecz Branksomu.

Harold się rodził, gdzie jakby w okowy,
Między Orka dzkie ujęty ostrowy,
Ocean, wiecznie burzące się wały
Pieniąc się z rykiem roztrąca o skały.
Gdzie ród Saint-Clairów, potężny przez wieki ⁹⁾,
Rozciągał berło władzy i opieki,
I gdzie dziś jeszcze sterczące na skale,
Pokonywając czas, wichry i fale,
Gruzy ich zamku jaśniejają wspaniale.
Tam Harold pnąc się na skaliste wzgórza,
Po dniach i nocach, nad brzegami morza,
Dumał, lub okiem ścigając za łodzią,
Drżał, gdy się z wzdętą łamala powodzią,
A fal i wichru wściekłość rozdasana,
Były rozkoszą wieszczego młodziana,

XXI.

I wiele wzniosłej, uroczej osnowy,
Miały dla barda te dzikie ostrowy!

Tu niegdyś w czasach zamarłych dla gminu,
Grzmieli orężem synowie Lochlinu;
Ztąd brzmiała echem wieków powtarzana,
Trąba Fingala, i pieśń Ossyana.
Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach ¹⁰⁾,
Królowie Morza, w mgły nocnej obłokach,
Sroźsi niż burza i ocean razem,
Szli szukać łupu, z ogniem i żelazem! —
Niejedna dotąd zapadła dolina
Pomni hymn Skaldów na chwałę Odina;
Niejeden w runach kurhan tajemniczy,
Spłynął krwią ofiar bałwochwaleczój dziczy;
Niejedna saga, żyjąca w podaniu,
Przewodniczyła Harolda dumaniu.
Aż napojony duchem ich powieści,
Mglistej, posepnej, cudotwornej treści,
Przybył do zamku Roslinu, gdzie wonne,
Zielone smugi, i pola przestronne,
Milszym wzrok jego czarując obrazem,
Pieśń łagodniejszą natchnęły zarazem.
Zawsze się jednak z rzewnemi jój nóty,
Łączył ton dawny ponurój tęsknoty.

XXII.

H A R O L D.

„Słuchajcie, słuchajcie! nie głośniejszej powieści
Dzieł sławnych, rycerskich minstrel:
Lecz tęsknej, jak ciche westchnienie boleści,
Której godzien jest los Rozabelli.

„Patrz, starcze sterniku! jak nieba się chmurzą!
„Patrz młoda, nadobna ty pani!—
„Przyjm w zamku nadbrzeżnym gościinę przed burzą!
„Sterniku, zwiń żagle w przystani!

„Na głębiach już fala pianami się bieli;
„W poświstach dziś wichru o świecie,
„Rybacy słyszeli, krzyk Ducha topieli,
„Co blizkie zwiastuje rozbicie.

„I nasi wieszczbiarze od wczoraj już wróżą
„Śmierć komuś w bezdennój otchłani.
„Więc, piękna dziewico! wyjdź na brzeg przed burzą!
„Sterniku, zwiń żagle w przystani!“—

— „Nie przeto, że młody Lord Lindsay w Roslinie
„Z orszakiem dziś bawi od rana:
„Lecz śpieszę, że we łzach o każdej godzinie
„Wygląda mię matka stroskana.

„Nie przeto, że jutro turnieje w Roslinie,
„I że Lindsay lubi turnieje:
„Lecz ojciec mój smaku nie będzie czuł w winie,
„Gdy nie ja mu kielich naleję.“—

I nawa szła dalej, wbrew wichru i fali,
Po ryczącój morza topieli:
Tak na nie niepomna, tak niezém niezłomna
Była młoda chęć Rozabelli.

„Nad zamkiem Roslinem dnia tego z wieczoru,
Blask dziwny wśród niebios obwodu,
Zajaśniał—jaśniejszy niż blask meteoru,
Czerwieńszy niż księżyc u wschodu.

„I pałał noc całą, nad zamkiem i skałą,
Nad głębią wąwozu i jaru;
Z okolic Drydena, i z skał Hawthornu,
Widziano jak łunę pożaru.

„I w zamku się wszystko zdawało w płomieniach,
Dziedziniec, i baszty, i wieże;
I kościół, gdzie w dawnych grobowych sklepieniach,
Śpią dawni Roslinu rycerze.

„I w środku kościoła, jak ogniem dokoła
Iskrzył ołtarz, i strop, i kolumny:
I w grobach rycerzy, blask bił od pancerzy,
Leżących we zbrojach, bez trumny ¹¹⁾.

„Pan zamku i pani, i goście zebrani,
Noc w modłach spędzili w Roslinie:
Bo rzecz to nie nowa, że jasność takowa
Śmierć wróży w Saint-Clairów rodzinie.

*

„Dwudziestu baronów z Saint-Clairów rodziny,
Śpi w grobach zamkowej kaplicy;
Lecz otchłań głębiny, i całun wód siny,
Są grobem nieszczęsnej dziewicy!

„Każdego z baronów, dźwięk pieśni i dzwonów
Prowadził do wiecznej pościeli;
Lecz świst huraganu. i ryk oceanu,
Głosił tylko zgon Roza belli!“ —

XXIII.

Piosnka Harolda tak zajęła gości,
Że nikt nie zważał niezwykłej ciemności,
Co zwolna gmachu osiadła sklepienie.
Nie zmrok to jeszcze, nie słońca zaćmienie,
Nie mgła:— a jednak tak gruba pomroka,
Że obok blizy stracili się z oka,
Że nikt swój ręki nie dojrzał u czoła.—
Cisza przestrachu obeszła dokoła,
I w sercu Lady wzbudziła się skrucha:
Poczuła przemoc silniejszego ducha!
Karzeł na ziemię padł, i przerażony
Jęczał: „znajdziony! znajdziony! znajdziony!“ —

XXIV.

A wtém skróś stropu, z piorunowym trzaskiem,
Strzał błyskawicy, gzygzakowym blaskiem,
Rozdarł ciemności;— wszystko w oka mgnieniu
Zdało się w iskrach i krwawém płomieniu.
Błysły na stole srebrzyste talerze,
Błysły na ścianach wiszące puklerze;

Wszystko co było. od góry do dołu,
Zalśniło ogniem i zgasło pospołu.
Piorun przeleciał wzdłuż po nad wszystkiemi,
I padł—gdzie karzeł, z jękami głuchemi,
Gryzł wściekle ręce, i wił się po ziemi.

Każdy, jak siedział, skamieniał z przestraczu.
Gęsty dym siarki rozszedł się po gmachu,
Blask z okien oblał doliny i wzgórze,
Łoskot się rozległ od morza do morza:
W zamku Karlilu, na wałach Berwiku,
Straż z bronią w rękę wybiegła do szyku.
Aż gdy się wreście wszystko uciszyło,
Pierzchły ciemności—lecz Karła nie było.

XXV.

Wielu słyszało głos w sali Branksomu,
Wielu. przy świetle błyskawicy gromu.
Widziało widok nie ziemskiej natury.
Głos ten straszliwy zawołał jak z góry:
„Sam tu, Gylbinie!“—a gdzie karzeł w trwodze
Jęczał, i piorun spadł nań na podłódze:
Śród kłębow dymu, wiejących po gmachu,
Jedni widzieli, jakby dłoń w zamachu,
Drudzy kraj szaty; innym się zdawało
Widzieć twarz ludzką, z długą brodą białą.
A każdy niemy, bez tehu i bez ruchu,
Drząc bił się w piersi i korzył się w duchu.
Ale nikt nie był jak Deloraine, który,
Tak śmiały niegdyś z wprawy i z natury,

Teraz, jakgdyby sam rażony gromem,
Z zjeżonym włosem, z okiem nieruchomém,
Z ustami naścież, i twarzą wybladłą,
Stał jak ten, który obaczył widziadło,
I czyj się rozum z przestachu obłąkał.
Aż zapytany, przerywanym głosem.
Słowo po słowie zaledwo wyjąkał:
Że widział starca z ubielonym włosem,
W pielgrzymim stroju, bez żadnego znaku,
I w pasie w złote godła zodyaku;
I choć nie mówił z kąd mógł sądzić o tém,
Przyśiągł, że starzec był Michałem Skottem.

XXVI.

Słuchali wszyscy blednąc z przerażenia,
Ale nikt nie śmiał przerywać milczenia.
Aż powstał z miejsca Duglas znamienity,
I bogobojnych obyczajem czasów,
Uczynił *rotum* do Świętej Brygitty,
Patronki domu i rodu Duglasów:
Że nie wracając do domu, z obozu
Wprost na pielgrzymkę pójdzie do Melrozu,
I mszę zakupi za Michała duszę.
Wnet wszyscy inni, w pokorze i skrusze,
Czyniąc znak krzyża i wstając od stołu,
Każdy z osobna, i wszyscy pospołu,
Brali na świadki swych świętych Patronów,

Że razem pieszą pielgrzymkę odprawia,
I przy odgłosie organów i dzwonów,
Obrzęd żałobny za Michała sprawia.
Lady tymczasem, z uchyleniem czoła,
Czyniąc akt wewnętrznej pokory i skruchy,
Przysięgła w imię Boga i Kościoła,
Zerwać na zawsze z czarami i duchy.

XXVII.

Mamże wam dalej śpiewać o weselu,
Co tak przerwane, po dniach ledwo wielu
Święcono znowu, z książęcym przepychem,
Tańcem, pieśniami, arfą i kielichem?—
Ja tam nie byłem, ale ci co byli,
Długo w swych pieśniach weselnego tonu,
Sławili zgodnie i błogosławili
Kwiat Tewiotu i Lorda Kranstonu.—
Właściwsze dla mnie są posępne nóty,
Które pielgrzymom brząkali minstrele.
Gdy nócąc hymny i psalmy pokuty,
Szli do Melrozu, z Duglasem na czele.

XXVIII.

Z rękami na krzyż, włosieniem odziani,
Boso, powrozem grubym przepasani,
Szli zwolna jeden za drugim.
Prócz echa psalmów, ni gwaru, ni śmiechu,
Ni słów, ni kroków, ni prawie oddechu,
Nie słyhać w rzędzie ich długim.

Rycerska śmiałość i książęca pycha

Znikły z ich czoła: a pokora cicha

Wzrok ich schyliła ku ziemi.

Szli, i nikt chwili nie wytechnął ze znoju,

Nikt źdźbła pokarmu, nikt kropli napoju

Nie dotknął usty śpiekłem.

I do kościoła, o północy głuchój,

Weszli, posępni, milezący jak duchy,

W białych kapticach, wybladli;

I przed wielkiego ołtarza stopniami,

Jeden za drugim, jak stali parami,

Twarzą na ziemię upadli.

Nad nimi dawnych znamiona rycerzy,

W grobach pod nimi proch ich ojców leży;

W lampach z ołtarza jaśnieje krzyż Zbawcy,

A w świetle jego, Święci i Wyznawcy,

Jak w blasku chwały wiekuistój, biali,

W ściennych framugach nieruchomi stali.

XXIX.

A wtém z ubocza, naprzeciw ołtarzy,

Z głębi dalekich, mrocznych kurytarzy,

Po dwóch, szeregiem, z klasztoru:

Przy dzwonów, dzwonek, i kadzielnic brzęku,

Z krzyżem na czele, z gromnicami w rękę,

Kapłani idą do choru.

Na białych komżach ich czarne kaptury,

Krok ledwo znaczny, ton śpiewu ponury,

Twarz światłem gromnie pobladła:
Rzekłbyś, że ciemne otwarły się groby,
I że po sobie obrządek żałoby
Same sprawują widziadła.—
Opat w tyarze, z pastorałem w dłoni,
W mgłę przezroczystej dymiących się woni,
Po ukończonych modlitwach,
Błogosławieństwem powitał rycerze:
By niezachwiani w jedności i wierze,
Niezlomni byli na bitwach!—
Równy ze świtem, śpiewaną mszą świętą
Wielki, żałobny obrzęd rozpoczęto
Za duszę Michała Skotta.
Z wieży kościelnej wciąż bito we dzwony,
Księża śpiewali msze i antyfony,
Aż echem sklepień ponuro wtórzoney
Śpiew pogrzebowy i nota:
„DIES IRAE, DIES ILLA,
„SOLVET SAECLUM IN FAVILLA,“
Zabrzmiały z dźwiękiem poważnych organów.
I gdy się godzi, świętymi ich słowy
Skończyć pieśń ziemskiej i błahój osnowy,
Te były słowa kapłanów:

XXX.

HYMN ZA UMARŁYCH.

„Straszny dzień sądu Twojego, Panie!
Gdy się otworzą grobów otechłanie,

Gdy wszelkie ciało z martwych powstanie,
Któż gniew twój wtedy wytrzyma, Panie?

„Gdy jak pargamin spalone zwoje,
Niebiosą zwiną błękity swoje,
Gdy ziemia z jękiem pęknie na dwoje:
Przy czymże grzesznik ja się ostoje?

„Lecz Tyś jest Bogiem, Ty Ojcem, Panie!
W tobiem ja złożył moje ufanie:
Ty racz nademną mieć zlitowanie,
W straszny dzień sądu Twojego, Panie!“ —

Bard skończył powieść:—lecz czyliż znowu,
Gajem Ettriku, brzegiem Yarrowu,
Poszedł. jak przedtém, pod gołém niebem
Spać, i zebrany karmić się chlebem?—
Nie!—tuż przy bramie zamku Newerku,
W gajowym cieniu dębu i świerku,
Wzniosła się barda ustron wesoła.
Skromna lepianka:—ale dokoła
Kwitł bujny sadek, grodzony głogiem,
Siedzenie z darni było przed progiem,
W środku kominek — przed którym codziennie,
Nie jeden zwykle grzał się przychodzić,
Lub gospodarza chętnej rozmowy
Słuchał, zasiadłszy w wieczór zimowy.—
Bowiem udzielać innym gospody,
Którój sam żebrać musiał był wprzód,

Była to starca rozkosz jedyna.
I nieraz wtedy kieliszek wina,
Nieraz zmieszany ze łąą wdzięczności,
Za zdrowie księżnej przepił do gości.

Tak przechodziła zima;—lecz z wiosną.
Gdy gaj brzmiał ptasząt wrzawą radośną:
Gdy smug Harhedu, Bowhillu wzgórze,
Kraśliły kwiaty, wieńczyły zboża,
A szum wód rwących lodu okowy,
Łączył się z szumem Blandro dąbrowy:
Wtenczas na pięknych brzegach Yarrowu,
Duch wieszczy w starcu ożywał znowu;
Wtedy znów śpiewał rycerskie dzieje,
Wesołe uczy, świetne turnieje,
Miłość, zabawy, łowy i bitwy.
Lub swój ojcowski żal i modlitwy.

Przechodnie stając w milczeniu głuchém,
Echa słów chciwém łowili uchem;
Starcy słuchając wspomnień przeszłości,
Rzeźwieli w sercu ogniem młodości;
Młodzi rzucając płoche zabawy,
Ssali z nich żądzę podobnej sławy;
A wszyscy zewsząd ze czią bieżeli,
W dom Ostatniego z Szkoekich Minstreli.

K O N I E C.

PRZYPISY AUTORA.



PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 8 w. 1. Ustał w Branksom gwar biesiady.

Za panowania Jakóba I króla Szkocyi, sir Wiliam Scott z Buccleuch, naczelnik klanu tegóż imienia, nabył baronią Branksom, wraz z zamkiem, położonym nad rzeką Tewio-tem, który stał się odtąd głównym siedliskiem możnej tej i potężnej w swoim czasie rodziny. Ustawiczne napaści ze strony pogranicznych Anglików i wojenny charakter panów Branksomu, używających ochoczo prawa odwetu, uczyniły zamek ten jednym z najważniejszych punktów na Pograniczu między Anglią i Szkocją, i stały się powodem do ciągłych a silnych środków ostrożności, opisanych w tekście. Następcy sir Wiliama rozszerzyli go i wzmocnili; lecz w r. 1571 królowa angielska Elżbieta, rozgniewana na rodzinę Buklejów, za kilkakrotne łupieże jej granic i za sprzyjanie królowej Maryi Sztuart, wysłała przeciw nim znaczne wojsko, które zburzyło zamek i spustoszyło baronią Brankso-mu. Sir Walter Skott, będący naówczas jej właścicielem, odbudował natychmiast zamek, który potem wdowa po nim, Małgorzata z domu Duglasów, mocnemi zewnątrz murami obwarować kazała.—Dziś zamek ten leży w ruinach, prócz czworokątnej wieży narożnej, zadziwiającej grubości swych murów.

2. Str. 11 w. 4. Rok ledwo upłynął,
Jak Lord Walter zginął.

Sir Walter Scott, nastąpił po swoim dziadu Dawidzie w r. 1492. Śmierć jego była skutkiem krwawych niezgód,

wynikłych między klanami: Skottów i Karrów, albo Kerrów. Dla zrozumienia wielu miejsc w tekście, musimy wejść w bliższe szczegóły tego wypadku.—W r. 1526, hrabia Angus, z domu Duglasów, wraz z innymi członkami tej przemożnej rodziny, korzystając z nieletności króla Jakóba V., rządził krajem jak chciał, i nikt im oprzeć się nie śmiał. Król wszakże, jakkolwiek nieletni, niecierpliwie znosił ich jarzmo, i szukał wszelkich sposobów, aby się mógł z niego wyzwolić. Napisał więc własną ręką tajemny list do lorda Buccleuch, prosząc go, aby zebrawszy krewnych swych i przyjaciół, i wszystkie jakie będzie mógł siły, pośpieszył z nimi do Melrozu, gdzie król w towarzystwie Duglasów, w powrocie z Dżedburgu do stolicy, miał się zatrzymać na nocleg, i aby go z rąk Duglasów wyzwolił. Tymczasem na powitanie króla, przybyli tamże ze swoim ludem naczelnicy liczego i potężnego klanu Karrów, lordowie: Hume, Cessford i Fernyhirst, którzy zaledwo nazajutrz oddalili się do domów, gdy ujrzano z drugiej strony nadeciągające wojsko Bukleja. Duglasowie domyślając się jego zamiarów, wywiedli przeciw niemu straż królewską i cały zbrojny swój orszak. W bliskości wzgórza Halidon-Hill, przyszło do krwawej z obu stron bitwy; zwycięstwo długo było niepewne; aż nakoniec uwiadomieni o tém przez gońca Karrowie, wrócili z drogi, i uderzywszy na tylną straż Bukleja, wojsko jego do ucieczki zmusili. Nie przestając na tém lord Cessford, puścił się w pogoń za pierzchającymi, mordując bez litości kto mu tylko wpadł w ręce; aż sam nareście, przez jednego z domowników Bukleja, włócznią zabity został. Odtąd oba te klany zaprzysięgły sobie wieczną nienawiść, która po wielekroć w następnych latach była hasłem domowych między nimi wojen. Za najgłośniejszy ich wypadek można uważać śmierć samego Sir Waltera Skotta, zabitego przez Karrów na ulicach Edynburga w r. 1552, o czém właśnie jest mowa w tekście.

3. Str. 11 w. 19. Próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy.

Pomiędzy wielu innemi środkami, jakich używano dla przywrócenia zgody między klanem Skottów i Karrów, wo-

dzowie obu zawarli między sobą układ, mocą którego obo-
wiązali się odbyć razem cztery pielgrzymki do miejsc
cudownych w Szkocyi, dla odprawienia wspólnych modłów
za dusze poległych. Środek ten atoli nie wydał pożąda-
nych owoców: gdyż wojna pomiędzy nimi wkrótce znów,
z większą jeszcze niż przedtém zaciętością wybuchła.

4. Str. 13 w. 5. Lord Kranston jój oblubieniec.
Cessfordów był pokrewieniec.

Familia Kranstonów była jedną ze znakomitszych na Po-
graniczu. Stolicą jój był zamek Crailing, nad Tewiotem.
Kranstonowie, przez pokrewieństwo z Karrami, długo byli
w wojnie z klanem Skottów, aż nakoniec około r. 1557 je-
den z nich pojął córkę Lady Branksomu, która kilku laty
przedtém trzymała w oblężeniu jego zamek i czyhała na
jego życie.

5. Str. 13 w. 12. Ojciec jój mędrzec głęboki,
Szczep możnych Bethunów domu.

Rodzina Bethunów albo Beatownów, pochodząca z Fran-
cyi, miała swe posiadłości w hrabstwie Fife, i wydała wie-
lu znakomitych ludzi: między innymi kardynała Bethune,
i dwóch arcybiskupów Glasgowskich. Z niej pochodziła
Joanna Bethune, małżonka zamordowanego Sir Waltera
Skotta, niewiasta pełna odwagi i nauki, tak, że przesądne
umysły przypisywały jój znajomość sztuki czarnoksiężkiej.

6. Str. 13 w. 22. Ni przed nim, ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było.

Podług tradycyi gminnej, cień czarnoksiężnika był nieza-
ależnym od słońca. Dawny pisarz Glycas, pisze o jednym
z nich, Symonie Magu, iż ten rozkazał swemu cieniowi, aby
zawsze tylko szedł przed nim, i przez to wzbudził mniema-
nie u ludu, iż to był duch, który mu wszędzie towarzyszy.
Jest jeszcze inne podanie w tym względzie. Podług niego,
skoro uczniowie sztuki czarnoksiężkiej uczynią w niej pe-
wne postępy, muszą przebiegać wszyscy razem przez ciem-

ną, podziemną salę, gdzie djabeł pędzi za nimi, i chwytą tego, który jest ostatnim; chyba że i ten będzie zmykał tak prędko, że wpadnie do drzwi pierwój nim go djabeł dogoni; a wtedy cień tylko jego zostaje się w rękę szatana. W takim razie ciało czarnoksiężnika nie będzie już rzucało cieniu, ci zaś, którzy tym sposobem *cień swój stracili*, uważani są zawsze za największych Magów.

7. Str. 13 w. 26. Że na jój straszne zaklęcia,
Nadziemskie drżały widziadła.

Wiara w duchy pośrednie między niebem a ziemią, mieszkające w powietrzu lub w wodzie, jest dość powszechną między ludem szkockim, który przyznaje im moc wzbudzenia wichrów, powodzi i tym podobnych fenomenów, których przyczyny pojąć i wytłómaczyć nie umie. Sądzi także, że się mieszają często do spraw ludzkich, niekiedy w celu szkodenia, niekiedy chcąc im dopomóc. Wiele tego rodzaju wypadków znajduje się w pieśniach i podaniach gminnych. Wspominam o tém, aby usprawiedliwić wprowadzoną w tekście rozmowę Duchów Rzeki i Góry.

8. Str. 18 w. 13. Zmylił najlepsze Percego ogary.

Królowie i bohaterowie Szkocyi, równie jak pograniczni rabusie, musieli nieraz uchodzić przed pogonią psów, wprawionych do tego rodzaju łowów. Robert Bruce, między innymi, wiele razy był przez nie ścigany, i raz swe ocalenie winien był tylko przytomności umysłu, z jaką rzucił się wpław do rzeki, i za pomocą wiszącej nad wodą gałęzi, wdrapał się potem na drzewo: przez co zatarł swe ślady i uszedł ścigającej pogoni. Utrzymywano, że jedynym sposobem zbicia z tropu takich ogarów, było rozlanie krwi na ich drodze, której zapach miał węż ich osłabiać. Mniemanie to kosztowało życie nie jednemu jeńcowi.

9. Str. 21 w. 7. Zkąd głośny w pieśniach zbójca prze-
[możny,
Czyhał przed laty na łup podnożny.

Mała wieżyczka na malowniczym szczycie góry Minto, zowie się dotąd *łożem Barnhilla*, i miała być siedliskiem zbójcy tego imienia, który całą okolicę postrachem napelniał.

10. Str. 22 w. 10. Halidon-Hillu obaczył wzgórze.

Halidon był starożytnym siedliskiem Karrów z Cessfordu. Pole bitwy lorda Duglasa z Buklejem, zowie się dotąd *Polem Potyczki*. Ob. notę 2.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 25 w. 1. Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny.

Starożytny i piękny klasztor Melrozu, założony był przez króla Dawida I, który z powodu swój pobożności i hojności w zakładaniu kościołów i klasztorów, uważany był za świętego. Same jego ruiny przedstawiają dziś jeszcze najpiękniejszy wzór architektury i rzeźby gotyckiej; kwiaty, liście i całe krzewy, rzniete są z taką delikatnością i dokładnością rysunku, że trudno jest pojąć, aby tak trwały kamień, z jakiego cały gmach był zbudowany, mógł być tak doskonale wyrobiony dłotem. Kościół i klasztor poświęcony był Najświętszej Maryi Pannie; księża zas należeli do zakonu Cystersów.

2. Str. 28 w. 26. A stopą glazy deptali grobowe.

Korytarze lub zewnętrzne krużganki w dawnych klasztorach szkockich służyły często za miejsce pogrzebu dla księży.

3. Str. 30 w. 12. Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu!

Jakób i Wiliam Duglasowie. Pierwszy zwyciężył Anglików i poległ sam w stanowczej bitwie pod Otterburną w r.

1388. Drugi, najwaleczniejszy rycerz w Liddesdału, żył za czasów króla Dawida II. Pamięć wielce chwalebnych czynów skaził morderstwem przyjaciela i towarzysza broni, Sir Aleksandra Ramsay, z którym ubiegał się o urząd Szezyffa w swoim hrabstwie; albowiem, gdy go król Ramsajowi powierzył, Duglas wiedziony zemstą, napadł nań, gdy w Hawiku sprawiedliwość domierzał, i zawiódłszy do swego zamku, w więzieniu głodem zamorzył. Rząd w Szkocyi był naówczas tak słaby, a raczej Duglas tak potężny, że król, nie mając siły ukarać, mianował go następcą Ramsaya. Wkrótce jednak potem Sir Wiliam zamordowany został na łąkach, przez krewnego swojego, mszczącego się, jak powiadają, za śmierć Ramsaya, który był jego przyjacielem.

4. Str. 31 w. 12. Był to grób króla szkockiego.

W kościele Melrozu znajduje się dotąd wielki marmurowy kamień, pokrywający, jak mówią, grób Aleksandra II, jednego z najdawniejszych królów Szkocyi.

5. Str. 31 w. 21. Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało
Napotkać Michała Skotta.

Michał Skott z Balwearie, żył rzeczywiście w wieku XIII. Był to człowiek wielkiej nauki, którą po większej części nabył w obcych krajach. Pisał komentarze do Arystotelesa i wiele traktatów o fizyce, z których widać, że się dużo zajmował astrologią, alchemią, fizyognomistyką i chiromaneyą, co zapewne było przyczyną, iż między współziomkami za czarnoksiężnika uchodził. Dante nawet wspomina o nim w *Boskiej Komedyi*, jako o sławnym czarnoksiężniku. Historycy szkoccy, a między innymi Lessly, mówią o nim jako o najuczeńszym w Szkocyi, w owym czasie, człowieku. W powieściach i podaniach ludu imię jego niemniej jest sławne. W południowej Szkocyi, każde dzieło, które wymagało wiele pracy, a którego początek ginie w dalekiej starożytności, przypisywane jest zwykle *Staremu Michałowi*, Wallasowi, lub djabłu. Niewiadomo z pewnością, gdzie jest pogrzebiony, jedni twierdzą, że w Holm-Koltramie, w hrabstwie Northumberland; drudzy, że w opactwie Melrozu; lecz wszyscy

zgadzają się na to, że czarnoksiężkie jego pisma i księgi pogrzebione są z nim razem, lub zachowane w klasztorze gdzie umarł; ale że nikt ich bez niebezpieczeństwa otworzyć nie może, z powodu zawartych w nich inwokacji złych duchów. Zabobonność panująca w Hiszpanii, i pozostałe tam szczątki umiejętności arabskich, czyniły ten kraj w opinii gminu ulubionym siedliskiem czarnoksiężników. W Toledo, Sewilli i Salamance były publiczne szkoły do wykładu magii, to jest nauk, uważanych za mające związek z jej tajemnicami. W tym ostatniem mieście, nauki te wykładały się w głębokiej jaskini, którą potem Izabella, żona króla Ferdynanda, zamurować kazała.

6. Str. 32 w. 3. Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły.
I wieże drżały w Paryżu.

Z pomiędzy wielu tradycyi o Michale Skocie, umieszczamy tu jedną, jako mającą związek ze słowami tekstu: „Jednego razu poruczono mu poselstwo do Francyi, w celu wyjednania u tamecznego króla załosyć uczynienia za wielokrotne rozbje morskie, przez poddanych jego domierzanę na Szkotach. Nowy poseł, zamiast przyspasabiać się jak zwykle do podróży, zamknął się w swoim gabinecie, otworzył czarnoksiężką swą księgę, i wywoławszy djabła, w postaci czarnego konia, rozkazał mu zanieść siebie do Paryża. Gdy przelatywali nad morzem, chytry djabeł zapytał go: „Co szeptają stare baby w Szkocyi, gdy się kładą do łózka?“— Mistrz mniej doświadczony odpowiedziałby może: *Pater noster* lub *Ave Maria*; co dałoby moc i prawo djabłu, rzucić go natychmiast do morza; lecz Michał krzyknął nań głosem groźnym: „A tobie co do tego? pełń co ja tobie każę!“— i czart posłuszny niósł go dalej w milczeniu. Przybywszy do Paryża, przywiązał swego konia u bramy pałacu, a sam szedł śmiało do króla i sprawił się ze swego poselstwa. Łatwo jest pojąć, że poseł przybywszy w takim *incognito*, i tak nieszanujący form dyplomatycznych, nie mógł znaleźć dobrego przyjęcia; i już król zabierał się do dania mu odmownej i pogardliwej odpowiedzi, gdy Michał prosił go jeszcze aby się wstrzymał na chwilę, aż koń jego trzy razy nogą w ziemię uderzy. Za pierwszym uderzeniem zatrzęsły się

wszystkie dzwonnice i wszystkie dzwony zadzwoniły same; za drugim, trzy największe wieże w zamku królewskim runęły; i już straszliwy rumak podnosił nogę do góry, aby raz trzeci uderzyć, gdy przestraszony król przystał na wymaganie Michała, byle się prędzej pozbyć takowego gościa. Pomimo wszakże téj mądrości i téj potęgi, Michał Skott, równie jak sławny jego poprzednik Merlin, dał się uwieść podstępom i padł ofiarą zdrady niewieściej. Żona jego, czy też kochanka, wyludziła od niego tajemnicę, iż sztuka jego zaslania go od wszystkich niebezpieczeństw, prócz jednego, jakimby dlań było spożycie bulionu, ciągniętego z mięsa nieplodnej świni, który byłby dla niego najzjadliwszą trucizną. Zdrajczyni przyrzadziła mu wkrótce wymienioną potrawę, poczem mędrzec umarł natychmiast, mając jednakże dość czasu, do skarania wprzód śmiercią niewiernej swój powierniczki.

7. Str. 32 w. 7. Co szczyt Ejldonn rozszczepał na troje,
I przez Twid rzucił most z głazu.

Jednego razu Michał Skott był w wielkim kłopotcie, z powodu djabła, któremu musiał zawsze dawać coś do czynienia. Kazał mu więc zbudować most kamienny na Twidzie, co djabeł w ciągu jednej nocy uskutecznił. Następnie zalecił mu, aby podzielił na trzy części górę Ejldon, jeden tylko naówczas mającą wierzchołek. Djabeł za noc wszystko wykonał. Nakoniec czarnoksiężnik zwyciężył niezmordowanego szatana, rozkazawszy mu wic liny kotwiczne z piasku morskiego.

8. Str. 34 w. 9. Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
Którój blask duchy odraża.

Jan Posta, i inni autorowie piszący o magii naturalnej, mówią wiele o wiecznych lampach, znajdujących jakoby w grobowcu Tulioli, córki Cicerona. Lampy te miały być dziełem czarów, a knot ich był z amiantu.

9. Str. 36 w. 26. Że martwy zmarszczył się srogo.

Wiljam Deloraine mógłby znaleźć potwierdzenie swego zdania, w gminnych powieściach hiszpańskich, o sławnym Cydzie Rodrygu. Gdy ciało tego wielkiego bohatera leżało na paradnych marach, obok wielkiego ołtarza, w katedralnym kościele w Toledo, gdzie było wystawione przez lat dziesięć; żyd jeden przez urągawisko chciał je pociągnąć za brodę. Lecz zaledwie dotknął ręką zwisających wąsów, gdy umarły porwał się nagle, i miecz z pochwy do połowy wy dobył. Żyd przelękniony uciekł, i skutkiem zbawienne-go przestרחu, przyjął potem wiarę chrześcijańską.

10. Str. 41 w. 14. Karzeł barona trzymał jego konia.

Pomysł karła Lorda Kranstona, wzięty jest z podania gminnego o niejakim Gilpinie Horner, który się był zjawiał i przebywał czas jakiś pomiędzy góralami na pograniczu Szkockiém. Osoba mieszkająca w pobliżu tamtych okolic, udzieliła mi w tym względzie następujące szczegóły: „Dwóch ludzi późnym wieczorem prowadziło konie na paszę, gdy usłyszeli nagle w zaroślach głos wykrzykujący te tylko słowa: „stracony! stracony! stracony!“ — „Co tam u diabła straconego?“—zawołał jeden z wieśniaków—i w téjże chwili ukazała się przed nimi istota, mająca wprawdzie kształt ludzki, ale zadziwiającej małości, i potworna w postawie i rysach. Obaj wieśniacy uciekali jak mogli, tém bardziej, że straszdyło pędziło tuż za nimi; gdy zaś jeden z nich upadł, przeskoczyło przez niego, i prędkiej od ich samych stanęło i rozgościło się w ich domu. Jak długo potem w nim przebywało, z pewnością powiedzieć nie mogę, ale jednakże dość długo. Było to stworzenie ze krwi i z ciała, bo jadło, piło, i nadewszystko lubiło mleko, nie żałując go sobie, skoro mogło dostać. Charakter jego zdawał się być złośliwy, albowiem lubiło bić i męczyć dzieci. Oburzony tém dnia jednego gospodarz, tak je mocno uderzył pałką po głowie, iż wszyscy myśleli, że zabił. Karzeł upadł, ale wnet powstał na nogi, mówiąc tylko: „No, gospodarzu, ależ bijesz mocno!“—Jednego wieczora, gdy kobiety zajęte były dojeniem krów, a karzeł bawił się tamże z dziećmi, usły-

szano moeny i przenikliwy głos, wołający trzy razy: „Gilpin Horner!“ Karzeł porwał się i zawołał: „To ja! trzeba iść! — i to wyrzekłszy zniknął, i już go odtąd nie widziano więcej.“—Z innego poważnego źródła wiem jeszcze tę okoliczność, że karzeł oprócz wyrazu: *stracony*, który ciągle powtarzał, wspominał też czasem imię jakiegoś Piotra Bertram, i usłyszawszy ów głos wołający, poznał, że to był głos jego. Zdaje się więc, że ten Piotr Bertram, musiał to być zły duchjaki lub czarnoksiężnik, od którego uciekło to szatańskie karłę. Dodać tu jeszcze muszę, że nie znam żadnej gminnej legendy, któraby tak szeroko znaną była w Szkocyi, i którejby tyle nawet bardzo znakomitych i oświeconych osób wierzyło.

11. Str. 43 w. 26. Obraz z kaplicą spalili.

25 czerwca 1557, Lady Joanna Bethune, wdowa po Lordzie Buccleuch, i wielka liezba Skottów, krewnych jej męża, oskarżonych zostało o czyhanie na życie Lorda Kramptona, znajdującego się na pielgrzymce w kościele *N. Panny Dolin*, i o spalenie tegoż kościoła, gdy ich nadzieja zdobyczy zawiodła.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 56 w. 18. Trafiał na rozdział, jak omamie oko.

Ta czarnoksiężka moe ukazywania się w cudzej postaci, lub ukazywania innego całkiem pozoru rzeeczy, zowie się w dziejach zabobonności szkockiej, technicznym wyrazem *glamour*. O skutkach jej, oprócz gminnych, mamy nawet historyczne podania. I tak, Froissart opowiada, że w r. 1381, gdy książę Anjou oblegał jakiś zamek na brzegach Neapolitańskich, czarnoksiężnik jeden obiecał mu, iż za pomocą swjej sztuki tak potrafi zgęścić w jedném miejscu powietrze, iż oblężonym będzie się zdawało widzieć most wzniesiony nad morzem, którym był otoczony zamek, i że

tém przestraszeni oddadzą się na łaskę. Książę zapytał go, czy rzeczywiście ludzie jego będą mogli wejść po tym moście do zamku? — „Za to nie mogę ręczyć, odpowiedział czarnoksiężnik, albowiem skoroby się z nich który w czasie przechodzenia przeżegnał, most runąłby natychmiast i wszyscyby potonęli razem w morzu.“ — Książę zaczął się śmiać, a młodzi rycerze wołali: „Nie przeżegnamy się żaden, rozkaż, książę, niech czyni swe sztuki!“ — Lecz w tójże chwili hrabia Sabaudyi wszedł do namiotu księcia, i ujrzawszy czarnoksiężnika rzekł: iż on to właśnie podał ten zamek w ręce Karola de la Paix, terażniejszego jego władzey, złudziwszy przez czary oczy broniącej go załogi królowej Neapolitańskiej, której się zdało, że morze wzbiera nad wały. Czarnoksiężnik przyznał się do czynu i dodał: że on to właśnie jest tym człowiekiem, którego się Karol de la Paix najwięcej obawia. — „Bardzo wierzę, odpowiedział hr. Sabaudyi, ale się postaramy o to, by się nie miał czego obawiać. Nie chcę, aby kiedyś mówiono, że tacy jak my rycerze używali zaklęć i czarów dla pokonania swoich nieprzyjaciół.“ — I obróciwszy się do sług swoich, rozkazał ściąć go natychmiast.

2. Str. 51. w. 16. — — — — : le raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej.

Doktor Henryk More, w liście swym, służącym za wstęp do *Solucismus triumphatus* Glanvilla, wspomina o podobnym fenomenie: „Pamiętam, mówi on, jednego wiejskiego szlachcica, prawego człowieka i biegłego matematyka, ale przytém pewnego rodzaju filozofa, niedowiarka i materialistę. Dysputowaliśmy często o nieśmiertelności duszy, lecz wszystkie moje dowodzenia roztrącały się o nieprzeparty jego sceptycyzm. Powiadał mi, iż aby się o tём przekonać, potrzebuje koniecznie dotykanaego dowodu, i że szukając go właśnie, a nie bojąc się niczego, próbował nieraz wszelkich wiadomych mu czarnoksiężzkich obrzędów i zaklęć, aby wywołać ducha lub djabła, ale że wszystko zawsze napróżno. Razu jednego wszakże, wieczorem, gdy był sam i wcale o tём nie myślał, uczuł się nagle uderzonym po ramieniu tak mocno, że się aż echo uderzenia po pokoju rozległo.

Pierwsza myśl jego była, iż to jest tajemniczy znak jakiegoś ducha, który pragnie z nim mówić; wybiegł więc zaraz na dziedziniec domu, a ztamtąd na samotne pole, ale nie nigdzie nie ujrawszy, przekonał siebie nakoniec, iż to był tylko skutek uderzenia krwi lub wyobraźni. A wszakże, pomimo wszelkich usiłowań rozumu, okoliczność ta większe, niż sam chciał przyznać, uczyniła na nim wrażenie. Gdy bowiem razu jednego dysputując z nim jak zwykle, i widząc bezskuteczność wszystkich moich umysłowych dowodów, przypomniałem mu owo uderzenie i rzekłem: „bądź pewny, iż ten, co cię natenczas po ramieniu uderzył, pierwszy cię kiedyś spotka w tamtym świecie,“—postrzegłem, że się twarz jego zmieniła nagle i zbladła; zamknął, i nigdy już więcej w tym przedmiocie nie mówił ze mną aż do śmierci, która nie długo potem nastąpiła.“

Niech mi się téż godzi dodać w tém miejscu opowiadanie, które słyszałem w Dreźnie, z ust jednego z najuczestniejszych i najgodniejszych ludzi tego kraju, p. Herdera, dyrektora zakładów górniczych w królestwie Saskiem, a syna sławnego poety i filozofa tegóż imienia. W r. 1836, księżniczka Augusta Saska, w towarzystwie p. Herdera i przybocznej swój Damy Dworu, udała się w gości do zamku Fischbach, w Szlązku, własności księcia Wilhelma Pruskiego, gdzie tenże wtedy z małżonką swoją przebywał. Pierwszego wieczora po przybyciu, p. Herder, który oprócz głębokiej znajomości nauk przyrodzonych, posiadał rzadki talent czytania poezyi, proszony był przez dostojnych gospodarzy, aby im co z dzieł swego ojca przeczytał. Towarzystwo zasiadło około podłużnego stołu w sali bibliotecznej; p. Herder czytał przekład romansów hiszpańskich o Cydzie. Nagle przerwał w pół wiersza, i obracając się szybko po za siebie, zapytał: „Co?“—uczuł bowiem, że go ktoś mocno klapnął po ramieniu i szepnął coś do ucha, czego zrozumieć nie mógł. Zdziwił się nie pomalą nie widząc obok siebie nikogo; gdy zaś usprawiedliwiając powód przerwy, opowiedział co mu się zdało, gospodarze rzucili na się znaczące spojrzenie, co gdy księżniczka Augusta dostrzegła,

ulegając jej naleganiom ksiązę Wilhelm, opowiedział odwieczną o tym zamku legendę, podług której, dawny posiadacz jego, jakiś rycerz niemieckiego zakonu, błędzi w nim dotąd, pokutując za grzechy; i lubo rzadko bardzo ukazuje się w postaci mglistej, szarej kolumny, mającej wszakże kształt ludzki: obecność swą objawia zwykle i często uderzając po ramieniu mieszkańców, a szczególnie nowoprzybyłych. Legenda ta znajomą jest powszechnie w zamku i okolicy, ale p. Herder nie o niej przedtém nie słyszał. Dama dworu, towarzysząca także naówczas księżniczce Augustcie, w której właśnie domu i obecności p. Herder to opowiadał, a za prawdę słów której, najsumienniejszym mógłbym zaręczyć, dodała po wyjściu jego, iż tegoż wieczora, ukląkszy do modlitwy, aczula się uderzoną po ramieniu tak mocno, iż ból nawet trwał kilka sekund, lecz że przypisując to zwróconej na ten przedmiot wyobraźni, nie mówiła o tém przed nikim i nawet nie zawołała służącej, która już była odeszła.

(Przyp. *Hómara*).

3. Str. 52 w. 22. Bieg żywej wody zniszczył nagle czary.

Jest to artykułem wiary w przesądach gminnych, że biegać woda niszczy moc i skutki wszelkich czarodziejstw. Brompton opowiada, że pewni czarnoksiężnicy Irlandzcy, umieli mocą swęj sztuki zamieniać kamienie lub kawałki gliny w tuczone wieprze, które przedawali na targach: lecz że te zamieniały się znowu w kamienie lub glinę, skoro wiozący je nowi nabywcy, przejechali przez jakibądź strumyk.

4. Str. 57 w. 24. Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie.

Sir Kenelm Digby, w rozprawie o sympatycznych sposobach leczenia, czytanej w Montpellier na zgromadzeniu wielu znakomitszej szlachty i ludzi uczonych, i ogłoszonej drukiem w r. 1658, opowiada sam o sobie następujące zdarzenie:

„P. Jakób Howell, znakomity pisarz szkocki, chcąc rozbroić dwóch pojedynkujących z sobą dobrych swoich zna-

jomych, ujął ręką przez nieostrożność klingę palasza jednego z nich, który wyrwijając go w zapale gniewu, przeciął mu aż do kości wszystkie nerwy i mięśnie dłoni. Widok krwi wspólnego przyjaciela uśmierzył zapęd walczących, którzy obwiązawszy mu na przód ranę podwiązką, przyzwali biegłego chirurga; gdy zaś wieść o tém doszła do dworu, Król, (Jakób VI), który bardzo szacował P. Howell, przysłał mu jednego ze swoich przybocznych lekarzy. Przypadek chciał, że mieszkałem w bliskości P. Howell, który we cztery czy w pięć dni potem, przyszedł do mnie prosząc, abym ranę jego obejrzał i ażebym go leczył sympatycznym sposobem, którego używałem zwykle w podobnych razach, o czém właśnie ktos p. Howell powiedział. Chirurg i lekarz królewski obawiali się gangreny; jakóż chory cierpiał nadzwyczajne boleści, a zwłaszcza palenie w ranie. Uprządziłem go, że mój sposób leczenia, bez dotknięcia i nawet bez oglądania rany, może mu się zdawać przesadnym; gdy jednak przystał na wszystko, żądałem naprzód aby mi dał jaką płachtę, która by była zbroczona krwią jego. Posłał więc do domu po ową podwiązkę, która mu w pierwszej chwili za bandaż służyła. Następnie kazałem podać miednicę wody, jakbym chciał tylko umywać w niej ręce; tymczasem wsypałem do niej potajemnie proszek wiotriolu, który miałem na pogotowiu, i skoro się rozpuścił, zanurzyłem w wodzie podwiązkę, zwracając przytém oczy na p. Howell, który w drugim końcu pokoju, nie patrząc weale na mnie, z kilku obecnymi rozmawiał. Po chwili postrzegłem, że się wstrząsł nagle, jak gdyby jaką dziwną poczuł w sobie odmianę. Zapytałem go więc o przyczynę tego poruszenia. „Nie wiem co się stało, odpowiedział, ale nie czuję żadnej boleści; zdaje mi się owszem, iż jakiś chłód przyjemny rozlewa się po ranie, jakby ją mokną obłożono płachtą; i wszelkie palenie ustało.“ — „Ponieważ leki moje tak dobrze zaczynają skutkować, rzekłem, wracaj pan teraz do domu, odrzuć precz wszystkie bandaże, i dobrze oczyściwszy ranę, nie wystawiaj jej na zbytne zimno ani gorąco. Wieść o tém co się stało, doniosła się natychmiast do księcia Buckingham i od niego do króla. Obadwaj chcieli widzieć szczegóły mego działania. Dla usunięcia więc wszelkiej wątpliwości, tegóż dnia po południu,

wydobyłem z wody podwiązkę i rozwiesiłem ją przed wielkim ogniem. Ale zaledwo zaczęła nieco wysychać, gdy wpadł służący p. Howell, wołając, iż pan jego cierpi znowu straszne boleści, a mianowicie palenie, jakby rękę trzymał nad żarem. Rozkazałem mu powiedzieć swemu panu, ażeby był spokojny, gdyż to wkrótce ustanie. Jakóż włożyłem znowu podwiązkę do wody, i nim służący wrócił do p. Howell, ten już nie czuł żadnego bólu, i po dniach kilku całkiem uzdrowiony został.“—Sir Kenelm Digby, na żądanie króla, odkrył mu swą tajemnicę; sam zaś nauczył się jój od pewnego karmelitańskiego braciszka, który ją przywiózł z Persyi czy z Armenii, gdzie przez lat kilka przebywał.

5. Str. 60 w. 5. Na Penchrist-Penie sygnał się pali,
Trzy na Priesthawie---

Różna liczba i względne położenie tych ogniów, tworzących linię telegraficzną między granicą a Elymburgiem, miały swoje pewne znaczenie. I tak, akt parlamentu z r. 1455 stanowi: aby zapalono jeden sygnał, gdy się Anglicy do granicy zbliżają; dwa, gdy już przejdą granicę; cztery, jeden przy drugim, gdy są w wielkiej liczbie. Cały kraj na to hasło powinien był stawać do broni; i dosyć było kilku godzin czasu, do zebrania kilkotysięcznego oddziału jazdy.

6. Str. 61 w. 19. Na piramidach grobowych kurhanów.

Na szczytach wielu gór szkockich dotąd widzieć się daje pewny gatunek piramid, ułożonych z kamieni, i będących jak się zdaje, pomnikami dawnych grobowców.

7. Str. 61 w. 27. Aż zawołały ccha Lothianów.

Trzy hrabstwa w Szkocyi noszą to imię: Lothian średni czyli Edyburg, Lothian wschodni czyli Linlithgow, i Lothian zachodni czyli Haddingtown.

8. Str. 62 w. 22. Po czarny haracz.

Tak nazywano opłatę składaną pogranicznym rabusiom, aby się od ich łupieży i okrucieństwa zastonić.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 65 w. 9. A na ich czele walczył Dundee śmiały.

Margrabia Dundee (z rodziny Grahamów), wódz powstania w sprawie wygnanych Sztuartów, poległ w bitwie pod Killikrankie.—(Jest on ten sam, który pod imieniem Claverhousa gra jedną z głównych ról w romansie Waltera Skotta, p. t. *Purytanie Szkoccy*).

2. Str. 65 w. 4. Po grząskich bagnach, po zamierzchłych
[borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga.

Za zbliżeniem się Anglików, pograniczni mieszkańcy Szkoccy uciekali zwykle do lasów lub na niedostępne bagna; często też kryli się w podziemnych lochach i jaskiniach, u wejścia których Anglicy zapalali niekiedy wielkie stosy liści suchych i słomy, i tym sposobem ukrytych wewnątrz albo dusili dymem, jak lisów, albo przymuszali do wyjścia.

3. Str. 66 w. 3. Watt Tinlinn z Liddelu.

W dzieciństwie mojem slyszalem wiele powieści o tym człowieku, odznaczajacym się meztwem, dowcipem i trafnem strzelaniem z luku. Był on z professyi szewcem, i slygą rodziny Buklejów; ale wołał włócznię niż szydło. Razu jednego, angielski kapitan okręgowy, w hrabstwie Kumberlandzkim, wpadł do Szkocyi i znaczne poczynił grabieże. Uwiadomiony o tém Watt Tinlinn, dognął go, odebrał lupy i sam uciekającego kapitana ścigał przez bagna pełne niebezpiecznych trzęsawie. Anglik jednak wydobyl się z nich na brzeg twardy, i widząc grzęznącego w nich jeszcze Tinlinna, który zmuszony zsiąść z konia, za cugle go w rękę prowadził; zawołał nań z urąganiem: „Szewcze! patrz, czy dobrze przyszyłeś podeszwy; bo ci woda najdzie do bótów!”

Za odpowiedź Tinlinu wypuścił strzałę, która trafiwszy w nogę kapitana, przeszła ją na wskrós i przybiła do siodła. „Widzisz, zawołał natenczas, że umiem ówiekować skórę, choć podeszew dobrze nie szyję.“

4. Str. 66. w 17. Dumna ze srebrnych błyskotek co miała.

Mieszkańcy Pogranicza mało przywiązywali wartości i upodobania do sprzętów domowych, które w każdej chwili zabrane lub spalone być mogły. Głównym przedmiotem ich zbytku były różne błyskotki i stroje, ktoromi lubili zdo bić swe żony.

5. Str. 67 w. 4. Wiliam Howard, i lord Dacre potężny.

Wiliam Lord Howard, trzeci syn księcia Tomasza Norfolk, dziedzic zamku Nawortu i wielkiej baronii tegoż imienia w hrabstwie Kumberland, żył rzeczywiście w początkach panowania królowej Elżbiety. Surowość, z jaką poskramiał pogranicznych rabusiów, będąc sam Lordem Nadgranicznym ze strony Anglii, uczyniła go sławnym w tradycjach gminnych. — Znane powszechnie imię Dacre, winno jest swój początek mężtnu jednego z jej rodziny, który podczas krucjaty Ryszarda Lwie Serce, odznaczył się przy oblężeniu Akry, czyli Ptolemaidy. Jedną z gałęzi tej rodziny posiadała nadgraniczną baronią Gilsland, a naczelnicy jej mieli tytuł: „Strażników zachodniej granicy.“

6. Str. 67 w. 6. Prowadząc z sobą Niemców huf zacieźny.

W wojnach ze Szkocją, Henryk VIII i jego następcy, używali powszechnie i w znacznej liczbie wojsk najemniczych, z cudzoziemców, a zwłaszcza z Niemców złożonych. Na obrazach bitew dawniej szkoły Flamandzkiej widzieć można, iż Niemieccy i Niderlandzey żołnierze, idąc do szturm, prawe kolano mieli zawsze nagie, by się łatwiej wdzierać na mury.

7. Str. 68 w. 7. — — — — — Jan z Tirlestanu.

Sir Jan Skott z Tirlestanu żył za panowania Jakóba V., i gdy król zgromadziwszy przedniejszych baronów Szkockich i ich wassallów, oświadczył chęć wtargnięcia do Anglii, czemu wszyscy byli przeciwni: on jeden tylko okazał się gotowym pójść za rozkazem królewskim; i tej to właśnie wierności winien był wspomniane w tekście nagrody.

8. Str. 69 w. 26. Gdzież tak potężny jak Lord z Hardenu?

Sir Walter Skott z Hardenu, żyjący za panowania królowej Maryi, był jednym z najslawniejszych dowódców pogranicznych rabusiów szkockich, a pieśni i podania gminne zachowały mnóstwo szczegółów jego życia. Obronny jego zamek, położony był nad samym brzegiem mrocznego przepaścistego wąwozu, w którego najskrytszych zakątkach pasły się trzody i przechowywały się wszelkiego rodzaju łupy, na nieprzyjaciółach zdobyte. Gdy zaś była i żywności zabrakło, para ostróg, podana do stołu na zakrytym półmisku, była znakiem dla goszczących w zamku wassalów, że trzeba było się na konia i nowych szukać zdobywcy. Sir Walter żonaty był z krewną swoją Maryą Skott, której dobroć i wdzięki, łagodzą nieraz surowy męża charakter, zjednały jej w pieśniach imię „Róży Yarrowu.“

9. Str. 70 w. 8. Szli mając hasłem i błoi Belle denu.“

Posiadłość tego imienia, położona u źródła Bortwiku, była środkowym punktem ogólnych posiadłości klanu Skottów, i stąd często służyła za miejsce i za hasło zebrania.

20. Str. 74 w. 4. Gwoli pierwszemu co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wrogów lub braci.

Najemni awanturnicy, których hrabia Cambridge prowadził w pomoc królowi portugalskiemu przeciw Hiszpanom w r. 1380, podnieśli bunt z powodu nieregularnej wypłaty żołdu. Na jednym zgromadzeniu ich wodzów, Sir Jan Soltier, syn naturalny Edwarda, zwanego księciem Czarnym,

w te słowa przemówił do nich: „Rada moja jest: dobrze się naprzód porozumieć nawzajem; podnieść sztandar św. Jerzego i ogłosić się przyjaciółmi Boga, a nieprzyjaciółmi całego świata; bo gdy się nas nie będą obawiać, skończy się na tém, że nie będziemy nic mieli.“— Rada ta podobała się powszechnie, i sam dawca jój wodzem okrzyknięty został.

11. Str. 76 w. 2. Niósł rękawicę zwieszoną na spisie.

Rękawica na ostrzu włóczni była godłem dobrej wiary u dawnych mieszkańców Pogranicza, i gdy kto z nich nie dotrzymał słowa, podnoszono ten znak na pierwszym zgromadzeniu ogólném, i ogłaszano go „człowiekiem bez czei i wiary.“ Obrzęd ten był straszny dla wszystkich.

12. Str. 79 w. 2. Że się Deloraine cel ich nienawiści
Albo przysięga z zarzutów oczyści, i t. d.

W razach wątpliwych zwyczaję pograniczne dozwalały oskarżonym usprawiedliwiać się przysięgą, albo z orężem w ręku niewinności swojej dowodzić.

12. Str. 79 w. 8. Gdy krew angielska wzbierała w Ankra-
[mie.

Sławna w dziejach Szkocko-Angielskich bitwa pod Ankram-Moor, zaszła w r. 1545. Anglicy, dowodzeni przez Sir Ralfa Evers i Sir Briana Latoun, zostali zupełnie pobici, i obaj ich wodzowie polegli. Wodzami Szkotów byli: Archibald Douglas, Lord Buccleuch i Lesly.

11. Str. 84 w. 1. Lecz mistrz mój w pieśniach, etc.

Mowa tu jest o jednym z najslawniejszych pogranicznych minstrelu, nazwiskiem Wilie, który zabiwszy w pojedynku swojego współtowarzysza, został skazany na śmierć i ścięty w Dzedwudzie (Jedwood). Śmierć jego jest przedmiotem wielu pieśni i ballad gminnych.

15. Str. 84 w. 4. On co tak prawa rycerskie Duglasów.

W r. 1468 Wiliam, hrabia Duglas, zwoławszy na ogólne zgromadzenie Lordów, właścicieli i starszych wiekiem mieszkańców Pogranicza, obowiązał ich pod przysięgą, zebrać i ułożyć porządkiem na piśmie, wszystkie ustawy, przepisy i urządzenia wojenne, wydane niegdyś przez dwóch przodków swoich Duglasów; poczem sam, wraz ze wszystkimi, ściśle ich zachowanie poprzysiągł.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 89 w. 8. Jasnialo *Krwawe Serce* Duglasów.

Sławny w dziejach Szkocyi król Robert Bruce, polecił umierając jednemu z Duglasów, aby wyjęte zeń serce zaniósł do Ziemi Świętej, dokąd zawsze za życia tęskniło. I odtąd to „krwawe serce“ stało się herbem tego domu.

2. Str. 89 w. 9. Siedem Lane z Wedderburny.

Tak zwano siedmiu synów Sir Dawida Home z Wedderburny, który zginął pod Flodden.

3. Str. 89 w. 12. Swinton, pogrom Plantagenetów.

Familia Swintonów jest jedną z najdawniejszych w Szkocyi. W bitwie pod Baugé, we Francyi, książę Klarencyi, brat Henryka V. z domu Plantagenetów, został pokonany i zrzucony z konia przez Sir Jana Swinton.

4. Str. 89 w. 16. Wiódl młody *Hepburn* i *Home* z *Dunbaru*.

Familia Home (czyt. *Hom*), pochodząca od hrabiów z Dunbaru, była zawsze w ścisłych stosunkach z domem Hepburnów, których ostatnim szczepem był zbyt głośny w dziejach szkockich Bottwell, mąż królowej Maryi Sztuart.

5. Str. 91 w. 7. Młodzież gra w piłkę z palantem.

Gra w piłkę była niegdyś ulubioną w Szkocyi, a zwłaszcza na Pograniczu, i nieraz stawała się powodem zawziętych kłótni i nawet krwi rozlewu.

6. Str. 91 w. 23. Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów
Że nie był dziwny nikomu.

Pomimo ciągłych prawie wojen i często popełnianych okrucieństw, mieszkańcy Pogranicza, nakształt przednich straży dwóch wojsk nieprzyjacielskich, skorzy byli do wzajemnych stosunków i zabaw, tak dalece, że z różnych postanowień rządu w obu krajach, zabraniających handlu i związków małżeńskich między angielskimi i szkockimi mieszkańcami granic, wnosić można, iż się lękano nawet, iżby te stosunki zanadto się ściśle nie stały.

7. Str. 105 w. 14. Myśleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie.

Jednym z najdziwaczniejszych przesądów między ludem Szkockim, było mniemanie, że się widziało żyjącego człowieka ukazywać może niekiedy; co przypisywano sprawie szatana, i uważano za bardzo złą wróżbę.

8. Str. 106 w. 18. Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami.

Złupiony przez pogranicznych rabusiów, puszczał się zwykle w pogoń z przyjaciółmi swemi i psami, których osobnym sposobem do tego rodzaju łowów wprawiano; i jeśli psy szły ciągle po tropie, miał nawet prawo przekroczyć za niemi granicę; przywilej, który był nieraz krwi rozlania powodem.

9. Str. 107 w. 26. Woli kraj, w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki.

Po zaprowadzeniu w Szkocyi reformy Kalwina, gorliwi jej zwolennicy, a mianowicie Purytanie, prześladowali za-

palczywie wszystkie sztuki piękne, a zwłaszcza muzykę, jako najbardziej działającą na zmysły.

PIEŚŃ SZÓSTA.

1. Str. 112 w. 18. Bo nie przez złą moc Magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej.

Opinia gminna, jakkolwiek przeciwna naucz. Kościoła, czyniła wielką różnicę między czarnoksiężnikami, czyli magami, a nekromantami, czyli czarownikami, i przechylała się stanowczo na stronę pierwszych. Rozumiano bowiem, że mają moc rozkazywać złym duchom, kiedy przeciwnie drudzy, słuchać ich tylko lub być z nimi w związku musieli.

2. Str. 113 w. 3. Na pięści sokół w szkarłatnym kapturku,
Siedział trzymany na jedwabnym sznurku.

Damy wysokiego rodu, jako też baronowie i rycerze podczas pokoju, przy wszelkich uroczystych obrzędach, mieli zwykle na pięści sokoła.

3. Str. 113 w. 14. I w samym środku wznoszącym się
[pawiem,
Złoconym dziobem i odzianym w pióra.

Paw, w wiekach rycerstwa, uważany był nie tylko jako najdelikatniejsza, lecz i jako szczególnie obrzędowa potrawa, bez której żadna większa uroczystość obejść się nie mogła. Po upieczeniu odziewano go na nowo piórami, i do pozłoczonego dziobu kładziono gąbkę napojoną palącym się wyskokiem winnym. W chwili, gdy go podawano na stół, awanturniczy rycerze, zwykli byli czynić publiczne śluby

dopełnienia jakiego czynu rycerstwa, „w obliczu Pawia i Dam.“

4. Str. 113 w. 17. I nad łabędziem z Maryi jeziora.

Na jeziorze Św. Maryi, blisko źródła rzeki Yarrowu, dają się widzieć dotąd stada dzikich łabędzi.

5. Str. 113 w. 18. Nad głową dziką z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów.

Głowa dzika należała także do obrzędowych potraw w wiekach średnich. W Szkocyi otaczano ją mnóstwem chorągiewek, mających barwy, herby lub godła gospodarza domu.

6. Str. 115 w. 4. Zgryzł rękawicę i potrząsnął głową.

Przygryźć palec swój lub rękawicę, znaczyło na Pograniczu, nie tylko pogardę, lecz i ślub nieubłaganej zemsty.

7. Str. 117 w. 4. Brał równie szkockie jak angielskie
[woły

Jan Groem lub Graham, drugi syn hrabiego Montheit, zwany powszechnie „rycerzem błyszczącego miecza“, wpadłszy w niełaskę u szkockiego dworu, usunął się z wielką częścią krewnych swych i wassulów na Pogranicze Anglii, i zajął kraj tak zwany „spornym“, to jest, do którego oba kraje prawa własności rościły. Następcy przeto jego, nie ulegając żadnemu z nich, stali się najstraszniejszymi rabusiami granic, i tak Anglią jak Szkocyą bez różnicy łupili. Kraj sporny podzielono nakoniec na dwie równe części, sądem polubownym.—Piosnka Alberta Groem (czyt. *Grene*) w tekście, jest naśladowaniem gminnéj.

8. Str. 118 w. 23. I Surrey—Surrey, niestety!

Waleczny i nieszczęśliwy Henryk Howard, hrabia Surrey, był niezaprzeczenie najdoskonalszym rycerzem swojego cza-

su. W sonetach jego znajdują się piękności godne złotych wieków poezyi. Zalety i sława jego wzbudziły podejrzanie i zawiść Henryka VIII, z domu Tudor, który go w r. 1546 ścigać kazał. — Mówią, że podczas jego podróży, sławny alchemik, Korneliusz Agrippa, pokazał mu w czarnoksiężkiem zwierciadle, pozostałą w kraju kochankę jego, Geraldinę, na której cześć swój oręż i lutnię poświęcił.

9. Str. 122 w. 15. Gdzie ród Saint-Clairów, etc.

Rodzina Saint-Clair (*Sę-Kler*) jest pochodzenia Normandzkiego; osiadłszy w Szkocyi za panowania Malkolma, została znacznie zubożoną nadaniami królów, a mianowicie Roberta Bruce. W rzędzie pierwszych jęj posiadłości była baronia Roslin, z zamkiem tegóż imienia; następnie zaś przez związek małżeński z córką hrabiego Orkney, (inaczej hr. *Orkad*), doszła do posiadania tychże wysp i tytułu, nadanego jęj przez Hakona, króla Norwegii, w r. 1379. Tytuł ten, po ustąpieniu Norwegów, potwierdzili Saint-Clairom królowie Szkoccy, ale samo hrabstwo zostało przyłączone do korony w r. 1481. — Imie Rozabella, było prawie dziedziczném imieniem niewiast w tęj rodzinie.

10. Str. 123 w. 5. Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach,
Królowie Morza, etc.

Dowódczy skandynawskich rozbojników morskich, nawiedzający często brzegi Szkocyi, równie jak całą naówczas Europę, przybierali szumny tytuł „Królów Morza“ (*Soekoningr*). okręty zaś ich w nadętym stylu Skaldów, (kapłanów i bardów Skandynawskich) zwane były „Smokami Oceanu.“ *Odin*, było imie najwyższego Boga w mitologii Skandynawskiej. — *Runy*: tajemnicze znaki albo litery (rodzaj hieroglifów), używane w napisach i religijnych obrzędach Skandynawskich. — *Saga*, od imienia tak zwanego Skandynawskiej bogini historii, zwała się każda tradycya historyczna w tych krajach.

11. Str. 125 w. 16. I w grobach rycerzy. blask bił od
[pancerzy,
Leżących we zbrojach bez trumny,

Piękna kaplica w Roslinie, gdzie były groby familijne Saint-Clairów, założone w r. 1446, do dziś dnia jeszcze się utrzymuje. Dawniejsi baronowie grzebani byli bez trumien, lecz ich odzianych we zbroje, kładziono wprost na kamiennej podłodze w grobach, pod kaplicą będących. Tradycya gwinna zapewnia, że ile razy kto z tej rodziny miał umrzeć, cała ta kaplica i zamek jaśniały jakimś tajemniczym blaskiem i zdawały się być jak w ogniu.

K O N I E C .

BALLADY I BAŚNIE.

ZAMEK KADYOW.

BALLADA

z WALTERA SKOTTA.

Poswiecona przez Autora

PANNIE HAMILTON.

Gdy Hamiltonów możne pradziady
Żyły, panując na Kadyowie;
Brzmiały na zamku głośne biesiady,
Szli na wyścigi głośni bardowie.

W dziedzińcach jego grzmiały gonitwy,
Rycerska młodzież biegła z okoła;
Po salach jego, zwycięzców z bitwy
Wabiła w taniec piękność wesoła.

Dziś Kadyowu gmach w gruzach leży.
Grobowy pomnik dawnego stanu;
Wiatr tylko szumi w ruinach wieży,
I szemrze spodem fala Ewanu.

Ty jednak każesz, o jego dawnych
Dniach wspaniałości, uczt i wesela,
O jego panach wielkich i sławnych,
Śpiewać dawnego tonem minstrela.

Bo dusza twoja lubi na chwilę
Wzgardzić światowym zgiełkiem i pychą,
I na przeszłości świętej mogile
Dumać, i ze czią łzę wylać cichą.

A więc, dziewico! niech się tak stanie!
Wzrok twój zapalem wieszczą przenika:
Na twoich brzegach, kręty E wanie!
Przeszłość powraca, obecność znika.

Patrz! kędy gruzów zwalone stopy
Przed chwilą trawa i mech krył szary:
Ostrza się wieżyc wznoszą w niebiosy,
Na nich herbowe wieją sztandary.

Patrz! gdzie skaliste rzeki nadbrzeże,
Pietrząc się dziko, cień ściele bury,
Powstają rzędem baszty i wieże.
I czarnym pasem ciągną się mury!—

Noc jest;— w przejrzystych rzeki kryształach
Drży postać zamku, tło ich mrocząca;
Strażnicze ognie, płonąc po wałach,
Rumienią bladą jasność miesiąca.

Miesiąc zachodzi—zorze się płoni—
Wszystko się w zamku rusza i budzi;
Słychać w dziedzińcach parskanie koni,
Skomlenie psiarni, i gwary ludzi.

Padł most zwodowy—brzęczą łańcuchy.
Brzmia głucho deski—tłoczy się zgraja;
A każdy jeździec pełen otuchy,
Bodźcem rumaka zapał podwaja.

Przede wszystkimi sam wódz na przedzie,
W myśliwskim stroju hasa na koniu:
A koń, na którym Hamilton jedzie,
Wiatry wyścigać umie po błoniu.

Sarna się kryje w najgęstsze łomy,
Jeleń w najdalsze ucieka bory,
Bo już straszliwy, głos im znajomy,
Głos trąb napełnił lasy i góry.

Lecz coż to? słyszysz! wzdłuż rzeki brzegu,
W gęstwinie dębów wiekami żywych,
Trzask drzew i głuchy ryk się rozlega,
Głośniej od wrzasku rogów myśliwych.

Najpotężniejszy z mocarzów lasu,
Czarno-brodaty żubr Kaledonu ¹⁾,
Wypadł jak piorun. śród psów hałasu,
Pędzi. gdzie stoi wódz Hamiltonu.

Chyląc ku ziemi czoło straszliwe,
Krwiań zaszcze oczy ciska na wrogów.
Ryezy, i jeząc rozlotłą grzywę,
Szarpie darninę ostrzem swych rogów.

Dobrze wymierzył wódz niezmiészany,
Śród piersi byka grot utkwiał cały.
Runął, krwawemi rzygając piany,
A trąby wkoło tryumf zagrały.—

Już jest południe:—pod gęstym dębem
Myśliwy orszak skrył się przed pieką;
Dym między drzewa wije się kłębem,
W lesie im ucztę warzą i pieką.

Z dumą wódz patrzył, leżąc na ziemi,
Na orszak krewnych, na stosy plonów.—
Czemuż nie widzi razem z drugiémi,
Najmężniejszego z krwi Hamiltonów?—

— „Gdzie jest, rzekł, Bottwell nasz z Bottwella wy,
Pierwszy na naszych ucztach i łowach?
Czemu nie dzieli naszój zabawy,
Naszój biesiady w leśnych dąbrowach?“—

Ponurym głosem rzekł Klaud z Paslei:
„Minęły czasy jego wesela!
Nigdy za stołem, nigdy śród kniei
Nie zobaczymy więcéj Bottwella!

„Kilka dni temu, jego spokojny
Zamek brzmiał echem szczerój radości,
Gdy do swych ognisk wróciwszy z wojny,
Częstował ucztą krewnych i gości.

„Kilka dni temu, piękna i tkliwa,
Marya jego, w dni swoich kwiecie,
Szcześliwa żona, matka szcześliwa,
Swe pierworodne karmiła dziecię.

„Lecz nagle rozkaz Murraya wroga, *)
Z ogniem i mieczem nasał żołnierzy;
Na dachy jego spadła pożoga,
Zastęp obrońców pod gruzem leży.

„A jego żona!—szydząc z jój jęku,
I urągając z krzywdy i sromu,
W nocy, wpół naga, z dzieckiem na rękę,
Z przywłaszczonego wypchnęli domu!....

„Cień jój dziś tylko, w mglistych osłonach,
Gdzie fala Esku szumi przez gaje,
Niesiony wiatrem, z dzieckiem w ramionach.
Co noc boleśne jęki wydaje.

„Widzą go ludzie, słyszą rozpacze,
Jak woła imię swego Bottwella,

*) Obacz przypisek na końcu.

Jak nad umarłym dzieckiem swém płacze.
I żąda pomsty z nieprzyjaciela!“—

Skończył—struchleli żalem i gniewem.
Jeden krzyk zemsty zatrząsł dąbrową.
Skoczył Hamilton wsparty pod drzewem.
I mieczem z pochwy błysnął nad głową...

Wtém zatętniało pole kopyty—
Ktoś prosto ku nim pędzi przez błonia:
A w ręku jego sztylet dobyty,
Zamiast ostrogi bodzie nim konia.

Twarz jego blada. włos rozczochrany,
Wzrok słupem na przód patrzy bez celu:
Jeździec i rumak krwią obryzgany—
„To on! to Bottwell!—witaj Bottwellu!“—

Wołają. biegną. trzymają strzemię—
On z gorączkowym w twarzy zapałem.
Zskoczył, i z wzdardą rzucił na ziemię
Muszkiet dymiący świeżym wystrzałem.

I rzekł ponuro:— „Wiém, że wam miło
Myśliwskie trąby brzmiały dziś z rana:
Lecz miléj stokroć mnie słyszeć było
Ostatnie jęki wroga, tyrana!

„Żubr co go wasze zwały strzały.
Z dumą dziś jeszcze deptał po puszczy:
Lecz dumniéj stokroć Murraj zuchwały
Jechał na czele dwornéj swéj tłuszczy.

„Przez Linlitgo wu kręte ulice,
Tłum go zebrany wiódł z okrzykami;
Z okien i z ganków, ręce kobiéce
Przed nim i za nim siały kwiatami.

„Wracał zalawszy krwią Pogranicze.
Jarzmo swój władzy narzucił klanom:
I upojone dumą oblicze
Ku swym przybocznym zwracał dworzanom.

„Lecz co mi znaczy wroga potęga?
Co mi straż jego, orszak i pycha?
Gdy wiem, jak zdala muszkiet mój sięga,
Gdy w sercu mojem zemsta oddycha! —

„Ja i mój muszkiet weszliśmy w radę.
Obrałem miejsce w ciemnej ustroni:
Ztamtąd widziałem całą gromadę.
Całą tę cizbę ludzi i koni.

„Morton zausznik, dzid szkockich borem ²⁾,
Z konnicą drogę torował panu:
W tyle, z dobytym w rękę klajmorem,
Szedł gęstym szykiem klan Makferlanu.

„Po bokach Douglas, i Lord z Glenkerny,
I Knox się swoją świętością puszył ³⁾;
I dziki Lindsay, zdrajca niewierny,
Co się królowej płaczem nie wzruszył ⁴⁾.

„Między tym dworzan i wojsk natłokiem,
Z pod piór Murraja hełm złoty błyskał;
Koń jego ledwo stąpić mógł krokiem,
Tak wkoło niego lud się naciskał.

„On skinał czołem. i wzrok ponury,
Z pod brwi nawisłych, wodził po tłumie:
I swą buławę podniósł do góry,
Jakby wskazywał, że dzierżyć umie.

„Lecz było w twarzy zwątpienie ducha,
Próżno chciał udać uśmiech wesela:
Zły duch snąc jemu szeptał do ucha:
„Skrzydwiłeś, bój się zemsty Bottwella!“ —

„Zagrzmiał mój muszkiet — krzyknęła zgraja.
Wspiał się do góry rumak ksiązący:
Chyli się na bok pióro Murraja —
Runął o ziemię, by nie wstać więcej.

„Jak kochankowi, gdy wzajemności
Słowo z ust lubój posłyszysz przecię;
Jak myśliwemu, szarpiąc wnętrzości
Wilka, co niegdyś pożarł mu dziecię:

„Tak, i sto razy milój mi było,
Widzieć, jak zdrajca w prochu się tarzał;
Słyszeć, gdy życie z krwią uchodziło,
Jak próżno nędznik jęki powtarzał.

„Ujrzałem mojej Maryi ducha,
Cieszył się z śmierci nieprzyjaciela;
Konającemu szeptał do ucha:
„Czujesz, morderco! zemstę Bottwella!~.....

„A więc do broni, krwi Hamiltona!
Wszystkim jak krzywda, zemsta nam wspólna.
Dziś czas rozwinać wojny znamiona—
Murray zabity, Szkocya wolna!“—

Wszyscy z zapalem rwą się do broni,
Brzmi trąb odgłosem puszcza okolna:
„Chwała Bottwellu! chwała twój dłoni!
Murray zabity, Szkocya wolna!....“—

Lecz patrz! zniknęło barda widzenie.
Ucichł mu w uszach okrzyk wojenny;
Ewanu tylko słychać mruczenie,
I po ruinach wiatr dmie jesienny.

Runęły wieże, spadły sztandary.
Chwast na ich miejscu powiewa znowu:
I znów jak przedtém mech okrył szary
Leżący w gruzach gmach Kadyowu.

I pieśń minstrela znikła gdzieś z echem,
Wiatr tylko jęczy resztą jej tonów:
A obok niego, z łzą i uśmiechem.
Stoi ostatnia z krwi Hamiltonów!...

Szczęśliwy śpiewak! czyja pieśń unie,
Wzbudzić łzę żalu, uśmiech wesela;
Szczęśliwa dusza! która rozumie
Urok przeszłości, pieśni minstrela!...

PRZYPISKI DO BALLADY ZAMEK KADYOW.

Zamek Kadyow, niegdys baronialna stolica rodziny Hamiltonów, nad rzeką Ewan, w Szkocyi, zburzony został w wojnach domowych, za czasów Maryi Stuart. Hamiltonowie byli najwierniejszymi stronnikami nieszczęśliwej królowej, gdy naturalny jej brat, Jakób Murraj, przemocą złożył ją z tronu, i uwięziwszy w zamku Loch-Lewen, do dobrowolnej niby abdykacyi przymusił; poczem sam, pod tytułem Rejenta i opiekuna małoletniego jej syna, Jakóba VI, władzę królewską w Szkocyi sprawował. Panowanie jego było ciągłym prześladowaniem stronników Maryi, którzy też ze swojej strony, nie przestawali używać wszelkich sposobów przywrócenia jej na tron. Śmierć Murraja, będącą przedmiotem niniejszej ballady, w tych słowach opowiada historyk szkocki. Robertson:

„Zabójcą Murraja był jeden z rodziny Hamiltonów, Bottwell z Bottwellawy, a to z następującego powodu. Po przegranej bitwie stronników Maryi, pod Langside, Bottwell, z wielu innymi, skazany był na śmierć, i lubo potem przebaczenie życia otrzymał, większa część dóbr jego oddaną została jednemu z dworzan Rejenta. Ten ostatni opanowawszy gwałtem zamek Bottwella, żonę jego, ledwo co po połogu będącą, nago podczas zimnej nocy, wraz z dzieckiem wypę-

działka. Gwałtowne pomieszczenie zmysłów, i wkrótce śmierć jej i dziecka, były skutkiem tego nieludzkiego postępku. Znicwaga i strata ulubionj żony, połączona z dawną niechęcią, sprawiły, iż pałający zemstą Bottwell, śmierć Rejenta poprzysiągł. Barbarzyńskie maksymy owego wieku, usprawiedliwiały wszelkie najgorsze środki pomśzczenia się nad nieprzyjacielem. Długo Bottwell śledził w skrytości obróty Rejenta, nim upatrzył sposobną porę wykonania swego zamiaru. Murraj poskromiwszy zbuntowane klany na pograniczu Szkocyi, wracał do Edynburga przez małe miasteczko, zwane Linlithgow. Tam Bottwell czekać go przedsięwziął. Uzbrowiwszy się w muszkiet, obrał sobie stanowisko na krytym kruzganku, mającym okno na ulicę, w domu jednego z rodziny Hamiltonów, stryja swojego; podłogę okrył pierzynami, aby kroków słyhać nie było; ściany zawiesił sukmem czarném, aby cieniu jego nie dojrzyć: i po tych wszystkich ostrożnościach, spokojnie oczekiwał przejazdu Rejenta, który w niedalekim domu nocował. Doszły były Murraja wieści i ostrzeżenia o jakiémś grozącém mu niebezpieczeństwie, choć o niém nikt z pewnością nie wiedział. Postanowił więc był z rana, nie przejeżdżać przez miasto główną ulicą, lecz wrócić do tój samój bramy, przez którą był wczoraj przyjechał, i miasto polem ominąć. Ale że wielki tłum ludu, przed domem jego zebrany, zagradzał mu tę drogę, a raczej że był mężny i śmiały z natury, udał się ulicą przez miasto. Tenże sam natłok ludu, co mu wstecz jechać nie dopuścił, był przyczyną, że koń jego musiał iść bardzo powoli. Korzystając z tego zabójca, wziął go tak dobrze na cel, iż kula przeszła przez sam środek piersi, i zabiła konia pod Douglasem z Parkhedy, jadącym obok Rejenta. Murraj upadł: dworzanie jego i straż wpadli do domu, z kąd wystrzał pochodził, lecz nim zdołali przebyć zaryglowaną bramę i wszystkie drzwi domu, Bottwell wymknąwszy się tajemnym przejściem, dosiadł przygowanego już konia, i bodąc go sztyletem zamiast ostrogi, uszedł przed ich pogonią: wpadł do zamku Kadyowu, gdzie mieszkał naczelnik rodziny i kłanu Hamiltonów, i tam jak

zbawca Szkocyi, w tryumfie przyjętym został. Przesladowanie przez Murraja nieszczęśliwej królowej Maryi Stuart i jej stronników; okropność krzywdy wyrządzonej Bottwellowi, a nadewszystko stronnicza nienawiść i obyczaje owego wieku, usprawiedliwiły w ich oczach popełnione zabójstwo. Stało się to w r. 1596.

1) Żubr, nie znajdujący się już nigdzie w Europie, oprócz jednej Białowieżskiej puszczy w Litwie, częstym niegdyś był zwierzem w Szkocyi, i tém różnił się od litewskiego żubra że był całkiem biały, prócz brody, pysku i rogów czarnych. i że miał długą grzywę, do lwiej podobną.

2) Morton, jeden z zabójców Dawida Rizzio, którego z rozkazu pierwszego męża Maryi Stuart, w oczach jej zamordowano.

3) Knox, pierwszy krzewiciel reformy w Szkocyi, której sam Rejent był najgorliwszym stronnikiem.

4) Lindsay, najdzikszy i najokrutniejszy z facyi Rejenta, użyty przez niego do wymuszenia na uwięzionej królowej zrzeczenia się tronu, wykonał to polecenie z największą surowością i grubiaństwem; i gdy nieszczęśliwa Marya, zalana łzami, w chwili podpisania abdykacyi, odwróciła na chwilę oczy, przymusił ją do kończenia, sciskając gwałtownie jej rękę rękawicą żelazną.

WIECZÓR PRZED ŚWIĘTYM JANEM.

BALLADA

Z WALTERA SKOTTA.

Groźny baron Smajlhomu, *) przede świtem sam w domu
Siodła konia, i jedzie za mury.

Obejrzał się: nikogo! — ścisnął konia ostrogą,
I jak wichur zapuścił się w góry.

Nie w tę stronę gdzie wojna, gdzie Duglasa dłoń zbrojna

Grzmi piorunem i lśni błyskawicą;

Gdzie ojezyny nadzieja, dzielne hufce Bukleja

Stoją murem nad szkocką granicą.

*) Zamek Smajlhome (*Smejlhom* albo *Smajlholm-Tower*) w hrabstwie Roxbury, w Szkocyi, sławny z pięknego położenia i widoków, leży pomiędzy dzikimi skałami, z których jedna nosi nazwisko strażniczój (*Watchfold*). Treść ballady opiera się na podaniu miejscowém.

Przecież od stóp do głowy, cały w zbroi stalowej,
 I koń cały okryty żelazem;
 I bojowy miecz w ręku, i zwieszony na łąku
 Lśni buzdygan i topór zarazem.

Gdzie pojechał, nikt nie wie: wiedzą tylko, że w gniewie
 Był straszliwym przed samą swą drogą.
 Lecz nikt przyczyn nie zbadał: Baron z nikim nie gadał,
 Słowa o nic nie pytał nikogo.

Dnia czwartego z za góry, nasępiony, ponury,
 Baron wraca:—twarz dzika i blada.
 I koń widać podbity, kurzem, znojem okryty,
 Drży pod jeźdzcem, i omal nie pada.

Baron wraca do dworu—ale nie z Ankrum-Moru *),
 Gdzie pamiętny zwycięstwem i mordem,
 Stoczył bój Douglas mężny, i Lord Buklej potężny.
 Z Sir Ewersem, angielskim milordem.

Zkądże ten znak przy znaku, na puklerzu, szyszaku,
 Od brzeszczotu, czy włóczni żeleźców?
 Ha! i topór stępiony, we krwi widać zboczony —
 Lecz nie we krwi angielskich najeźdźców!

*) Bitwa zaszła pod Ankrum-Moor, w r. 1545. Wódz Anglików, Lord Evers z synem, i przeszło 800 ludzi, między tymi wielu najznakomitszych rycerzy, poległo ze strony angielskiej.

Most przejechał z wiodowy, i u bramy zamkowej
Zsiada z konia, i gwizdnął trzy razy.
Jakby czekał już wprzódy, na to hasło paż młody,
Przybiegł skokiem na pańskie rozkazy.

„Słuchaj, paziu mój młody! twój wierności dowody,
„Wiész, że łaską odpłacam wzajemnie.
„Mów więc śmiało. lecz na niej: mów, gdzie była twa
„I kto był u twój pani beze mnie?“— [pani?

— „Lady codzieli o zinroku, boczną fórtką u stoku.
„Wychodziła, gdy wszysey już spali;
„I szła prosto na góry, gdzie od pory do pory
„Podczas wojny nasz sygnał się pali.

„Dnia pierwszego, mgły sine okrywały równinę.
„Krok w krok za nią więc mogłem iść blisko.
„Szła z pośpiechem i trwogą; lecz na górze, nikogo!
„Samo jedno gorzało ognisko.

„Dnia drugiego, przed zmierzchem, w szparze skały
[pod wierzchem
„Siadłem skrycie, by schadzki dośledzić.
„Nagle spójrzę—aż stoi, młody rycerz we zbroi:
„Lecz zkąd przyszedł?—nie umiem powiedziéć.

„Lady przyszła niedługo, i godzinę i drugą
„Rozmawiali z żywością wzajemnie.
„Lecz deszcz padał kroplami, wiatr szeleścił liściami.
„Nastawiałem więc ucha daremnie.

- „Wczoraj wręście, pogoda! niebo czyste jak woda,
„Wietrzyk nawet poprzestał oddychać.
„Znów się skryłem w ustroni, zkąd mi jakby na dłoni
„Było wszystko i widać, i słyhać.
- „I słyshałem z ust Lady. jój układy i zdrady,
„Jak mówiła, ściskając młodziana:
— „„O! mój luby, mój drogi! jutro do mnie bez trwogi,
„„Przychódź jutro, przed świętym dniem Jana.
- „„Mąż z Duglasem na wojnie: w zamku wszystko spo-
[kojnie;
„„Ja ci fórtkę u stoku otworzę.
„„Przed świętym dniem Jana, straż i czeladź bez pana,
„„Będzie piła i spała we dworze.“—
- „„Nie! ja nie mogę przyjść: nie! mnie nie wolno przyjść;
„„Nie! ja nie śmiem przyjść jutro do ciebie!—
„„Mnie przed świętym dniem Jana, straż gdzie indziej
[wskazana,
„„Aż świt pierwszy zabłyśnie na niebie.“—
- „„Któż cię zmusza? kto każe? Gdy się ja tu przyjść waże
„„Tyżbyś dla mnie nie ważył się na to?—
„„Przyjdź! noc będzie pogodna; chwila szczęścia swo-
[bodna
„„Stanie sercu za wiosnę i lato!
- „„Ja przekupię wprzód strażę, ja psów spuszczać nie
„„Ja gałęźmi potrzasnę podłogi. [każę,

„Przyjdź! zaklinam więc ciebie, w imię Boga na Niebie!

„Przyjdź, przyjdź do mnie! mój luby! mój drogi!“ —

— „Choć stróż będzie zjednany, choć przykute brytany,

„Choć gałęzmi potrząsniesz podłogę;

„Wiész, że ksiądz śpi przy wchodzie; on mnie pozna

[po chodzie,

„Każę w dzwony uderzyć na trwogę.“ —

— „Ksiądz na rozkaz przeora, już w Drajburgu od

[wczora,

„Pogrzebowe odprawia modlitwy.

„Za jakiegoś rycerza, co bez skruchy, pacierza,

„Niespodzianie legł wczoraj śród bitwy.“ —

..Rycerz podniósł twarz smutną, a był blady jak płótno.

„I roześmiał się dziko i srogo:

— „Cha, cha, cha! — rzekł — te modły, co tam ksiądz

[wywiodły,

„Cha, cha, cha! czyż być za mnie nie mogą? —

„O północy, jak skoro, duchy mocy nabiorą,

„Jak zakleślasz, tak będę u ciebie!“ —

..I to rzekłszy ponuro, znikł gdzieś nagle za górą,

„I Milady wróciła do siebie.“ —

Baron milezał i słuchał, z oczu, z twarzy żar buchał.

Porwał sztylet, i krzyknął w zapędzie:

„Któż on? kto on? mów! jaki, był herb, zbroja i znaki?

„Ja czy on, jutra widzieć nie będzie!“ —

— „Hełm i pancerz złożony, miecz na szarfię czerwonej,
„Po nad hełmem trzy pióra sokole;
„Na puklerzu wyryty, sokół strzałą przebity,
„A u góry trzy gwiazdy w półkole.“ —

— „Paziu! kłamstwo w twój mowie! Ha! i biada twój
[głowie!“ —

Krzyknął Baron, i porwał się z gniewem.

„On być nie mógł na górze! on już nie żył w tej porze:
„On już leżał w mogile pod drzewem.“ —

A paż ręce załamał: „Karz mię, zabij, gdyś skłamał!
„Bo widziałem, słyszałem ja sam.
„Jak go Lady ścisłała, jak go Lady nazwała
„Sir Ryszardem de Koldingham.“ —

Baron pobladł jak chusta, wlepił oczy, ściał usta.

I stał niemy, aż przemógł swą trwozę.

„Nie! grób jego głęboki; skrzepłe były już zwłoki:
„Nie! nie mogę wierzyć, nie mogę! —

„Gdzie około Melrozu, z gór ciasnego wąwozu
„Twid się w szersze rozlewa koryto,
„Tam na dzikiem rozdrożu, na Ejldońskim tam
„Koldinghama śród nocy zabito. [wzgórzu,

„Olśniło cię ognisko, wiatr ci przyniósł nazwisko.

„Jeśli wręście uwierzyć ci muszę;

„Bo już trzy dni zań w chórze, tam w Drajburskim
[klasztorze,

„Księża psalmy śpiewają za duszę.“ —

To rzekł, i krok za krokiem, w zadumaniu głębokiem.

Szedł na zamek, gdzie sala wspaniała;
Tam jak maju pogoda, jasno-lica i młoda.
Żona jego u okna siedziała.

Lecz w jój licach nie radość: czarny smutek a bladość!

Siedzi sama, i patrzy tęskniąca:
Na równiny, doliny; na Mertun u las siny.
Na blask Twidu przy świetle miesiąca.

Baron wszedłszy pozdrowił, ale słowa nie mówił.

Wzrok w nią tylko zatapia ciekawy.
Ona drżąca powstała, ona pierwsza spytała
O nowiny z wojennój wyprawy.

„Dobre, dobre nowiny! Ankram-Moru równiny

„Trupy wrogów jak mostem zasłały.

„Buklej razem z Duglasem, proszą ciebie tymczasem

„Dawać baczność na nasze sygnały.“—

Lice Lady Smajlhomu, krwią zabiegło od sromu.

Słowa więcej nie rzekli oboje:
Lecz przez kręte w słup wschody, i przez długie prze-
[chody,
W swe sypialne odeszli pokoje.

Ale sen był daleki, od obójga powieki.

Próżno Baron powtarzał sam w sobie:
„Nie! to próżna obawa! kto raz umarł, nie wstawa:
„Na wiek wieków zwodziciel śpi w grobie!“—

Noc przed świętym dniem Jana, krótka, chociaż nie-
[spana,

Przeszła prędko;—aż koło poranka,
Sen ogarnął Barona; lecz obawą dręczona,
Oka złożyć nie mogła kochanka.

Wzniosła głowę i słuca:—wkoło cisza, noc głucha,
Cały zamek w pomroce i we śnie.
Życie daćby gotowa, by dziś rycerz mógł słowa
Nie dotrzymać—nie przyszedł niewczesnie.

Nikt nie skrzypnął podłoga;—a wtém nagle—o! trwogo!
Rozsunęły się poły firanek;
Lady spójrzy—aż stoi, tuż u łoża, we zbroi—
O! nieszczęsna!—to on! jój kochanek!

Przed oczyma ściemniało. serce w piersiach ustało.
Ręką tylko wskazała na łożo.—
„O! wiem ja, rzekł, w tój dobie, kto spoczywa przy tobie:
„Lecz się nie bój! on powstać nie może.

„Nie otworzy powieki—on dziś, a ja na wieki;
„On w swém łożu, ja w zimnej mogile!—
„Trzeci dzień dziś upłynął, z ręki jego jam zginał,
„Księża za mnie się modlą w tę chwilę.

„Lecz sąd Boga surowy! Gdzie nas słodkie rozmowy.
„Gdzie nas miłość łączyła szczęśliwa:
„Duch mój żalem przykuty, czas czyscowej pokuty
„U sygnału na górze odbywa.

„Ale nie miałbym mocy, przyjść aż tutaj śród nocy,
„Bez twych zaklęć na święty dzień Jana.—
„Teraz, żegnaj na wieki!—mnie czas w kraj mój daleki,
„Gdzie mnie zorza nie spłoszy poranna!“—

W Nięj miłości odwaga, nad przestraczem przemaga:
—„O! Ryszardzie! o! powiedz mi słowo!
„Jest-żeś ty tam zbawiony? czy na wieki zgubiony?“—
Rycerz westchnął, i tylko wstrząsł głową.

—„Kto tu przelał krew braci, krwią na sądzie zapłaci;
„Niechaj o tém wie Baron twój mściwy.
„A że miłość nieprawa, tam za grzech się uznawa,
„Przyjm. odemnie ten dowód straszliwy!“—

Rzekł, i dłonią swą lewą, wsparł się o łoża drzewo,
A prawicą dotyka jęj ręki.
Lady wstrząsała się, zbladła—i jak martwa upadła.
W całym zamku rozległy się jęki.

I nazajutrz tam rano, w drzewie łoża ujrzano
Wypalonych pięć palców ognistych.
Lecz z ust Lady ni słowa;—prawą tylko dłoń chowa,
U stóp męża w łzach tonie rześistych.—

W górach blisko Melrozu, w mrocznej głębi wąwozu,
Jest mnich wiecznym związany milczeniem;
Jest w Drajburgu, w tajemnym, ciemnym lochu
[podziemnym,
Mniszka drżąca przed słońca promieniem.

Ten pustelnik ponury, jak milczące wkrąg góry.

Ta jak noc, pokutnica posepna:

To jest Baron Smajlhomu, mściciel krzywdy i sromu—

To jest jego małżonka występna.

LENORA.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Z ciężkich snów. o bladym ranku,
Lenora rwie się i płacze:
„O! Zbigniewie! o! kochanku!
Kiedyż cię, kiedy zobaczę?” —
On z potęgą króla Jana,
Bronił Wiedeń od Sultana:
Ona w ciągłej boleści.
Bo ni listu. ni wieści.

Długo polski miecz zwycięzki
Strach w pohańczonej tłumach szerzył,
Aż ciężkimi złąkły klęski,
Bisurmanin mir uderzył.

Całe wojsko z brzękiem, dźwiękiem.
Z hukiem kotłów, broni szczękiem,
W laurach, z bitew pogromu,
Wraca spocząć do domu.

I na drogi, na rozłogi,
Z wiosek, z miasta, z okolice,
Lud naprzeciw wybiegł mnogi,
Dzieci, starce, i dziewice.
Tu rodzina, tu drużyna
Wita brata, ojca, syna;
Lenora tylko jedna,
Niepowitana biedna.

Bieży szukać wpośród szyków:
Lecz cię nie ma, o! Zbigniewie!
Bieży pytać wojowników:
„Gdzie mój Zbigniew?” — żaden nie wie.
Aż gdy przeszło wojsko całe,
Ona tłukąc piersi białe,
Łzami zalana, zbladła,
Z żalu na ziemię padła.

Widząc to matka przybieży:
„Ach! córko! co ci się dzieje?” —
Żałością w dłonie uderzy,
I oko łzami zaleje. —
— „Matko! matko! gdzież mój luby?
Próżne modły! próżne śluby!

On zginął! Matko droga!
Ach! nie ma, nie ma Boga!“—

— „Stój! stój! nieszczęsna! — O! Boże!
Bluźnierczój przebacz żalości! —
Proś Boga, On cię wspomóże,
On ojciec pełen litości.“ —
— „Cóż On mi zrobił dobrego?
O cóż mam prosić u niego?
On się światem nie trudzi,
Śmieje się z płaczu ludzi.“ —

— „Porzuć ten zbrodniczy lament,
Biada! kto Bogu złorzeczy.
Weź Przenajświętszy Sakrament,
On cię z szaleństwa uleczy.“ —
— „Daremnie, matko! daremnie!
Precz twe namowy ode mnie!
Sakrament mąk nie skróci,
Umarłych nie ocuci.“ —

— „Lecz zkądże pewność, jeżeli
Zbigniew nad brzegiem Dunaju,
Z inną już łoża nie dzieli,
Niepomny ciebie i kraju? —
Córko! posłuchaj co radzę,
Niech żal ustąpi zniewadze;
Zapomnij go, a w Niebie
Bóg się pomści za ciebie.“ —

— „On rycerz! zdradzić nie może
Ani kochanki, ni kraju!—
W grobie on chyba ma łożę,
Albo gdzie na dnie Dunaju.
Tam chyba znajdę wesele,
Gdy z nim to łożę podzielę.
Lecz cóż mi pacierz nada?—
O! biada mi! o! biada!“—

— „O! Boże! Boże litości!
Nie racz jój karać w twym gniewie;
Ona dziś w zbytku żałości
Sama rzeczonych słów nie wie!—
Córko! znoś ziemskie cierpienie,
Pomnij na Boga, zbawienie!
Tam wiecznej chwały wieniec,
Tam wieczny oblubieniec!“—

— „O! matko! cóż mi zbawienie?
O! matko! cóż mi jest piekło?—
Z nim dla mnie tylko zbawienie,
Bez niego wszędzie mi piekło!—
Zbigniewie! byle przy tobie,
Niebo dla mnie w zimnym grobie,
Niebo w piekle; bez ciebie,
Piekło mi nawet w Niebie!“—

Tak ogniem dzikiéj rozpaczy
Paląc się, Bogu złorzeczy;

Próśb nie słucho, rad nie baczy.
Targa włosy, pierś kaleczy,
I ręce łamie bez końca;
Od samego wschodu słońca,
Aż do późnego mroku,
Jęk w ustach, łza na oku.

Noc była—nagle po błoniu
Zahuczał tentent podkowy,
I rycerz na czarnym koniu,
Wbiegł na dziedziniec zamkowy.
Zskoczył z konia, szabla szczękła,
Rumak parsknął, klamka brzękła.
Przeze drzwi głos surowy,
Z temi się przedał słowy:

— „Ha! Lenoro! jak się miewasz?
Jak myślisz o mnie po wojnie?
Śmiejesz się, czy łzy wylewasz?
Czuwasz-li, czy śpisz spokojnie?“—
— „Tyż to! Zbigniew! Czy nie we śnie?
Zkąd powracasz tak niewczesnie?
Dawno ciebie czekałam,
Nie spałam i płakałam!“—

— „My tylko jeździm z północy!—
Późnom się wybrał od siebie:

Leciałem co koń miał mocy,
A przyjechałem po ciebie.—
—„Co? po mnie? dziś? o tój porze?—
Zimny wiatr świszcze na dworze.
Do mnie! do mnie, kochanku!
Poczekajmy poranku.“—

— „Nie mogę; nie, moja droga!
Nie dbaj na zimno, na ciemno;
Koń parska, brzęczy ostroga,
Muszę jechać—siadaj ze mną!
Siadaj ze mną! dziś przededniem
Musimy stanąć pod Wiedniem.
Nie zwłócz chwili daremno,
Dzieweczyno! siadaj ze mną!“—

— „Czyż to podobna do wiary,
Sto mil dziś ubiedz, mój miły?—
Słyszysz! jeszcze brzmia zegary,
Co jedénastą wybiły.“—
— „Nie to! nie to!—księżyc świeci,
Nocny jeździec prędko leci!
Nim ranne błysnie zorze,
Staniesz na moim dworze.“—

— „Gdzież twój dwór?“— „O! ztąd daleko!
Bez próżnych wystaw, bez pychy;

W zieloném polu, nad rzeką.
Ciasny, posępny — lecz cichy. —
— „Będzie tam miejsce przynamnie?” —
— „Dosyć dla ciebie i dla mnie!
Śpiesz się! droga daleka,
Tłum gości na nas czeka.” —

Niepewną, bladą i drżącą,
Zbigniew na ganek prowadził,
I w pół niechęcą, w pół chęcią,
Przy sobie na koń posadził.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jak mgła nikną, z każdej strony,
Łąki, pola, wsie i grody;
Leci rumak rozogniony,
Wprost przez lasy, wpływ przez wody.
— „Ha! drzysz? — księżyc świeci blade!
O! umarli prędko jadą! —
Nie strach umarłych tobie?” —
— „Wieczny im pokój w grobie!” —

Cóż to tam słychać za jęki,
I czarne kruki łopocą?
To śpiew śmierci, dzwonów brzęki! —
Kogóż to chcą grzebać nocą? —

Niosą trunę, koło truny
Błede lampy i całuny:
Przodem, czarno ubrani.
Pieją smutnie kapłani.

— „Dość tych jęków, przyjaciele!
Później ciało złożcie w grobie:
Teraz do mnie, na wesele!
Młodą żonę wiozę sobie.
Za mną, za mną! wszyscy wkoło.
Zanóćcie mi pieśń wesołą;
Księżę! mów słowo Boże,
Żegnaj małżeńskie łożę!“ —

Rzekł Zbiguiew, i na te słowa
Wszystko znikło, wszystko ścichło.
Cała tłuszcza pogrzebowa
Tuż, tuż za nim śpieszy rychło.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą.
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jako woda, po nad niemi
W tył się zdaje płyną chmury:
Tak przed niemi, tak pod niemi,
Nikną pola, lasy, góry.
„Ha! drzysz? — księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą! —

Nie strach umarłych tobie?“—
— „Wieczny im pokój w grobie!“—

— Patrz tam, patrz! na górze, w lasku.
W długie się wiążąc łańcuchy,
Przy mdławym księżycu blasku,
We mgle ciche tańczą duchy.
„Do mnie, do mnie, przyjaciele!
Do mnie, do mnie, na wesele!
Tańczcie wszysej wokoło,
Zanóćcie pieśń wesołą!“—

I wnet z hukiem, i wnet z szumem,
Z jakim w puszczy wiatr szeleszeze,
Za rycerzem lecąc tłumem,
W dłoni posłuszna zgraja pleszcze.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Wkoło nich, w świetle księżycu,
Nikną pola, góry, drzewa.
Tuli się drżąca dziewica,
Do zimnej piersi Zbigniewa.
— „Ha! drzysz?“— księżyc świeci blade!
O! umarli prędko jada!—
Nie strach umarłych tobie?“—
— „Ach! daj im pokój w grobie.“—

— „Koniu mój, koniu! kur pieje,
I rosa błyszczy po błoniu;
Czuje, już ranny wiatr wieje.
Prędzój, prędzój, prędzój koniu!“ —
Koń się wzmaga, nozdrzem pryska,
Nogą w niebo piasek ciska.
— „Ha! ot i dom Lenoro!
Umarli jeżdżą skoro.“ —

Wnet widać żelazną bramę.
Którój twarde rygle strzegły:
Rycerz dotknął, pękły same,
Drzwi się na oścież rozbiegły.
Przebóg! cóż to za zjawienie?
Wkoło krzyże a kamienie!
A mdławy blask miesiąca
O groby się roztrąca.

Rumak ogniem parsknął z garła.
Wspiał się, zarżał, jak grom ryknął.
Ziemia się pod nim rozwarła.
Ogień buchnął, rumak zniknął.
Nagle słychać szelest głuchy,
Z grobów, z góry, tłumne duchy
Wstają, lecą i płyną:—
Cóż ty teraz, dziewczyno?

W dłoni tuląc blade czoło,
Na kochanka piersi mdleje:

A chór duchów tańcząc wkoło,
Tę jej zeicha piosnkę pieje:
„Cierp, choć z żalu serce pęka,
Straszna BOGA zemsty ręka!
Tu zwłoki zginać muszą—
Boże! miej wzgląd nad duszą!”

PRZYPISEK DO BALLADY LENORA.

Treść poprzedzającej ballady wziął autor z powieści gminnej, upowszechnionej w Niemczech, a z małą co do szczegółów różnicą, i naszemu pospólstwu znajomej. W obu narodach musiała być kiedyś wierszem ułożoną, co zdają się potwierdzać małe z niej dotąd pozostałe ułamki, co dziwna, że też same w obu językach. I tak np. u nas, między innymi są cztery następujące wiersze:

*„Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukienczka szach, szach,
Panienczko, czy nie strach?“*

a które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

*„Der Mond, der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen auch dir nicht?“*

Słowa te podały Bürgerowi pierwszą myśl jego ballady. Późno raz bowiem przy blasku księżyca powracając do domu, napotkał śpiewającą je kobietę; a zastanowiony piękną ich prostotą, wypytawszy się o resztę powieści, napisał z niej w 1772 r. Lenorę, która, przez znakomitego krytyka Schlegela, królową ballad nazwana, obudzając licznych naśladowców, nadała stały charakter balladom niemieckim, który po dziś dzień noszą.

MYŚLIWIEC.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Pan lasów bije w róg grzmiący,
„Dalej konno! dalej pieszo!”
Rwie się, hasa rumak rżący,
Wkoło zbrojno strzelce śpieszą:
Pan siadł—kopnął rumak skory,
Przez ciernie, ściernie i bory,

Ledwie pierwszy świt niedzielny
Złotem oblał krzyż kościoła.
Świątecznych dzwonów brzęk weselny
Na modlitwę wiernych woła:

Zdała wdzięczne brzmi śpiewanie.
Biegną tłumnie chrześcijanie.

Przez rozdroże szybko, żwawo,
Hasa na myśliwców przedzie.—
Lecz patrz! lecz patrz! w lewo, w prawo,
I ztąd, i ztąd rycerz jedzie.
Koń prawego jak śnieg biały.
Lewego jak żar rozłwały.

Kto rycerz prawy? kto lewy?
Domyślam się coś, lecz nie wiem.
W czarnej zbroi jechał Lewy.
Wzrok piekielném tłał żarzewiem:
Prawy w śnieżystém odzieniu,
Promień wiosny niósł w spójrzeniu.

„Witam ciebie! witam ciebie!”
Rzekł pan zdjawszy czapkę z głowy—
„Ni na ziemi, ni na niebie,
Nie ma zabawy nad łowy!”—
Rzekł, spał konia, i w dłoń klaszcze.
I w róg trąbi, i psy głaszcze.

Na to Prawy rzekł do niego:
„Źle się zgadza trąba w boru
Z brzękiem dzwonów. z śpiewem choru!
Nie spolujesz nic dobrego:

Wierz mi, wróć się, porzuć łowy,
I złych aniołów namowy! —

— „Poluj, poluj pośród boru,
Przerwał Lewy — „poluj dłużej!
Cóż ci dzwony? co bek choru?
Trąba za wtór im posłuży!
Na mnie się zdaj, o! młodzieńcze!
Bezpieczeństwo ja ci ręczę.” —

— „Oto mowa godna męża!
Dobrej radzie chęć ma sprzyja.
Komu straszny szczepek oreża.
Niech trzepie *Ave Maria*.
Marne groźby! próżne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!” —

I hop, hop, hop, rumak skory,
Hasa, leci, wśród trąb wrzawy,
Z dolin w doły, z gór na góry.
Obok rycerz Lewy, Prawy.
Wtém, jak śnieg biały, z gaika
Na pole jeleni wymyka.

„Na tu! na tu! dalej dzieci!
Prędzój konny, prędzój pieszy!” —
Pan na czele jak wiatr leci,
Za nim strzelców orszak śpieszy:
I z smycz lotne mknęły charty.
Hasa rumak kołcem sparty.

Hasa. leci w chmurach pyłu:
Patrzaj, patrzaj! w jednej chwili,
Strzelce z przodu, strzelce z tyłu,
W koło zwierza oskoczyli.
Koń pod jednym na kiel chwyta,
Jeździec zleciał pod kopyta.

— „Mniejsza! krzyknął pan rozżarty.
Bierz go djabeł! niech się wali!
Na tu! na tu! heżha charty!
Na przód, na przód! dalej, dalej!“ —
Hasa. leci rumak żwawy,
Obok rycerz Lewy, Prawy.

Żwierz na zbożne pędzi łany,
Złotym pływające kłosem.
Patrz! wieśniak łzami zalany,
Błagającym woła głosem:
„Panie! miej litość! przez Nieba!
Nie wytłaczaj biednym chleba!“ —

Skoczył Prawy i ostrzega:
— „Wróć się, wróć się, mężu młody!“ —
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

„Co? — krzyknął gniewem rozżarty,
Śmiesz mię spędzać z twego pola?...

Precz ztąd! lub wnet spuszczeę charty.
Towarzysze! za mną! hola!
Dalej za mną!“— Tak pan wrzasnął.
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Warczą rogi, brzęczą bronie:
Przez płot sadzą, w ogród lecą.
Pan i strzelce, psy i konie:
Trąbią, lecą przez zasiewy,
Obok rycerz Prawy, Lewy.

Przed blizkimi jeleni sfory
Lekką stopą wiatr wyściga;
Z dolin w doły, z gór na góry—
Tuż zziajana psiarnia ściga.
Żwierz chce chytrze ujsć od szkody,
Wpadł i skrył się między trzody.

Lecz przez góry, lecz przez bory.
Lecz przez łąki i przez błonie.
W zdradzające zwierza tory.
Lecą strzelce, psy i konie.—
Pasterz padłszy na kolana.
Tak ze łzami błaga pana:

„Panie! cofnij twoje łowy,
Użał się mojej biedoty!
Nie jednę tu krówka wdowy,
Nie jednę jagnie sieroty;

A ich wszystkiém, jest to jedno.
Ocal, panie, trzodkę biedną!“—

Skoczył Prawy i ostrzega:
— „Wróć się, wróć się, mężu młody!“—
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody,
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

— „Precz mi z prośbą! precz mi z radą!
Ty mi dawać śmieysz nauki?—
Precz! lub wnet ciebie i stado
Psy me rozerwą na sztuki!
Dalej za mną!“— Tak pan wrzasnął,
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Za przykładem, za rozkazem,
Strzelce, konie, i psy lecą,
Walą zębem i żelazem.
Rzną się, warczą charty wściekłe,
Szarpiąc sztuki krwią ociekłe.

Ledwie wynknął z pośród tłuszczy,
Coraz słabszym jeleni lotem;
Krwia zbryzgany, zlany potem,
Znów się chroni w gęstwach puszczy:
Śród drzew miga, w głębi znika.
Wpadł do chatki pustelnika.

Szybko, żwawo, z biczów klaskiem,
Z hukiem i tententem koni,
Z brzękiem, dźwiękiem i trąb wrzaskiem.
Zjadła psiarnia zwierza goni.—
A wtém z chatki, w szacie białej,
Wyszedł starzec osiwiąły.

„Niebaczny! szanuj te progi,
Nie leć w przepaść zgubnej matni!
Jeszcze moment do przestrogi,
Jeden tylko—i ostatni!—
Wróć się, nie gardź radą zdrową,
Miecz zemsty nad twoją głową!“—

Troskliwie Prawy nalega:
—„Wróć się, wróć się, mężu młody!“—
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową,

—„Rad mi żadnych nie potrzeba,
Groźba mię nie przejmie trwoga;
Choćbys był z trzeciego Nieba,
Gardzę tobą i przestroga!—
Próżne słowa! marne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!“—

W dłonie klasnął, w róg uderzył —
„Dalej, dalej!“—konia śpina. —

Wtém—o! dziwy! któżby wierzył?
Starzec, chatka, psy, drużyna,
Wszystko razem w oka mgnieniu
Znikło, jak sen przy ocknieniu.

Przerażony, w martwój ciszy,
Chce zatrzeć—trąba niema:
Krzyknął—sam siebie nie słyszy;
Tehu ni głosu w piersiach nie ma.
Spójrzy—wkoło mgłą okryty;
Chce uciekać—koń jak wryty.

A wtém z dołu, z góry, z boków,
Mgła się zgęszcza, ściemnia, chmurzy:
Pod nim zda się szum potoków,
Nad nim zda się szelest burzy;
Aż ze świstem wichru z chmury,
Głos, jak piorun, zabrzmiał z góry:

„Bezbożny! coś w bliźnim brata,
Stwórey nie uczył w stworzeniu;
Zaślepiony pychą świata!
Poznaj w wiecznym zatraceniu,
Ze Bóg wszystkich stworzycielem,
Wszystkich ojcem—i mścicielem.

„Uciekaj przez wieków wieki,
Szezwany od czartów i piekła.
Dla przykładu w czas daleki,
Wszystkim, których chuć zaciekła,

Nie znając ni praw. ni granic,
Ludzi i Boga ma za nic! —

Głos zmiłkł — a wtém z trzaskiem gromów.
Ziemia wstrząsa się, rozpada,
I z bezdennych jój rozłomów
Leci czarnych psów gromada,
I z ognistym biczem w dłoni,
Czarny jeździec do pogoni.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Klaskiem. wrzaskiem. huczy puszcza;
Gończe skomlą, charty lecą,
Jeździec głosem je podusza.
Tuż, tuż, z tyłu — już dopada —
„Uchodź, uchodź! albo biada!“

Pan się porwał, śpiął rumaka,
Rumak skoczył — i w podskoku
Zawisł w górze — i w obłoku,
Pędem wichru, lotem ptaka,
Leci, leci — a tuż wściekła,
Ślad w ślad za nim. psiarnia piekła.

Już. już, zda się, już go chwyta —
Z paszcz dym bucha, ogień świeci;
Już chce szarpać — wtém z kopyta
Koń się pomknie, i znów leci —
I nie stanie w pędzie wiecznym.
Aż na sądzie ostatecznym.

Ztąd ten hałas dzikiéj tłaszczy,
Który to w nocy, to we dnie,
Brzmiąc po skałach Czarnéj Puszczy,
Przeraża strony sąsiednie.—
Nie wierzysz? spytaj! te dziwy
Každy rad stwierdzi myśliwy.

PRZYPISEK DO BALLADY MYŚLIWIEC.

Ballada ta, nosząca w oryginale tytuł: *Der wilde Jäger* (dziki strzelec), należy do najsławniejszych utworów Bürgera. Podanie znajome w Niemczech, na którym się ono opiera, jest następujące. Niejaki Falkenburg, dozorca lasów królewskich, całkiem oddany polowaniu, tak przytém był rozwięzły i srogi, że urągając się z religijnych obrządków, w niedziele, lub inne dni poświęcone modlitwom, wyjeżdżał zwykle na łowy, najdzikszych nad swymi poddanymi dopuszczając się okrucieństw. Po jego śmierci lud przyjął powszechne mniemanie, że za karę, przez zbytnią chęć do łowów popełnionych zbrodni, Bóg go potępił na wieczne polowanie po śmierci. Częstoć w głębi ciemnych lasów w Niemczech, a zwłaszcza w pasmie gór, *Czarnym Lasem*, lub *Czarną Puszcza* (Schwarzwald) zwanych, dają się słyszeć jakieś hałasy. Pochodzą one, jak mi jeden uczony niemiecki naturalista powiadał, z krzyku ptastwa zwanego *Scelopar Galinago*, które się tłumnie po tych lasach znajduje; gmin jednak pragnie w nich rozróżnić znany głos Falkenburga, szczekanie psów i trąb dźwięki, i ztąd słyszany szelst łowami Dzikiego Strzelca nazywa.

Razu pewnego, młody jeden myśliwy, zbłąkany nocą sród lasu, usłyszał blisko siebie ten hałas, a chcąc doświadczyć

prawdy, „*Glück zu! Falkenburg!*“ zawołał — „Dzięki ci!“ odpowiedział głos gruby — „za dobre życzenie, podzielmy się zdobyczą;“ — i kawał przegniléj zwierzyny upadł pod nogi zuchwałego młodzieńca, który wkrótce utracił dwa najlepsze konie, i nigdy z doznanego przestachu przyjść do siebie nie mógł. Powieść ta, jakkolwiek od różnych różnie powtarzana, jest przedmiotem wiary gminu w całych prawie Niemczech.

GRAF HABSBURG.

BALLADA

Z SZYLLERA.

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.

Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.

Falegraf Reński na złocie mu kraje,

Puhar z winem Król Czeski podaje:

Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,

Jak wkrąg słońca chór planet niebieskich.

W złotych mitrach, w purpurach królewskich.

Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedzińców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk, jak grom nieprzerwany.

Okrzyk tłumów skupionych na placu

Bije echem o okna i ściany.

Bo przeminał czas kłesk i swawoli,
Pychy możnych, a ludu niewoli,
Pan i sędzia jest znowu na ziemi.
Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny.
Nie drży słaby, zaufał spokojny,
Że jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puhar do góry wznosił złoty,
I powłóczę wkrąg okiem radości:
„Nie tu nie brak do naszej ochoty,
„Wpółród takich i uczyty, i gości.
„Lecz nie widzę śpiewaka-Minstrela.
„Pieśń natchniona jest duszą wesela,
„I duch wyższy na serce z niej wionie.
„Cześć mą dla niej wyssałem już z mlekiem,
„A com czuł będąc prostym człowiekiem,
„Czuć i uczyć potrafię na tronie.“—

Ledwie skończył—z za tłumu rycerzy
Wyszedł mąż—z białym włosem na skroni,
W długiój, nakształt zakonnej odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
„W strónach arfy jest cały świat ducha,
„W miarę tego, kto śpiewa, lub słuca,
„Jak pieśń wieszczą pojmuje, lub stwarza.
„Wiém, co duszę podnosi i krzepi,
„Lecz ty, Panie, sam powiedz najlepiej,
„Co jest godne słuchacza-cesarza.“—

Na to Cesarz z łagodnym wejrzaniem:
„O! na taką się pychę nie ważę.

„Wyższy Pan rządzi wieszczą natchnieniem,
„Co mu samo i cel swój pokaże.
„Bo jak wicher na morskim rozlewie
„Zkąd i dokąd ma zawiąć, nikt nie wie,
„Jako woda z swych źródeł podziemnych:
„Tak pieśń wieszczą wynika mu z duszy,
„Aż ją porwie za sobą i wzruszy
„Czucia śpiące w jęj głębiach tajemnych.“—

Z oczu starca jak światło wypadło,
I strón dźwięki zmieszały się z słowy:
„Przez Szwajcarską dolinę zapadła,
„Możny Graf jechał konno na łowy.
Dzielny koń, niecierpliwym poskokiem,
„Sadził wczwał po nad wzdętym potokiem,
„Na dźwięk trąbki już brzmiaćej śród boru.
„Wtém głos dzwonka się rozdał rozłogiem—
„Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,
„Poprzedzony chłopięciem od choru.

„Rycerz z wiarą i ezię chrześcijańską,
„Zskoczył z konia i ugiął kolano,
„Wielbiąc Ciało i świętą Krew Pańską,
„Dla zbawienia naszego wylana.—
„Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia,
„Zrzucał obów i zwierzechnie odzienia,
„By w bród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi.
„Bo most woda zerwała przed sobą,
„A tam grzesznik złożony chorobą
„Czekał jego ostatniej posługi.

„A wtém rycerz przystąpił ku niemu.
„Sam mu konia za cugle prowadzi.
„Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
„Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
„I sam pieszo zapuszcza się dalej.—
„Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali,
„Błogosławiąc rycerza po drodze.
„I nazajutrz, o wschodzie jutrzeńki,
„Do bram zamku, z winnemi podzięki,
„Odwiódł konia, trzymając za wodze.

„Ale rycerz powitał go słowy:
— „„Strzeż mię Boże! bym kiedy dla siebie
„„Użył konia na boje lub łowy.
„„Co niósł Zbawcę i Pana na Niebie.
„„Gdy być twoją własnością nie może.
„„Niech zostanie przy waszym klasztorze.
„„Na pobożne zakonu posługi.
„„Bogu memu w ofierze go składam.
„„Bo od Niego, co tylko posiadam.
„„Dzierżę z łaski—nie z własnej zasługi.“—

— „Niechże Pan, który widzi w skrytości,
„Dar twój tobie odpłaci w swój porze!
„Niech cię wsławi i tu, i w wieczności,
„Jakoś ty mu hołd oddał w pokorze.
„Tyś Graf możny w szwajcarskiej krainie,
„Dom twój z enót i z hojności w niej słynie,
„Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych.

„Niechże każda — rzekł kapłan w natchnieniu —

„Wniesie berło twojemu plemieniu,

„Ród twój wsławi u wieków potomnych!“ —

Cesarz słuchał i dumał głęboko,

Jakby dawne obudzał wspomnienie.

Wtém na starca iskrzące wzniosł oko.

I z ócz jego słów pojął znaczenie.

Był to kapłan spotkany przed laty —

Cesarz krajem obrzędnej swój szaty

Zakrył śpiesznie łez rzewnych potoki. —

Lecz pojęto w orszaku cesarskim.

Że to on był tym Grafem Szwajcarskim,

I niebieskie wielbiono wyroki.

ŚWIETLANA.

BALLADA

Z ŻUKOWSKIEGO.

Raz ciekawe przyszłej doli,
Różnemi kabały,
Dziewice wilją Trzech Króli ¹⁾,
Przyszłość zgadywały.
To policzoném ziarenkiem
Gołębki karmiły ²⁾;
Biegły słuchać pod okienkiem ³⁾,
Biały воск topiły ⁴⁾.
To w kielich wodą nalany,
Kładły pierścień pozłacany,
Każda z prawej ręki ⁵⁾:
Nad nim dzierząc obrus biały,
Wszystkie razem w takt śpiewały
Godowe piosenki.—

Noc już była—księżyc blady
Świeci przez tumany.
Wtém najweselsza z gromady
Rzecz do Świetlany.
„Siostro! masz-li wiecznie łzami
Zlewać twarz rumianą?
Tańcuj z nami, śpiewaj z nami,
Kochana Świetlano!
Wróci wkrótce twój młodzieniec,
Wij mu z róży, z ruty wieniec,
Złoty pierścień z ręki
Rzuć do czary, potem w koło
Skacząc z nami, nuć wesoło
Godowc piosenki!“—

— „Lube siostry! nie zmuszajcie
Śpiewać mię ni skakać;
Wy szczęśliwe, wy śpiewajcie.
Mnie pozwólcie płakać!
Rok już minął, żadnej wieści
O miłego bycie;
We łzach gorzkich i boleści
Młode wlokę życie.
Zginał-li?—czy mię niepomny,
W obcój ziemi, wiarołomny,
Z łez mych czyni śmiechy?—
Ja się modłę, ja łzy leję;
Utul boleś, wróć nadzieję,
Aniele pociechy!“—

Wtém patrz! za starszych poradą,
Niosą stół dziewice;
Na nim dwa talerze kładą,
Pałą cztery świece.
Stawią zwierciadło na stole,
Biało podesłane;
Piszą koło, i w tém kole
Sadzają Świetlanę.
„Siedz, i nie się nie bój wcale:
W czystym zwierciadła kryształe
Obaczysz kochanka.
Gdy z wieży północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczerzy,
Zabawi do ranka.“—

Już w izbie nie ma nikogo.
Naprzeciw zwierciadła,
Drżąca, blada, z tajną trwogą,
Dziewica usiadła.
Na najmniejszy szelest trzyma
Wyteżone ucho;
Nie śmie w tył rzucić oczyma—
Wkoło ciemno, głucho.
Płomyk tylko świec nie jaśnie
To wybuchnie, to przygaśnie.
Zwęża się, to szerzy.
Wtém wiatr świsnął po dolinie.
Smutnie świerknął świerszcz w szczelinie,
Północ bije z wieży.—

Północ!—Nagle w martwej ciszy,
Strwożona dziewica,
Lekki klamki brzęk usłyszy.
Pot wybił na lica,
Srogie zimno ją przepadło,
Piers się trwogą wzdyma—
Któż to patrzy we zwierciadło
Bystremi oczyma?—
W zbladłych ustach mdleje mowa;
A wtém eiche, miłe słowa
Głos wymówił znany:
„Po co bojaźń? po co trwoga?
Tom ja z tobą, moja droga!
Płacz twój wysłuchany!“—

Obejrzy się—ku niej miły
Wyciągając ręce:
„Łzy twe Niebo umodliły,
Koniec wspólnej męce! —
Śpiesz Świetlano! już w kościele
Kapłan na nas czeka;
Śpiesz, kochanko, na wesele.
Droga niedaleka!“—
Za odpowiedź wzrok wzajemny.
Idą przez dziedziniec ciemny,
Na szeroki ganek;
Gdzie dwa konie niecierpliwe,
Brzęcząc euglem, jeżąc grzywę,
Czekają u sanek.

Siedli;—konie w szybkim biegu
Zda się nie tkną ziemi;
Z pod kopytów chmura śniegu
Wzniosła się nad niemi.
Ciemno wkoło, pusto wkoło,
Step w oczach Świetlany;
I księżycą blade czoło
Omgiły tumany.—
Zimny strach jój serce chwyta:
Z trwogą dziewica zapyta:
„Blizkiż koniec jazdy?“—
Ni pół słowa odpowiedzi:
Miły cichy, smutny siedzi,
Wzrok wlepiony w gwiazdy.—

Konie lecą śród bezdroży,
Po górach, po błoniach.
Patrz! samotny kościół Boży
Stoi na ustroniu.
Wicher drzwi otworzył z trzaskiem.
I widać w kościele,
Ołtarz rześnym płonie blaskiem,
Wkoło ludu wiele.
W środku katafalk ubrany.
I słyhać, z jękiem zmieszany,
Smutny śpiew pogrzebu.—
Strach dziewicę zdjął na nowo:
Konie mimo—On surowo
Pogląda ku niebu.—

Nagle świsnął wiatr z za chmury,

Śnieg zrywając z ziemi;

Czarny kruk szumnemi pióry

Wije się nad niemi.

Coraz bliżej. coraz niżej—

Polękane konie.

Coraz dalej, coraz chyzéj,

Lecą wprost przez błonie—

W mrocznej dali ogień błyska.

I wnet widać, chatka niska

Kryje się w ustroni.

Coraz ciemniej gwiazdy świecą.

Coraz prędzej konie lecą.

Lecą prosto do niej.

Przyleciały wnet przed ganek—

I ach!— cud niezwykły! —

Konie, sanki i kochanek

W oka mgnieniu znikły. —

Sama jedna w pośród nocy,

Sama w pośród wiei:

Zkąd ratunku. zkąd pomocy,

Zkąd czekać nadziei?—

Wracać?— śnieg już zawiął ślady. —

W izbie błyska płomyk blady,

Tam więc wsparcia szuka.

Uzbrojona znakiem krzyża.

Powoli się ku drzwiom zbliża.

Zlekka w nie zapuka.

Z cichym szmerem się otwarły.
Lecz trwoga po trwogach!
W środku trumna, w niej umarły,
Krzyż i lampa w nogach.—
Wejść czy nie wejść? stojąc w progu
Dziewica się chwieje;
Weszła wreście, ufne w Bogu
Złożywszy nadzieje.
We łzach cała, drżąca, zbladła,
Z trwogą na kolana padła
W pełnej serca wierze;
Potém wziąwszy krzyż do ręku,
Poszła, siadła przy okienku,
Kończyć swe pacierze.

Księżyc zaszedł, brzask nie dnieje,
W izbie lampa blada,
Coraz słabsze światło sieje,
Coraz głębiój spada.
Wszędzie ciemno, pusto, glucho,
Wszystko w martwej ciszy;
Przebóg! lecz dziewicy ucho
Jakiż szelest słyszy?
Spójrzy trwożna—ku niej z góry,
Gołębiczek śnieżno-pióry
Przylatuje zeicha;
Przyleciał, siadł na ramieniu,
W jasnym się jego spójrzeniu
Nadzieja uśmiecha.

Ciemno znowu, głucho znowu—
Lecz ach!—czy się zdaje,
Czy z pod czarnego pokrowu
Umarły powstaje?—
Powstał nagle, z mar zeskokczy,
Blade podniósł czoło.
Wpół otwarte, błędne oczy
Rzucając wokoło.
Piers się zdaje znów oddychać.
Twarz czerwienieć w ustach słychać
Jęk niezrozumiały:
Ku dziewicy się przysuwa—
Ach! cóż ona?—drży—lecz czuwa
Gołąbeczek biały.

Z szumem szybki lot roztoczył
Stróż dziewicy biednej,
Umarłemu na pierś wskoczył—
I wnet, w chwili jednej,
Gasną oczy, blednie lice,
W tył się cofnął krokiem,
I zaiskrzył na dziewicę
Pełném grozy okiem.
I padł na wznak.—Lecz, dla Boga!
Co za rozpacz, co za trwoga
Nieszczęsną przejęła!
Na jego skroni jój wianek!
Umarły, to jój kochanek!—
Ach!—wtém się ocknęła.

Gdzież?—śród izby, u zwierciadła,
Za stołem wieczerzy.
Patrzy wkoło, zląkła, zbladła,
Widzi i nie wierzy.
A już trzykroć świt różany
Kogut wita pieniem;
Wszystko jasne!... myśl Świetlany
Mroczna snu widzeniem.
„Straszne widmo! cóż mi wieści?
W grobie-ż tylko kres boleści?
Z śmiercią-ż tylko śluby?—
Czy się Niebo płaczem wzruszy?—
Gdzieżeś, duszo mojej duszy!
Gdzieżeś, o! mój luby?—“

Wstała—piers jej wzdyma trwoga—
Patrzy w dal Świetlana:
Z okien długa, długa droga
Widna, mgłą owiana.
Już się ranne słońce pali
Siejąc blask ukośny;
Wszystko cicho—nagle w dali
Brzęczy dzwonek głośny.
Po gościńcu, we mgłach śniegu,
Lecą konie w szybkim biegu,
Prosto przed jej ganek;
Przyleciały wnet, i staną.
Gość wysiada—patrz, Świetlano!
Kto gość?—twój kochanek!

Cóż, dziewico? sen widziany
Złą ci wróżył dole?—
Patrz, twój miły! żadnej zmiany.
Też oczy sokole:
Tenże uśmiech, ten rumieniec,
Też słodkie rozmowy!...—
On to, on twój oblubieniec,
I żywy i zdrowy!—
Rozweselecież smutne czoła.
Otwierajcie drzwi kościoła.
: tańcie przed ołtarze!
Niechaj puhar wkrąg obiega,
Niech się z każdych ust rozlega:
„Chwała pięknej parze!” —

PRZYPISKI DO BALLADY ŚWIETLANA.

1) Przesady i zwyczaje, na których się treść niniejszej ballady opiera, znajome powszechnie są i między naszym pospółstwem. Przeciąg czasu, między dniem pierwszym Bożego Narodzenia a świętém Trzech Królów zawarty, jest zwykle czasem, w którym młode wieśniaczki, przez rozmaite sposoby, pragną dociec, jak i kiedy za mąż pójść mają. — Między wielu innemi, dwa są celniejsze, które tu pokrótce przytoczymy.

Osoba chcąca się dowiedzieć przyszłości, siada w samotnej izbie o północy, pomiędzy dwóma, lub choćby przed jednym zwierciadłem, w które się bezprzestannie wpatrywać powinna: a czyja się w niém postać, jakoby przechodzącej przez izbę osoby, patrzącemu okaże, z tym go prędjéj czy późniéj niezawodne czeka małżeństwo.

Drugi sposób jest taki. — Wróżący powinien własną ręką nałożyć ogień, przyprawić i gotować przy nim wieszczkę, z trzech potraw, i samych tylko jarzyn składać się mającą. Poczém sam na dwie osoby nakrywszy do stołu, wychodzi na środek i woła: „Ty, co mi jesteś przeznaczony, lub przeznaczona, w małżeństwo, w Imię Ojca i Syna i Ducha Św. proszę cię na wieszczkę, Amen.“ — Postać osoby przeznaczonej, jakkolwiekby natenczas dalekiej, nieznanéj lub jeszcze nieurodzonej, ukaże się przy stole, i obszedłszy go dokoła potrzykroć, znika. — Wzywający niech się strzeże, aby na-

krywając do stoła, nie kładł noża ani widelca, gdyż te w ręku widziadła mogłyby stać się narzędziem zemsty i śmierci. Pomimo śmieszności tych przesądów, gmin, przynajmniej na Rusi i w Litwie, niezachwiana do nich przykłada wiarę.

2) Każda z młodych wiesniaczek, odliczywszy pewną ilość ziaren z jakiegobądź zboża, a szczególnie pszenicy, sypie je na podłogę, w jedną zmiecioną kupkę. Kupki te formują koło, w środku którego sadzą koguta, lub innego jakiego domowego ptaka, niekarmionego całą dobę i z zawiązanymi oczyma. Po zdjęciu zasłony, ptak z skwapliwością zaczyna jeść ziarna; gdy się nasyci, liczą pozostałe. Dziewczyna, której ziaren najmniej się zostanie, najpierw ma pójść za mąż, i tak kolejają.

3) Z której strony wiatr szumi najbardziej, z tej niezawodnie do podsłuchującej przyjadą swaty.

4) Wosk lub cynę, po roztopieniu, wlewają do zimnej wody, z form, jakie w niej przybierze, rokując przyszłość dla tój, która je topiła na ogniu.

5) Po wrzuceniu pierścionków, spiewają nad niemi rozmaite piosnki, po każdej strofie wyciągając jeden. Strofa poprzedzająca, staje się przepowiednią dla tój, czyj pierścionek wyjęto.

R Ó Ź A.

POWIEŚĆ

Z SOUTHEY'A.

I.

Witaj mi, córo wiosny! kwiatów jój królowo!
Strojna krasą jutrzeńki, czy bielą śniegową,
Równieś miła poety i sercu i oku!
Niechby inne powaby wzięwszy czas zazdrośny,
Ciebie tylko zostawił zdość berło wiosny:
Jeszczeby wiosna warta zwać się *Różą roku!*

II.

Miło jest, pod rozkwitłym spoczywając krzewem,
Gdy wkoło chłodném skrzydłem lekki wiatr powiewa.
Słuchać, jak pod zieloném utajony drzewem,
Słodką ci, jak tve wonie, słowik piosnkę śpiewa!

Chwała tym, co go tobie za kochanka dali!
Sam słowik chyba godnie wdzięk róży pochwali.

III.

Zbiegają się dziewice z koszykami w rękę.
Napawać się jój wonią, napatrzeć się wdziękę.
Pójdźcie do mnie, dziewice!—Po co ten rumieniec? —
Niech mi każda obieca kraśny upleść wieniec,
Lub dać kwiatek od piersi: ja wam na podziękę.
Albijońskiego barda powtórzę piosenkę.
A w niej powieść o róży: jak niezwykłym cudem,
Po raz piérwszy na ziemi, przed zdumionym ludem.
Płoniące się ku słońcu rozwinęła krasy. —
Bard ten biegły w podaniach, znał dawniejsze czasy.
Znał dawniejsze przygody: wiele ziem przebywał.
W nich usłyszał tę piosnkę, i kochance śpiewał.

IV.

Żyła w Betleem, Izraelskiej ziemi.
Dziewica sławna wdzięki anielskiemi.
Zillah ją zwano: a Judea cała,
Chwała enót Zillah i piękności brzmiała.
Głos chwały nęci, ciekawość zapala:
Leczni młodzieńcy zbiegali się zdala.
Cnota cześć budzi, miłość niecą wdzięk:
Leczni młodzieńcy pragnęli jój rękę.
Biedni młodzieńcy!—daremnie, daremnie!
Zillah was kochać nie może wzajemnie.

Zillah z enót tylko szukająca chluby,
Bogu dziewicze poprzysięgła śluby! —
Poszli młodzieńcy — a w ciężkiej tęsknocie,
Płacząc na srogość, dziwili się enocie.

V.

Przyszedł z innymi Hamuel bogaty,
Miał mnogie skarby, miał kosztowne szaty,
Pragnął mieć Zillah. — Daremnie, daremnie!
Zillah go kochać nie może wzajemnie.
Srogość na twarzy, ponurość w źrenicy,
Trwożyły seree nieśmiałej dziewicy. —
Nie próżna trwoga, przeczucia to wieszczę:
Wzrok on miał dziki, duszę dzikszą jeszcze.
I wnet rojona popchnęła go zawiść,
Z miłości w rozpacz, z rozpacz w nienawiść.

VI.

Czemuż, niestety! obrażony w dumie,
Człowiek się w zemście powściągnąć nie umie? —
Hamuel zemstę poprzysięgł zbrodnicy,
Oczernił Zillah, i chwałę dziewiczą. —
O! biada temu, kto potwarze szerzy!
O! hańba temu, kto potwarcom wierzy!
Wierzono jednak: a Judea cała
Czezonój wprzód Zillah obelgami brzuiała. —

Hamuel możny, sam w świetnym urzędzie,
Zakupił świadki, pouwodził sędzie,
A ci bezbożni, skazali niegodnie,
Wzór niewinności, na karę za zbrodnie

VII.

Był plac pod miastem, naprzeciw kościoła,
Żelazną kratą ogrodzon do koła,
Plac pełen zgrozy: gdzie przestępne głowy
Sprawiedliwości karał miecz surowy.
Tam, jak się zdało, od ludzi i Boga
Wzgardzoną Zillah, śmierć czekała sroga. —
Już wkoło słupa stos złożono suchy,
Już na tym stosie, twardemi łańcuchy
Niewinną Zillah przykuto do pała.
Już kat śmiertelną pochodnię zapala...
Ona spokojna—jakby ją wnet mieli
Na złotych skrzydłach w Niebo wznieść anieli —
W skromném milezeniu dokoła powłoczy
Świtem już nieba śmiejące się oczy.
Widząc ten pokój, widząc blask spójżenia,
Lud przestał wierzyć w prawdę przewinienia

VIII.

Z inném uczuciem Hamuel stał blisko
Zemsta go wiodła na to widowisko.
Nie długi tryumf!—bo wnet rozpacz wściekła,
Bo wnet zgryzota, poprzedniczka piekła,
W mściwe się cisnąć zaczęły serce

Oczy dziewicy padły na oszczereę.
Wzrok był łagodny: a jednak się zdało.
Ze piorunową przeraził go strzałą.
Wzrok był łagodny — cóż w nim trwogę budzi?
O ty Aniele Stróżu w sercach ludzi.
Smutek!... twoja to święta powinność.
W chwilach cierpienia, pokrzepiać niewinność.
W chwilach tryumfu, być mścicielem zbrodni!..

IX.

Przebog! przy stosie błysnął blask pochodni.
Lud bieży ku niej. — Ach! stojcie, szaleni!
Przygaście pożar rosnących płomieni.
Zbawcie niewinność! — Próżno! nikt nie słuha.
Wznoszą się ognie, dym kłębami bucha.
Ach! ty sam chyba, sprawiedliwy Boże!
Twoja dłoń tylko ratować ją może!..

Ox płacz dziewicy usłyszał z wysoka.
Ujrzał niewinność: tchnął, i w mgnieniu oka.
Przed JEGO tchnieniem płomień się uniża:
I jak piorunu błyskawica chyża.
Jak wąż ognisty, od stosu odstrzela
Na głowy sędziów i oskarżyciela.

Struchlala głazem oniemiała rzesza...
Lecz cóż znów ciszę uroczystą mięsza? —
Wzniosły się w niebo okrzyki radości:
„Cześć Wszechmocnemu! chwala niewinności!“ —

Jakiż cud nowy?—Stos się w krzew zamienił.
Pękły okowy, słup się zazielenił,
I w kształcie wieńca, nad dziewicy czołem.
Dwubarwne róże zakwitnęły społem.

Tak po raz pierwszy od utraty raju,
Róża w śmiertelnym zakwitnęła kraju:
Kraśna jak skromność, jak niewinność biała.
Niebieskie wonie w powietrzu rozlała.

PRZYPISEK AUTORA

„Między miastem a kościołem w Betleem, jest pole nazwane *Campus Floridus*, pole kwitnące, a to z następującego powodu. Piękna dziewczica, oskarżona niewinnie o przestępstwo, skazaną została na spalenie żywcem w tém miejscu; i kiedy już stos podpalać zaczęto, ona wzniosłszy oczy ku niebu, błagała Boga, aby jako świadomy jęj niewinności, wybawić ją raczył od tak srogięj a niezasłużonęj kary; i to rzekłszy na stos palający spokojnie wstąpiła. Lecz w mgnieniu oka zagasty płomień, rozzieleniły się na wpół spalone główne, a na nich zakwitły róże czerwone i białe: były to pierwsze, które widziano na ziemi. A tak niewinna dziewczica za łaską Boga uwolnioną została.“

(Wyjątek z Podróży JANA MAUNDEVILLE.)

WIERNOŚĆ.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Kto chce mieć kochankę dla siebie jedynie.

Rad stroni od miasta i dworu.

Pan dworski raz w pięknej kochał się dziewczynie.

I chcąc ją dla siebie zachować jedynie,

Strzegł w zamku dalekim śród boru.

Nie zważał na trudy, nie zważał na pory,

Bo miłość trud płaci sowicie.

Jak skoro mrok zapadł—przez góry, przez bory,

Do zamku, gdzie miła, niósł jego koń skory,

I stawał u celu o świcie.

Mgłą nocną obwiany i rosą oblany,

Gnał raz Pan co siły zdaleka.

Już widać, już widać cel drogi żądany:

„Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu kochany!

Gdzie szczęście i rozkosz nas czeka!“—

Już blisko, już blisko cel drogi żądany —
 Jak ranna u wschodu jutrzeńka.
Tak w oknach zamkowych świt błyszczał rumiany.
„Ach! nie śpiesz, słoneczko! ach! nie budź kochanęj!
 Ach! nie świeć w mój miłej okienka!” —

I przybył pod zamku cieniste ogrody.
 I konia zostawił zdaleka,
Gdzie łączkę rozkwitłą przepływał zródź wody:
A sam biegł skwapliwie przez tajne przechody.
 Gdzie mniemał, że rozkosz go czeka.

Wszedł cicho — lecz jakąż przejęty był trwoga!
 Ach! jakże w nim serce zadrżało!
Gdy w zimném łóżecku nie znalazł nikogo.
„Któż porwał? zawoła, kochankę mą drogą?
 Ach, przebóg! ach! co się z nią stało?” —

I z izby do izby wołając przebiega.
 Lecz wszystko w ponurój spi ciszy:
A echo się tylko po salach rozlega,
I mdlejąc powoli, po gmachu przebiega —
 Wtóm nagle podziemny jęk słyszy.

To stary murgrabia był w sklepie zamknięty.
 Któremu straż zamku zlecona.
— „Gdzie moja kochanka? mów, starcze przeklęty!
Mów! co się tu stało, żeś w sklepie zamknięty?
 Gdzie ona? — mów prędzój! gdzie ona?” —

— „Ach! wielkie się, panie, nieszczęście zdarzyło!
Młodzieniec tu jakiś nieznany,
Wpadł w nocy na zamek, ze zbrojną swych siłą,
Mnie wtracił do sklepu, i porwał twą miłą,
I twoje dwa wierne brytany.“ —

Aż zimny mróz Pana po ciele przeszywa,
A z oczu mu szczery żar świeci;
A w sercu mu zemsta zawrzała straszliwa.
Z okropnym przekleństwem miecz z pochew dobywa,
I wpada na konia, i leci.

Nie trudno zgadł jaką ubiegli ztąd drogą,
Po śladach na rosie, po błoniu.
Więć leci, i konia w bok kole ostroga:
„Ach! daj się mi pomścić za krzywdę tak srogą,
Pospieszaj! pośpieszaj, mój koniu!

„Ach! będę ich ścigał, choć na kraj gdzie świata! —
Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu!
Sowita cię za to nie minie zapłata:
Bez pracy, bez trudu, wieść będziesz twe lata
Przy złotym obroku, na błoniu!“ —

Tak woła, i w górze miecz wstrząsa dobyty
A koń się wyciągnął jak strzała.
Aż jakby z pod ziemi skry krzesze kopyty.
Aż echem piorunu grzmi tentent odbity,
A w jeźdźcu aż kipi krew cała.

Wtém kiedy na wzniosły pagórek wybiegą,
Przy świetle bładawém jutrzeńki.
Młodzieńca z dziewicą w dolinie spostrzegą:
A wierne brytany do Pana przybiegą.
I łasząc się skaczą do ręki.

„Stój! zdrajco bezczelny!“ — Pan gniewny zawoła,
A w sercu wre zemsty chęć wściekła:
„Jeżeli masz śmiałość nadstawić mi czoła,
Pójdź do mnie, psie podły! a miecz mój podoba
Dziś jeszcze cię wtrącić do piekła!“ —

Młodzieniec nie łatwo dostępny był trwodze,
Miał męztwo i siłę straszną.
Na takie obelgi, gniew zawrzał w nim srodze:
Bystremu koniowi zawściągnął więc wodze,
I skoczył ku Panu co żywo.

I jeden i drugi miecz wstrząsa nad głową,
I obaj zskoczyli wnet z koni;
I z okiem iskrzącém, i z twarzą surową,
Spotkali się, zwarli; — szczęk huczy dąbrową.
A iskry się sypią z ich broni.

I jeden i drugi nastaje i siecze,
Już obu krew broczy pancerze:
Jak ognie się jakie krzyżują ich miecze,
Z obudwu znój ciężki, z obudwu krew ciecze,
Obadwaj są równi rycerze.

Wtém kiedy już obaj osłabli na sile,
Zawołał Młodzieniec: „O! panie!
„Jeżeli się zgodzisz, przestańmy na chwilę!
Nie bój się podstęp! odpocznem na sile,
A ja ci otworzę me zdanie.“—

Pan utkwiał miecz w ziemię, i czekał spokojnie
Co powie Młodzieniec nieznany.
— „Daremnie, o! panie! walczymy tu zbrojnie,
Gdy możemy rzecz całą załatwić spokojnie,
Chciéj tylko! bez bitwy, bez rany.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
Niech spór nasz rozstrzyga sąd damy.
Lecz słowem rycerskiém zaręczmy się szczerze,
Że kogo z pomiędzy nas sobie wybierze,
Bez sprzeczki ją temu oddamy.“—

Pan przypadł na układ, i myślał sam w sobie:
„Mnie przenieść powinna nad niego!
Ach! czyżem jéj w każdéj nie wierny był dobie?
Ach! czyżem ją kiedy naraził ku sobie?
Czyż kiedy zabrakło jéj czego?—

„Mnie przenieść powinna!“—tak myślał Pan zeicha,
I zdał się na słodką nadzieję.
Lecz ona dość piła z jednego kielicha —
A ja was, panowie, ostrzegam nie zeicha,
Że miłość zdawniała nie grzeje.

Niedługo się Dama w namyśle wahała.
Bo gdy się rycerze zbliżyli,
Nowego, młodszego, wnet sobie wybrała,
I białą mu rękę z uśmiechem podała,
I usta ku niemu nachyli.

Więc pana zegnali, i dalej jechali,
Młodzieniec nieznany z dziewczyną.
Pan ścigał ich wzrokiem, aż znikli w oddali;
Gniew szarpie za serce, twarz wstydem się pali,
A z oczu mu gęste łzy płyną.

Sprzecznością tych uczuć i myśli miotany,
Daremnie chciał przemódcz swe bole;
I upadł zemdlony pomiędzy brytany;
Te skaczą wokoło, i liżą mu rany,
I liżą znój ciężki na czole.

To znowu mu w oko dzień wniosło stracony,
I życie po członkach rozlało.
Wiernością brytanów do głębi wzruszony,
Przypomniał z żalością na skarb swój stracony,
Bo jeszcze go serce kochało.

Aż kiedy łzy smutku ulżyły mu brzemię,
Co z oczu płynęły jak rzeka,
Chciał wracać do domu; więc podniósł się z ziemi —
Lecz nogę zaledwie postawił na strzemię,
Gdy słyszy wołanie zdaleka.

Więc spójrzy, aż oto Młodzieniec nieznany
Przybiega doń w pyle i znoju.

— „Dziewica, od której dziś jestem wybrany,
Przysłała mię po twe dwa wierne brytany,
Lub oddaj, lub stawaj do boju!“ —

Pan wsparł się na mieczu, i słuchoł spokojnie
Co mówił Młodzieniec nieznany.

— „Daremnie, młodzieńcze! chcesz waleczyć wnet zbroj-
Gdy mozem rzecz całą załatwić spokojnie. [nie,
Chciéj tylko! bez bitwy, bez rany.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
My spór nasz na wołę psów zdamy.

Lecz słowem rycerskiém zaręczmy się szczerze,
Że który którego za pana obierze,
Bez sprzeczki go temu oddamy.“ —

Rad przypadł na układ Młodzieniec nieznany,
I skrycie się cieszył z umowy;

Albowiem w swéj myśli był pewnym wygranéj,
Nie wąpił, że zwabić potrafi brytany,
I wabił je ręką i słowy.

I woła, i emuka, i bije w kolana.

Słodkiemi łakotki przynęca:

Lecz wierne brytany przyskoczą do Pana,
I skaczą wokoło, i liżą kolana,
A zębem swym straszą Młodzieńca.

BAŚŃ

O UŚPIONÉJ KRÓLEWNIE I O NAJŚMIELSZYM
KRÓLEWICU.

z ŻUKOWSKIEGO.

Był sobie król i królowa.
On zdrów, młody – ona zdrowa;
Przecież rok, drugi i trzeci,
Jak nie ma, tak nie ma dzieci.
Król w myślach smutkiem się trawi,
Komu swe berło zostawi;
Królowa także się troska.
Lecz cóż? taka wola Boska!
Dręczyli się, umęczyli,
W końcu się uspokoili.

Aż królowa raz wieczorem,
Poszła dumać nad jeziorem,

Dumać zawsze o tém jedném,
O sierocém życiu biedném,
I przez jakąby ofiarę
Odwrócić tę Niebios karę.

Idzie, dumą — aż z jeziora,
Płynie wielki rak — potwora,
Z wąsem jak som; a w kirysie,
Jakby jaki rycerz łni się :
I kiwnąwszy zlekka głową,
Tak się ozwie: „O! królowo!
„Dobre tobie niosę wieści:
„Koniec troskom i boleści!
„W trzy ćwierć roku od téj pory
„Będziesz matką pięknej córy.“ —
— „Ach! ty raku mój nad raki!
„Zkądże tobie rozum taki,
„Byś mógł wiedzieć co się stanie?“ —
Rak jój na to zapytanie
Nic nie odrzekł, lecz się zwinął,
Plusnął w wodę, i gdzieś zginął.

Snem królowej to się zdało;
Lecz jak mówił, tak się stało.
W trzy ćwierć roku od téj pory
Była matką pięknej córy,
A tak pięknej, chociaż małej,
Że jój równej, na świat cały
Ludzkie oczy nie widziały.

Król niezmiernie rad z dzieciny,
Sprosił cały kraj na chrzciny,

A nasamprzód, państwa strózek,
Jedenaście możnych Wrózek.
Byłać wprawdzie i dwunasta,
Ale stara, zła niewiasta;
Téj nie prosił; — nie dla tego,
Że stara i nie dobrego —
Lecz był powód. —

W dworskich składach,

Po królewskich pra-pradziadach,
Był, osobliwszej roboty,
Serwis cały szczerozłoty,
Jak raz na dwanaście osób.
Król bez niego w żaden sposób
Nie chciał nigdy dać obiadu. —
Aż tu kłopot! — Czy ze składu,
Czy z kredensu, dość, że skrycie
Ktoś dwunaste skradł nakrycie;
Lecz kto? lecz jak? gdzie i kiedy?
Ani śladu! — Król więc tedy
Rada w radę z swym Marszałkiem;
I wolał nie prosić całkiem
Téj dwunastéj Wrózki staréj,
Niż dać serwis nie do pary.

Baba co nie pękła z złości. —
A tymczasem tłumy gości,
Co na bal proszeni byli,
Zebrali się, jedli, pili,

I nakoniec, jak w tym kraju
Było zdawna w obyczaju,
Czy kto krewny, czy nie krewny.
Niósł podarki dla królowny.
A po krewnych i za družbą,
Przyszły Wróżki z dobrą wróżbą,
I przez rymy, przez zaklęcia,
Zarzekały los dziecięcia:
„Będziesz cudem tego świata,
„Będziesz można i bogata,
„Będziesz cudna jasnością,
„Znajdziesz męża królowica,
„Będziesz wiek wesoło trawić,
„Lud cię będzie błogosławić,
„Będziesz miła, będziesz tkliwa,
„Będziesz dobra i szczęśliwa!“ —
Takie, w kolej od dziesięciu
Wrózek, wróżby szły dziecięciu.
Jedénasta z wróżbą nową
Idzie także: — lecz nim słowo
Wyrzec mogła: — sen czy mara?
Jedną razą Wróżka stara
Zjawiła się przy kolebce,
I już rym swych zaklęć szepce:
„Mnie na ucztę nie proszono,
„Nie karmiono, nie pojono,
„A jać dar mój niosę przecie. —
„Krótko tobie na tym świecie,
„Królewiatko! żyć radośnie.
„W siedemnastój życia wiosnie,

„Zaraniwszy dłoń wrzecionem,
„Zaśniesz na śmierć wiecznym zgonem.“—
To wyrzekła, w dłoń klasnęła,
Zaśmiała się, i zniknęła.—

Lecz jak zmienić groźby wieszczce?—
Szczęściem Wróżka, która jeszcze
Nie darzyła niemowlęcia,
Tak skończyła rym zaklęcia:
„Kłamiesz! to się tak nie stanie!
„Będzie to sen, nie skonanie.
„Sen ten będzie trwał lat dwieście,
„Lecz nie wiecznie;—aż nareście,
„Zjawi się najśmielszy z ludzi,
„Co ją znajdzie i obudzi.
„Z nim, i z królem, i z królową,
„Odrodzi się jak na nowo;
„Będzie widzieć wnuków wnuki,
„I dopóty żyć, dopóki
„Sama zechce.“—

To skończywszy,
Królowi się pokłoniwszy,
Wróżki poszły.—Król w rozpáczy,
Różnie słowa ich tłómaczy,
Wzdycha, płacze, mizernieje.
I cóż za dziw? nie śpi, nie jé,
Myśl złą wróżbą wciąż zajęta:
O dobrych ani pamięta,
A choć wspomni, to nie wierzy.
Myśli wciąż, jak zapobieży

Tój u niego jednéj pewnéj,
Co wróży śmieré dla królewny.
Aż ktoś z dworzan tak doradza:
„Królu panie! twoja władza!
„Zakaż w kraju lnu i przędzy,
„I drwij z przeklęstw staréj jędzy.“ —

W myśl królowi poszła rada.
Więc nie tracąc chwili, siada,
I do swojéj Rady Tajnéj
Pisze ukaz nadzwyczajny.
„Ja król, pan wasz, chcę i każę:
„By w całym państw mych obszarze,
„Nikt—ni szlachta, ani chłopi,
„Nie sieli lnu, ni konopi;
„A kto będzie siał, ten zwije
„Sam z nich stryczek na swą szyję.
„Zabrania się téż prząś nici,
„I zaleca się policji,
„Przez wszelkie jakiebądź środki,
„Zniszczyćé wszystkie kołowrotki,
„A nadewszystko wrzeciona.—
„Wola moja niecofniona,
„Kto ją słyszy, niech wykona!“ —

Po wydaniu téj ustawy,
Król zbył troski i obawy,
Znów jadł, pił, spał, żył radośnie.
A tymczasem córka rośnie,
Rośnie—matki już dorasta,
I już wiosna siedemnasta!...—
Cóż się stanie z wróżbą ową?—

Dnia jednego, król z królową,
Gdzieś w gościnę, na czas pewny,
Pojechali bez królowny.
Smutno było to królownie.
Napłakawszy się więc rzewnie,
Co tu począć? myśli sobie.
Nudno!— „Aha! wiem co zrobię.
„Co mam w domu sama siedzieć?
„Pójdę—rzekła—pałac zwiedzić!“—

Jakoż poszła. — Ochmistrzyni,
Kilka Frejlin idzie przy niej.
Idą naprzód do tronowój,
Od tronowój do balowój,
Z tamtej znów do innej sali;
I tak coraz dalej, dalej,
Przyszły wreszcie do narożnej,
Do okrągłej wieży próżnej,
Gdzie jak zamek zamkiem, pewno
Nie był nigdy król z królowną.

W środku tam nic szczególnego.
Mur z kamienia ciosowego,
Kręte wschody, tuż przy murze.
Wiodą w górę; a na górze,
Widać drzwiczki do ganeczka. —
Królewiatko, jak sarneczka,
Skik, skik, w górę—wbiegła sama.
Ochmistrzyni, wielka dama,
Leżąc po wschodach nie tak rada.
Frejlinom też nie wypada

Isé wprzód, zwłaszcza kiedy gniewna.

Więc zostały;—a królewna

Już tymczasem na wierzchołku.

Wbiega, patrzy—aż na stolku,

U niskiego okieneczka,

Siedzi sobie staruszczyca,

Niziuteńka, siwiuteńka,

Jak gołębek;—prawa ręka

Na powietrzu, palce w ruchu,

I coś kręci na fartuchu.

Co takiego?—kawał drewna,

Nakształt strzałki!—Więc królewna,

Cicho, cicho, choć w obawie,

Podkrada się—i ciekawie

Patrzy, co to za narzędzie?

A staruszczyca kądziel przędzie.

I to liźnie lewą rękę,

To coś mruczy jak piosenkę.

„Wrzecioneczko, wij się, wij się!

„Kądziałeczko, nie tak rwij się!

„Praca nasza nie igraszka,

„Wiążem sidło, złowim ptaszka!“—

A królewna z udygnieniem

Spyta jój:—„Za pozwoleniem,

„Co to robisz, proszę?“—„Przędę.“—

—„Naucz-że mnie, i ja będę!“—

I już ręką wyciągnioną

Sięga nici:—wtém wrzeciono.

Ach!—ukłuło;—krew z paluszka

Wytrysnęła—a zła Wróżka

Zaśmiała się w głos, i znikła.—
A w królewnie mdłość niezwykła
Rozlewa się—wzrok się klei—
I usnęła.—Tuż z kolei,
Sen ogarnął Ochmistrzynię,
I Frejlinę po Frejlinie;
I co żyło w całym dworze,
Wpadło w letarg.—

W téjże porze

Król powraca.—Co to znaczy?
Ni doboszów, ni trębaczy,
By go witać za powrotem!
Cały odwacht śpi pokotem.
Straż przy bramie, choć stojąca,
Lecz pijana, czy drzemiąca,
Z zwisłą głową i rękoma,
Stoi martwa, nieruchoma.
Co to znaczy?—Król się gniewa,
Chce coś fuknąć—a wtém ziewa,
Ziewa, ziewa—i w pół słowa
Zasnął mówiąc.—I królowa,
I jój dama honorowa,
I szambelan z całą świtą,
Nawet laufer przed karétą,
Z podniesioną, jak biegł, nogą:
I woźnica z miną srogą,
Z zamachniętym biczem w dłoni,
I forysie, i sześć koni,
Jak jechali, tak w pół placu
I zasnęli.—I w pałacu,

Jak kto gdzie stał, tak śpi:—straże,
Prezentując broń; kucharze,
Kręcąc rożen;—nawet płomień,
Choć nie zgasło, nieruchomie
Stoi w górę:—i u góry,
Dym jak buchał, tak w kłęb bury
Zwił się, i śpi: nad kominy
Stercząc tylko jak słup siny.

A jak pałac, tak z nim cała
Okolica zadrzemała,
I powoli, czas za czasem,
Pokryła się gęstym lasem,
Czarnym borem;—a do boru,
Ani drogi, ani toru,
Ni przystępu, ani zblizka!
Wszędzie głogi, a bagniska.
Żaden wiatr tam nie dowiewa,
Nie zaszumią nigdy drzewa;
Żaden ptaszek nie zapiśnie,
Żaden zwierz się nie przeciśnie;
Nawet chmura kiedy płynie,
To go zawsze bokiem minie;
Nawet słońca jasność słodka
Nie ma kędy wejść do środka,
Tak jest gęstą mgłą objęty.
Słowem, był to bór zaklęty.

A tymczasem, jak dzień po dniu,
Tak szedł tydzień po tygodniu,
Tak szedł miesiąc po miesiącu,
Rok po roku—aż i w końcu

Sto lat przeszło.—Z razu ludzie
Rozprawiali o tym cudzie,
Potém coraz mniej wierzyli,
Potém całkiem zaprzeczyli.
Została się wieść niepewna,
Że w tym borze śpi królewna,
I że kto najśmielszy z ludzi,
Ten ją znajdzie i rozbudzi.

Z razu było dość młodzieży,
Z książąt, grafów i rycerzy,
Co przed laty, jak wieść niesie.
Szli próbować szczęścia w lesie.
Ale jedni, pełni trwogi,
Powrócili od pół drogi,
To nie mogąc znaleźć toru,
To nie śmiejąc wejść do boru.
Było jednak i tych wiele,
Co przez głogi i topiele
Przedarli się w las; lecz z lasu
Nikt nie wrócił.—Czas od czau,
Coraz to mniej, coraz rzadziej
Było takich, coby radzi,
Dla niepewnej tam królewny,
Narażać się na zgon pewny.
W końcu nie ma i nikogo.

A czas zawsze swoją drogą
Jak szedł, tak szedł;—aż nareście
Upłynęło i lat dwieście.

Czasby ocknać się królewnie.
Już jój o tém śni się pewnie....
Lecz przyjdzieź najśmielszy z ludzi,
Co ją znajdzie i obudzi?—

Nie potrzeba o to bać się,
Co ma stać się, musi stać się.
Posłuchajcie!

Dnia jednego,

Wiosennego, wesołego,
Syn królewski—(Król już nowy
Był w tym kraju)—lubiąc łowy,
Z wielką psiarnią, z wielkim dworem.
Przyjechał tam, i wieczorem
Jakoś zbłądził.—Jedzie, jedzie,
Przez noc całą; aż na przedzie,
Widzi—czarną mgłą okryta.
Stoi puszcza nieprzebyta.
Nigdzie drogi, nigdzie toru,
Ni przystępu!—Więc wzdłuż boru
Jedzie, jedzie—aż spotyka
Staruszczyka, Pustelnika.
Więc go wita, więc go pyta,
Co za puszcza nieprzebyta?—

A staruszek wstrząsłszy głową,
Zaczyna mu słowo w słowo
Opowiadać, co sam pewnie
Wié od starszych: o królewnie,
Co w królewskim wielkim dworze
Śpi zaklęta w owym borze:

Śpi lat dwieście, i śpiąc czeka,
Na kochanka, na człowieka,
Co najśmielszy będzie z ludzi,
Co ją znajdzie i rozbudzi.

Opowiadał potem dalej,
Jak już byli tak zuchwali,
Co jej szukać probowali:
Lecz jak jedni wejść nie śmieli,
A co weszli w las — zginęli.

A królewic słucha, słucha —
Był to młodzian pełen ducha,
Pełen serca. — Jednym razem
Wstrząsł się cały, i żelazem
Jak nie zepnie swego konia!
A koń wichrem, wprost przez błonia,
Jak nie skoczy!... w oka mgnieniu
Wpadł do boru, i w drzew cieniu
Zniknął z jeźdzcem. —

Cóż tam w borze? —

Dziwy dziwów! cuda Boże!
Raj nie gaj, nie puszcza dzika,
Oczom jeźdźca się odmyka.
Zamiast głogów — róż ogrody;
Zamiast bagnisk — żywe wody
Połyskują, szumią, brzęczą.
Rój motylów jasną tęczą
Leci nad nim; ptaszki zgrają,
Lecą przed nim, a śpiewają.

Kwiaty pachną—wszędzie wonność,
Wszędzie jasność a zieloność!
A koń leci, ani staje;
A przed koniem same gaje
Rozchodzą się, czynią drogę;
A królewic nie już trwozę,
Ale taką czuje radość,
Że i w niebie jéjby zadość!
A tymczasem konia bodzie,
Leci, leci — aż na przodzie,
Widzi pałac—cud struktury!
Z alabastru białe mury,
Dach się błyszczy jak ze złota,
Wrota na ścież — więc we wrota,
Pędzi prosto do pałacu.

Wjechał na plac:—aż na placu.
Tłumy ludzi w różnych strojach,
W złotogłowach, w jasnych zbrojach,
Stoją, siedzą, leżą—ale
Żaden się nie ruszy weale,
I czy stoi, czy kto leży,
Śpi i chrapie jak należy.
A wśród placu, jakby wryta,
Stoi pyszna kocz-karéta,
Z herbem dworskim, sześciami koni.
Nasz królewic zajrzał do niéj,
Lecz nie widząc, jak był pewny,
Młodéj, ładnéj—więc królewny,
Wprost pod pałac gnał w zawody.
Przebył ganek, wbiegł na wschody.

Wszedł do sali—do tronowój,
Ztamąd prosto do balowój,
Ztamąd znów do innój sali;
I tak coraz daléj, daléj,
Doszedł wreszcie do narożnej
Owój wieży—już nie próżnej—
Bo tam właśnie Ochmistrzyni,
I Frejliny obok przy niej,
Przed wschodami śpią na ziemi.
Spójrzył bystro między niemi,
Czy nie znajdzie téj. co szuka.
Lecz nie! serce nie oszuka,
A tu mówi, że jéj nie ma.

A więc rzucił wkrąg oczyma.
Patrzy, widzi wschody kręte,
I u góry wpół przemknięte
Małe drzwiczki;—coś widocznie
Tam go ciągnie;—lecz cóż pocznie?
Przejsć nie sposób! Ochmistrzyni
Leży wzdłuż, Frejliny przy niej,
Chyba deptać.—Lecz poradził,
Krok w tył—skoczył, i przesadził.
Dopadł drzwiczek, popchnął, wbiega,
I postrzega—cóż postrzega?
O! radości!—„Tak! to pewna!
„To jest ona! to Królowna!“—
Tak, to ona!—bo gdzież w świecie
Taka druga?—

Jakby dziecię,
Spokojniutka, miła, cicha,
Drzemie zlekka:—pierś oddycha;

Usta drgają, jak śród krzewu
Listek róży od powiewu;
Po przez rzęsy jasność oczek
Lśni jak gwiazdka przez obłoczek.
Włos w pierścieniach oblał szyję,
W twarzy róże a lilije.
Na wysmukły, cienki stanik,
Rzucon lekki półkaftanik.
Purpurowy, złotem tkany,
Gronostajem bramowany.
Zresztą w bieli, lekkiej, mglistej,
I w zasłonie wpół przejrzystej.
W dole tylko z pod fartuszka,
W koturniku, drobna nóżka
Lśni się złotem. — Cudo dziewic!
Śpi jak anioł! — a królewic,
W zadumieniu. w zachwyceniu.
Cały w sercu a spójrzeniu,
Nieruchomy stał — i ona
Spała przed nim niewzruszona.

Lecz jak przerwać sen zaklęty? —
Od miłości on natchnięty,
Skoczył ku niej, zgiął kolano.
Wlepił oczy w twarz rumianą.
Usta drgnęły jak uśmiechem,
Piers jój żywszym tchnie oddechem:
W licach zakwitł kwiat rumieńca,
Jakby czuła wzrok młodzieńca.

A młodzieniec! w uniesieniu,
W upojeniu, w omamieniu—
O! któżby się pohamował?—
Schylił się—i pocałował.

A wtém nagle izba cała
Blaskiem słońca zajaśniała.
I królowna się ocuca!
Błędném okiem wkoło rzuca,
I ujrzawszy królowica,
Rumieni się i zachwyca.

A tymczasem, jak w pałacu,
Tak na ganku i na placu,
Jak kto gdzie spał, tak się budzi.
Znów gwar, hałas, cizba ludzi.
Ochmistrzyni jeszcze ziewa,
Na Frejliny już się gniewa.
Dobosz widząc że król jedzie,
Bije werbel; a na przedzie,
Laufer jak stał bieży daléj,
Furman z kozła z bicza pali,
I zajeżdża.—Król, królowa,
I jój dama honorowa.
I szambelan z resztą świty,
I hajduki z za karéty,
Wysiadają, dłoń podają,
Króla we drzwi wprowadzają.
Straże bronie prezentują,
W kuchni znowu jeść gotują.
Kuchmistrz miechem w ogień dmucha,
Ogień trzaska, dym znów bucha.

Słowem, wszystko się ruszyło,
Odrodziło się, ożyło,
A wszystko jak dawniej było.
Prócz nowego tylko gościa,
Królewica jegomościa,
Co z królowną wraca z wieży,
 Król naprzeciw niego bieży,
Królowa tuż za nim kroczy,
Za królową dwór się tłoczy,
A u wszystkich wielkie oczy!...

 A królewic im rzecz całą
Opowiada, jak się stało. —
Słyszac to król i królowa,
Ledwo mogli przyjsc do słowa,
By mu wdzięczność swą objawic,
I z królowną błogosławić.

 Cóż wam jeszcze mówic dalej? —
Kochankowie się pobrali.
Król znów sprosił gości wiele,
Sprawił ucztę, a wesele,
Łuszytk, bal! — I ja tam byłem,
Miód i wino z gośćmi piłem.
A com od nich się dowiedział,
Tom wam, jak mógł, opowiedział.

BASŃ

O ZŁOTYM KOGUTKU

z PUSZKINA.

W trzydziwiątém wschodniém państwie.
W trzydziiesiątém gdzieś sułtaństwie,
Żył był sobie Sułtan Dadom.
Straszny kłótnik! ni sąsiadom,
Ni poddanym, ni w swym domu,
Nigdy, nigdzie i nikomu,
Nie dał chwili żyć spokojnie.
Albo wojnę wiódł po wojnie,
Albo lud ciemężył w kraju,
Lub w Dywanie i w Seraju,
Żartem, śmiechem, różną próbą,
Kłócił, jątrzył między sobą

Odaliski, Muftych, Baszów.
Aż do pięści a pałaszów.
Bo najmiłsza dlań zabawa,
Był harmider, hałas, wrzawa.
Nigdzie ładu ni porządku!—

Jednak z czasem—czy z rozsądku.
Czy z lenistwa—dość że z wiekiem
Sułtan cichszym stał się człekiem,
I nakoniec ku starości,
Sam zapragnął spokojności.

Aż tu kłopot! bo sąsiedzi,
Widząc że on cicho siedzi,
Nuż na niego! nuż wojować,
Napastować a rabować,
I wet za wet, żuk i żaby,
Deptać wroga, kiedy słaby!—

A więc Sułtan, by swe własci
Zabezpieczyć od napaści,
Musiał trzymać wojsk bez liku.
Wojsko ciągle w zbrojnym szyku
Dzień i noc pod bronią stało:
Lecz i to nie pomagało.
Bo naprzykład: wojsko w nocy
Strzeże granic od północy:
Aż tu goniec: „Marsz na prawo!
„Wróg od wschodu.“—Wojsko żwawo
Dalej na wschód!—Aż znów goniec:
„Marsz na zachód!“—Z końca w koniec

Wojsko ciągle tak biegało,
Aż mu w końcu nóg nie stało.

Krew ze złości wre w Sultanie,
Aż się tarza po dywanie.
Nie śpi, nie jé, wychudł srodze.
Co po życiu w ciągłej trwodze? —
Więc rad nie rad, rady słucha,
Szle do Mędrca, do Eunucha,
Do sławnego Astrologa,
By mu pomógł zwalczyć wroga.

Astrolog się téż nie leni,
Przyszedł. stanął, i z kieszeni
Dobył złotego kogutka.
„Padyszachu! rada krótka,
„Każ przynieść żerdź, na téj żerdzi
„Ten kogutek się przytwierdzi.
„Żerdź każ zatknąć w środku placu.
„Przed oknami, przy pałacu.
„A będzie to stróż twój wierny,
„Twego państwa jak odźwierny.
„Póki pokój, mój kogutek
„Będzie siedział spokojniutek;
„Ale niechże zkądbądź kiedy
„Przyjdzie wojna: zaraz wtedy
„Mój kogutek się strzepoce,
„Krzyknie, skrzydłem załopoce,
„I obróci się w tę stronę,
„Zkąd tve państwo zagrożone.“ —

Sułtan cieszy się, dziękuje,
Złote góry obiecuje.
A Astrolog Sułtanowi
Pokłonił się, i tak mówi:
„Padyszachu! mnie nie trzeba
„Ani złota, ani chleba,
„Tylko łaski twój. żrenicy,
„I téj jednéj obietnicy,
„Że najpiérwszą prośbę moję,
„Spełnisz jakby wolę swoję.“—
Sułtan przyrzekł—i spokojny,
Jadł, pił, przestał bać się wojny,

A kogutek na swój tyce,
Strzegł stolicę i granice.
Póki pokój, póty cicho.
Lecz jak tylko jakie licho
Zagroziło z której strony:
Wnet kogutek jak szalony,
Obracał się, kręcił, miotał,
I trzepotał i łopotał:
A co wrzasku, a co krzyku!
„Kukuryku! kukuryku!“
Nie ma rady! wszystkich głuszy,
Póki wojsko nie wyruszy.
Nie wyruszy w tamte strony,
Gdzie on dziobkiem obrócony.
I znów potém cicho siedzi.—

Dowiedzieli się sąsiedzi,
I raz, drugi, w pień wycięci,
Poskromili cheiwe chęci.

Rok, i drugi, nie ma wojny!
Kogutek i kraj spokojny.
Sułtan nabrał sił i mocy.
Aż tu raptem jednéj noey
Słyszysz—stuk, stuk, do pałacu.
„Co tam? kto tam?“—a na placu
Hałas, tertes!—wpada Basza:
„Padyszachu! zguba nasza!
„Ratuj! kogut krzyczy znowu.“—
Sułtan z łoża, z złotogłowu,
Chyc, wyskoczył—patrzy z ganku.
A kogutek bez ustanku
Trzepoce się, kręci, wije,
Na wschód zwrócił dziób i szyję:
„Kukuryku! kukuryku!“—
A więc na koń, i do szyku!
I najstarszy sam Sułtanic,
Poszedł z wojskiem bronić granic.—
Kogutek się uspokoił,
Sułtan znowu pił i poił.

A tymczasem dni mijały,
Jeden, drugi, tydzień cały,
A o wojsku ani słyechu.—
Bają różnie, lecz po cichu:
Jeden przeczy, drugi twierdzi.—
Aż tu znowu krzyk na żerdzi.—

E! źle!—co tu rady długie?—
Sułtan zebrał wojsko drugie,
A z niém młodszy syn ostatni,
Poszedł na ratunek bratni.

Kogutek znów skrzydła zwija,
Znów dzień, drugi, tydzień mija,
A o wojsku ani słychu.—
A więc już i nie po cichu,
Dzieci skwiérczą, żony płaczą,
Że swych mężów nie zobaczą.—
A kogutek znowu wrzeszczy,
Jeszcze mocniój!—Strach złowieszczy
Przejął Baszów i Dadoma.
A więc nie czas siedzieć doma.
Kto mógł oręż dźwigać w dłoni,
Na koń, na koń, i do broni!—
Sułtan konno sam na przedzie,
Na wschód trzecie wojsko wiedzie.

Wiedzie, wiedzie, dniem i nocą,
By wezas synom przyjść z pomocą.
Sam na czele czat swych przednich,
Szuka śladu wojsk poprzednich.
Nigdzie żadnych!—ani szaińców,
Ni bojowisk, ni mieszkańców,
Aby powziąć choć języka.—
Okolice pusta, dzika!
Trzy dni idą samym borem,
Trzy dni polem;—aż wieczorem

Dnia siódmego, wchodzą w strome,
Góry dzikie, nieznajome.
Weszli, przeszli.—Z drugiejj strony,
Jak wzrok zajrzy, smug zielony:
I u wyjścia z gór rozbity.
Stoi namiot złotolity.

Spójrzy Dadom, i w dłoń klaśnie.—
Całe wojsko, jak śpi właśnie,
Na równinie trupem leży.—
Do namiotu Sułtan bieży.
Aż tu przed nim—o! żałoba!
Widzi synów—martwi oba.
Bułat w rękę, ostrz bułata
Tkwi nawzajem w sercu brata.—
„O! wy dzieci moje, dzieci!
Ryknął Dadom: „Wpadły w sieci
„Sokoleta przed sokołem!“—
I uderzył w ziemię czołem.—
Całe wojsko, jak tam stało,
Jednym płaczem zapłakało.
Zapłakały echem góry!—

Wtém z namiotu—słońce z chmury!
Twarz huryski! postać pańska!
Sułtanówna Szachmachańska
Wyszła—idzie—wpół się sroma,
Wpół uśmiecha do Dadoma.....
Jak przed słońcem ptastwo nocy,
Dadom zamilkł; nie ma mocy

Wyrzec słowa; głowę kłoni,
I już myśli tylko o niej.

Ona w namiot go wprowadza,
Obok siebie za stół sadza,
I z uśmiechem spocząć wabi
Na łabędzi puch jedwabi.—

Dadom nie już o żałobie,
Lecz zapomniał sam o sobie:
I dzień za dniem, tydzień równo,
Przeuczutował z Sułtanówną.

Ale pora wracać doma!
Wojsko woła na Dadoma.
Więc w kolasec, przy Dziewicy,
Wraca z wojskiem do stolicy.

W kraju już się rozgłosiło,
Co było i co nie było.
Więc kto żyje, co tehu stanie,
Wybiegł z miasta na spotkanie.
I tłum cały biegł ulicą,
Za Dadomem i Dziewicą.

Sułtan z okiem pełném łaski,
Kłania, wita lud z kolaski.
Aż przed zamkiem, w szacie białej,
Sam jak łabędź osiwiały,
Mędrzec Eunuch stoi w progu.

„A! jak się masz, Astrologu!
„Cóż to się tak nam przyglądasz?
„Zbliź się, powiedz, czego żądasz?—

— „Padyszachu!” mędrzec rzecze,
„Co się zwlecze, nie uciecze.
„Za podany ci ratunek,
„Musim skończyć nasz rachunek. —
„Patrz! kogutek tkwi na tyce.
„A więc, pomnisz obietnicę,
„Że najpierwszą prośbę moję
„Spełnisz, jakby wolę swoją?“ —
— „Zgoda! Dadom odpowiedział.
„Spełnię wszystko, byłem wiedział
„Co chcesz; ufaj łasce pańskiej!“ —
— „Chcę Dziewicy Szachmachąskiej.
„Sam bezemnie jójbyś nie miał.“ —
Sułtan pobladł i oniemiał.
„Co ty? kto ty? czyś szalony?“
Krzyknął wreście zapérzony.
— „Padyszachu! a umowa!“ —
— „Obiecałem — ani słowa!
„Lecz wszystkiemu jest granica.
„I na djabłaż ci dziewczica? —
„Wiész kto jestem! proś więc u mnie
„Co chcesz, ale proś rozumnie.
„Chcesz? dziel z nami kasę naszą;
„Chcesz? mianuję ciebie Baszą;
„Wreście dam pół państwa mego.“ —
— „Nie potrzeba mi niczego,
„Prócz twój dawnój obietnicy,
„Szachmachąskiej Jasnolicój.“ —
Tu już Sułtan jak za młodu,
Wobec miasta i narodu,

Zapędził się, wzniosł kułaki:

„Ach! ty taki! ty owaki!“

Zawrzeszczał na czém świat stoi.

„Nie chciałeś mieć łaski mojej,

„Figa-ż tobie, djable stary!—

„I nie ujdiesz mi bez kary,

„Czarowniku!—héj! powrozy!

„Wiąż go. łapaj, i do kozy!“—

A staruszek się opiéra,

Szamoce się, z rąk wydziéra,

I kryje się pod kolaską.

A wtém Sułtan grubą laską

Jak nie machnie—w samo ciemię!...

Ani jęknął—bryk o ziemię.

Sułtan zląkł się, i stolica

Przelekła się: a Dziewica

Aż zachodzi się od śmiechu,

Jakby z żartu, a nie grzechu.

Sułtan już się zaczął krzywić,

Lecz się nie śmiał jój przeciwieć,

I wysiada pod przysionek....

Wtém coś brzęczy jakby dzwonek.

Kogutek się zerwał z tyki:

„Kiki-riki, kiki-riki!“

Coś inaczéj jak na wojnę.—

Wszystkich oczy niespokojne

Patrzą—nowość niesłychana!

A kogutek do Sułtana

Obees w oczy—dziub go w ciemię!...
Aż i Sułtan, hrym o ziemię.

A ta znowu w śmiech nie w smutek.—
„Py-li; py-li!“—i kogutek
Jakby swojski leci do niej.
Zwinał skrzydła. siadł na dłoni.
A ona wtém—jak sędziała,
Smyk w górę!—i poleciała.

A w stolicy żal i trwoga.
Sułtana i Astrologa
Pochowano obok siebie.
Był pogrzeb, a po pogrzebie
Stypa.—I ja na niej byłem,
I płakałem, i miód piłem.—
A miód jak baśń: pijesz—miło:
Skńczysz—jakby nic nie było.

KONIEC TOMU II.

F.L. 2-9-69

PR
1116
P6
04
1874
t.1-2

Odyniec, Antoni Edward
Tłómaczenia

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 12 12 06 08 005 2